

PRZEKŁĘTY BRZEG

PETER TEMPLE

Przekład KRZYSZTOF BEREZA

Tytuł oryginału The Broken Shore



*Dla Anity
za jej śmiech i lojalność*

Cashin przechadzał się wokół wzgórza, na twarzy czuł wiatr wiejący od morza. Była późna zimna jesień. Ostatnie liście płonące barwami szkarłatu i złota trzymały się uparcie ambrowców i klonów, zasadzonych jeszcze przez brata jego pradziadka, ale wkrótce miały się poddać i zaścielić ziemię. Lubił tę porę roku, te spokojne poranki, bardziej niż wiosnę.

Psy były już zmęczone, wciąż jednak tropiły niewidzialne ślady, choć z coraz mniejszym zapalem. Nagle jeden złowił mocniejszy zapach. Natychmiast z nową energią pomknęły jeden za drugim w stronę drzew i znikły.

Kiedy był już blisko domu, psy, czarne jak lukrecja, wypadły zza drzew, przystały, uniosły głowy i spojrzały wokoło, jakby widziały tę okolicę po raz pierwszy. Jak badacze nieznanymi ziem. Popatrzyły na niego przez chwilę i ruszyły z boczem w dół.

Ostatni odcinek drogi pokonał tak szybko, jak mógł, a kiedy wyciągnął rękę ku bramie, dopadły do niego. Próbowały swoimi czarnymi kędzierzawymi łbami odsunąć go na bok, odepchnąć silnymi tylnymi łapami; koniecznie chciały wejść pierwsze. Gdy otworzył rygiel, rozwarły bramę na tyle szeroko, by móc wśliznąć się do środka, i pognały ścieżką do drzwi przybudówki. Oba znowu chciały być pierwsze. Stały, prężąc ogony jak puszyste szable, z nosami przywartymi do ościeżnicy.

Gdy wszyscy znaleźli się w środku, wielkie pudle poprowadziły go do kuchni. Miały tam miski z wodą, wepchnęły do nich nosy i zaczęły głośno chleptać. Cashin przygotował im śniadanie, każdy dostał po dwa plastry specjalnej kiełbasy dla psów sporządzonej przez rzeźnika z Kenmare i po trzy garście suchej psiej karmy. Wyniósł miski na zewnątrz.

Psy wyszły za nim. Kazał im usiąść. Opite wodą, wykonały polecenie tak powoli i tak lekceważąco, jakby je dręczył artretyzm. Kiedy dał znak, że mogą jeść, popatrzyły na miski

bez zainteresowania, spojrzwały jeden na drugiego, potem na Cashina. Tylko po to nas tu przyprowadziłeś, żebyśmy wachały to niezjadliwe żarcie?

Cashin wrócił do środka. Odezwał się telefon komórkowy, który nosił w tylnej kieszeni spodni.

– Słucham.

– Joe?

Kendall Rogers z posterunku policji.

– Dzwoniła jakaś kobieta – powiedziała. – Mieszka niedaleko Beckett. Niejaka pani Haig. Podejrzewa, że ktoś obcy jest w jej szopie.

– I co robi?

– Nic. Jej pies szczeka. Ja to załatwię.

Cashin przejechał dłonią po swoim zaróście.

– Jaki to adres?

– Pojadę tam sama.

– Nie ma sensu. To ode mnie niedaleko. Podaj mi dokładny adres.

Podszedł do kuchennego stołu i zapisał w notesie datę, czas, wydarzenie, adres.

– Powiedz, że będę za dwadzieścia pięć minut. Daj jej mój numer, jeśli wydarzyłoby się cokolwiek, zanim się zjawię.

Psom spodobał się jego pośpiech. Gdy tylko Cashin wyszedł na podwórze, popędziły w stronę samochodu. W czasie jazdy siedziały na swoich miejscach z nosami wysuniętymi przez tylne okna. Zaparkował pojazd na drodze, sto metrów od bramy wiejskiego domu. Kiedy podszedł bliżej, czyjaś głowa wynurzyła się zza żywopłotu.

– Głina? – zapytała kobieta. Siwe brudne włosy okalały twarz, która wyglądała jak wyciosana tępych narzędziem w drewnie.

Cashin skinął głową.

– A mundur?

– Jestem po cywilnemu – odparł. Pokazał odznakę policji stanu Victoria z godłem przypominającym lisa. Kobieta zdjęła poplamione okulary, żeby dobrze się przyjrzeć.

– A to psy policyjne? – zagadnęła.

Cashin się obejrzał. Dwie wełniste czarne głowy w jednym oknie.

– Pracują z policją – odparł. – Gdzie ten człowiek?

– Niech pan idzie za mną – poleciała. – Pies jest w domu, rozwścieczony jak diabeł, mały drań.

– Jack russell – mruknął Cashin.

– Skąd niby pan wiesz?

– Zgaduję po prostu.

Obeszli dom. Cashin czuł lęk wzbierający w nim jak mdłości.

– To tam – powiedziała.

Szopa znajdowała się daleko od domu; trzeba było przejść przez zarośnięty ogród, potem przez otwór w płocie przesłonięty wybujałymi pnączami. Szli w stronę wejścia. Dalej ciągnęła się trawa po kolana, z której sterczały kawałki zardzewiałego metalu.

– Co jest w środku? – Cashin patrzył na uchylone drzwi stojącej kilka metrów od drogi szopy z pordzewiałej blachy falistej. Poczł krole potu na obojczykach. Źalował, że nie zgodził się, żeby Kendall to załatwiła.

Pani Haig dotknęła podbródka z czarnymi kolcami jak na zdartej szczotce do włosów.

– Różne rzeczy. Rupiecie. Stara ciężarówka. Nie byłam tam już od lat.

– Niech pani wypuści psa – powiedział Cashin.

Poruszyła gwałtownie głowę, przestraszona.

– Sukinsyn mógłby mu zrobić krzywdę.

– Wątpię – zaprzeczył Cashin. – Jak pies się nazywa?

– Monty; wszystkie tak nazywam, od lorda Monty’ego, tego od Alamein. Pan za młody, żeby o nim słyżał.

– To prawda – odparł. – Niech pani wypuści Monty’ego.

– A te policyjne psy? Co z nich, do diabła, za pożytek?

– Są przeznaczone do spraw życia i śmierci. – Cashin starał się panować nad swoim głosem. – Podejdę do drzwi, a wtedy pani wypuści lorda Monty’ego.

W ustach mu zaschło, swędziała go skóra na głowie, takie rzeczy nie mogłyby się zdarzyć przed Raiem Sarrisem. Przemierzył teren porośnięty trawą i podszedł do wejścia z lewej strony. Człowiek szybko się uczy trzymać z dala od potencjalnie niebezpiecznych ludzi, a więc i tego, że nie należy wchodzić do ciemnej szopy, by się z nimi zetknąć.

Pani Haig była już przy żywopłocie z pnączy. Uniósł kciuk na znak, serce mu waliło.

Nieduży pies nadbiegł susami przez trawę z napiętymi mięśniami i zajadle szczekając, dopadł szopy, przyhamował, wcisnął głowę w drzwi i zawarczał; małe ciało zeszywniało z emocji.

Cashin walnął lewą ręką w pofałdowaną żelazną ścianę.

– Policja! – zawołał głośno, zadowolony, że zdołał coś zrobić. – Wyłaż stamtąd. Ale już!

Nie czekał długo.

Pies cofnął się, piszcząc histerycznie.

W drzwiach pojawił się mężczyzna. Zawahał się, po chwili wyszedł na zewnątrz z płóciennym tobołkiem w ręku. Zignorował psa.

– Już się wynoszę! – burknął. – Przespałem się tylko.

Miał około pięćdziesięciu kilku lat, krótkie siwe włosy, szerokie ramiona i jednodniowy zarost.

– Niech pani zawoła psa, pani Haig – rzucił Cashin przez ramię.

Kobieta krzyknęła i pies wycofał się posłusznie, ale z wyraźną niechęcią.

– Naruszenie prywatnej własności – oświadczył Cashin spokojniejszym tonem.

Nie wyczuwał żadnego zagrożenia ze strony nieznanego.

– No tak, ale tylko się tu przespałem.

– Połóż tobolek – powiedział Cashin. – Zdejmij płaszcz.

– Kto mi rozkazuje?

– Jestem gliną. – Pokazał odznakę.

Mężczyzna położył płaszcz na tobołku u swoich stóp. Miał na nogach sznurowane buty z wgniecionymi noskami, które nigdy nie widziały pasty.

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytał Cashin.

– Szedłem. Podwozili mnie.

– Skąd?

– Z Nowej Południowej.

– Nowej Południowej Walii?

– Tak.

– Kawał drogi do przejścia.

– Droga jak droga.

– Dokąd idziesz?

– Po prostu idę. Moja sprawa.

– Jasne, to wolny kraj. Masz jakiś dowód tożsamości? Prawo jazdy? Ubezpieczenie?

– Nie.

– Nic?

– Nic.

– Nie utrudniaj mi pracy. Nie masz dowodu, to cię zabiorę na komendę, zdejmę odciski palców, oskarżę o naruszenie własności prywatnej, wsadzę do celi. Może trochę potrwać, zanim znowu zobaczysz światło dzienne.

Mężczyzna pochylił się, odnalazł w płaszczu portfel, wyjął z niego złożoną kartkę i

chciał ją podać Cashinowi.

– Włóż to z powrotem do kieszeni i rzuć mi płaszcz.

Okrycie wylądowało metr dalej.

– Cofnij się trochę. – Cashin podniósł płaszcz, obmacał. Nie wyczuł niczego. Wyjął, najwyraźniej często składany, wytarty kawałek papieru. Rozłożył go.

„Dave Rebb pracował w Boorindi Downs przez trzy lata. Sumienny, nie ma z nim żadnych kłopotów, zna się na silnikach i mechanice. Także na bydło. Zatrudniłbym go znowu w każdej chwili”.

Świadcstwo podpisał Colin Blandy, zarządca, 11 sierpnia 1996. Był tam też numer telefonu.

– Gdzie to jest?- zapytał Cashin.

– Queensland. Niedaleko Winton.

– I to jest twój dokument tożsamości? Sprzed dziesięciu lat?

– Tak.

Cashin wyjął notes, zapisał nazwisko, nazwę miejscowości, numer telefonu i włożył papier z powrotem do płaszcza.

– Przestraszyłeś tę panią – powiedział. – To niedobrze.

– Nie było śladu życia, kiedy tu przyszedłem. Pies nie szczekał.

– Miałeś kiedyś kłopoty z policją, Dave?

– Nie. Nigdy.

– To może być morderca – odezwała się zza pleców Cashina pani Haig. – Niebezpieczny typ.

– Pani Haig, jestem policjantem i sam sobie poradzę. Dave, podwożę cię do głównej szosy. Jeśli tu jeszcze kiedyś wrócisz, będziesz miał poważne kłopoty. Rozumiesz?

– Tak.

Cashin zrobił dwa kroki i oddał mężczyźnie płaszcz.

– Chodźmy – powiedział.

– Aresztujcie go! – wrzasnęła pani Haig.

W samochodzie Dave Rebb wyciągnął ręce do pudli: był człowiekiem, który wiele wiedział o psach. Na skrzyżowaniu dróg Cashin zatrzymał wóz.

– W którą stronę chcesz iść?

Rebb zastanawiał się przez chwilę.

– Cromarty.

– Podrzucę cię do Port Monro – zdecydował Cashin. Skręcił w lewo. Przy wjeździe do

miasta przystanął. Wsiedli obaj, Cashin otworzył bagażnik i wyjął tobolek mężczyzny. – Uważaj, jak będziesz wędrował. Potrzebujesz może dolca albo dwa?

– Nie – odparł Rebb. – Potraktowałeś mnie jak człowieka. Nieczęsto się to zdarza.

Zanim zawrócił, Cashin przyglądał się przez chwilę, jak Rebb odchodzi; tobolek na jego plecach wystawał po bokach. W porannej mgle wyglądał jak maszerujący krzyż o krótkich ramionach.

Żadnych dramatów? – zapytała Kendall Rogers.

– To tylko włóczęga – powiedział Cashin. – Pracujesz teraz za darmo?

– Obudziłam się wcześniej. Poza tym tu jest cieplej. – Coś przesuwiała na biurku recepcyjnym.

Cashin usiadł za swoim biurkiem i zaczął pisać raport.

– Złożę podanie o przeniesienie – oznajmiła Kendall.

– Mogę bardziej dbać o higienę osobistą – zażartował Cashin. – Poprawię się.

– Nie potrzebuję ochrony. Nie jestem nowicjuską.

Cashin spojrzał na nią. Spodziewał się tego.

– Nie ochraniam cię przed niczym. Nie ochraniałbym nikogo. Dla mnie możesz umrzeć w każdej chwili.

Milczenie.

– No dobrze – odezwała się znów Kendall. – Pewne rzeczy trzeba uzgodnić. Na przykład kontrola pubów. Wracasz o dziesiątej wieczorem.

– Mnie te zwierzaki z Caine nie tkną. Nie mam ochoty wyjaśniać podczas jakiegoś dochodzenia, dlaczego pozwoliłem ci się tym zajmować.

– Dlaczego niby miałiby cię nie tknąć?

– Bo moi kuzyni by ich zabili. A potem postąpiliby z nimi bardzo paskudnie. Czy to zadowolająca odpowiedź, wysoki sędzie? – Pochylił się znowu nad raportem, ale wyczuł jej wzrok na sobie. – Co znowu? – O co chodzi?

– Idę do Cindy. Szynka i jajko?

– Mam pozwolić, byś stanęła naprzeciwko tej wścieklej suki? W piątek rano? Ja pójdę.

Kendall się roześmiała, napięcie trochę zelzało.

Kiedy już była w drzwiach, Cashin powiedział:

– Ken, trochę więcej musztardy tym razem, dobra? Starczy ci odwagi, żeby ją o to

poprosić?

Podszedł do okna i przyglądał się, jak szła ulicą. Kiedyś była gimnastyczką. W wieku szesnastu lat została reprezentantką stanu, zdobyła swój pierwszy złoty medal. Patrząc teraz, jak się porusza, trudno by się było tego domyślić. Pewnego dnia, po pracy, poszła do nocnego klubu w mieście z przyjacielem, fotografem. Rozpoznał ją tam pewien wyrostek, którego aresztowała kilka miesięcy wcześniej, praktykant u mechanika samochodowego, weekendowy balangowicz i rugbista. Wyszedł za nimi, ciężko pobił przyjaciela Kendall i zamknął go w bagażniku jego własnego samochodu. Fotografowi cudem udało się przeżyć.

Ją zabrał gdzieś i potraktował jak lalkę z sex-shopu. O świecie została znaleziona przez mężczyznę spacerującego z psem. Miała złamaną miednicę, złamane ramię, sześć połamanych żeber, przebite płuco, uszkodzoną śledzionę i trzustkę, zgnieciony nos, wgiętą jedną kość policzkową, wybitych pięć zębów, zwichnięte ramię, poważne stłuczenia na całym ciele.

Cashin wrócił do papierkowej roboty. Można było dać sobie radę bez dowodu tożsamości, ale Rebb był kiedyś zatrudniony, mógł istnieć dokument podatkowy. Cashin wybrał numer Boorindi Downs. Przez chwilę nikt nie odbierał telefonu.

– Słucham?

– Policja stanu Viktoria, detektyw Cashin, Port Monro. Potrzebna mi informacja o kimś, kto pracował w Boorindi Downs.

– Tak?

– Dave Rebb.

– Kiedy to było?

– Od 1994 do 1996.

– Nie, kolego, nie ma nikogo takiego z tego okresu. Właściciel zrobił generalne porządki.

– A co wiadomo o Colinie Blandym?

– Ach, tak. Znałem go kiedyś. Wyjechał do Queensland. Dostał kulkę od Greków. Nie żyje.

– Dzięki.

Cashin pomyślał, że popełnił błąd, powinien wziąć odciski palców Rebb. Współczucie wzięło górę.

To może być morderca, powiedziała pani Haig.

Cashin zadzwonił do Cromarty, poprosił o połączenie ze znajomym facetem z dochodzeniówki.

– Masz przecucie, tak? – skwitował Dewes. – Powiem, żeby szukali gościa.

Cashin usiadł, oparł ręce na blacie biurka. Już straszyl Rebbę, że weźmie odciski palców, groził mu długim pobytem w celi.

– Kanapka – oznajmiła Kendall. – Dodatkowa porcja musztardy. Nałożyła ją łąpatką.

Zmiana minęła normalnie. Na koniec przyszła wiadomość, że pierwsze przeszukanie zakończyło się fiaskiem. Nie znaleziono Davida Rebbę w żadnej z państwowych baz danych. To jednak o niczym nie świadczyło. Cashin znał przypadki, gdy po dokonaniu takich przeszukań nie udawało się odnaleźć ludzi, którzy mieli na koncie całą serię wyroków. Odbił kartę zegarową, pojechał na autostradę, skręcił w stronę Cromarty.

Rebb przeszedł już dwadzieścia trzy kilometry. Cashin zatrzymał się w znacznej odległości przed nim i wysiadł z samochodu.

Ruszył w kierunku Rebbę. Mężczyzna, który szedł naprzód swobodnym krokiem, zatrzymał się; zgarbiony przypominał przechylony krzyż.

– Dave, muszę wziąć twoje odciski palców – oznajmił Cashin.

– Nic nie zrobiłem.

– Nie mogę ci wierzyć na słowo. Nikomu nie wierzę na słowo. Muszę cię oskarżyć o wkroczenie na teren prywatny.

Rebb milczał przez chwilę, potem powiedział cicho:

– Niech mnie pan nie zamyka. Nie mogę siedzieć w celi.

Cashin usłyszał lęk w głosie mężczyzny. Kiedyś nie bardzo by się tym przejął. Zawahał się.

– Posłuchaj, miałbyś ochotę popracować? Interesuje cię robota przy krowach. Znasz się na tym?

Rebb skinął głową.

– Robiłem to kiedyś, dawno temu.

– To chcesz popracować?

– No... czekam na propozycję.

– A robota w ogrodzie, trochę pracy przy budowie?

– Czemu nie.

– Więc dobrze, jest tu robota. Przy krowach mojego sąsiada. Ja porządkuję stary dom, mógłbym go trochę wyremontować. Pracowałeś kiedyś dla gliniarza?

– Pracowałem dla różnych sukinsynów.

– Dziękuję. Dziś możesz spać u mnie. Jest tam szopa z pryzami i prysznic. Od jutra weźmiemy się do roboty.

Wsiedli do samochodu, tobolek Rebb'a wylądował z tyłu.

– Tak zdobywacie tutaj pracowników? – zagadnął Rebb. – Gliniarze ich werbują?

– Wykonujemy różne zadania.

– A co z odciskami palców?

– Wierzę ci na słowo, że jesteś czysty. To głupie, nie?

Rebb spoglądał za okno samochodu.

– Zaoszczędziłeś pieniądze podatników – powiedział.

Cashin obudził się w ciemnościach, miał jeszcze przed oczami Shane'a Diaba, słyszał dźwięki, jakie on wydawał, umierając.

Przez chwilę wsłuchiwał się w swoje bóle, badał kręgosłup, biodra, uda – wszystko mu dokuczalo. Odepchnął od siebie przyjemnie ciepłe brzemie pościeli, wsunął stopy w czekające przy łóżku lodowate buty i wyszedł z pokoju. Ruszył przez korytarz i smutną salę balową Tommy'ego Cashina do holu, a stamtąd głównymi drzwiami na dwór. Nie było tu wcale chłodniej niż w domu, silny wiatr od oceanu rozwiął mgłę.

Cashin wysikał się z werandy na chwasty. Nie widział w tym nigdy problemu. Potem wrócił do domu, przeciągnął się kilka razy, umył twarz, przepłukał usta, włożył skarpety, nieprzemakalne spodnie i buty.

Psy przy bocznych drzwiach wydawały gardłowe odgłosy zniecierpliwienia. Wpuścił je i wielkie stworzenia zaczęły posapywać wokół niego, machając ogonami.

Poczuł pragnienie. Na widok oszronionych butelek naszała go ochota na piwo. Wyjął dwulitrową butelkę soku: osiem rodzajów owoców – tylko kretyn by w to uwierzył.

Ujął plastikową butelkę w obie dłonie, pociągnął długi łyk objętości co najmniej wysokiej szklanki. Zdjął z haczyka za drzwiami płaszcz impregnowany farbą olejną, zabrał broń. Kiedy otworzył drzwi na werandę, psy przepchnęły się obok niego, w kilku susach zbiegły po schodach, pomknęły do tylnej bramy. Patrzyły, jak Cashin, idąc, naciąga płaszcz na ramiona, i potraçały się wzajemnie. Gdy otworzył bramę, pobiegły wzdłuż ścieżki jeden tuż przy drugim, wypadły na otwartą przestrzeń i pognały w stronę drzew. Przeskakiwały nad wielkimi kępami trawy przesadnie wysokimi susami; uszy im powiewały.

Cashin otworzył małą dwulufową strzelbę, pomacał boczną kieszeń i znalazł kulę kaliber 22 i pocisk 410; załadował broń. Często miewał okazję, by strzelić do zająca. Patrzył przez celownik na piękne szarobure stworzenie. Nigdy nawet nie pomyślał o tym, żeby

nacisnąć spust, kochał zające, ich inteligencję, swawolę. Czasami strzelał do biegnących królików. To było tylko ćwiczenie jak próba w wesołym miasteczku, wyzwanie. Zawsze chybiał – reagował zbyt wolno, stożek ołowianej kulki w naboju 410 był za mały, za szybko się topił i stawał zupełnie nieskuteczny.

Teraz Cashin kroczył naprzód ze swoją niedużą bronią na ramieniu, patrząc na ciemne drzewa w głębi. Czekał, aż psy dobiegną do nich i spowodują, że ptaki wzbiją się w niebo jak smugowe pociski.

Ostatnie susy i psy znalazły się wśród drzew – ptaki, czarne odłamki zerwały się z wrzaskiem.

Przeszedł przez wzgórze i ruszył w dół zboczem, psy przed nim, z głowami przy ziemi; ich szybkie nogi tratowały liścianą mierzwę. Gdy dotarły na płaski teren, ze skraju polany poderwał się zajac. Cashin przyglądał się, jak zwierzęta przecinają otwartą przestrzeń; zajac przyspieszał, gdy wyczuwał, że psy są blisko, umiejętnie robił zwody. Wydawało się, że ciągnie czarne psy za sobą na sznurku. Cała trójka zniknęła wśród drzew nad strumieniem.

Cashin przeszedł przez łąkę. Na oko teren wydawał się równy, ale krocząc po suchej, wysokiej trawie, czuło się pod nogami szerokie bruzdy, które wyrzeźbił pług. W miejscu gdzie teraz była polana, kiedyś rozciągało się pole uprawne, ale tego już nie pamiętał nikt z żyjących. Cashin w żaden sposób nie mógł się dowiedzieć, czy jego przodek Tommy Cashin zbierał tu plony.

By dostać się do strumienia, trzeba było się przedzierać przez topole i wierzby, które niekontrolowanie rozrastały się od co najmniej trzydziestu lat. Gdy Cashin dotarł do koryta strugi płynącej między rozlewiskami, pojawiły się zasapane psy. Wbiegły prosto do wody, znalazły najgłębsze miejsce, napiły się, pochodziły przez chwilę dookoła, znowu się napiły, zaczęły brodzić tu i tam. Woda lekko wirowała wokół ich chudych, mocnych nóg. Łykały ją łapczywie; gdy podnosiły głowy, z ich bród kapały krople. Pudle lubiły kałuże, nie przepadały za głębszymi zbiorowiskami wody, za morzem. Były typowymi psami brodzącymi.

Kiedy znalazły się po drugiej stronie strumyka, zaczęły zataczać łuk w stronę zachodu wokół wzgórza po jego łagodnym zboczu. W płowej trawie Cashin spostrzegł uszy dwóch zajęcy. Gwizdnął na psy i wskazał im ręką kierunek. Ruszyły w tę stronę, zrobiły stójkę. Wystraszone zające rzuciły się do ucieczki i biegnęły razem przez dziesięć albo piętnaście metrów, psy popędziły za nimi. Zwierzęta utworzyły uporządkowaną czwórkową grupę. Nagle zajac biegnący po lewej stronie oddzielił się, pognał zboczem w dół. Pies podążający po tej samej stronie odłączył się wraz z szarakiem. Drugi pies nie mógł tego znieść, zmienił

krok, skręcił gwałtownie w lewo, by dołączyć do pościgu swego towarzysza. Wpadły między drzewa nad strumieniem.

Po chwili oba pudle zawróciły, z dala widać było wywieszane różowe języki, znowu pędziły przed siebie.

– Cashin poczuł na sobie czyjś wzrok. Psy także wyczuły obecność człowieka, rozejrzały się, skręciły w lewo i pobiegły w jego stronę. Mężczyzna ruszył naprzód. Rozległo się głośne, radosne szczekanie. Gdy wyszedł zza drzew, psy krążyły wokół niego, podskakując wysoko. Cashin w ogóle się tym nie przejmował. Zobaczył, że mężczyzna wyciągnął do nich ręce, psy próbowały je lizać, szczęśliwe i zachwycone, że spotkały przyjaciela. Cashin zmienił kierunek marszu, by przywitać się z Denem Millane'em, który, choć tuż przed osiemdziesiątką, wyglądał, jakby miał pięćdziesiąt lat. Można było przypuszczać, że umrze z gęstą czupryną koloru lufy karabinu.

Uścisnęli sobie dłonie. Zawsze się tak witali, jeśli to nie było przelotne spotkanie.

– Wciąż nie ma przyzwoitego deszczu – odezwał się Cashin.

– Tak, popieprzona pogoda – odparł Millane. – Zaczynam wierzyć w to gówniane gadanie na temat efektu cieplarnianego. – Poglaskał łby psów. – Ja chromołą, nigdy bym nie pomyślał, że polubię jakieś cholerne pudle. Widziałeś te kobiety w domu Corrigan?

– Nie.

Tereny każdego z nich graniczyły z posiadłością Corrigan. Po śmierci męża pani Corrigan wyjechała do Queensland. Od tamtej pory w małym domku z czerwonej cegły nikt nie mieszkał. Wiatry i deszcze pozbawiły farby jego drewniane elementy, kit w oknach powysychał, szyby powypadały. Budynek gospodarcze rozpadały się i stały pochylone nad gnijącymi fragmentami porośniętymi trawą. Cashin pamiętał, że gdy przyjechał na weekend pewnego gorącego lata, na początku lat dziewięćdziesiątych, jeszcze wtedy był z Vickie – oderwał się wielki kawałek dachu. Poprosił Dena Millane'a, żeby się skontaktował z panią Corrigan, i dach został naprawiony. Dachy decydowały o tym, czy puste domy obrócą się w ruinę.

– Przywiózł je Elders – powiedział Den, nie podnosząc wzroku. – Z niego też jest tłusty piździelec. Teraz trzy dziewczyny chodzą dokoła, łążą wzdłuż starego ogrodzenia. Pieprzona kolonia lesbijek rozwija się, bracie.

– Rozpoznałeś lesbijki? Za twoich czasów już były?

Millane splunął.

– Były, były, a jakże. Kiedyś na ulicę trafiały inteligentne dziewczyny, a z ich usług korzystali faceci, którzy nie umieli przeczytać nawet komiksu. Powiem ci, gdybym był

dziewczyną i miał do czynienia z takimi gośćmi, sam zostałbym lesbą. W każdym razie, chodzi mi o to... czy ty kiedykolwiek spojrzales na swój tytuł własności?

Cashin zaprzeczył.

– Strumień nie jest granicą.

– Nie jest?

– Twoja granica biegnie po drugiej stronie, ze dwadzieścia, trzydzieści metrów za strumieniem. – Millane przesunął koniuszkiem kciuka po dolnej wardze. – Zgłoś to, inaczej stracisz ten pieprzony strumyk, stary. Ogrodź zakole albo się pożegnaj z tym wszystkim.

– No cóż, trzeba być wariatem, żeby kupić to miejsce. Dom wymaga generalnego remontu, cała ziemia leży na pochyłości.

Millane pokręcił głową.

– Wiesz, ile teraz płacą za ziemię? Co drugi kretyn chce mieszkać na wsi, jeżdżą po całym kraju, rozpieprzają drogi, narzekają na krowie gównno i środki chemiczne.

– Nie mam czasu czytać o handlu nieruchomościami – przyznał Cashin. – Za bardzo jestem zajęty jako stróż prawa. Ciągłe jeszcze potrzebujesz kogoś, żeby prowadził krowy do Coghlands?

– Tak. Kolano mi nawala coraz bardziej.

– Znalazłem ci pomocnika.

– Jest też trochę innej roboty... na trzy dni. Ale nie mam miejsca, żeby kogoś zakwaterować.

– Przywiozę go.

Den przyglądał się, jak psy obwąchują kępę jeżyn.

– No więc, kiedy znów zostawisz u mnie te dziwolągi?

– Nie śmiałem cię o to prosić – powiedział Cashin. – Są trochę niesforne.

– Poradzę sobie z pieprzonymi bestiami. Przyrowadź je. Wyglądają na zabiedzone, dam im porządne żarcie z królika.

Pożegnali się. Kiedy Cashin odszedł już z pięćdziesiąt metrów, Den krzyknął:

– Pilnuj tego, co twoje, cholera! Słyszysz?

Wezwanie dotarło o ósmej dziesiąt, przekazane z Cromarty. Cashin był akurat na skrzyżowaniu z szosą do Port Monro. Kiedy jechał autostradą wzdłuż wybrzeża, zobaczył

karetkę. Zwolnił, żeby mogła dotrzeć pierwsza do bocznej drogi, pojechał za nią zakolami na wzniesienie, potem przez bramy Wzgórz i zaparkował na podjeździe.

Na żwirze, w sporej odległości od okazałego domu stała jakaś kobieta; paliła papierosa. Wyrzuciła niedopałek i poprowadziła ekipę z karetki schodami do środka budynku. Cashin poszedł za nimi poprzez hol do wielkiego pokoju z wysokim sufitem. W powietrzu unosił się słaby, kwaśny zapach.

Przed masywnym kominkiem leżał na brzuchu stary mężczyzna, z głową na kamiennym palenisku. Miał na sobie tylko spodnie od piżamy, chude nagie plecy pokrywała zaschnięta krew, przez którą można było dostrzec ciemne, poziome linie. Kałuże krwi widniały na kamieniach i wsiąkały w dywan. W świetle płynącym przez wysokie odsłonięte okna krew wydawała się czarna.

Ludzie z karetki podeszli do mężczyzny i uklękli. Kobieta delikatnie dłońmi w rękawiczkach uniosła głowę chorego.

– Duża, otwarta rana, możliwa przepuklina mózgu – powiedziała do swojego kolegi i do przypiętego mikrofonu. – Sprawdziła oddech mężczyzny, jedno oko, uniosła bezwładne przedramię. – Podejrzewam przepuklinę – ciągnęła. – Podajemy cztery jednostki soli fizjologicznej; stuprocentowa hiperwentylacja, wskazane zaintubowanie; sto miligramów lidokainy.

Jej partner ustawił butlę i podłączył tlen. Cashin nie mógł się zorientować, co się dzieje.

Po chwili lekarka oznajmiła:

– Trzy w skali śpiączki. Helikopter, Dave.

Mężczyzna wyjął telefon komórkowy.

– Drzwi były otwarte – powiedziała kobieta, która czekała na schodach. Stała za Cashinem. – Weszłam do środka, zrobiłam tylko jeden krok i cofnęłam się; myślałam, że on nie żyje. Chciałam uciekać, wsiąść do samochodu i zniknąć stąd jak najprędzej. Potem pomyślałam: cholera, może jeszcze żyje, więc wróciłam i zobaczyłam, że oddycha.

Cashin rozejrzał się po pokoju. Chodnik w lewym rogu, przed drzwiami, rozłożony na wyfroterowanych deskach, był pomięty.

– Co jest za tymi drzwiami? – Wskazał je palcem.

– Przejdźcie do południowego skrzydła.

Zachodnią ścianę zdominował wielki obraz, przedstawiający mroczny pejzaż widziany z góry. U spodu był przecięty, zwisał w tym miejscu płat płótna.

– Musiał wcześniej położyć się do łóżka, nie zużył nawet połowy drewna, które

przyniósł chłopiec Starkeya.

– Zauważyła pani coś jeszcze?

– Na stole obok skózanego krzesła nie ma jego zegarka. Zawsze tu leży przy szklaneczce na whisky. Wieczorem pan Bourgoyne wypijał kilka porcji whisky.

– Zdejmował zegarek?

– Tak, każdej nocy zostawiał go na stole.

– Przejdźmy może gdzie indziej, żeby tu nie przeszkadzać – zaproponował Cashin.

Poszedł za kobietą przez hol z marmurową podłogą do pasażu biegnącego dokoła żwirowanego podwórza. Weszli do kuchni tak dużej, jak w hotelu.

– Co pani zrobiła po przyśściu tutaj? – zapytał Cashin.

– Postawiłam tylko swoją torbę i przeszłam dalej. Jak codziennie.

– Będę musiał rzucić okiem na tę torbę. Pani się nazywa...?

– Carol Gehring.

Miała czterdzieści kilka lat, była ładną blondynką. Cashin zauważył zmarszczki wokół jej ust. W okolicy mieszkało wielu Gehringów.

Przyniosła dużą, żółtą płócienną torbę, która leżała na stole w drugim końcu kuchni.

– Chce ją pan dokładnie przeszukać?

– Nie.

Wysypała na stół zawartość torby; portmonetka, dwa komplety kluczy, futerał na okulary, kosmetyki, chusteczki higieniczne i kilka innych drobiazgów.

– Dzięki – powiedział Cashin. – Dotykała pani czegoś tutaj?

– Nie. Postawiłam tylko torbę, poszłam do salonu, żeby przynieść szklaneczkę do whisky. Potem zadzwoniłam.

Wyszli na zewnątrz. Odezwał się telefon komórkowy Cashina.

– Hopgood. Co się dzieje?

Hopgood był szefem oddziału dochodzeniowo-śledczego w Cromarty.

– Pobito Charlesa Bourgoyne'a – poinformował Cashin. – Ciężko pobito. Medycy się nim zajęli.

– Będę tam za kilka minut. Nikt niczego nie dotyka, nikt się stamtąd nie oddala. Jasne?

– O rany! – rzucił Cashin. – Właśnie zamierzałem odesłać wszystkich do domu i ładnie posprzątać dla facetów z sądówki.

– Nie bądź taki mądry! To nie żarty.

Carol Gehring siedziała na drugim z czterech szerokich kamiennych stopni prowadzących do głównych drzwi. Cashin wziął notatnik i usiadł obok kobiety. Za

wyżwirowanym terenem i żywopłotem z bukszpanu rząd sosen kołysał się na wietrze; gałęzie wyginały się zgodnie jak zespół rewiowy przysadzistych tancerek. Setki razy przejeżdżał obok tego domu i nigdy nie widział nic więcej oprócz wysokich, bogato zdobionych kominów i fragmentów dachu pokrytego czerwoną holenderską dachówką. Mosięzna tabliczka na słupie bramy głosiła: „Wzgórza”, ale okoliczni mieszkańcy mówili: „Rezydencja Bourgoyne’a”.

– Joe Cashin – przedstawił się. – Jest pani może krewną Barry’ego Gehringa?

– To mój kuzyn.

Cashin przypomniał sobie walkę, jaką stoczył z Barrym Gehrigiem w podstawówce. Miał wtedy osiem albo dziewięć lat. Wtedy Barry wygrał pojedynek, ale później Joe mu się zrewanżował. Usiadł Barry’emu na ramionach i zanurzył jego bladą twarz w błocie szkolnego dziedzińca.

– Co u niego?

– Nie żyje – odpowiedziała. – Spadł z ciężarówką z mostu w pobliżu Benalla. Na estakadzie.

– Przykro mi. Nie słyszałem.

– Był beznadziejnym typem, zawsze nafaszerowany narkotykami. Żał mi tych ludzi jadących samochodem, na który się zważył, zmiażdżył wszystkich.

Wyjęła papierosy, poczęstowała Cashina. Poczuli chęć, żeby zapalić.

– Nie, dziękuję – rzekł. – Od dawna tu pani pracuje?

– Dwadzieścia sześć lat. Nie mogę w to uwierzyć. Miałam siedemnaście lat, gdy zaczęłam.

– Domyśla się pani, co tu się stało?

– Nie. Nie w ogóle.

– Kto mógłby go napaść?

– Już powiedziałam, zupełnie nie wiem. Pan B. nie ma wrogów.

– Ile ma lat?

– Chyba siedemdziesiąt pięć.

– Kto tutaj mieszka? Oprócz niego.

– Nikt. Pasierbica była tu dwa dni temu. Nie pojawiała się przez długi czas. Od lat.

– Imię?

– Erica.

– Jak można się z nią skontaktować?

– Nie mam pojęcia. Niech pan zapyta panią Addison z Port Monro. To prawniczka.

Zajmuje się interesami pana Bourgoyne'a.

– Czy ktoś jeszcze tutaj pracuje?

– Bruce Starkey.

Cashin znał to nazwisko.

– Ten futbolista?

– Tak. Dogląda wszystkiego na zewnątrz domu. – Carol Gehrig machnęła ręką w stronę zgrabionego żwiru, przyciętych żywopłotów. – Właściwie teraz robi to jego syn Tay. Mały jest trochę ograniczony, nigdy nie powie ani słowa. Bruce przeważnie siedzi na tyłku i kurzy papierosy. Przychodzą w poniedziałki, środy i piątki. A kiedy on wozi autem pana B., Sue Dance robi lunch i obiad. Przyjeżdża tu około dwunastej, gotuje i zostawia jedzenie do odgrzania. Tony Crosby też mógłby otrzymywać pensję w rezydencji; zawsze jest coś nie tak z instalacją wodno-kanalizacyjną.

Lekarz wyszedł na dwór.

– Leci już helikopter – powiedział. – Gdzie jest najlepsze miejsce do lądowania?

– Padok za stajniami – odparła Carol. – Z tyłu domu.

– Jaki jest jego stan? – zapytał Cashin.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie umrze – oznajmił i wrócił do domu.

– Zegarek Bourgoyne'a – zagadnął Cashin. – Wie pani, jakiej był marki?

– Breitling. Elegancki. Miał pasek z krokodylej skóry.

– Może pani przeliterować nazwę?

– B-R-E-I-T-L-I-N-G.

Cashin poszedł do radiowozu, połączył się z Hopgoodem.

– Zabierają go do Melbourne. Może będziesz chciał pogadać sobie z Bruce'em Starkeyem i jego chłopakiem?

– O czym?

– Obaj pracują tutaj w niepełnym wymiarze godzin.

– Więc?

– Pomyślałem, że warto zwrócić ci na to uwagę. Aha, i prawdopodobnie został skradziony zegarek Bourgoyne'a.

Powtórzył Hopgoodowi, to co usłyszał od Carol.

– Okej. Za chwilę się zjawię. Jadą trzy samochody. Sądówka nie może wysłać helikoptera przed wpół do jedenastej.

– Trzeba zawiadomić jego pasierbicę – stwierdził Cashin. – Była tutaj dwa dni temu.

Jej adres prawdopodobnie zdobędziesz od Cecily Addison w Port Monro; firma Woodward, Addison & Cameron.

– Znam Cecily Addison.

– Oczywiście.

Cashin wrócił do Carol.

– Jedzie tu kupa gliniarzy. Zapowiada się ciężki poranek.

– Płacą mi za cztery godziny dziennie.

– Tyle czasu powinno wystarczyć. Jaki on był?

– W porządku. Dobry szef. Wiedziała, czego chciał, wykonywała swoje obowiązki. Premia świąteczna na Boże Narodzenie. Miesięczna pensja.

– Żadnych problemów?

Carol spojrzała na Cashina, miała żółte plamki na brązowych tęczęwkach.

– Utrzymuję dom w idealnym porządku – oznajmiła. – Nie przydarzają się żadne problemy.

– Nie miałyby pani powodów, żeby go zabić, zgadza się?

Zaśmiała się dziwnie.

– Ja? To tak, jakbym sama chciała pozbawić się pracy. Mam wciąż dwoje dzieci na utrzymaniu, panie kolego. Tu w okolicy nie znajdę innej roboty.

Siedzieli na schodach w spokojnym miejscu, był wczesny zimowy poranek, wokół panowała cisza, tylko odgłosy ptaków, samochodów na szosie i szorstkie dźwięki traktora jadącego gdzieś daleko.

– Jezu – jęknęła Carol. – Tak jestem wytrącona z równowagi, że nie pomyślałam o tym wcześniej... Mogłam zrobić nam kawę.

Cashin poczuł ochotę na kawę, ale oparł się pokusie.

– Lepiej nie – uznał. – Nie może pani niczego dotykać. Ochrzaniliby mnie tak, że w pięty by mi wlaźło. Ale wziąłbym od pani papierosa.

Palenie to słabość. Życie było słabością, siła – czymś wyjątkowym. Pasma ich dymu zawisały w powietrzu, złotawe tam, gdzie chwytały promienie słońca.

Ryk syren. Idioci, pomyślał Cashin. Nadjeżdżali z włączonymi kogutami.

– Policjanci z Cromarty przyjmą pełne zeznania – powiedział. – Będą kierować śledztwem. Ale proszę do mnie zadzwonić, jeśli cokolwiek się pani przypomni w tej sprawie, dobrze?

– Oczywiście.

– Jeśli on przeżyje, to dzięki temu, że pani przyjechała do pracy na czas.

Carol milczała przez chwilę.

– Czy nadal będę dostawała pensję?

– Dopóki sprawy nie zostaną uporządkowane, na pewno.

Nasłuchiwali dźwięku syren. Radiowozy wspinały się na wzgórze, potem skrzyły na podjazd. Wycie rozbrzmiewało coraz głośniejsze: trzy wozy patrolowe jadące jeden za drugim, zbyt blisko siebie, wjechały na podjazd i zahamowały, rozpryskując żwir.

Z pierwszego samochodu od strony pasażera wysiadł mężczyzna w średnim wieku. Był wysoki, ciemne włosy miał zaczesane do tyłu. Starszy oficer wydziału dochodzeniowo-śledczego Rick Hopgood. Cashin spotkał się z nim już dwukrotnie. Za każdym razem nastąpiła uprzejma wymiana zdań. Hopgood ruszył w ich kierunku. Cashin wstał.

Warkot nadlatującego od wschodu helikoptera.

– Koniec zmiany – oznajmił Hopgood. – Możesz wracać do Port.

Niedające się racjonalnie uzasadnić gorąco pod powiekami. Cashin miał ochotę trzasnąć faceta. Nie powiedział nic, odszukał wzrokiem helikopter, obszedł dom, dotarł do odległego żywopłotu i patrzył, jak maszyna siada na twardej powierzchni padoku – to była sucha jesień suchego roku. Miejscowy medyk czekał. Wysiadło trzech mężczyzn, wynieśli nosze. Okrążyli stajnię i weszli do domu przez boczne drzwi.

– Obraziłeś się?

Stał za nim Hopgood.

– O co?

– Nie chciałem być szorstki.

Cashin spojrzał na niego. Hopgood uśmiechnął się, miał żółknące zęby, duże kły.

– Wcale się nie obraziłem – odparł Cashin.

– Świetnie! – zawołał Hopgood. – Wykorzystasz swoje doświadczenie, jeśli zajdzie taka potrzeba?

– Policja jest jedna – mruknął Cashin.

– Słuszna postawa – pochwalił go Hopgood. – Będziemy w kontakcie.

Medycy wynieśli na noszach Bourgoyne'a otoczonego rurkami. Nie spieszyli się zbyt. To co można było zrobić, zostało zrobione. Kiedy nosze znalazły się w helikopterze, miejscowa pielęgniarka powiedziała kilka słów do jednego z członków zespołu, który przyleciał z miasta, pewnie lekarza – obaj zachowywali spokój, niemal obojętność.

Lekarz wsiadł do śmigłowca. Maszyna uniosła się w powietrze, skrzyła w kierunku metropolii, błysnęła światłami.

Cashin pożegnał się z Carol Gehrig i odjechał krętą aleją wysadzaną włoskimi

topolami.

Złapaliście go już?

– O ile wiem, jeszcze nie, pani Addison – odparł Cashin. – Skąd się pani dowiedziała?

– Z radia, mój drogi. Co się dzieje z tym krajem? Człowiek napadnięty we własnym łóżku w spokojnej wiejskiej okolicy. Dawniej to się nigdy nie zdarzało.

Cecily Addison siedziała przed kominkiem w swoim biurze w pozycji, jaką zwykła przyjmować po lunchu. Lewą ręką wymachiwała papierosem, prawą dotykała długiego nosa i zaczesanych do tyłu siwych włosów. Cecily została przeniesiona przez swoją firmę w Cromarty do Port Monro. Przyjeżdżała do pracy o wpół do dziesiątej, czytała gazetę, wypijała pierwszą z wielu filiżanek herbaty, spotykała się z kilkoma klientami najczęściej w sprawach dotyczących testamentów, zwracała wszystkim głowę, wychodziła do domu na lunch i kieliszek wina.

Wracając do biura, wpadała do każdego, kto nie był na tyle szybki, by w porę zniknąć.

– Niech pan siada. Zupełnie nie rozumiem, dokąd ten świat zmierza. Czytał pan dzisiejszą gazetę? – Wskazała swoje biurko.

Cashin sięgnął po „Cromarty Herald”. Nagłówek na pierwszej stronie głosił:

„Narasta gniew przeciwko fali przestępstw. Społeczność lokalna domaga się wprowadzenia godziny policyjnej”.

– Godzina policyjna. No, nie. Nie chcemy iść tą drogą. Nie możemy mieć straży sąsiedzkiej dyktującej warunki. Starych durni, którzy nie mają nic lepszego do roboty niż wsadzać nos w cudze sprawy. Cholernych nazistów z sąsiedztwa.

Cashin przeczytał artykuł. Akt przemocy na publicznym spotkaniu. Postulat godziny policyjnej dla nastolatków. Plaga włamań i kradzieży samochodów. Pięć poważnych napadów rabunkowych z bronią w ręku w ciągu dwóch miesięcy. Gwałtowny wzrost liczby napadów w ogóle. Rozbite okna wystawowe w pasażu handlowym Whalers. Pora na podjęcie zdecydowanych działań.

– Skierowane przeciwko Aborygenom – powiedziała Cecily. – Zawsze tak jest. Powtarza się to co kilka lat. Można by pomyśleć, że cała biała biedota w sobotni wieczór była na próbie chóru. Mówię panu, przez czterdzieści cztery lata w sądach w Cromarty widziałam więcej Aborygenów obwinionych o przestępstwa, których nie popełnili, niż zjadłam gorących obiadów.

– Nie przez policję, oczywiście? – zauważył Cashin.

Cecil zaśmiała się tak, że dostała ataku kaszlu. Cashin czekał, aż jej minie.

– No nie. – Wzięła od niego gazetę. – Przez całe życie głosowałam na liberałów. Ale odkąd ten szmatławiec zmienił właściciela, najwyraźniej chodzi im tylko o to, by liberałowie znowu rządili w Cromarty. A to oznacza, że będzie się pakowało do więzienia tylu czarnych, ilu się da.

– Interesujące – skwitował Cashin. – Chciałem panią zapytać o Charlesa Bourgoyne’a. Rozumiem, że pani płaci jego rachunki.

Cecily nie zamierzała zmieniać tematu.

– Nigdy bym nie pomyślała, że powiem coś takiego – podjęła. – Dobrze, że nie słyszy tego mój ojciec. Wie pan, że Bob Menzies, kiedy opuścił Canberę, nie miał gdzie mieszkać?

– Nie, nie wiedziałem. Trochę mi się spieszy.

Kłamstwo. Cashin znał trudną sytuację byłego premiera, ponieważ Cecily opowiadała mu tę historię raz lub dwa razy każdego miesiąca.

– Bob Menzies płacił za własne telefony. Siedział do późna w Lodge w Canberze i gdy dzwonił do swojej starej matki, wkładał monetę do małej skarbonki. Kiedy skarbonka była już pełna, oddawał ją do Ministerstwa Finansów. Zawartość szła do ogólnych dochodów państwa. Znajdzie pan dzisiaj polityka, który robiłby coś takiego? Bardziej prawdopodobne, że brałby stamtąd monety. Mówiłam panu, że chciano, bym kandydowała do parlamentu? Podziękowałam. Już mi płacą za to, że jestem związana z oszustami.

– Charles Bourgoyne – przypomniał Cashin. – Przyszedłem w jego sprawie. Pani reguluje jego rachunki.

Cecily zamrugła.

– Istotnie. Znam Charlesa od bardzo dawna. Firma Dick i Charles, Bourgoyne i Cromie to nasi klienci, wykonujemy ich zlecenia.

– Bourgoyne i Cromie to dla mnie dawne dzieje. Kto to jest Dick?

– Dziadek Charlesa. Był playboyem, ale prowadził firmę jak lokalny sklepik, potrafił się spierać o kilka funciaków. Nie dlatego, że musiał. Dokądkolwiek się pojedzie w tym kraju, na całym Oceanie Spokojnym, w cholernej Nowej Zelandii, wszędzie są silniki B & C. Zapalali światło w całym buszu. Zasilali stanowiska do strzyżenia owiec, po wojnie zbili majątek. Cały świat potrzebował generatorów.

– Co dalej?

– Dick odwalił kitę i Charles sprzedał cały interes tym sukinsynom Angolom. Oni nigdy nie chcieli, żeby fabryka cokolwiek produkowała. Zależało im tylko, żeby zlikwidować

konkurencję.

Cecily spoglądała za okno, dym z papierosa kłębił się między jej palcami.

– Tragedia – powiedziała. – Pamiętam dzień, kiedy wszyscy się o tym dowiedzieli. Za jednym zamachem połowa Cromarty straciła robotę. Większość tych ludzi już nigdy nie podjęła ponownie pracy. – Podrapała miejsce, gdzie kiedyś miała brwi. – Jednak nie można o to obwiniać Charlesa. Angole zapewniali go, że fabryka będzie nadal działała. I nikt go nie obwinał.

– Chodzi mi o rachunki.

– Rachunki, no tak. Odkąd stary Percy Crake dostał udaru, zajmowałam się sprawami w jego imieniu. Nie żeby Charles nie mógł sam tego robić. Lubi po prostu udawać, że ma lepsze rzeczy do roboty.

Cecily mocno zaciągnęła się po raz ostatni i nie patrząc, wetknęła niedopałek do wazonu z kwiatami stojącego na gzymsie kominka. Syk, szelest jedwabiu ocierającego się o jedwab. Pani McKendrick, wiekowa sekretarka Cecily, układała kwiaty w pokojach dwa razy w tygodniu. Wcześniej opróżniała naczynia pełne cuchnącej ciemnej jak piwo wody i napęczniałych niedopałków Cecily.

– Kto mógłby próbować go zabić? – zapytał Cashin.

– Przypuszczam, że jakiś przechodzący akurat tamtędy łobuz. Kraj zmienia się w Amerykę. Zabija się ludzi dla kilku dolarów, za nic. Straszne. – Pod jej policzkami przesunęło się jakieś wyrzuszenie, jakby coś próbowało się wymknąć z ust. – Narkotyki – powiedziała. – Winne są, moim zdaniem, narkotyki.

– A co z osobami mieszkającymi w pobliżu? Myślę o kimś, kto go znał.

– Ktoś z okolicznych mieszkańców? Jeśli Charles Bourgoyne umrze, będzie to największy pogrzeb od czasu, gdy stara Dora Campbell wyciągnęła nogi. Czarujący człowiek, uroczy. Nie ma już takich dżentelmenów jak on. Był dobrą partią. Jego rówieśnice miały już swoje lata, kiedy ożenił się z Susan Kingsley. Podobno stary Dick zagroził, że albo Charles się ożeni, albo może się pożegnać z majątkiem. Powiedział, że odda całą fortunę dla domu starców w Cromarty.

– Co się stało z ojcem Eriki?

– Ojcem Eriki i Jamiego. Bobby Kingsley rozbił się w samochodzie. Jechał niestety z inną kobietą.

– Charles miał wrogów?

– Bo ja wiem... Bourgoyne Trest pomógł setkom młodych ludzi ukończyć uniwersytet. Poza tym Charles bulił każdemu, kto do niego przyszedł. Na szkoły, galerie sztuki, Armie

Zbawienia, Ligę Weteranów i tak dalej. Setki razy dofinansowywał klub futbolowy.

– Jak wyglądało prowadzenie spraw Bourgoyne’a?

– To znaczy?

– Chodzi mi o sam mechanizm.

– Och. Przychodzą tu rachunki, karty kredytowe, wszystko. Co miesiąc wysyłamy Charlesowi wyciąg z konta, on odfajkowuje pozycje, odsyła nam, my wypłacamy pieniądze z konta funduszu powierniczego. Dajemy też pensje pracownikom.

– A więc macie dokumenty dotyczące wszystkich jego finansowych transakcji?

– Tylko rachunki.

– Jak daleko sięgają wstecz?

– To niezbyt długi okres. Sądzę, że od siedmiu, ośmiu lat. Od udaru Crake’a.

– Mogę zobaczyć wasze rejestry dokumentów?

– Są poufne. To sprawy między adwokatem i klientem.

– Klient został ciężko pobity i pozostawiony, żeby umarł – zauważył Cashin.

Cecily zamrugła.

– Nie będę miała z tego powodu kłopotów z instytucją prawa?

– Pani Addison, pani musi to zrobić. Jeśli pani odmówi, jeszcze dziś zdobędziemy nakaz sądowy.

– No tak. To zmienia sytuację. Polecę pani McKendrick, by sporządziła kopie. Nie zrozumieć, w czym wam to pomoże. Powinniście szukać tych cholernych ćpunów. Co ukradziono z domu?

– Ludzie, którzy pracują w rezydencji Bourgoyne’a, pytają, co teraz będzie z ich wynagrodzeniem?

Cecily uniosła swoje podkreślone kredką brwi.

– On nadal żyje. Będą otrzymywali pobory, dopóki ktoś nie poleci mi wstrzymać wypłaty. Czego pan by się spodziewał?

Cashin wstał.

– Najgorszego. Tego uczy praca w policji.

– To cyniczne. Z mojego doświadczenia, a mówię to...

– Dziękuję, pani Addison. Przyślę kogoś po kopie. Gdzie jest Jamie Bourgoyne?

– Utonął na Tasmanii. Wiele lat temu.

– A więc szczęście nie sprzyja tej rodzinie.

– Nie sprzyja. Pieniądze tu nie pomogą. Szczęścia nie można kupić. I będzie z nią koniec, jeśli Charles umrze. Linia na nim się urywa. Rodzina Bourgoyne’ów przestanie

istnieć.

Ulica była cicha, światło słoneczne rozjaśniało blade kamienie budynku biblioteki. Gdy otwarto go w roku 1864 – datę wyryto nad drzwiami – mieścił się tu Instytut Mechaniki. Trzy kobiety w podeszłym wieku wchodziły gęsiego po schodach, trzymając się lewymi rękami metalowej balustrady. Cashin widział ich delikatne kostki. Starzy ludzie byli jak konie wyścigowe – zbyt wiele zależało u nich od zbyt niewielkich rzeczy; rodowód stanowił czynnik decydujący.

Rodowód Cashina nie nadawał się na materiał do rozmyślań.

Nie mogę ci pomóc w takiej sprawie, Bern – powiedział Cashin. – Nic na to nie poradzę. Sam wpakował się w gówno, bo z nim są zawsze cholerne kłopoty i teraz musi oberwać.

Znajdowali się w szopie podobnej do hangaru lotniczego, która stała obok domu kuzyna Cashina, Berna, w pobliżu Kenmare, położonego dwadzieścia kilometrów od Port Monro – miasteczka, gdzie na głównej ulicy sklepy były pozamykane na głucho. Wciąż jednak jeszcze funkcjonowały dwa puby, zakład rzeźnika, bar mleczny i wypożyczalnia kaset wideo.

Niegdyś miasteczko otaczały, niczym zielone morze, pola uprawne. Długie podwórza za domami zmieniały się w pastwiska z mlecznymi krowami, wydalającymi obornik, i w pola ziemniaczane, na których gęsto rosły kartofle podobne do bladych granatów. Z czasem farmy podzieliły się na mniejsze. Tam, gdzie kiedyś stały domy z bali, wzniesiono duże budynki, z wielkimi metalowymi szopami z tyłu, na całych półtorahektarowych posesjach. Obecnie nie produkowano tu niczego oprócz śmieci i dzieciaków – w tym wielu rudowłosych. Tereny stały się parkingami weekendowymi dla wielkich ciężarówek, które zjeżdżały się z łoskotem ze wszystkich stron w soboty – macksy, kenworthsy, mansy, volva z osiemnastoma biegami, tysiącosiemsetlitrowe cysterny z nazwiskami właścicieli wypisanymi ozdobnymi literami na drzwiach. Nieogoleni, niewyspani kierowcy siedzieli na ziemi w odległości dwóch metrów jeden od drugiego, słuchając piosenek o utraconej miłości i samotnych nocach i dniach.

Firmy przewozowe wykupiły tutaj tereny, gdy ziemia była tania, paliwo za bezcen, stawki za przewóz wysokie, a młodzi kierowcy nie mieli jeszcze wystających brzuchów. Teraz nie zdołaliby bez lustra zobaczyć swoich fujarek, ciężarówki pochłaniały masę pieniędzy, firmy przewozowe kantowały przewoźników, dokręcały im śrubę, tak że musieli jeździć przez sześć, a czasem nawet siedem dni w tygodniu, by móc spłacać raty.

Cashin stał w drzwiach szopy i przyglądał się, jak Bern rozłupywał drewno na swojej nowej czerwonej maszynie, stojąc w rozkroku jak kosmonauta, który wylądował na Księżycu. Bern podniósł część kłody, rzucił ją na stół pod gruby, stalowy szpikulec, nacisnął butem dźwignię. Hydrauliczny taran wbił ostrze w bał, rozszczepiając go na pół.

– No dobra, pytam: jaki jest pożytek, że się ma gliniarza w rodzinie? – odezwał się Bern.

– Żaden – odparł Cashin.

– W każdym razie to chyba nie był pomysł Sama. On trzyma się z tymi dwoma miejskimi chłopakami? Jeden z nich rozbił okno samochodu butelką.

– Zadzwoń do pewnej adwokatkę, jest dobra. Może go wyciągnąć z aresztu.

– Ile to pochłonie? Górę kasy?

– Będzie kosztować tyle, ile kosztuje. Jeśli jej nie chcesz, niech poprosi o adwokata z urzędu. Skąd masz to drzewo?

Bern włożył palce pod swoją brudną zieloną czapkę, odsłonił wąskie pasmo czarnych włosów między głębokimi zakolami, podrapał się po głowie. Miał nos Doogue'ów – wielki, haczykowaty. W młodości te nosy niczym się nie wyróżniały, ale z wiekiem zaczynały dominować na męskich twarzach.

– Pytasz jako gliniarz, Joe?

– Nie bardzo mnie obchodzą przekrety z drewnem. To całkiem ładny towar.

– Pierwszorzędny, stary. Super. Nie twoje zbutwiałe gówno z Mount Gambier.

– Ile za nie chcesz?

– Siedemdziesiąt.

– Sam znajdź adwokata.

– To specjalna cena dla rodziny. Stary, ten towar idzie jak woda.

– Niech sobie idzie – mruknął Cashin. – Muszę lecieć.

Ruszył naprzód.

– Hej, hej, Chryste Panie, Joe, nie bądź takim twardzielem.

– Pozdrów ode mnie Leane – powiedział Cashin. – Dlaczego Bóg ją tobą pokarał? Musiała coś przeszkrobać w poprzednim życiu.

– Joe. Stary...

Cashin był już w drzwiach.

– Co?

– Płać i bierz.

– Rozmawiałeś z moją mamą czy nie?

– Nie. Twoja mama jest dla nas za dobra. A co ty na to, sześćdziesiąt, pocięte i z dostawą, ty ustawiasz adwokata. Niech będzie moja krzywda.

– Cztery za dwieście – targował się Cashin. – Porządnie ułożone.

– Jasna cholera, wyciskasz ostatnie grosze z własnej rodziny. Sam staję przed sądem w przyszłą środę.

– Zadzwoń i podam datę spotkania.

Bern rzucił następny bal, nacisnął dźwignię. Rozległ się huk, kawałki drzewa posypały się na wszystkie strony.

– Jasna cholera – zaklął.

Wyciągnął dużą drzazgę ze swojego brudnego swetra kupionego na wyprzedazy.

– Oto wzór bezpieczeństwa w miejscu pracy – zadrwił Cashin. – Idę już.

Wyszedł na szare światło dnia na ośmioarowe tylne podwórze Berna, cmentarz samochodów, ciężarówek, maszyn, okien, drzwi, zlewozmywaków, misek klozetowych, umywalek, belek drewnianych i cegieł. Bern poszedł za Cashinem aż do jego samochodu, zaparkowanego na polanie.

– Słuchaj, Joe, jest jeszcze coś – zagadnął. – Debbie mówi, że syn Piggotów, zapomniałem imienia, jest ich tylu... ona mówi, że chłopak sprzedaje prochy w szkole.

Cashin wsiadł do auta, opuścił szybę.

– Masz coś przeciwko narkotykom, Bern? Od kiedy?

Bern zmrużył oczy, podrapał się w głowę przez czapkę czarnymi paznokciami.

– To jest, kurde, coś zupełnie innego; mówimy o sprzedawaniu ostrych prochów dzieciakom.

– Dlaczego ona ci o tym powiedziała?

– Eee, nie mnie. Swojej mamie.

– Czemu?

Bern odchrząknął. Splunął, jakby strzelał przez rurkę ziarnami grochu.

– Leane znalazła trochę prochów. Nie Debbie, ona je tylko przechowuje dla innej dziewczyny, która kupiła towar od jakiegoś Pigotta.

Cashin uruchomił silnik.

– Bern, nie chcesz chyba, żeby twój kuzyn gliniarz zaczynał akcję przeciwko zażywaniu narkotyków przez nastolatków w Kenmare. Pomyśl o Pigottach. Jest ich cała armia.

Bern pomyślał o tym.

– No dobra, w tym cała rzecz. Gdyby doszło do wojny między Doogue'sami a

Piggotami, zrobiliby się niewesoło

– A tego nie chcemy, prawda?

– Zaczekaj, zaczekaj. Możesz zrobić dla mnie coś innego.

– Co?

– Przemów Debbie do rozsądku. Nie posłucha swojej mamy, a ja to już ogóle nie mam na nią wpływu.

– Myślałem, że ona tylko przechowuje prochy.

Bern wzruszył ramionami, odwrócił wzrok.

– Tak na wszelki wypadek – powiedział. – Nic ci się nie stanie, jak z nią pogadasz, no nie?

Cashin wiedział, że nie ma wyjścia. Jeszcze chwila, a Bern przypomniałby mu, jak zaryzykował własne życie, gdy skoczył na plecy potężnego kretyna Terry'ego Luntza, zawisł na nim jak szympanś na gorylu i dusił szkolnego zabijakę, lubiącego się znęcać nad kolegami.

– O której Debbie wraca ze szkoły? – zapytał Cashin.

– Około czwartej.

– Wpadnę któregoś dnia, powiem jej o różnych zagrożeniach.

– Fajny z ciebie gość, Joe.

– Wcale nie. Po prostu nie chcę znowu usłyszeć o tym pieprzonym Terrym Luntzu. On by mnie w końcu puścił.

Bern posłał mu chytry, niebezpieczny uśmiech Doogue'ów.

– Akurat. Byłeś już niebieski na twarzy. Zostało ci kilka sekund.

– W takim razie, dlaczego tak długo czekałeś?

– Bądź łaskaw, stary, udzielić mi pewnej informacji. Jaka macie wymówkę wy, kutasy, żeby wytłumaczyć, dlaczego tak długo nie możecie złapać zabójcy naszego ukochanego pana Charlesa Bourgoyne'a?

– Ofiara nie jest duszona przez grubego chłopaka. Nie ma pośpiechu. A tobie co do Bourgoyne'a?

– Zupełnie nic. Miejscowy święty. Wszyscy kochają Charliego. Bogaty próżniak. Wiesz, że mój ojciec kiedyś pracował u Bourgoyne'a i Cromiego? Charlie sprzedał firmę i wszyscy zostali na bruku.

W drodze powrotnej do domu Cashin minął trzy pojazdy; znał wszystkich tych kierowców. Na ostatnim skrzyżowaniu dwa kruki dziobiące cynobrowy muł obrzuciły krytycznym spojrzeniem starych mężczyzn wysiadujących w przydrożnym pubie.

Ściemniało się już, kiedy Cashin dotarł do domu, wiatr kołysał drzewami na wzgórzu, brzdąkał na dachu z blachy falistej. Cashin rozpałił w kominku, wyjął sześciopak piwa Carlsberg, nastawił *Napój miłosny* Dionizettego, osunął się na stary fotel i wetknął sobie poduszkę pod krzyż.

Czuł zmęczenie, ból w miednicy, spływający po nogach w dół, połknął więc dwie aspiryny z pierwszym łykiem piwa.

„Życie jest krótkie, nie pij żadnych starych sików”.

Rada Singa – on zawsze raczył się carlsbergiem albo heinekenem.

Cashin siedział i pił, patrząc w próżnię, słuchał Dominga, myślał o Vickie, o chłopcu. Dlaczego nazwała go Stephen? Miałby teraz dziewięć lat. Cashin mógł to obliczyć, wiedział, jaki to był dzień, która noc, jaki moment. I nigdy z nim nie rozmawiał, nigdy go nie dotknął, nie był bliżej niż dwadzieścia metrów od niego. Vickie nie chciała przyprowadzić Cashina do szpitala, gdy ją o to poprosił. Stephen ma ojca, nie jesteś nim ty, powiedziała.

Nie dała się przekonać.

Cashin chciał tylko zobaczyć dziecko, porozmawiać z nim. Nie wiedział, czemu. Czuł jedynie, że myśl o chłopcu sprawiała mu ból, taki sam jak jego połamane kości.

O siódmej wieczorem przy drugim piwie włączył telewizję.

„Ofiarą zabójstwa, dokonanego prawdopodobnie znów na tle porachunków w środowisku handlarzy narkotykami, padł pięćdziesięcioletni księgowy z Melbourne Andrew Gabor Kew, zastrzelony dziś rano na oczach swojej piętnastoletniej córki, przed ekskluzywną szkołą dla dziewcząt świętej Teresy w Malvern”.

Materiał filmowy: zielone bmw obok budynku szkolnego, przy nim mężczyźni w czarnych płaszczach. Cashin rozpoznał Villaniego, Birkerts, Finucane’a.

„Dwaj uzbrojeni bandyci uciekli z miejsca zbrodni furgonetką Ford Transit, którą znaleziono później w Elwood”.

Na ekranie ukazała się furgonetka, wciągano ją na policyjną ciężarówkę z platformą i wózkiem holowniczym, by przewieźć do siedziby zakładu techników policyjnych.

„Policja prosi o kontakt z Crime Stoppers wszystkich, którzy widzieli dwóch mężczyzn w ciemnych ubraniach i czapkach bejsbolowych w tej furgonetce albo w pobliżu miejsca przestępstwa około godziny 7.30 rano.

Policja przesłuchała dzisiaj bratanka pana Gabora, Damiana Gabora, organizatora koncertów rockowych. W roku 2002 pana Gabora uznano za niewinnego w sprawie o zabójstwo Anthony’ego Metcalfa, handlarza narkotyków, którego z siedmioma kulami w

ciele znaleziono w kontenerze na gruz w Carnegie”.

Na monitorze, za prezydentem wiadomości Cashin zobaczył Wzgórza filmowane z telewizyjnego helikoptera, samochody na całym podjeździe parkingu, akcję przeszukiwania terenu.

„W rezultacie innego przestępstwa siedemdziesięciosześcioletni Charles Bourgoyne, głowa jednej ze znanych rodzin, walczy o życie na oddziale intensywnej terapii. Charles Bourgoyne został napadnięty w swoim domu w pobliżu Cromarty.

Dziś rano znaleziono go w salonie rodzinnej rezydencji bliskiego śmierci. Ofiarę przetransportowano helikopterem do Szpitala Króla Jerzego.

Pan Bourgoyne, powszechnie znany ze swojej działalności charytatywnej, jest synem Richarda Bourgoyne’a, jednego z założycieli firmy Bourgoyne i Cromie, legendarnych producentów silników. Charles Bourgoyne sprzedał rodzinną firmę brytyjskim udziałowcom w roku 1976. Obaj jego starsi bracia bliźniacy zginęli w II wojnie światowej; jeden w egzekucji dokonanej przez Japończyków.

Oficerowie z wydziału zabójstw sądzą, że pan Bourgoyne, będąc sam w domu, mógł się stać ofiarą włamywaczy. Z domu zginęły cenne rzeczy”.

Hopgood w kamerze, na zewnątrz budynku rezydencji, wiatr rozwiewający jego proste włosy.

„To brutalna napaść na powszechnie szanowanego i bezbronnego człowieka. Użyjemy wszelkich naszych środków, by odnaleźć winnych tego przerażającego aktu. Apelujemy do wszystkich dysponujących jakimiś informacjami o zgłaszanie się do nas”.

„Dziś wieczorem lekarze ze Szpitala Króla Jerzego oświadczyli, że stan pana Bourgoyne’a jest krytyczny”.

Cashin sięgnął po kopertę z dokumentami otrzymanymi od Cecily Addison. To w ogóle nie moja sprawa, pomyślał. Jestem tylko komendantem posterunku w Port Monro z czteroosobowym personelem.

Stare nawyki, ciekawość. Zaczął od najnowszego dokumentu. Chwilę potem usłyszał znajome nazwisko.

„Najnowsza polityczna partia australijska, Zjednoczona Australia, wybrała dzisiaj prawnika i aborygeńskiego działacza Bobby’ego Walshe’a, by poprowadził ją do federalnych wyborów”.

Cashin spojrzął na ekran telewizora.

„Nowa partia, koalicja Zielonych, demokratów i niezależnych polityków, którzy pozyskali poparcie zwolenników Partii Pracy i Partii Liberalnej, wystawi swoich kandydatów

we wszystkich stanach”.

Przed kamerą pojawił się Bobby Walshe. Przystojny, z ziemistą cerą, jastrzębim nosem i tylko lekko kręconymi włosami.

„To dla mnie wielki zaszczyt, że zostałem wybrany przez tyłu zaangażowanych i utalentowanych ludzi, bym stanął na czele Zjednoczonej Australii. To przełomowy dzień. Teraz Australijczycy mają realną możliwość dokonania politycznego wyboru. Skończył się czas, kiedy wielu wyborców, głosując na jedną z małych partii, marnowało głosy. My nie jesteśmy efemerydą. Oferujemy prawdziwą alternatywę dla wyświechtanej, wzorowanej na innych państwach zasady dwóch politycznych maszyn, która dominowała tak długo w życiu naszego kraju”.

Bobby Walshe był najzdolniejszym chłopcem w klasie Cashina w podstawówce, ale mimo to nazywano go czarnuchem.

Wpatrywanie się w dokumenty finansowe Bourgoyne’a nie miało dla Cashina żadnego sensu. Nie potrafił się na nich skoncentrować, włożył wszystko z powrotem do teczki. Otworzył następne piwo i zaczął myśleć o tym, co sobie zrobić do jedzenia.

Wzgórze zniknęło w porannej mgle, mokra cisza okryła ziemię. Cashin poszedł w stronę granicy z terenem należącym do Corriganów. Widoczność nie przekraczała trzydziestu metrów, psy pojawiały się i znikaly, skaczące z wdziękiem ciemne plamy w bladoszarym otoczeniu.

Przy płocie biegła kiedyś ścieżka, teraz zarośnięta. Będąc chłopcem, często nią chadzał, prowadziła prosto do strumyka. W dzieciństwie strumień bardziej przypominał mu rzekę – był szerszy, głębszy, fascynująco niebezpieczny, gdy wylewał. Psy szły gdzieś za nim, gdy przedzierał się przez zarośla, przeskakiwał kałuże. Gdy znalazł się po drugiej stronie, gwizdnął na nie, przemknęły obok i poprowadziły go w górę wzniesienia do starego domu Corriganów.

Wtargnięcie na teren prywatny, pomyślał Cashin.

Psy miały spuszczone głowy – nowe miejsce, nowe zapachy. Zaintrygowane szybko dreptały. Cashin obszedł dom, zajrzał przez okna do środka. Drzwi, listwy przypodłogowe, deski podłogi, gzymsy kominka, kafelki – wszystko wyglądało na nienaruszone. Dom nie był rozszabrowany tak jak zrujnowane siedlisko Tommy’ego Cashina. Gdyby znaleźli się nowi właściciele, nie musieliby wydawać dużo, by dało się tu zamieszkać.

Ruszyli przez pożółkłą trawę aż do płotu Dena Millane'a, zeszli nad strumień. Cashin znalazł tam resztki ogrodzenia, zardzewiały drut i przewrócone słupy, być może granicę działek, o której mówił Den. To było około dwustu metrów, może trochę więcej.

Czy chciał się ubiegać o uznanie tej linii?

„Pilnuj tego, co twoje, cholera”.

Tak, chciał o to wystąpić.

Przekroczył strumień, potem poszedł wąską, krętą ścieżką między topolami na teren, który upodobały sobie króliki, później skręcił w stronę swojego domu. Gdy dotarł na miejsce, było już zupełnie jasno, ale dopiero za godzinę mgła miała zniknąć w ciepłe słonecznych promieni. Myślał o Kendall. Jakie skutki dla człowieka mogło mieć to, że został zgwałcony? Pewnego policjanta po służbie napadło trzech facetów, na zachodnich przedmieściach Sydney. Zabrali go do jakiegoś starego kina samochodowego, przykuli do podpory ekranu, rozcięli mu dzinsy, nożem wycięli swastyki na pośladkach i plecach.

Potem go zgwałcili.

Inny policjant, Gerard, opowiedział Cashinowi tę historię. Siedzieli w zaparkowanym radiowozie, jedli kebaby.

– Facet nigdy nie wrócił do służby. Pojechał do Darwin. Mówią, że tam skończył ze sobą. – Gerard, przystojny, ze smagłą twarzą, kruczoczarnymi włosami, pieprzykiem na policzku. – Ale złapano sukinsynów. Udało się to dzięki pierścieniowi. Był wielki, z ołowiu, własnej roboty. Z roztopionego ciężarka do wędk. Ten gliniarz potrafił go narysować.

– Ile dostali?

– Można powiedzieć: karę śmierci. Jednego utopiono w rzece Homebush. Dwaj pozostali... Upozorowano, że jeden zabił drugiego, a potem popełnił samobójstwo. Miejsce zbrodni wyglądało obrzydliwie.

Gerard się uśmiechnął. Gdy się uśmiechał, obrzydliwie odsłaniał różowe wnętrza wargi.

Psy wcześniej niż Cashin zobaczyły Rebba – siedział na starej ogrodowej ławce. Rzuciły się w jego stronę.

Ogolony, z mokrymi włosami palił skręta – w płaskim papierosie było tyle samo bibułki, ile tytoniu.

Psy tańczyły radośnie i machały ogonami. Lubiły Rebba, ale właściwie lubiły prawie wszystkich.

– Włożyłem rzeczy do pralki – powiedział Rebb; trzymał papierosa w kąciu ust, wielkie dłonie położył na karkach psów. – To dobrze?

– Jasne – odparł Cashin. – Wcześniej wstałeś?

– Nie.

– Wezmę prysznic i zrobię śniadanie.

– Już jadłem. – Nie spojrzał na Cashina, całą uwagę skupił na psach. To samo mówił poprzedniego wieczoru.

– Jajecznica – rzucił Cashin. – Jak robisz dla jednego, możesz równie dobrze usmażyć dla dziesięciu.

Kiedy już się umył i ubrał, rozłożył sztućce, podał na stół chleb i masło, pastę vegemite, dżem, usmażył jajecznicę i znalazł Rebbę przed domem w towarzystwie psów. Rebb nie jadł jak włóczęga. Trzymał łokcie przy bokach, miał przymknięte usta, powoli przełykał każdy kęs.

– Dobrze – pochwalił. – Dziękuję.

– Dopchnij chlebem.

Rebb ukroił grubą kromkę. Posmarował masłem, położył na nią czarną jak węgiel warstwę vegemite.

– Jeśli chcesz, możesz tu zostać – zaproponował Cashin. – Nic cię to nie będzie kosztowało. Stąd masz dziesięć minut spacerem do roboty przy krowach.

Rebb spojrzał na niego, czarne oczy nie zdradzały niczego. Skinął głową.

– No to ruszajmy.

Podjechali do domu Dena Millane'a, przez całą drogę obaj milczeli. Den usłyszał, że nadjeżdżają, stał już przy bramie. Uścisnęli sobie ręce z Rebbem.

– Płaca nie za wysoka – uprzedził gospodarz. – Sam bym to robił, gdyby nie chore kolano. Znasz się na krowach?

– Trochę, tak.

Cashin zostawił ich i ruszył do domu swojej matki, oddalonego o dwadzieścia minut jazdy. Drogi tu były wąskimi paskami wyboistego bituminu, spękanego po brzegach. Mieścił się na nich tylko jeden samochód; ktoś musiał przy mijaniu ustępować miejsca drugiemu, zjechać na pobocze pożłobione koleinami. Ale z reguły robili to obaj kierowcy, a miejscowi unosili ręce na powitanie. Cashin mijał pola ziemniaków i mleczne farmy, na których wiecznie przeżuujące zwierzęta odwracały w jego stronę łagodne oczy. Poczynając od Beacon Hill, teren opadał ku morzu, torfiasta ziemia orna o czekoladowej barwie rozciągała się naga, niczym nieosłonięta przed południowo-zachodnim wiatrem i gwałtownymi zimowymi wichurami wiejącymi od Pacyfiku. Pierwsi osadnicy sadzili wokół domów cyprysy i żywopłoty jako wiatrochrony. Trochę to skutkowało, ale powstrzymany wiatr umiał

się zemścić. Drzewa, krzewy, szopy, zbiorniki, wiatraki, wygodki na dworze, psie budy, kurniki, wraki starych samochodów – wszystko na jego drodze opadało ku zawietrznej.

Cashin zaparkował na podjeździe, obszedł dom i zobaczył matkę przez kuchenne okno. Kiedy otworzył tylne drzwi, Sybil powiedziała:

– Często myślę o tobie. Mieszkasz w takiej ruinie. Po tym wszystkim cośmy dla was obu, chłopcy, zrobili. Twój ojciec i ja.

Układała kwiaty w wielkim kwadratowym ceramicznym wazonie, brązowej i fioletowej barwy.

Cashin wskazał wazon.

– Czy to mógł być odrzucony prototyp naczynia do gromadzenia odpadów radioaktywnych?

Matka puściła to pytanie mimo uszu. Na podwórzu wynurzył się z szopy jego ojczym ubrany w biały kombinezon, w rękawiczkach, masce osłaniającej całą twarz i ze zbiornikiem na plecach. Zaczął spryskiwać różaną altanę. Uniosła się mgła.

– Czy róże lubią to, że Harry bombarduje je agentem orange? – zapytał Cashin.

Matka cofnęła się trochę, by podziwiać swoje dzieło – mała, szczupła kobieta z mocnymi zaczesanymi do tyłu włosami. Wszystkie geny wzrostu Cashin i jego brat Michael odziedziczyli po ojcu, Micku Cashinie.

– Co robisz, żeby wyjaśnić sprawę Charlesa Bourgoyne'a?

– Wszystko, co można.

– Nigdy nie zrozumieję takich ludzi. Dlaczego po prostu nie zabrali tego, co chcieli wziąć? Czemu musieli pobić starego człowieka? Stawiałby im opór?

– Ja nawet nie próbuję tego zrozumieć – odparł Cashin. – Chcemy znaleźć odpowiedź na pytanie, kto to zrobił, a nie: dlaczego.

Matka pokręciła głową.

– No dobrze, teraz inna sprawa. – Wciąż przyglądała się bukietowi kwiatów i coś jeszcze w nim poprawiała drobnymi ruchami palców. – Michael kupił mieszkanie w Melbourne. W portowej dzielnicy. Nad wodą. Dwie sypialnie, półtorej łazienki.

– Czysty człowiek – zauważył Cashin. – Bardzo czysty. – Co się robi w dodatkowej połówce łazienki?

– Nalej sobie herbaty – rzuciła matka. – Dopiero co zaparzona.

Nalał herbatę do ręcznie robionych kubków, które pochylały się przy próbie postawienia. Matka Cashina kupowała rzeczy na targowisku: okropne akwarele, solniczki i komplety pojemniczków na sól i pieprz w kształcie muchomorów, podkładki pod nakrycia

plecione z plastikowych torebek, kapelusze z psiej sierści.

– Michael często bywa w Melbourne. Mówił, że musi mieć miejsce, gdzie trzymałby ubrania – wyjaśniła. Westchnęła.

– No tak, jemu potrzebny jest spory zapas bielizny.

– Dotąd nie nauczyłeś się doceniać tego, co zasługuje na uznanie, Josephie.

– Nauczyłem się doceniać wiele rzeczy. Po co różom to chemiczne gówno, którym je Harry spryskuje?

– Nie przeklinaj. Michael nauczył się tego w szkole zaraz pierwszego dnia, przyszedł do domu i powtórzył brzydkie słowo. Poszłam tam i powiedziałam kilka słów temu Killeenowi. Nigdy mu nie ufałam i okazało się, że miałam rację. Instynkt matki.

– Powiniennem się wcześniej nauczyć przeklinać – stwierdził przekornie Cashin. – Do tej pory miałbym pół łazienki w dzielnicy portowej. Mam, zamierzam wyremontować dom.

– Oszalałeś? Dlaczego?

– Żeby tam mieszkać. To będzie krok do przodu w porównaniu z mieszkaniem w ruinach.

– Ten dom jest nawiedzony. – Wzdrygnęła się teatralnie. – Został zbudowany przez szaleńca. Nie tykaj go, sprzedaj.

– Lubię to miejsce. Zamierzam uporządkować ogród.

– Myślałam, że to tymczasowe lokum. Dopóki nie wydobrejesz.

Cashin skończył pić herbatę.

– Całe życie jest tymczasowe. Jak tam twoje studia?

– Nie zmieniaj tematu. Powinnam zacząć je wcześniej. Zmarnowane lata.

– Jak to zmarnowane?

Podeszła do kuchennego stołu, poklepała syna po policzku, a potem na zakończenie mocno go trzepnęła.

– Chcę tylko jak najlepiej dla ciebie – powiedziała. – Ustawiłeś sobie poprzeczkę tak nisko. Służba w policji. Prosiłam cię. Zostaniesz tam chwilę dłużej, niż musisz, a ugrzęzniesz na zawsze. Gra skończona.

– Gdzie się tego nauczyłaś?

– Czego?

– Gra skończona.

– Dawno, zanim się urodziłeś. Dlaczego nie zapiszesz się na uniwersytet? Znalazłbyś się wśród młodych ludzi i sam młodo byś się poczuł.

– Prędzej bym się zabił – odparł Cashin.

Sybil położyła mu palec na ustach.

– Nie mów tak. Umysł zamknięty na nowości. Uważa się, że to cecha starszego pokolenia.

– Muszę już iść – powiedział. – Znaleźć się wśród młodych ludzi. Aresztować ich.

– Wszystko obracasz w żart, masz to po ojcu. Jesteś Cashinem z krwi i kości. Nawet tragedia pozostaje tragedią tylko przez pięć minut, potem staje się żartem.

Wyszli przed dom. Harry zraszał chemikaliami altanę, za nim stał pies pasterski, wdychając opary.

– Więc pies też spisany na straty? – zauważył Cashin. – Straty wśród ludności cywilnej...

– Szkoda, że nie masz dzieci, Joseph – odezwała się matka, gdy stali już przy bramie.

– Pomagają się ustatkować.

Zdumiony Cashin stanął jak wryty. Jak właśnie ona mogła coś takiego powiedzieć?

– Skąd wiesz, że nie mam dzieci? – zapytał.

– Och, ty...

Chwyliła go za ramiona; Cashin schylił się, żeby ją pocałować w policzek. Przez wiele lat nie mógł jej całować.

– Czy już ci mówiłam, że myślałam, że to ty będziesz tym mądrym i byстрыm?

– No i jestem tym mądrym i byстрыm – odparł. – Mylę ci się z tym bogatym. Jeden z chłopców Berna wpadł w tarapaty w Melbourne.

– Sam, prawda?

– Tak.

– Jakie tarapaty?

– Okradł samochód z dwoma innymi chłopakami.

– Możesz mu jakoś pomóc?

– Raczej nie.

– Ech, Doogue'owie. Zawsze dziękuję Bogu, że nic mnie z nimi nie łączy.

– Przecież jesteś z Doogue'ów. Bern to twój bratanek. Jak może cię z nimi nic nie łączyć?

– Nie łączą mnie żadne więzy, mój drogi. Żadne.

– I to byłoby na tyle – skwitował Cashin. – Do widzenia, Syb.

– Do widzenia, kochanie.

Harry pomachał mu dłonią w rękawicy, powoli jak badacz regionów polarnych wypowiadający ostatnie smutne słowa pożegnania.

Jadąc do Port Monro w zimny pochmurny dzień, Cashin myślał o swojej matce; widział ją w przyczepie kempingowej – siedziała przy składanym stole, pokrytym żyłkowanym, zielonym laminowanym blatem, obrzeżonym aluminiowym paskiem. W jednej ręce trzymała plastikowy kieliszek z żółtym winem, w drugiej – przy samych wyszczerbionych, pomalowanych na różowo paznokciach – papierosa z filtrem. Schodziła jej skóra z nosa od oparzenia słonecznego. We włosach, ciężkich od soli po pływaniu, miała jasne pasemka, niektóre się rozdzielały, odsłaniając skórę na głowie. Wypiła łyk z kieliszka i napój pociekł jej z ust po policzku, spłynął na bawełnianą koszulkę. Wytarła pierś ręką, w której trzymała papierosa; koniuszek peta dotknął jej twarzy; rozżarzony popiół oderwał się i przywarł do koszulki. Spojrzała w dół na przypalone miejsce, które się otwarło jak kwiat. Zdawało się, że będzie czekała już wiecznie; w pewnym momencie ostrożnie przechyliła kieliszek i połała wypaloną dziurkę winem. Cashin przypomniał sobie zapachy przypalonej bawełny, skóry i wina, które wypełniły niewielką przestrzeń, i to, jak poczuł mdłości i musiał wyjść z przyczepy w podzwrotnikową noc.

W jakiś czas po śmierci ojca, Cashin nie wiedział, jak długo, matka spakowała dwie walizy i opuścili ich farmę obok Kenmare. Miał wtedy dwanaście lat. Jego brat studiował na uniwersytecie; przyznano mu stypendium. Na pierwszym postoju, kiedy się zatrzymali, żeby zatankować benzynę, matka kazała mówić do siebie Sybil. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Ludzie nie zwracali się do swoich matek po imieniu.

Następne trzy lata spędzili w drodze, nie zatrzymując się nigdzie na dłużej. Gdy Cashin myślał później o tym okresie, uzmysłowił sobie, że w pierwszym roku Sybil musiała mieć pieniądze: zatrzymywali się na kilka miesięcy w hotelach, motelach, letniskowych budach. Potem zaczęła się zatrudniać w pubach, zajazdach, gdzie popadło. Mieszkali w wynajętych pokojach, na podwórzach rozmaitych ludzi, w dostępnych na miejscu przyczepach kempingowych. W jego pamięci utrwaliło się, że zawsze piła, śmiała się albo płakała – tak mu się w każdym razie wydawało. Czasami zapominała kupić jedzenia, w niektóre noce nie było jej długo w domu, wracała dopiero grubo po północy. Pamiętał, jak leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć, wsłuchując się w odgłosy dobiegające z zewnątrz i starał się nie bać.

Skręcił do Port Monro. Padał drobny deszcz. Zmiana Cashina zaczynała się w południe, miał jeszcze czas na kawę. Kupił gazetę na stacji obsługi i zaparkował przed barem Dublin; nie pojawiał się tu już od jakiegoś czasu. Nie należało za często przychodzić w to samo miejsce, ludzie to zauważali.

Wąska salka była pusta, lato dobiegło końca, zaczął się długi zimny okres spokoju w mieście.

– Średnia kawa bez mleka dla gliniarza, który płaci – powiedział mężczyzna stojący za barem. – Mój klient dnia.

Leon Gadney, kiedyś dentysta z Adelaide; jego partnera znaleziono zakłutego na śmierć w parku niedaleko rzeki; może go zabił jeden z seksualnych szaleńców, jakich pełno w Adelaide, a może zginął z rąk policjantów, którzy uważali, że szaleńcy wyświadczą przysługę społeczeństwu, gdy zabijają homoseksualistów.

– Zamknij lokal na zimę – poradził Cashin. – Oszczędzisz na prądzie.

– A co miałbym robić? – zapytał Leon.

– Jedź do Noosa, pogawędzisz sobie z innymi emerytowanymi dentystami. Tam jest ciepło.

– Pieprzę to. I chciałbym oficjalnie oświadczyć, że nie jestem emerytowanym dentystą, tylko byłym dentystą, obecnie zubożałym właścicielem baru i kucharzem przygotowującym szybkie dania. – Podał Cashinowi kawę. – Chcesz dobrego migdałowego biszkopta?

– Nie, dziękuję. Dbam o wagę.

Leon wrócił na swój stołek, zapalił papierosa.

– Przy odpowiednim oświetleniu jesteś całkiem przystojny – zauważył. – No właśnie, jurni samotni mężczyźni, porzuceni na wyspie zamieszkaną przez stare kobiety w sandałach.

Cashin nie odrywał wzroku od gazety. Czytał o korupcji w miejskiej policji, w brygadzie antynarkotykowej. Jej członkowie sprzedawali skonfiskowane przez siebie prochy. Zaczęli od tego, że dostarczali składniki do produkcji.

– Ty wyglądasz bardzo wytwornie, Leon – powiedział. – Ale ja mam zbyt wiele spraw na głowie. Nie mógłbym się skoncentrować.

– No cóż, pomyśl o tym. Mam zdrowe zęby.

Cashin pojechał na komisariat, zajął się skargą jakiegoś mężczyzny dotyczącą drzewa sąsiada, informacją o zdewastowanej ławce na podmokłym terenie. Przyszła kobieta z podbitym okiem – chciała, żeby Cashin udzielił ostrzeżenia jej mężowi. Piętnaście po drugiej zadzwoniono ze szkoły podstawowej. To było doniesienie – czyjaś matka widziała, jak ktoś się czał na terenie pod zabudowę znajdującym się po przeciwnej stronie ulicy.

Zaparkował w pewnej odległości od szkoły, przeszedł przez podjazd, spojrzął za ogrodzenie. Wysoka, żółta trawa. Ktoś rzucił jedną płytę betonową i na tym poprzestał; chwasty zarosły kupę piasku do budowy. Stała tam mała szopa, za nią furgonetka.

Cashin poszedł z powrotem przez podjazd, wszedł na plac budowy i zbliżył się do furgonetki. Zajrzał przez zaparowane szyby; nie było nikogo widać w szoferce. Zastukał palcami w dach.

Cisza. Walnął pięścią.

– Spieprzaj! – Męski głos.

– Policja! – zawołał Cashin.

Samochód się poruszył. Cashin cofnął się i zobaczył postać, która wspięła się na ławkę biegnącą przez całą szerokość pojazdu. Okno kierowcy opuściło się kilka centymetrów; oczy, ciemne brwi, pasma czarnych włosów.

– Zdrzemnąłem się tylko.

– Ten teren należy do pana? – Cashin pokazał odznakę.

– Jestem robotnikiem budowlanym.

– Niewiele się tu buduje.

– Budowa zacznie się wkrótce, gdy otrzymamy fundusze.

– Pan tutejszy?

– Mieszkam w Cromarty.

– Proszę wysiąść z wozu i pokazać mi swój dokument tożsamości.

– Niech pan posłucha, zdrzemnąłem się na terenie, gdzie pracuję. Co to, do diabła, za przestępstwo?

– Proszę wysiąść z samochodu. Z dokumentem tożsamości.

Mężczyzna odwrócił się i sięgnął do tyłu. Cashin zobaczył gołą skórę, facet był półnagi, szukał spodni.

Cashin odsunął się do tyłu, wsunął rękę pod kurtkę i ujął rękojeść pistoletu.

Mężczyzna szamotał się ze spodniami.

– Niech pan posłucha – powiedział przez szparę nad szybą. – Tu się odbywa... prywatne spotkanie. Niech pan odpuści, dobra?

– Włóż spodnie i wyłaź – warknął Cashin.

Drzwi się otworzyły. Szczupły mężczyzna, około trzydziestki. Wysunął nogi, miał rozpiętą flanelową koszulę na bawełnianym T-shircie, był bez butów, jedna czerwona skarpetka była dziurawa, jedna noga w dżinsach. Stał w chwastach, żeby podciągnąć spodnie i zapiąć suwak. Miał krostę na udzie.

Znalazł portfel.

– Prawo jazdy, karta kredytowa, wszystko, co trzeba.

– Połóż na dachu auta – rozkazał Cashin. – I stań pod szopą.

– Jezu, stary, jestem tylko murarzem.

Posłuchał jednak polecenia. Cashin wziął portfel, spojrzął na wizytówki. Allan James Morris, jakiś adres w Cromarty. Zapisał.

– Numer telefonu?

Facet podał Cashinowi numer komórki.

– A teraz, pomóż wysiąść tej damie, która jest z tobą. Chciałbym zobaczyć też jej dokumenty – powiedział Cashin.

Morris wrócił do furgonetki, otworzył tylne drzwi; nastąpiła krótka wymiana zdań. Po chwili wyszła dziewczyna w dżinsach i krótkiej różowej kurteczce. Nie więcej niż piętnaście lat, ciemne włosy, ładna. Miała obrzmiałe wargi, rozmazaną szminkę.

– Dowód tożsamości, proszę – rzekł Cashin.

Otworzyła portfel, podała kartę kredytową. Cashin spojrzął na dane.

– Nie twoja – stwierdził i rzucił kartę na maskę samochodu. – Masz jakiś prawdziwy dokument? Możemy to załatwić na komisariacie. Ściągnąć twoich rodziców.

Wydeła usta, rzuciła szybkie spojrzenie Morrisowi, podała legitymację szkolną z fotografią: Stacey Ann Gettigan.

– Czternaście lat – mruknął Cashin. – W furgonetce z dorosłym mężczyzną.

– Tylko trochę migdalenia – odparła. Skrzyżowała ręce na piersiach. – To nie przestępstwo.

– Jak uważasz, Allan? – zagadnął Cashin. – Czy to przestępstwo bzykać się z czternastolatką w furgonetce?

– Całowaliśmy się, to wszystko – burknął Morris.

– Zdejmujesz spodnie do całowania? Całujesz tyłkiem? Jesteś żonaty, Allan?

Morris podrapał się w głowę. Stał w świetle słonecznym i Cashin zobaczył, jak drobinki łupieżu uleciały w spokojne powietrze. Dziewczyna patrzyła w dół, gryząc umalowany paznokieć.

– Niech pan posłucha – zaczął Morris. – Nie zrobiłem jej krzywdy, przysięgam.

– Jesteś żonaty, Allan?

– Tak. Coś w tym rodzaju.

– Co, teraz dają w kościele coś w rodzaju ślubu?

Morris nie miał ochoty spojrzeć na policjanta. Cashin dał znak dziewczynie, żeby poszła za nim. Obeszli szopę.

– Chciałabyś złożyć skargę przeciwko temu mężczyźnie, Stacey? Zrobił coś wbrew twojej woli? Groził ci?

Dziewczyna przymknęła oczy, pokręciła głową.

– Nie. Nie chcę.

– Na pewno? Opiszę całe zajście. Chcesz rozmawiać w innym miejscu, w cztery oczy?

Z policjantką?

– Nie.

Cashin wrócił i skinął na Morrisa, przeszedł kilka kroków przez plac budowy. Mężczyzna podszedł do niego, czuć było, że jest zdenerwowany, miał spojrzenie wystraszonego królika. Stali w chwastach. Białe chmury sunące po niebie odbijały się w deszczowych kałużach na betonowej płycie.

– Więc kim ona dla ciebie jest? – zapytał Cashin.

– Kuzynką, nie wiem dokładnie.

– Tak?

– Zamęcza mnie ciągle, przychodzi nawet do pracy. Niczego nie zrobiłem. Dziś pierwszy raz... i tak do niczego nie doszło. Przysięgam.

– To nie jest przypadkiem wnuczka Deke'a Gettigana?

Morris podrapał się po głowie obiema rękami, jakby go nagle zaatakowały insekty.

– Chłopie, oni mnie zabiją – jęknął. – Proszę, stary.

– Nigdy więcej nie przyprowadzaj tu dzieciaków, żeby się zabawiać, Allan – ostrzegł Cashin. – Od dzisiaj będziemy zwracać uwagę na twoją furgonetkę. Zresztą wcale nie pracujesz tu jako murarz, zgadza się?

– Ja, chłopie, jestem czymś w rodzaju... jestem...

– Kiedy przyjedziesz tutaj coś budować, mówię o budowaniu, a nie o pieprzeniu nieletnich dziewczyn, daj mi znać. Wtedy powiem w tej szkole, żeby się nie denerwowali z powodu faceta z kutasem na wierzchu, bo on tylko po prostu chce się wysikać. Okej?

– Jasne, oczywiście. Dzięki.

Odchodząc, Cashin spojrzał do tyłu. Dziewczyna wytrzymała jego wzrok. Wiedziała, że nic jej nie grozi, że on ich nie wrobi. Uśmiechnęła się śmiało, z jej oczu była stara jak świat seksualna mądrość.

Gdy Cashin zajechał przed komisariat, z frontowych drzwi wyszedł Carl Wexler – poruszał się ze sprawnością kulturysty. Rok wcześniej ukończył akademię policyjną, z trzecią lokatą.

Wcale niegłupi, ale był też miejskim chłopakiem, przepelnionym urazą, że skierowano go na służbę tam, gdzie nic poważnego się nie działo.

Cashin opuścił szybę w samochodzie.

– Dzwonili z Cromarty, szefie – poinformował Wexler. – Starszy detektyw Hopgood chciał mówić z panem.

Cashin wszedł do komisariatu i wybrał numer Cromarty.

– Twój kumpel, inspektor Villani przesyła ci pozdrowienia – zaczął Hopgood. – Jak to się stało, że kolorowi przejęli władzę w policji?

– Selekcja naturalna – odparł Cashin. – Przetrwali najlepiej odziani.

– Właśnie. Podzielił się ze mną swoimi przemyśleniami. Chce, żebyś do niego zadzwonił.

Cashin nic nie odpowiedział. Hopgood się rozłączył.

– Jak się czujesz na emeryturze? – zapytał Villani. – Byłem tam kiedyś. Bardzo przyjemne miejsce. Słyszałem, że surfingowcy nazywają je Wybrzeżem Sinych Jaj.

– Mięczaki – powiedział Cashin. – O co chodzi?

– Słuchaj, Joe, z mediów dowiedziałem się o Bourgoynie. A komendant Wicken wyjaśnił mi wczoraj, jakie koneksje ma pasierbica starego.

– Takie rzeczy teraz się zaczynają bardziej liczyć w wydziale zabójstw?

– Dowiaduję się przeróżnych rzeczy. Dzisiaj pan Angol komisarz Wicken udziela mi wskazówek co do tego, jak mam się zachowywać w kontaktach z dziennikarzami. Także rad na temat obowiązującej mody. Jaki garnitur, jaka koszula, jakie buty. Bardzo to lubię.

– No więc?

– Chcę, żebyś ty się tym zajął.

– Jestem kaleką, który kieruje teraz komisariatem w Port Monro. Poślij tego fiuta Allena.

– Joe, jesteśmy zdziesiątkowani; w jednym miesiącu wszyscy przeszli na emeryturę. De Piero odszedł. Tozer jest na zwolnieniu z powodu ciężkiego stresu, a co do twojego kumpla Allena, jego żona ulotniła się z rzeźnikiem z Vic Market i zabrała dzieciaki. Teraz on pociesza się jakimś mistycznymi bzdurami. Nie wysłałbym go nawet do rodzinnej awantury buddystów. – Chwila milczenia. – Poza tym – ciągnął Villani – kiedy gazety dobiorą się do tego za kilka dni, dowiesz się, że byli kolesie z brygady antynarkotykowej, którzy okazali się przestępcami, znowu zabijają się wzajemnie. Wielka szefowa miała się pozbyć wszystkich cwaniaków i awansować tych lojalnych, ale patrz, mamy to samo co zawsze. Więc kilku moich marnuje czas na zupełnie bezsensowną robotę. Próbują się dowiedzieć, który to

konkretnie sukinsyn zabił innego sukinsyna, za co generalnie powinniśmy być tylko wdzięczni. Jako miasto, stan, kraj. Jako cały pieprzony świat.

– Za bardzo się podniecasz – powiedział Cashin. – A jeśli chodzi o Bourgoyne’a, co tam znaleźli genialni technicy sądowi?

– Nic. Szlag by to trafił. Żadnego włamania, żadnych odcisków palców. Żadnej broni. Żadnego obcego DNA. Nie wiadomo, co zginęło oprócz zegarka. Aha, szuflady w gabinecie i sypialni Bourgoyne’a, wcześniej zamknięte na klucz, zostały wylamane.

– A on sam?

– Prawdopodobnie to morderstwo. To znaczy, facet na razie żyje, ale jest rośliną.

– Zastanawiałeś się kiedyś, czemu taki stan nazywa się byciem rośliną? Dlaczego nie wymyślono określenia bliższego naszemu gatunkowi, związanego z jakimś stworzeniem albo istotą...

– „Pozostawmy takie filozofowanie na dyskusję w pubie, panowie”.

To było powiedzenie Singa z czasów przed Raiem Sarrisem.

– Więc co mam robić? – zapytał Cashin.

– Ze względu na te koneksje pasierbicy potrzebny jest do tej sprawy funkcjonariusz starszy rangą. Nie życzę sobie żadnych obciachów. Potrafię wyczuć sytuację, Joe.

– A co z Cromarty?

– Pieprzyć ich. To są słowa komisarza.

– A jeśli powiem „nie”?

– Posłuchaj, synu, nadal jesteś funkcjonariuszem wydziału zabójstw. Na urlopie. Pamiętaj, jakie są twoje obowiązki?

– Niektóre rzeczy, tak.

– To dobrze, że nie muszę mówić nic więcej.

– Ty dupku.

– Przyjdź do mojego biura i powtórz to – powiedział Villani. – Najpierw rozmowa z panią Bourgoyne, pasierbicą. Poproszono ją, żeby rozejrzała się po domu, powinna być na miejscu za godzinę. Ci z Cromarty otworzą jej drzwi.

– Była przesłuchiwana?

– Nie. Chcemy, żebyś jej towarzyszył podczas oględzin. Przyjrzyj się, czy zauważy, że zginęło cokolwiek innego. Dowiedz się, co było w szufladach, czy spostrzegła coś niezwykłego podczas ostatniej wizyty, jakie miałyby wskazówki lub sugestie.

– Czy ty aby na pewno potrzebujesz funkcjonariusza wyższego rangą? Czemu po prostu nie udzielił twoich tak cudownie szczegółowych instrukcji jakiemuś kutasowi z

drogówki?

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam... Jezu, nie bądź taki drażliwy.

– A co z resztą rodziny?

– Nie ma żadnych bliskich krewnych. Jego pasierb, brat Eriki, podobno utonął w Tasmanii wiele lat temu.

– Podobno?

– No dobra, sprawdzimy to. Wezmę jakiegoś kutasa z drogówki, żeby zbadał sprawę. Dam mu dokładne instrukcje.

– Po prostu pytam.

Cashin ruszył do rezydencji Bourgoyne'a stromą drogą odchodzącą od szosy, przejechał przez bramę wprost na kręty, wysadzany topolami podjazd i zaparkował samochód w tym samym miejscu, gdzie poprzednio. Na żwirze widać było ślady wielu samochodów.

Zatrzymał się i czekał, słuchał radia i myślał o okresie wędrówki z matką, o innych dzieciach, spotkanych wtedy, które były zdziczałe, nie chodziły do szkoły, o łobuziakach spędzających całe dnie na plaży, białych, ale opalonych na brąz lub pokrytych piegami. Myślał o chłopcu, który uczył go surfingu w Nowej Południowej Walii, mogło to być zresztą w Ballinie. Chłopiec nazywał się Gavin. Pozwolił Cashinowi używać mocno wyszczerbionej deski.

– Rekin, kolego – powiedział Gavin. – Przegryzł surfera na pół. Facet już jej nie potrzebuje, możesz sobie pożyczyć.

Kiedy odjeżdżali, podarował mu tę deskę. Gdzie podziewał się teraz Gavin? Gdzie była deska? Cashin bardzo ją lubił, naprawił. „Nudzi mi się tu, kochanie. Wyjeżdżamy”.

Jego matka powtarzała to przed każdą przeprowadzką dalej na północ.

Cashin wysiadł z samochodu, żeby rozprostować kręgosłup. Przeszedł się, zataczając koło. Nadjeżdżało jakieś auto.

Zza zakrętu wynurzył się czarny saab, zaparkował za radiowozem. Kierowca wysiadł powoli – potężny mężczyzna z krótko ostrzyżonymi włosami, w dżinsach i rozpiętej skórzanej kurtce.

– Cześć. John Jacobs, Ochrona Osobista Grupa Orton. Jestem byłym sogowcem. Chciałbym zobaczyć twój dokument tożsamości.

Członkostwo Specjalnej Operacyjnej Grupy Policyjnej obdarzało swojego rodzaju

boskością i nic tego nie zmieniało – nawet, gdy kogoś wykopano za tchórzostwo albo za to, że okazał się brutalnym psychopata.

Cashin spojrzał na radiowóz.

– To mój samochód. Myślisz, że mógłbym być niebezpiecznym przestępcą, który ukradł wóz policyjny?

– Niczego nie przyjmuj za pewnik – odparł Jacobs. – To żelazna zasada, która obowiązywała w policji.

– Nadal tak jest. I to ja proszę o dokument tożsamości.

Jacobs uśmiechnął się z przymkniętymi ustami, potem błysnął lewym kłębem i wyjął plastikową kartę z fotografią. Cashin przyglądał się jej przez chwilę, zerkając jednocześnie na Jacobsa.

– Pani musi przez ciebie czekać – powiedział Jacobs. – Potrzebne ci lepsze światło? Na pewno nie chcesz wsparcia?

– Jakie dzisiaj wykonujesz zadanie? – spytał Cashin.

– Czuwam nad bezpieczeństwem pani Bourgoyne.

Cashin oddał mu kartę. Jacobs obszedł samochód i otworzył drzwi pasażera. Wysiadła wysoka, szczupła blondynka, wiatr rozwiewał jej długie włosy. Uniosła rękę, by je przytrzymać. Tuż po czterdziestce, ocenił Cashin.

– Pani Bourgoyne?

– Tak.

Była atrakcyjną kobietą z wyrazistymi rysami twarzy i szarymi oczami.

– Cashin, detektyw z wydziału zabójstw. Rozumiem, że inspektor Villani rozmawiał już z panią.

– Tak.

– Pozwoli pani, że rozejrzemy się tutaj trochę? Bez pana Jacobsa, jeśli się pani zgodzi.

– Nie wiem, na co mam zwracać uwagę – powiedziała.

– To zawsze jest trudne. Po prostu przejdziemy się po domu. Proszę się dobrze wszystkiemu przyjrzeć i zastanowić, co zwróciło pani uwagę.

– Dobrze, wejdźmy przez boczne drzwi.

Poprowadziła go dokoła werandy. Po wschodniej stronie rozpościerała się przestrzeń wypełniona rozgrzebanym żwirem, usianym gładkimi głazami, kończąca się przyciętym żywopłotem. Pani Bourgoyne otworzyła szklane drzwi do pokoju, który miał podłogę z kamiennych płyt. Wokół niskich stolików stały wiklinowe krzesła. W ogóle nie docierało tu słońce, ale w pokoju było ciepło.

– Chciałabym jak najszybciej mieć to za sobą – oznajmiła Erica.

– Oczywiście. Czy pan Bourgoyne trzymał w domu pieniądze?

– Nie wiem. Czemu miałby je tu przechowywać?

– Ludzie tak robią. Co jest za tymi drzwiami?

– Korytarz.

Poprowadziła go do szerokiego holu.

– Tu są sypialnie i salon. – Otworzyła drzwi.

Cashin wszedł do środka i zapalił górne światło. Zobaczył obszerny pokój, zasłony na oknach były zaciągnięte, na ścianach wisiały cztery rysunki w czarnych ramkach wykonane piórką. Wszystkie zrobił ten sam artysta, szkicując sceny uliczne prostymi pionowymi liniami. Nie były podpisane.

Na szerokim łóżku leżały białe narzuty i duże poduszki.

– Nie ma tu niczego, co można by ukraść – stwierdziła Erica.

– Co jest na górze?

– Sypialnie.

Cashin zajrzał do pokoi jadalnych. Sprawiały wrażenie nietkniętych. Przy drzwiach do dużego salonu Erica przystanąła i odwróciła się do Cashina.

– Pójdę pierwszy – powiedział.

Pokój lekko pachniał lawendą i czymś jeszcze. Światło z wysokiego okna padało na dywan, przed którym wisiał przecięty obraz. Plama krwi była zakryta kawałkiem czarnego plastiku przyklejonym taśmą.

Cashin podszedł bliżej i otworzył barek z drewna cedrowego stojący pod lewą ścianą: whisky, brandy, džin, wódka, pimms, cinzano, sherry, wszelkiego rodzaju likiery, kieliszki do wina, szklaneczki i kieliszki z rżniętego szkła do whisky, kieliszki do martini.

W małej lodówce stały napoje: woda sodowa, tonik, woda mineralna. Żadnego piwa.

– Wie pani, co było w biurku?

Pod jedną ze ścian stał mały stolik na cienkich nogach ze skórzanym pokryciem.

Erica wzruszyła ramionami.

Cashin otworzył lewą szufladę. Bloki listowe, koperty, dwa wieczne pióra, dwie buteleczki z atramentem. Zdjął górny arkusz listowy, otworzył, podniósł do światła. Żadnych śladów. W drugiej szufladzie znalazł srebrny nóż do papieru, zszywacz, pudełko ze zszywkami, dziurkacz, spinacze.

– Dlaczego nie zabrali sprzętu elektronicznego? – zapytała.

Cashin spojrzął na szwedzki zestaw. W swoim czasie najdroższy na rynku.

– Za duże – stwierdził. – Był tu telewizor?

– W drugim salonie. Ojczym nie za bardzo lubił telewizję.

Cashin spojrział na półki z CD obok odtwarzacza. Muzyka klasyczna. Orkiestrowa. Operowa. Dziesiątki płyt. Wyjął jedną z nich, włożył, nacisnął przycisk.

Maria Callas.

Pokój miał doskonałą akustykę. Cashin przymknął oczy.

– Czy to konieczne? – odezwała się Erica.

– Przepraszam. – Cashin wcisnął przycisk „off”. Głos Callas jakby jeszcze utrzymywał się, w powietrzu, w wysokich, ciemnych kątach pokoju.

Wyszli z salonu, ruszyli innym korytarzem.

– Tam jest gabinet. – Erica wskazała kolejne drzwi.

Cashin wszedł do wielkiego pokoju. Na trzech ścianach, oprócz kilku obrazów, wisiały liczne fotografie w ciemnych ramkach; na czwartej od podłogi po sufit były półki wypełnione książkami. Biurko miało łukowaty blat z jasnego drewna i kwadratowe ciemne nogi, zwężające się ku górze. Równie nowoczesny fotel, ze skóry i chromu. Inny, chyba bardziej wygodny, stał przed oknem.

Zamki dwóch ciężkich i wysokich drewnianych szafek – każda liczyła po sześć szuflad – zostały wyłamane, być może łomem. Pozostawiono je tak, jak znaleziono w tamten poranek.

– Orientuje się pani choć trochę, co w nich było? – zapytał Cashin.

– Zupełnie nie.

Cashin spojrział na zawartość szuflad: listy, papiery. Obszedł pokój, przyglądając się fotografiom. Wydawały się ułożone w porządku chronologicznym. Odniosł wrażenie, że obejmowały okres co najmniej siedemdziesięciu lub osiemdziesięciu lat – rodzina, portrety, młodzieńcy w mundurach, śluby, przyjęcia, pikniki, sceny na plaży, dwaj mężczyźni w garniturach stojący na tle grupy osób w kombinezonach, tablica pamiątkowa na budynku odsłaniana przez kobietę w kapeluszu.

– Czy na którymś ze zdjęć jest pani ojczym? – zapytał Cashin.

Erica wskazała na uśmiechającego się chłopca, wyrostka w szkolnym mundurku, w białym stroju do krykieta, w drużynie futbolowej, potem na młodzieńca o szczupłej twarzy w smokingu, mężczyznę w średnim wieku ściskającego dłoń jakiegoś starszego pana. Charles Bourgoyne starzał się powoli, nie tracąc dobrej aparycji i ani jednego włosa.

– A tu są konie. – Wskazała fotografie. – Prawdopodobnie ważniejsze w jego życiu niż ludzie.

Ściana ze zdjęciami koni i ludzi z końmi. Dziesiątki fotografii, niektóre sepiowe, niektóre podbarwione, trochę kolorowych. Charles Bourgoyne jadący na koniach, prowadzący konie, głaszczący je i całujący ich chrapy.

– A pani matka? Żyje?

– Nie. Umarła, kiedy byłam jeszcze mała.

Cashin popatrzył na półki z książkami: powieści, historia, biografie, rzędy publikacji o Japonii i Chinach, ich sztuce i kulturze. Nad nimi stały książki o II wojnie światowej, wojnie z Japonią, książki o australijskich jeńcach pojmanyh przez Japończyków.

Były też książki na temat ceramiki i garncarstwa, trzy półki pozycji technicznych.

Przeszli dalej.

– To jego sypialnia – poinformowała Erica Bourgoyne. – Nigdy tu nie byłam i nie sądzę, żeby teraz miało się to zmienić.

Cashin znalazł się sam w pokoju urządzonej na biało: łóżko, stół, na nim zwyczajna lampa, biurko, cztery otwarte szuflady. Dolne zostały wyłamane. Za drzwiami znajdowała się garderoba. Cashin spojrział na ubrania Bourgoyne'a: marynarki, garnitury, koszule na wieszakach, skarpetki i bielizna w szufladach, buty na stojaku. Wszystko wyglądało na drogie, nic nie sprawiało wrażenia nowego.

Była tam też lakierowana szafa. Otworzył ją i poczuł czysty zapach drewna cedrowego. Jedwabna garderoba na wieszakach, półka ze zwiniętymi szarfami.

Pomyślał, że mógłby poprosić Erice, aby tu weszła.

Nie.

Dalej znajdowała się łazienka ze ścianami i podłogą wykładanymi kafelkami, z drewnianą wanną w kształcie beczki, sedesem, prysznicem, który się składał tylko z dwóch perforowanych krążków z nierdzewnej stali; z jednego leciała woda, na drugim się stawało. Kostki jasnożółtego mydła, jednorazowe nożyki do golenia, szampon. Cashin otworzył zwyczajną drewnianą szafkę: trzy stosy ręczników, mydło, paczki zapasowych nożyków, papier toaletowy, chusteczki higieniczne.

Wrócił do Eriki. Obejrzelikolejną sypialnię; przypominała pokój w luksusowym hotelu. Był tu mały salonik z dwoma fotelami i kominkiem. Obok mieściła się staromodna łazienka, Cashin nie dostrzegł w niej niczego niezwykłego. Na końcu korytarza znajdowała się pralnia z nową pralką i suszarką.

Po drugiej stronie składzik; półki ze stosami grubej, białej bielizny pościelowej, obrusów, serwetek, białych ręczników; sprzęt niezbędny do sprzątnięcia. Wracali tą samą drogą, którą przyszli.

– Tu jest jeszcze jeden salon – powiedziała Erica. – Ten z telewizorem.

Cztery skórzane fotele przy kominku, telewizor na półce po lewej stronie, następny szwedzki zestaw audio po prawej. Przytulnie tu w porównaniu z innymi pokojami tego domu, pomyślał Cashin.

– No, cóż. To wszystko. Nie musimy iść na górę. Przypuszczam, że tam niczego nie tknięto.

Erica patrzyła na niego przez chwilę, z wyrazem niepewności w oczach.

– Ja chciałabym zajrzeć na górę – oznajmiła. – Pójdzie pan ze mną?

– Oczywiście.

Przeszli przez dom do holu wejściowego i ruszyli po szerokich marmurowych schodach do podestu, potem po następnych schodach. Cashin przez całą drogę zaciskał zęby z bólu, ale nie skrzywił się ani razu. Na szczycie, wokół klatki schodowej, biegła galeria, było tam sześćcioro drzwi z ciemnego drewna cedrowego, wszystkie zamknięte. Stali na perskim dywanie w snopie światła padającego z góry.

– Chcę zabrać trochę rzeczy z pokoju mojej matki, jeśli tam jeszcze są – wyjaśniła Erica. – Do tej pory nie miałam odwagi.

– Jak długo pani czekała?

– Prawie trzydzieści lat.

– Będę tutaj – powiedział Cashin. – Chyba że...

– Nie, w porządku.

Podeszła do drugich drzwi po lewej stronie. Widział, jak się zawahała, otworzyła je, wyciągnęła rękę w stronę mosiężnego kontaktu, weszła do środka.

Cashin otworzył najbliższe drzwi i zapalił światło. Bardzo duża sypialnia. Stały tu dwa pojedyncze łóżka z białymi narzutami, dwie szafy, toaletka, biurko przed oknem zasłoniętym kotarami. Przeszedł po blad różowym dywanie pikowanym jak kołdra i rozsunął zasłony. Jego oczom ukazała się stajnia zbudowana pod koniec XIX wieku z czerwonej cegły, a za nią zobaczył wierzchołki drzew, prawie nagie gałęzie chwiejące się na wietrze i niskie wzgórce upstrzone rdzawymi jesiennymi liśćmi.

Wrócił na galerię, podszedł do balustrady, spojrział w dół klatki schodowej na wejściowy korytarz i przez moment poczuł zawrót głowy; naszła go chęć, by skoczyć przez barierkę.

– Już – odezwała się z tyłu Erica.

– Znalazła pani to, czego szukała?

– Nie. Nic tam nie ma. Płonne nadzieje.

Wrócili na oszkloną werandę i usiedli naprzeciwko siebie przy stole ze szklanym blatem.

– Zauważyła pani coś, o czym warto by wspomnieć? – zapytał Cashin.

– Nie. Przykro mi, nie na wiele się przydałam. Jestem prawie obcą osobą w tym domu.

– Jak to możliwe?

Spojrzała na niego ostrym wzrokiem.

– Po prostu tak już jest.

– Wszystko było zamknięte w nocy, alarmy włączone? – zapytał.

– Nie wiem, od bardzo dawna nie spędzałam tu nocy.

Należało teraz przejść do następnego punktu.

– Co się dzieje z pani bratem, pani Bourgoyne?

– Nie żyje.

– Utonął, już mi mówiono.

– W Tasmanii. W 1989.

– Poszedł popływać?

Erica poprawiła się w krześle, skrzyżowała nogi w sztruksowych spodniach, pokiwała lśniącem czarnym butem.

– Prawdopodobnie. Jego rzeczy leżały na plaży. Ciała nie odnaleziono.

– Dobrze. Więc była tu pani we wtorek rano.

– Tak.

– Często odwiedza pani ojczyma?

Erica roztała dłonie.

– Często? Nie.

– Nie jesteście w dobrych stosunkach ze sobą?

Skrzywiła się, na jej twarzy pojawiły się zmarszczki; teraz wyglądała znacznie starzej.

– Nigdy nie byliśmy ze sobą blisko. To się wiąże z historią naszej rodziny. Chodzi o atmosferę, w jakiej dorastałam.

– A powód tej ostatniej wizyty?

– Charles chciał się ze mną zobaczyć.

– A konkretnie?

– Ależ pan natrętny. Do czego wam to potrzebne?

– Pani Bourgoyne, jeszcze nie wiem, jakie informacje są nam potrzebne. Ale jeżeli pani woli, żebym zapisał do protokołu, że pani odmówiła odpowiedzi na to pytanie, proszę bardzo. Odnotuję to.

Wzruszyła ramionami niezadowolona.

– Zamierzał porozmawiać o swoich sprawach.

Cashin czekał do momentu, gdy stało się jasne, że Erica nie powie już nic więcej.

– Inna sprawa. Kto dziedziczy majątek?

Otworzyła szeroko oczy.

– Nie mam pojęcia. Co pan sugeruje?

– Tylko pytam. Nie rozmawiała pani z ojczymem o jego testamencie?

Roześmiała się.

– On nie należy do osób, które chciałyby rozmawiać o swoim testamencie. Wątpię, czy kiedykolwiek nawet pomyślał o swojej śmierci. Uważa, że to przydarza się istotom niższego gatunku.

– Zakładając, że znał osobę, która na niego napadła...

– Czemu miałby pan to zakładać?

– Jeden z możliwych kierunków śledztwa. Komu mogło zależeć na jego śmierci?

– O ile wiem, jest postacią bardzo szanowaną przez okolicznych mieszkańców. Ale ja tu nie mieszkam, od czasu... gdy byłam dzieckiem. Czasem tylko przyjeżdżałam z wizytą.

Odwróciła wzrok. Cashin spojrzał w tę samą stronę, na doskonale uporządkowany żwir, rozciągający się aż po żywopłot. W otoczeniu rezydencji Wzgórz nie dostrzegł niczego, co poprawiałoby nastrój tego, kto tutaj przebywał – żywopłoty, trawniki, nawierzchnia, żwir... wszystko było w odcieniach zieleni i szarości. Uzmysłowił sobie nagle, że nie ma tu żadnych kwiatów.

– Usunął stąd wszystkie rabaty i klomby – powiedziała, jakby czytając w myślach Cashina. – A były takie cudowne.

– Ostatnia sprawa. Czy wie pani o czymś, co mogłoby wyjaśnić to tragiczne zajście?

– Na przykład?

– Chodzi o coś, co mogłoby stać się przedmiotem śledztwa w sprawie morderstwa.

– Co to znaczy?

– Nic w życiu żadnej z osób należącej do otoczenia pani ojczyma nie pozostanie sprawą ściśle prywatną.

Wyprostowała się, obrzuciła go zimnym spojrzeniem.

– Chce pan powiedzieć, że jestem podejrzana?

– Wszystkim będziemy się bacznie przyglądać.

– A co z całkowicie obcymi ludźmi? – spytała. – Są szanse, że zainteresujecie się tymi, którzy wdarli się do domu i napadli mojego ojczyma?

Miał ochotę odpowiedzieć jej równie sarkastycznym tonem.

– Są wielkie szanse – odparł. – Ale wobec braku śladów włamania musimy brać pod uwagę inne możliwości.

– Dobrze. – Spojrzała na zegarek z wąskim srebrnym paskiem. – Chciałabym już odjechać. Jest pan z tutejszej policji?

– Pozostanę tu tak długo, jak będzie trzeba. Czy mogę wiedzieć, czemu towarzyszy pani ochroniarz?

– To jest związane z moją pracą. Po prostu pewne zabezpieczenie.

Erica podniosła się z krzesła. Cashin też wstał.

– Czuje się pani zagrożona?

Uniosła prawą rękę.

– W moim zawodzie to sprawa poufna. Do widzenia.

Uścisnęli sobie dłonie. Były sogowiec Jacobs wkroczył na podjazd, by zobaczyć, jak gliniarz odjeżdża. Cashin spostrzegł w lusterku, że Jacobs pomachał mu szyderczo z szeroko rozłożonymi palcami, jakby ścierał z twarzy swój uśmiech twardziela.

Ruszył gwałtownie radiowozem i obsypał Jacobsa żwirem. Ochroniarz próbował osłonić jeszcze przed chwilą uśmiechniętą twarz.

Kiedy Cashin wyjechał na drogę za Open Beach, skręcił na skrzyżowaniu z autostradą i pojechał z powrotem przez Port Monro. Kupił sobie kawę. Zaparkował nad Lucan Rocks. W dole zobaczył kilku surferów, niektórzy mierzyli się już z wielkimi bałwanami, inni jeszcze się wahali.

Siedział w ciepłym samochodzie i patrzył, jak wiatr unosi pianę znad fal. Widział półprzezroczystą zieleń narastającej ściany wodnej, szybujące czarne postacie – kojące nerwy, pełne poezji wznoszenie się i opadanie.

Myślał o pogryzionej przez rekina desce surfingowej Gavina, pływaniu na niej po wodzie cieplej jak w wannie. Teraz woda była zimna. Przypomniał sobie lodowate kąpiele w czasach swojej młodości, gdy mieli rodzinną chatę nad Open Beach, a buda Doogue'ów znajdowała się po drugiej stronie następnej wydmy – nierówne, surowe konstrukcje z blachy falistej i pozbieranych desek. W tamtych dniach w mieście były dwa bary mleczne, dwa sklepy rzeźnicze, sklep z rybami i frytkami, z artykułami żelaznymi, jedna apteka, jeden lekarz. Bogaci, głównie hodowcy owiec, mieli domy letniskowe na Ławicy, między morzem

a rzeką. Inni mieszkali w głębi lądu w chatach nad Open Beach lub w South Port, albo na ulicach za kempingiem dla przyczep turystycznych.

Przypomniawszy sobie, jak jego ojciec zatrzymał forda falcon na drewnianym moście i patrzył wzdłuż rzeki na jachty i żaglówki przycumowane po obu jej stronach.

– To miejsce zmienia się w cholerną Riwierę – powiedział ojciec.

– Co to jest Riwiera? – zapytał Joe.

– Monako jest na Riwierze – wtrącił się Michael.

Mick Cashin spojrzawszy na Michaela.

– Skąd wiesz?

– Czytałem – odparł Michael. – To tam, gdzie mają wielkich członków.

– Wielkich członków? – zdziwił się Mick Cashin. – Chodzi ci o wielkie członki czy o członków rodziny królewskiej?

– Nie bądź nieprzyzwoity, Mick – obruszyła się matka i trzepnęła ojca w policzek.

Każdego roku na plaży było coraz więcej miejskich dzieci. Poznawało się je po ich uczesaniu, ubraniach i po tym, że starsze z nich, chłopcy i dziewczęta, nosili na szyjach łańcuszki, palili i nie bardzo się przejmowali tym, czy ktoś to widział.

Cashin myślał o niedzielnym zimowym poranku, kiedy przyjechali do swojej chaty i zobaczyli, że należąca do ich sąsiada Macca chałupa zniknęła. Nie było prawie nic prócz piasku tam, gdzie przedtem stał niski pobielany budynek, lekko pochylony do tyłu.

Joe zdumiony krążył wokół. W ziemi tkwiły paliki i kiedy zjawili się tu następnym razem, na cementowej płycie zobaczyli już w połowie zbudowany nowy dom.

To było ostatnie lato, które spędzili w nadmorskiej chacie, ostatnie wakacje przed śmiercią ojca. Po latach zapytał matkę, co stało się z ich dawnym domem.

– Musiałam sprzedać. Nie mieliśmy pieniędzy.

Teraz nie wystarczyło być bogatym, żeby posiadać dom w buszu drzew herbacianych na Ławicy, i żadna chata nie przerywała linii nowych dachów biegnącej na tle nieba nad Open Beach; na niegdyś niewiele wartych wydmach wyrosły szeregi domów z drewnianymi tarasami i oszklonymi oknami. Każdy nie mniej niż sześćset patyków.

Do portu nadpływała rybacka łódź.

Cashin ją znał. Należała do przyjaciela Berna, który miał brata, podejrzanego typa, nielegalnie łowiącego uchowce. Tylko sześć łodzi nadal wypływało na połowy z Port Monro, przywoziło raki i kilka skrzynek ryb – to był jedyny przemysł w mieście oprócz fabryki kazeiny. Jeśli nie liczyć sześciu restauracji, pięciu kawiarni, trzech butików, dwóch sklepów ze starociami, jednej księgarni, czterech masażystów, jednego aromaterapeuty, trzech

zakładów fryzjerskich, dziesiątek pensjonatów oferujących zakwaterowanie ze śniadaniem, labiryntu i muzeum lalek.

Cashin dopił kawę i pojechał do pracy dłuższą drogą przez Muttonbird Rocks, gdzie na ulicach nie widać było nikogo, większość domków letniskowych stała teraz pusta. Przejechał wzdłuż obu stron kwartału handlowego obok dwóch supermarketów, trzech biur agentów sprzedaży nieruchomości, trzech gabinetów lekarskich, dwóch firm prawniczych, kiosku z prasą, sklepu sportowego i hotelu Shannon na rogu Liffey i Lucas.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych miejscowy diler narkotyków i deweloper kupił zamknięty na głucho, zapaskudzony przez mewy hotel. Ludzie wciąż jeszcze wspominali bójkę w barze, jaka się rozegrała tam w 1969 roku – potrzebne były dwie karetki z Cromarty, by zabrać wszystkich poszkodowanych do szpitala. Nowy właściciel wydał ponad dwa miliony dolarów na Shannon. Jego dostawcy zatrudnili praktykantów, pokupowali nowe pikapy, podarowali żonom nowe kuchnie – niemieckie urządzenia, granitowe blaty stołowe.

Dwaj mężczyźni w czapkach wyszli z Oriona, wciąż jeszcze czynnej mordowni, czekającej na inwestora. W pierwszym tygodniu po objęciu przez Cashina komendy nad tutejszym komisariatem trzej angielscy turyści wędrujący z plecakami popijali tutaj w porze lunchu. Zaczęli się stawiać miejscowym łobuzom. Jeden z nich otrzymał nokautujący cios, upadł i pozostał na podłodze przygwożdżony kilkoma kopniakami. Dwaj inni, chudzi chłopcy z Leeds, umieli dobrze uderzać bykiem i kopać, więc udało im się załatwić napastników, zanim Cashin z partnerem zjawił się na miejscu.

Wyższy z dwóch mężczyzn na chodniku obrzucił Cashina wrogim spojrzeniem. Ronnie Barrett. Miał za sobą różne wyroki – za napad, jazdę po pijanemu, prowadzenie bez prawa jazdy. Teraz był na zasiłku dla bezrobotnych, inkasował trochę gotówki za ściąganie i niszczenie wraków aut w Cromarty. Miał zakaz zbliżania się do byłej żony po tym, jak kiedyś w domu posłużył się swoimi umiejętnościami niszczenia.

Cashin zaparkował przed komisariatem i siedział przez chwilę w samochodzie, patrząc, jak wiatr sprawdza wytrzymałość sosen. Nadchodziła zima. Myślał o lecie, porze, gdy Port Monro był pełen rozpuszczonych jak dziadowski bicz miejskich dzieci; o ich jasnowłosych matkach, niemrawych ojcach w mokasynach. Cruisery, mercedesy i beemersy zajmowały wszystkie parkingi na głównych ulicach, mężczyźni siedzieli w kawiarniach i w letnich ogródkach, stali w sklepach z rękami przy głowach i wrzeszczeli do swoich komórek, krzywiąc się przeraźliwie.

Ale pora roku się zmieniła. Nadszedł maj, zimne deszcze i wiatry bezlitośnie chłostały skórę. Pozostali tylko najtwardsi – bezrobotni, zatrudnieni poniżej swoich kwalifikacji i ci bez

żadnych szans na pracę z powodu braku kwalifikacji, pijacy i narkomani, emeryci i renciści, ludzie żyjący z zasiłków, chromi i kulawi. Teraz widział miasto, jakby patrzył na miejsce po pożarze. Cała łagodność zniknęła: wokół wychodnie skał, ciemne zleby, żaroodporne odpady brązowych butelek po piwie i szkielety samochodów.

Ronnie Barrett, to był Port zimą. Powinno się go umieścić na plakacie: „Poznaj prawdziwe Port Monro”.

Cashin wszedł do komisariatu, porozmawiał z Kendall. O tej porze pełnili służbę jednocześnie, ich dyżury zachodziły na siebie. Napisał raport o swej wizycie we Wzgórzach, przesłał go Villanemu, wydrukował dwie kopie do kartoteki.

Potem zadzwonił do wydziału zabójstw i porozmawiał z Tracy Wallace, starszym analitykiem.

– Znowu w kieracie, co? – zagadnęła. – Słyszałam, że u was jest beznadziejnie.

Cashin patrzył na flagę zeszywniała na arktycznym wietrze jak deska.

– Bzdura. Tylko ludzie nadwrażliwi tak by powiedzieli. Co z Bourgoune'em?

– Bez zmian. Słuchaj, jeśli doszedłeś do siebie, wróć do nas, proszę. Mamy tu coraz więcej młodych gnojów.

– Cierpliwości. Niedługo zmienią się w starych gnojów.

Zmiana Cashina dobiegła końca.

Wracał do domu wiejskimi drogami. Niedawno wydojone krowy, uwolnione na jakiś czas od kołyszających się brzemiem, obracały się, by spojrzeć na niego ciemnymi, lśniącooczami.

Ani śladu Dave'a Rebba.

Cashin przywołał psy, zrobił coś do jedzenia, potem oglądał telewizję. Cały czas ból narastał. Zemścił się za godziny, kiedy Cashin musiał trzymać się prosto.

Po wyjściu ze szpitala długo nie mógł wytrzymać bez silnych środków przeciwbólowych. Odstawienie ich było najtrudniejszą rzeczą, na jaką kiedykolwiek się zdobył. Teraz miał do wyboru dwa leki – aspirynę i alkohol, marne namiastki.

Wstał, nalał sobie dużą porcję whisky, popił nią trzy pastylki aspiryny. Callas, Bergonzi i Gobbi zawsze pomagali. Podszedł do swojego najdroższego sprzętu, zestawu stereo wartego dwa tysiące dolarów i nastawił CD. Wybrał *Toscę* Pucciniego. Muzyka wypełniła wielkie pomieszczenie.

Miłość do opery i książek zawdzięczał Raimondowi Sarrisowi, zbrodniczemu małemu sukinsynowi. Kiedyś opera wydawała mu się bzdurą. Uważał, że ludzie pozujący na artystów tylko udawali, że ją lubią. Otyli mężczyźni i grube kobiety śpiewający w obcych językach. Książki, owszem, były w porządku, ale czytanie zabierało zbyt wiele czasu, a on miał tyle rzeczy do zrobienia. Pozostawało mu zaledwie kilka wolnych chwil w ciągu każdego dnia zarówno przed Vickie, jak i później. Wychodził wcześniej z domu, wracał niemal w nocy, jadał przy biurku, w samochodzie albo na ulicy. W wolnym czasie spał, chyba że ktoś, przeważnie jakiś gliniarz, trąbił z ulicy. Jechali razem na wyścigi, mecz futbolowy, na ryby, wpadali do któregoś z kolegów na grillowane mięso i piwo, rozmawiali o pracy.

A potem nastał Rai Sards.

Po Raiu Cashin przez wiele godzin w ciągu dnia i nocy nie był w stanie robić niczego poza czytaniem i oglądaniem telewizji. Nocami, kiedy próbowano odstawić go od środków przeciwbólowych, mimo bólu w plecach, udach, miednicy, zawsze udawało mu się w zasnąć. Zapadał w głęboką przestrzeń bez snów. Ból budził go powoli, jak dźwięk daleki, ale uparty, jak płacz dziecka, który wydaje się częścią snu. Poruszał się, nie całkiem rozbudzony, układał się na wszelkie sposoby, usiłując znaleźć pozycję, w której ból by zelżał. W pewnym momencie rezygnował i leżał na plecach – spocony, obolały od szyi po kolana. Zapalał światło, opierał się na poduszkach, próbował czytać. Zdarzało się to wiele razy w ciągu jednej nocy. Nie wiedział, jak często.

Któregoś dnia pielęgniarka Vincentia Lewis przyniosła mu odtwarzacz CD, dwa małe głośniki i pudełko z płytami, dwudziestoma lub trzydziestoma. „Mojemu ojcu nie będą już potrzebne”, powiedziała. Płyty leżały na szafce przy łóżku nietknięte przez długi czas. Pewnego poranka, czekając, aż zacznie świtać, i czując pulsujący ciągły ból, Cashin zapalił lampę, wyjął pierwszą z brzegu płytę, wsunął ją do odtwarzacza, założył słuchawki i znów zgasił światło.

To była Jussi Björling.

Cashin tego nie wiedział. Wytrzymał kilka chwil, dał płycie minutę, potem następną. Tymczasem światło dnia przedostało się do pokoju, weszła pielęgniarka z porannej zmiany i podciągnęła kremową roletę.

– Wyglądamy dziś trochę spokojniej – powiedziała. – Lepsza noc?

Jakie nazwisko przybrał teraz Rai Sarris? Przez kilka miesięcy prowadzono podsłuch u wszystkich osób, które Rai znał. Nie zadzwonił do nikogo.

Cashin wstał z trudem i nalał sobie następną porcję whisky. Jeszcze kilka łyków i powinien móc zasnąć.

Szli wzdłuż zachodniej ściany domu, przez wysoką trawę. Psy biegły przodem, podskakując, zawisały z wyprężonymi łapami w mglistym powietrzu w nadziei, że dojrzą królika.

– Gdzie dorastałeś? – zapytał Cashin.

– Wszędzie – odparł Rebb.

– A gdzie zacząłeś?

– Nie pamiętam. Byłem dzieckiem.

– No tak, słusznie. Chodziłeś do szkoły?

– Czemu pytasz?

– Ludzie na ogół wiedzą, gdzie chodzili do szkoły.

– Jakie to ma znaczenie? Umiem czytać i pisać.

Cashin zerknął na Rebba – mężczyzna nie spoglądał wstecz, patrzył tylko w przyszłość.

– Lubisz sobie pogadać, co?

– Owszem. Jak to się stało, że chodzisz tak, jakbyś się bał, że coś ci pęknie?

Cashin nic nie odpowiedział.

– Nie zwierzasz się byle komu, prawda? Dlaczego ten dom jest taki, jaki jest?

Psy zniknęły w zieleni. Cashin szedł pierwszy wąską ścieżką, którą wyciął kiedyś nożycami do żywopłotu. Doszli do ruin.

– Brat mojego pradziadka zbudował ten dom, potem część budynku wysadził w powietrze dynamitem. Zamierzał wysadzić wszystko, ale dach zwałił się na niego.

Rebb skinął głową, jakby wysadzanie domu dynamitem było czymś zupełnie zwyczajnym. Rozejrzał się dokoła.

– Więc co chcesz tutaj zrobić?

– Najpierw uporządkować ogród. Potem mógłbym wyremontować dom.

Rebb podniósł kawałek zardzewiałego metalu.

– Naprawić coś takiego? To tak jak budowa katedry w Chartres. Twoje dzieci będą musiały dokończyć robotę.

– Dużo wiesz o katedrach?

– Nie.

Rebb spojrział przez otwór, gdzie kiedyś było okno.

– Myślałem, żeby naprawiać po kawałku – powiedział Cashin bez entuzjazmu; zaczął patrzeć na swój projekt oczyma Reeba.

– Łatwiej zbudować nowy dom.

– Nie chcę tego robić.

– To miałyby sens.

Cóż, może dawniej budowanie wielkich katedr też było bez sensu.

Rebb przeszedł obok ściany, przystanął, szturchnął coś butem, schylił się, by się temu przyjrzeć.

– W przypadku katedry chodziło o religię – powiedział. – Ci biedacy nie wiedzieli, że mieli wybór.

Cashin szedł za nim, torowali sobie drogę dokoła budynku. Rebb kopał czubkiem buta posadzkę. Odślonił kawałek pokryty mozaiką, małe ośmioboczne kafelki, czerwone i białe.

– Ładne – pochwalił. – Masz fotografie tego domu?

– Podobno jest kilka w jakiejś książce, którą mają w bibliotece w Cromarty.

– Tak?

– Zdobędę kopie.

– Potrzebuję taśmy mierniczej. Długą. – Rebb pokazał na migi zwijanie.

– Kupię taką.

– I papier milimetrowy. Zobaczymy, czy uda się nam zrobić rysunki.

Wracali, doszli już do polany, bładoniebieskie wyspy na niebie, psy wypuszczające się do przodu.

– Ktoś tutaj mieszkał przed tobą? – spytał Rebb.

– Raczej nie. Jakiś facet dzierżawił część terenu, hodował owce i czasami tu pomieszkiwał.

– Uporządkowanie ogrodu trochę potrwa – stwierdził Rebb. – Zanim zaczniesz zasadniczą robotę. – W marszu skręcił papierosa, odwrócił się plecami do wiatru, żeby sobie przypalić, ruszył dalej. – Przewidujesz, że ile to zajmie czasu?

– Wiesz, ile czasu może zająć budowa katedry?

– Katolikom?

– Nie – powiedział Cashin. – Tobie.

– Nie mam pojęcia.

Nadbiegły psy; przyszły do Cashina, jakby na spotkanie z przywódcą stada, oczekując rozkazów, propozycji, ciekawych pomysłów.

– Spotkałem kiedyś księdza, który siedział za molestowanie dziewcząt – odezwał się Rebb. – On uważał, że religia jest problemem psychiatrycznym, jak schizofrenia.

– Gdzie go spotkałeś?

Rebb wydał z siebie jakiś dźwięk, może to był śmiech.

– Gdy wędrujesz, spotykasz tylu księży, którzy odsiadali wyroki za molestowane dzieci, że zapominasz, gdzie to było.

Doszli do frontowego wejścia.

– Poczęstuj się, jest żarcie – powiedział Cashin. – Ja zjem na mieście.

Rebb odwrócił się, po czym rzucił przez ramię:

– Zabiorę psy ze sobą do Millane’a. On je lubi.

– Będą twoimi kumplami na całe życie. U Dena musi być im lepiej niż na komisariacie.

Cashin pojechał do Port Monro drogami pełnymi zwłok zwierząt rozjechanych przez samochody – ptaków, lisów, królików, kotów, szczurów; leżał także młody kangur z rozczapierzonymi małymi ramionami. Mijał skrzyżowania, przy których jeden lub dwa pochyłe domy stały na wietrze, a znaki wskazywały kierunek ku innym skrzyżowaniom.

W Port Monro Leon przyrzędził mu bekon na wynos, z sałatą i awokado.

– Myślę o tym, żeby wymalować sobie szyld: „Po wcześniejszym ustaleniu terminu dostawa wiktuałów dla policji w Port Monro”.

– Co to są wiktuały?

– Prowiant, jedzenie. Ogólna nazwa.

– Dziwne słowo.

Cashin zjadł śniadanie na Open Beach. Zaparkował obok klubu ratowników i przyglądał się dwóm surferom ślizgającym się po wierzchołkach fali. Odbijali się, podskakiwali, wspinali się wysoko ludzie-ptaki wirujący w powietrzu na tle jasnego nieba. Otworzył kawę. Nie musiał się spieszyć. Kendall pełniła obowiązki komendanta komisariatu na czas dochodzenia w sprawie Bourgoyne’a. Carlowi Wexlerowi wcale się to nie podobało, ale miał rekompensatę, mógł wyżywać się na przysłanym w zastępstwie z Cromarty chłopaku, jeszcze bardziej zielonym niż on sam.

Bourgoyne.

Brat Bourgoyne’a został stracony przez Japońców. Jak ktoś mógł się interesować kulturą japońską, po tym jak jego brata stracili Japońcy? Ucięli mu głowę. Przecięli szyję i kręgosłup jednym imponującym uderzeniem miecza?

Z zimną krwią. Jak się to stało, że Villani znał Trumana Capote’a? Nie mógł tego widzieć w kinie, bo nie chadzał do kina. Cashin pomyślał, że Villani nie czytał też książek. Jest taki, jakim byłem ja sam przed Raiem Sarrisem. Nie miewa chwil „zastoju”, w których mógłby czytać książki.

Przed Raiem Sarrisem.

Przed Raiem Cashin także by nie wiedział, co znaczy *Z zimną krwią*. To Vicentia dała mu tę książkę. Studiowała zaocznie literaturę. Cashin pochłoniął powieść przez dzień i noc. Potem pożyczyła mu *Pieśń kata* Normana Mailera. Przeczytanie tego zajęło mu mniej więcej tyle samo czasu. Poprosił ją, żeby mu kupiła inną książkę Mailera, i przyniosła z antykwariatu *Umarlaka*, potem *Śmierć i Klątwę*.

– Wszystko o umieraniu? – zdziwił się.

– Spróbuj to przeczytać – zachęciła. – Opowiada o bezsensownym zabijaniu.

Shane Diab nie powinien tam być. Nic nie mogło już tego zmienić. Był po prostu pełnym zapału i entuzjazmu chłopakiem. Tak urzeczonym tym, że znalazł się w wydziale zabójstw, iż zrobiłby wszystko, pojechał w każde miejsce. Pracował po dwadzieścia cztery godziny na dobę i wstawał wcześniej każdego dnia.

Po co myśleć o Shanie. To niczemu nie służyło, gliniarzy zabijano wszelkimi sposobami, mógłby go równie dobrze zastrzelić jakiś dupek i tuman pijany lub na haju. Taka praca.

Odezwała się komórka Cashina.

– Joseph?

Matka.

– Tak.

– Dzwonił Michael. Niepokoję się.

– Dlaczego?

– Jakoś dziwnie mówił.

– To znaczy?

– Jak nie on.

– Skąd dzwonił?

– Z Melbourne.

– Z tego mieszkania, gdzie ma półtorej łazienki?

– To chyba bez znaczenia. – Nuta irytacji.

– W jaki sposób mówił?

– Przygnębionym tonem, był wyraźnie przybity. Jak nigdy dotąd.

– Każdy czasami jest w dołku. Życie to huśtawka. W górę, w dół, krótki odcinek poziomy, jeśli dopisze szczęście.

– Bzdury, Joseph. Ja go znam. Pogadasz z nim?

– A co mu powiem? Twoja mama prosiła, żebym zadzwonił do ciebie? My nie gawędzimy ze sobą. My w ogóle nie rozmawiamy.

Cisza w słuchawce. Surfingowiec wzniosł się w powietrze, zawisł pod swoją deską. Odłączył się od niej, człowiek i deska zniknęli za falą, jakby wpadli w czarną dziurę.

– Joe.

– Tak?

– Mówi twoja mama. Wydałam was obu na świat. Zrobisz to dla mnie? Zadzwońisz do niego?

– Daj mi numer.

– Poczekaj, poszukam. Masz pióro?

Zapisał numer w swoim bloczku, powiedział do widzenia. Surfingowiec pojawił się znowu. Później zadzwonię do Michaela, pomyślał Cashin. Po kilku drinkach. Wykombinuję jakiś powód. Pogawędzimy sobie, cokolwiek, cholera, to znaczy.

Na głównej ulicy Cashin zrobił zakupy: mleko, cebula, marchew, połówka dyni, cztery pomarańcze i kiść bananów. Włożył torby do samochodu i przeszedł się do kiosku z prasą. Nie było tam nikogo prócz Cecily Addison, która oglądała jakieś czasopismo. Spozstrzegła go i odłożyła magazyn na stojak.

– No więc, co się dzieje? – zapytała. – Dlaczego tak wolno wam idzie?

– Śledztwo posuwa się do przodu – odparł Cashin.

Wziął do ręki „Heralda”. Na pierwszej stronie zobaczył nagłówek: „Kurort mógłby dać 200 nowych miejsc pracy”.

– Mówi się, że banda deweloperów zagospodarowuje otoczenie – mruknęła Cecily. – Hieny też je zagospodarowują. Hitler również chciał zagospodarować otoczenie, Francję, Anglię, cały cholerny świat.

Cashin od dawna wiedział, że jeśli Cecily się rozkręci, nie da już dojść do głosu. Nie można nawet odpowiadać na jej pytania.

– Jeżdżę do ujścia, nie pamiętam od jak dawna – ciągnęła Cecily. – Mój kochany, stary tata zrobił nam małe bambusowe lokum. Jest tam niewielka mierzeja, skrawek piasku, doskonałe miejsce do zarzucania wędki. Przy okazji mieliśmy spacer. Parkowało się dodge’a w obozie Bractwa, potem szło się dwadzieścia minut przez wydmy. A wydawało się, że to trwa cały dzień. Warto było, zapewniam. – Zrobiła przerwę na oddech. – Jak pan myśli, co ten szakał Fyfe rzuca czerwonym?

– Nie bardzo rozumiem, pani Addison.

Cecily wskazała gazetę.

– Niech pan czyta i płacze. Socjaliści mówią o tym, by pozwolić Fyfe’owi na rozpoczęcie zabudowy ujścia Stone’s Creek. Hotel, pole golfowe, domy, burdel, kasyno,

wszystko czego potrzebujesz. Na dodatek dziś rano dowiedziałam się, że moja firma działa na rzecz tego kundla. Nic dziwnego, że ludzie uważają, iż upadliśmy niżej niż brzuch węża.

– Po co mu adwokaci?

– Każdy ich potrzebuje. On będzie musiał kupić obóz Bractwa od Charlesa Bourgoyne’a. Ten szmatławiec słowem nie wspomina o tym, że kupno ujścia Stone’s Creek nie ma sensu, jeśli nie można tam dotrzeć. A jedyna droga prowadzi przez rezerwat przyrody albo przez obóz.

– Bourgoyne jest właścicielem?

– Jego ojciec wydzierżawił Bractwu ten teren na czterdzieści lat. Czyny symbolicznej wielkości. To jest już historia, od czasu pożaru tam nic nie ma. Bractwo też przeszło do historii.

Zadzwoniła komórka Cashina. Wyszedł na zewnątrz. Villani.

– Joe, dwóch chłopaków próbowało sprzedać zegarek marki Breitling. Wczoraj w Sydney.

Cashin usiadł przy stole ustawionym na chodniku obok kiosku.

– Kiedy się o tym dowiedziałeś? – zapytał.

– Pięć minut temu – odparł Villani. – Kierownik lombardu postąpił, jak należy. Wysłał asystenta, żeby poszedł za nimi, i ten spisał numer z tablicy rejestracyjnej, i przekazał go nam.

– No więc?

– Toyota ute, dwukabinowa. Martin Frazer Gettigan, Holt Street 14, Cromarty.

– Jezu – westchnął Cashin. – Znowu Gettigan!

– Słucham?

– To klan. Gettiganów jest mnóstwo.

– To Aborygeni?

– Niektórzy tak, inni nie.

– Jak Włosi. Dowiesz się wszystkiego o tym pikapie, dobrze? Tylko dyskretnie. Nie ufam tym pacanom z Cromarty. Pacanom i oprychom.

Cashin przypomniał sobie plac budowy, trzęsącą się furgonetkę.

– Spróbuję.

– Zachowaj dystans, jasne?

– Użyję sposobu.

– I niech to nie trwa za długo – dodał Villani.

– Potrwa tyle, ile potrwa – odparł Cashin.

Zadzwoił na komisariat, połączył się z Kendall.

– Słuchaj, jest tam mój raport z pewnego zdarzenia, dotyczy Allana Jamesa Morrisa, skarga ze szkoły podstawowej. Chodzi mi o numer jego komórki.

Trwało ponad minutę, zanim Morris odebrał telefon. Wciąga spodnie na innym placu budowy, pomyślał Cashin.

– Słucham.

– Allan?

– Tak.

– Sierżant z wydziału dochodzeniowo-śledczego Cashin z Port Monro. Pamiętasz mnie?

– Noo?

– Możesz mi w czymś pomóc.

– W czym?

– Martin Frazer Gettigan, Holt Street 14. Znasz go?

– A co?

– Synu, spieszy mi się. Znasz go?

– No dobra, znam.

– Jest teraz w mieście?

– Nie wiem. Rzadko go spotykam.

– Allan, chcę, żebyś dla mnie coś zrobił.

– Jezu, chłopie, nie zajmuję się współpracą z gliniarzami...

– Allan, dwa słowa. Czyjaś wnuczka...

Cashin usłyszał odgłosy charakterystyczne dla placu budowy: uderzenia młota, głośną wymianę słów.

– Więc co?

– Chcę wiedzieć, kto jeździ toyotą Martina.

– Skąd mam to wiedzieć, do cholery...

– Dowiedz się. Masz pięć minut.

Cashin podjechał do stacji benzynowej Callahana na skrzyżowaniu dróg w Kenmare, napełnił bak. Derry Callahan wyszedł ze stanowiska obsługi, w czapce naciągniętej na oczy, nieogolony. Cashin znał go z podstawówki.

– Wy, gliniarze, wciąż tylko jeździecie tam i z powrotem. Nie macie nic innego do

roboty? – Przeciągnął palcem pod nosem, plama oleju, która tam była, stała się ciemniejsza. – Co się dzieje w sprawie Bourgoyne’a?

– Dochodzenie w toku.

– Sprawdzacie czarnuchów? Godzina policyjna dla całego pieprzonego Daunt. Otoczyc ich drutem kolczastym. Sprawdzac wchodzących i wychodzących.

– Stronniczy sposób myślenia – stwierdził Cashin. – Czemu nie napiszesz listu do premiera w tej sprawie? No cóż, z poprawnym pisaniem mogą być kłopoty. O, lepiej zadzwoń.

Brwi Derry’ego zniknęły pod czapką.

– Wysłuchaliby mnie? – zapytał. – Można tak?

W momencie gdy Cashin płacił siostrze Derry’ego – grubej Robyn, oczy jak szparki, usta zawsze wykrzywione w szyderczym uśmiechu – odezwała się jego komórka. Pozwolił, by dzwoniła, wziął resztę i wyszedł na chłodne powietrze, stanął przy swoim samochodzie. Spoglądając na równinę, pochyloną od wiatru trawę, odebrał telefon.

– Jest tutaj – poinformował Allan Morris. – Pracuje w domu swojego starego.

– A pikap?

– Musiałem, do diabła, wymyślić jakąś głupią historię.

– No i?

– Powiedział, że pożyczył go Barry’emu Coulterowi, i chłopak Barry’ego gdzieś się nim ulotnił. Martin martwi się tym, tyle mogę powiedzieć.

Cashin poczuł okrucz ból w lewej nodze, wysoko w udzie i w biodrze. Znał dobrze to uczucie, jak starego przyjaciela. Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.

– Jak ten chłopak ma na imię?

– Donny.

– Donny Coulter?

– Coś jeszcze?

– Ulotnił się dokąd?

– Do Sydney. Dzwonił. Zabrał innego kolesia ze sobą. Luke’a Ericsena. On prowadzi. Są kuzynami. Chyba. Donny nie jest zbyt bystry.

– Mieli jakieś kłopoty?

– Kolorowi chłopcy? W tym mieście? Dzwonisz z Marsa?

– Tak czy nie?

– Nie wiem.

– Nie było tej rozmowy – powiedział Cashin.

– Cholera. Zamierzam chodzić wokoło i opowiadać o tym każdemu.

Cashin zadzwonił na komisariat w Cromarty, połączył się z Hop goodem, podał mu nazwiska i imiona.

– Donny Coulter, Luke Ericson – powtórzył Hopgood. – Porozmawiam z doradcą do spraw czarnuchów. Zadzwoń do ciebie później.

Cashin odjechał ze stacji benzynowej, zaparkował na brzegu szosy i czekał w samochodzie, myśląc o tym, czy nie zapalić, o następnej próbie skłonienia Vickie, żeby pozwoliła mu zobaczyć chłopca. Czy wątpiła, że był jego dzieckiem? Nie chciała rozmawiać na ten temat. On ma ojca, tyle tylko powiedziała. Po tym, jak nieoczekiwanie spędzili ze sobą ostatnią, jedyną noc, spotykała się z Donem, mężczyzną, za którego potem wyszła za mąż. Widywała się z nim, pieprzyła. W rzeczach do prania pojawiła się męska odzież, zabłocone buty stały za tylnymi drzwiami. Grządka warzywna była skopana, naklejki paczek z nasionami wisiały na patykach – na pewno nie zrobiła tego Vicky.

Tylko ślepy by nie zauważył, kto jest ojcem. Chłopiec był uderzająco podobny do Cashina.

Komórka.

– Typowa czarna biedota z Daunt – rzucił Hopgood. – Są już notowani za drobne przestępstwa. Podejrzani o dokonanie kilku włamań. To znaczy, że ich dokonali. Luke jest starszy, uważa się za twardziela. Debilowaty Donny, wlecze się z tyłu. Luke to siostrzeniec Bobby'ego Walshe'a.

– Ile mają lat?

– Donny siedemnaście lat, Luke dziewiętnaście. Mówiono mi, że mogą być braćmi. Stary Luke'a pieprzył wszystko, co się rusza. U czarnych to normalka. Czemu się nimi interesujesz?

– Wygląda na to, że jeden z nich próbował w Sydney sprzedać zegarek, taki jak ten Bourgoyne'a.

Chwila ciszy, gwizdnięcie.

– Mogłeś mi to wcześniej powiedzieć.

– Policja Nowej Południowej Walii została już zawiadomiona, będzie miała na oku toyotę zarejestrowaną na Martina Gettigana. Chłopcy nią jeżdżą.

– Dobra, dobra. Mógłbym się tym zająć i odwiedzić Martina – powiedział Hopgood.

– To byłoby cholernie głupie.

– Ty mi mówisz, co jest głupie?

– Przekazuję ci wiadomość.

– Bardzo jesteś ważny. Rób, jak uważasz.

– Będę cię informował na bieżąco.

– O rany, dzięki – zaszydził Hopgood.

Cashin zadzwonił do Villaniego.

– Jezu, masz tam wtyczkę, prawda? – dociekał Villani. – Dostałem nową wiadomość. Samochód widziano w Goulburn, jechały w nim trzy osoby. Wygląda na to, że twoi chłopcy wracają do domu.

– Trzy?

– Może kogoś podwożą.

– Powinieneś wiedzieć, że Luke Ericson jest siostrzeńcem Bobby’ego Walshe’a.

– Tak? No i co?

– Nic, tylko mówię. Zatrzymujemy ich?

– Nie chcę żadnych pościgów. Zaraz pojedą sto osiemdziesiąt autostradą, wpadną na jakąś rodzinę w kombi i tylko pies przeżyje. A potem mi się za to oberwie.

– Więc?

– Będziemy ich obserwować przez całą drogę. Jeżeli uda mi się zmusić tych wiejskich idiotów, żeby potraktowali poważnie swoje zadanie i nie spędzali całej zmiany na rozglądaniu się za jakąś kobitką, którą mogliby zmusić do zjazdu na pobocze.

– Jeśli oni tutaj wrócą, to będzie sprawa Hopgooda – zauważył Cashin.

– Nie – odparł Villani. – Ty dowodzisz. Już wystarczająco długo udawałeś chorego. Chcę uniknąć operacji w stylu masakry w Waco, przeprowadzonej przez ludzi, którzy za często oglądają telewizję. Zrozumiałeś?

– *Capiche* – powiedział Cashin. – Cokolwiek to znaczy.

– Mnie nie pytaj. Jestem chłopak z Shepparton.

O trzeciej po południu zadzwonił Hopgood.

Cashin był w Port Monro, przyglądał się mewom, które czubiły się na tylnym podwórku, korzystając z tego, że żaden pies ich nie wyganiał.

– Te czarnuchy z Daunt wracają – powiedział Hopgood. – Jeśli nie zatrzymają się gdzieś, żeby popalić marychę, powinni tu być około północy. – Przerwał na moment. – Rozumiem, że ty jesteś szefem.

– Teoretycznie. Przyjadę mniej więcej za godzinę.

Poszedł do domu, nakarmił psy. Nie lubiły zmian w ustalonym rytuale; jedzenie powinno być podane po spacerze, to był właściwy porządek rzeczy. Ani śladu Rebba. Cashin zostawił mu karteczkę z kilkoma słowami dotyczącymi psów i pojechał do Cromarty.

Hopgood był w swoim biurze, schludny pokój, teczki z dokumentami na półkach, starannie ułożone, tacki na korespondencję przychodzącą i wychodzącą. Był bez marynarki, miał na sobie białą koszulę, z mankietami zapiętymi na guziki.

– Siadaj.

Cashin usiadł.

– Więc jak chcesz to załatwić? – Hopgood udał znudzenie.

– Skorzystam z twojej rady.

– To ty, do cholery, jesteś szefem, więc ty mi powiedz.

Zadzwoiła komórka Cashina. Wyszedł na korytarz.

– Siostrzeniec Bobby’ego Walshe’a – powiedział Villani. – Zgadzam się z tobą. Przeprowadzimy akcję, ściśle trzymając się przepisów. Jedzie do ciebie Paul Dove, sierżant z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Przeniesiony z FED, zajmował się delikatnymi sprawami, nikt go nie chciał wziąć, ale jest bystry, więc go przyjąłem. Uczy się, bardzo się stara.

Bardzo się stara, kolejny zwrot Singa. Obaj byli wychowankami Shiga, bezwiednie używali jego słów.

– On przejmie dowództwo? – zapytał Cashin.

– Nie, nie, ty jesteś szefem.

– Tak?

– Co „tak”?

– Daj spokój – obruszył się Cashin.

– Jest Aborygenem. Komisarz chce, żeby brał w tym udział.

– Już się zgubiłem. Nic z tego nie rozumiem.

– Nie pieprz mi głupot i nie udawaj naiwniaka, chłopcze – warknął Villani. – Sam mi powiedziałeś o Bobbym Walshe’u. Do tego jeszcze kartoteki Cromarty, naprawdę przerażające. Dwa zgony w celach, mnóstwo innych podejrzanych rzeczy.

– Dobra, jedź dalej.

– No więc, kiedy ci chłopcy przyjadą tutaj, będą wykończeni. Pozwólmy im wrócić do domu. Chcemy, żeby poszli spać. Wejdźcie dwie godziny po tym, jak wysiądą z auta, albo jeszcze później. Zachowujcie się ostrożnie i delikatnie. Podkreślam, delikatnie, jasne?

Rozmowa była skończona. Cashin wrócił do biura Hopgooda.

– Villani chce, żeby zwinąć chłopców w domu.

– Co?

– Jak już pójdą spać.

– Jezu Chryste. – Hopgood przeczesał palcami włosy. Nie można pojechać do pieprzonego Daunt w nocy i aresztować ludzi. To rezerwat. Mamy jak w banku, że zginiemy zaatakowani przez całą pieprzoną ulicę, całe cholerne Daunt, setki czarnuchów. – Hopgood podszedł do okna, włożył ręce do kieszeni. – Powiedz swojemu smagłemu kumplowi, że chcę potwierdzenia, iż bierze pełną odpowiedzialność za skutki tej akcji. Że wy obaj bierzecie.

– A ty co radzisz?

– Zgarnąć sukinsynów w drodze do miasta, nie będzie żadnego ryzyka, żadnych problemów.

Cashin wyszedł z pokoju i zadzwonił do Villaniego.

– Reprezentant lokalnej mądrości uważa, że jazda do Daunt jest prowokowaniem cholерnej jatki. Hopgood twierdzi, że łatwo się ich zwinie, gdy będą wracali. Ja bym pozwolił, by on tym pokierował.

Villani westchnął smutno.

– Myślisz, że tak będzie lepiej?

– Skąd mogę mieć pewność? Daunt nie jest już tym miejscem, jakie pamiętam z dzieciństwa.

– Joe, komisarz mnie zabije, jeśli coś pójdzie nie tak.

Cashin pomyślał, że chciałby być teraz w jakimś innym miejscu.

– Nie dramatyzuj – powiedział. – To tylko trzy dzieciaki w pikapie. To nie może być trudne do rozegrania.

– Więc to ty będziesz w telewizji wyjaśniał, co się stało z krewniakiem Bobby'ego Walshe'a?

– Nie – odparł Cashin. – Ja będę tym, kto schowa się do szafy, i pozwolę, żeby całą aferę wyjaśniał twój człowiek, Dove.

– Pieprz się – rzucił Villani. – Wyraziłem się jeszcze całkiem grzecznie. Wobec tego zrób, jak powiedziałeś.

Cashin przekazał to Hopgoodowi.

– Dość rozsądne – ocenił Hopgood odwrócony do niego profilem. – To coś nowego.

– Przysyłają tu kogoś. Komisarz chce, żeby był przy tym obecny funkcjonariusz Aborygen.

– Cholera, mało tu jeszcze czarnuchów – burknął Hopgood. – Musimy importować

jeszcze jednego czarnego sukinsyna?

– Mogę gdzieś usiąść? – zapytał Cashin.

Hopgood uśmiechnął się do niego, odsłonił górne zęby z niewielką luką pośrodku.

– Jesteśmy zmęczeni? Taki pieprzony gość jak ty powinien iść na rentę. Wyjechać w ciepłe strony.

Cashin zmusił mięśnie twarzy, by pozostały nieruchome, spojrzał w stronę okna, nie zobaczył niczego, zaczął liczyć. To mogło nastąpić któregoś dnia, za godzinę, za minutę. To mogło się stać natychmiast.

W pokoju panował normalny bałagan – biurka zsunięte razem, wszędzie teczki z dokumentami, ociekacz pełen brudnych kubków. Ktoś zostawił w rogu pokoju torbę golfową z siedmioma kijami, każdy z innej parafii.

Cashin jadł właśnie pasztecik, gdy Hopgood wprowadził Dove'a.

– Przyjechał nadzorca – oznajmił i wyszedł.

Dove miał trochę ponad trzydzistkę, był wysoki, szczupły, krótko ostrzyżony, zgodnie ze zwyczajem przyjętym w wydziale zabójstw, nosił okrągłe okulary bez oprawek. Położył na biurku swoją aktówkę. Uścisnęli sobie dłonie.

– Jestem tu, ponieważ góra życzy sobie, żeby czarnuch był obecny przy aresztowaniu siostrzeńca Bobby'ego Walshe'a – poinformował.

Miał ochrypły głos jak ktoś, kto dostał w krtań.

– Nie mógłbyś być bardziej szczery – odparł Cashin.

Dove przyglądał się przez chwilę Cashinowi, potem rozejrzał się po pokoju.

– Słyszałem o tobie – powiedział. – Gdzie mam usiąść?

– Gdziekolwiek. Jadłeś coś?

– Owszem, w drodze. – Dove zdjął czarny płaszcz, pod nim miał czarną skórzaną marynarkę. – Zabrałem trochę roboty, żeby nadgonić zaległości. – Otworzył aktówkę.

Cashin nie zwracał na to uwagi. Zawinął resztki pasztecika, wrzucił je do kosza na śmieci i wrócił do lektury *Nostramo* Josepha Conrada. Starał się przeczytać wszystkie książki Conrada. Właściwie nie wiedział dlaczego. Być może dlatego, że Vincentia powiedziała mu, że Conrad był Polakiem, który musiał się uczyć pisać po angielsku. Uznał, że właśnie takich książek potrzebował – obaj, pisarz i czytelnik, znajdowali się na obcym terytorium.

Odezwała się komórka Cashina.

– Michael znowu dzwonił.

Matka.

– Trochę teraz tu gorąco, Syb. Skontaktuję się z nim przy pierwszej okazji. Naprawdę.

– Martwię się, Joe. A wiesz, że ja się nie martwię z byle powodu.

Cashin miał ochotę powiedzieć, że wie o tym doskonale.

– Mógłbyś zadzwonić teraz. To nie zajmie ci nawet minuty.

– Zadzwonię najszybciej, jak będę mógł. Obiecuję.

– Dobry chłopiec. Dziękuję, Joseph.

Zadzwonić do Michaela. Michael przyszedł go odwiedzić w szpitalu, jeden raz. Stał przy oknie i stamtąd z nim rozmawiał, nie usiadł, odebrał trzy telefony, sam wykonał jeden.

– No cóż... – powiedział na odchodne. – Wybrałeś sobie niebezpieczny zawód. – Uśmiechnął się blado jak szef mówiący: „Nie wolno nam się zakumplować. Może któregoś dnia będę cię musiał wylać”.

Hopgood wsunął głowę przez drzwi.

– Cobham. Stacja obsługi BP. Mają trójkę w toyocie.

Chłopcy byli sto czterdzieści kilometrów od nich.

Cashin wyszedł się przejść, kupił papierosy, kolejna kapitulacja. Zimny wieczór, zachodni wiatr, deszcz, ostatnie liście igrały z kawałkami papieru w świetle ulicznych latarni. Zapalił papierosa, ruszył ulicą obok ponurego gmachu sądu, miejsca, gdzie młodzi ludzie znajdowali w końcu surowego ojca, którego im dotąd brakowało. Skręcił za róg, poszedł w górę, obok ciemnych sklepów w stronę budynku starego banku Związku Australijskiego na drugim rogu, teraz były tu kwaciarnia, sklep z upominkami i biuro podróży.

Tu na wzgórzach Cromarty bogaci ludzie – handlarze wełną i zbożem, kupcy, właściciele młynów, browarów, odlewni, fabryki worków jutowych, sklepów z ekologiczną żywnością, rozlewni wody mineralnej, właściciele ziemscy, lekarze i adwokaci – w wieku XIX i na początku XX budowali domy z kamienia i cegły.

Kiedy Cashin był chłopcem, przyjazdy do miasta stanowiły wielkie przeżycie. Ich czworo w Kingswood w sobotni poranek, ojciec z kilkoma zacięciami przy goleniu na twarzy, ze starannie uczesanymi, błyszczącymi czarnymi włosami, matka w eleganckim stroju, który wkładała tylko na wyjątkowe okazje. Cashin myślał o tym, jak dotykała głowy ojca, palcami z różowym lakierem na paznokciach.

Skręcił za róg przy pubie Regent; na żółtych szybach dobiegały odgłosy podobne do uderzania wody o brzeg. Po zakupach Mick Cashin zazwyczaj spotykał się ze swoim bratem Lenem i szli na drinka do Regent, przed powrotem do domu. Zostawiał Sybil i obu chłopców

na nabrzeżu i jechał do pubu. Kupowali frytki w małym sklepiku i wychodzili na długie moło, przyglądali się łodziom i ludziom łowiącym ryby. Potem ruszali w górę przez miasto ulicą, którą on teraz schodził w dół. Cashin przypomniał sobie, że Michael zawsze szedł w pewnej odległości za nimi, oglądał wystawy sklepowe. Nie było trudno znaleźć samochód, zawsze stał w pobliżu pubu. Wsiadali i czekali na ojca. Michael sięgał po swój tornister, odrabiał zadania domowe, pewnie matematykę. Matka czytała zagadki z książki. Joe uwielbiał te zagadki, nauczył się ich na pamięć. Michael nie brał w tym udziału.

Mick Cashin przechodził przez ulicę ze stryjem Lenem, śmiejąc się, z ręką na jego ramieniu. Len też już nie żył, zmarł z powodu ataku astmy.

Cashin poczuł wiatr na twarzy, przypomniał sobie zapach soli. Znowu był chłopcem, dziecko wciąż w nim żyło. Skręcił za róg i zanurzył się w stęchłym powietrzu komisariatu. Dwoje ludzi w podeszłym wieku stało przy okienku dyżurki, policjant ze zboloną miną drapał się po głowie. Ktoś przebywający w celi wydawał smutne odgłosy, przypominające śpiew i zawodzenie.

Hopgood był w biurze z czterema funkcjonariuszami po cywilnemu. Jeden z nich, chudy, łysiejący jadł hamburgera i maczał frytki w sosie pomidorowym. Dove stał przy bufecie i nalewał z termosu wrzątek do styropianowego kubka.

– Kopę lat! – zawołał Hopgood. – Facet na stacji Hoskissona właśnie odnotował naszego pikapa. Mamy pięćdziesiąt minut.

Hopgood nie dokonał żadnych prezentacji, podszedł do tablicy zabazgranej podczas setek odpraw i przyczepił mapę drogową.

– Zakładam, że te kutasy pędzą do domu Donny'ego albo Luke'a – powiedział. – Zresztą, to bez różnicy, jeden blok dalej. Będą jechali Stockyard Road. Stoi tam nasz człowiek, miał awarię samochodu, powie mi, kiedy go miną. Gdy dojadą do Andersen Road, to tutaj, za drugimi światłami mogą skręcić w prawo albo pojechać dalej dotrzeć do Cardigan Street i skręcić w prawo. Ale musimy ich zdjąć tu, gdzie jest jedna droga. – Pokazał skrzyżowanie. – Lambing Street i Stockyard Road. – Narysował „X” na szosie w pewnej odległości od skrzyżowania. – Stacja obsługi Goldinga. Preston i K.D., wy będziecie czekali przodem w stronę miasta. Jesteście grupą trzy. Dam wam znać, kiedy macie ruszyć, żebyście się znaleźli przed pikapem. Kiedy dojedziecie do świateł na Lambing, będą czerwone. Pozostaną czerwone, dopóki nie załatwimy sprawy. Dotąd wszystko jasne?

Skinęli głowami. Pożeracz hamburgera beknął.

– Kiedy toyota zatrzyma się za wami – ciągnął Hopgood – siedzicie cicho i nie ruszacie się. Czekacie, okej? Lloyd, Steggie i ja tworzymy grupę numer jeden. Staniemy za

nimi radiowozem i natychmiast wyskakujemy. – Przesunął palcem pod nosem. – Uwaga, mówię do wszystkich. Dostałem wiadomość z góry i nic, absolutnie nic nie może się stać tym... kretynom. – Powiódł wzrokiem po twarzach obecnych, ale nie spojrzął ani na Cashina, ani na Dove'a. – Dobrze. Jeśli zdarzy się coś głupiego, uciekamy i chowamy się. Głodem zmusimy ich do wyjścia. To nie jest jakaś cholerna operacja SOG-u. Starszy sierżancie Cashin, czy chce pan coś dodać?

Cashin odczekał kilka sekund.

– Zapewniłem inspektora Villaniego i komisarza, że siedmiu doświadczonych funkcjonariuszy potrafi bez problemów aresztować trzech chłopaków.

Hopgood skinął głową.

– Detektywi Cashin i Dove, wy będziecie grupą drugą w drugim samochodzie za toyotą. Mało prawdopodobne, żebyście musieli wkroczyć do akcji. Są jakieś pytania? Nie. No, to ruszamy. Będę kontaktował się ze wszystkimi. Podaję kod: kanapka. Kanapka. Okej?

– A jeśli oni mają antenę radarową? – zapytał Preston. Z wielkim nosem i rzadkimi wąsami przypominał gryzonia.

– Głowa do góry – odparł Hopgood. – To są tylko dupki z Daunt.

Wszedł umundurowany funkcjonariusz.

– W pikapie jest ktoś trzeci – oznajmił. – Może inny kuzyn, Corey Pascoe. Przebywał jakiś czas w Sydney.

Włożyli kurtki i wyszli na parking za komisariatem; małe wybrukowane podwórkowo wyżłobione w kamienistym pagórku.

– Weź falcona – poradził Hopgood Cashinowi. – Jest w lepszym stanie, niż na to wygląda.

Jechali w konwoju, na przodzie landcruiser Hopgooda, potem Cashin i Dove, za nimi policjanci Preston i K.D. w białym commodore. Teraz padał już ulewny deszcz, ulice zalane były światłami samochodów i neonowych sklepowych szyldów, plamami i kałużami czerwieni, bieli, błękitu, zieleni i żółci. Przecięli autostradę i ruszyli przez przedmieścia, obok toru wyścigowego i terenu wystawowego, skręcili przy starej rzeźni. Znaleźli się na Stockyard Road. Chłopcy jechali w tę stronę, zbliżając się do nich z każdą chwilą.

– Ten facet wie, co robi? – zapytał Dove.

Miał opuszczony podbródek, zakryty kołnierzem płaszcza.

– Miejmy nadzieję – odparł Cashin.

W samochodzie unosił się zapach potu, papierosowego dymu i frytek.

– Kanapka – zatrzeszczał głos Hopgooda przez radio. – Grupa trzy, dojeżdżamy do

stacji, powinniście mnie znów usłyszeć w ciągu dwudziestu pięciu minut.

– Grupa trzy, przyjąłem – rozległ się głos, być może K.D.

Stacja obsługi Goldinga pojawiła się w polu widzenia po prawej stronie. Wielki blaszany budynek ze szkarłatnym neonem. We wstecznym lusterku Cashin zobaczył, że biały commodore skręca.

Deszcz padał coraz gęściej. Cashin przełączył wycieraczki na większe tempo.

– Kanapka, grupa jeden – odezwał się Hopgood. – Skręcamy w lewo.

– Grupa dwa, przyjąłem – odpowiedział Cashin. – Zjechał za cruiserem na boczną, błotnistą drogę gruntową. Cruiser zatrzymał się, Cashin także. Cruiser wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, Cashin zrobił to samo. Cruiser znowu przystanął. Cashin stanął za nim, wyłączył światła.

Stuknięcie w okno. Cashin opuścił szybę.

– Nie wyłączaj silnika, jedź za nami, gdy ruszymy – polecił Hopgood. – Od tej chwili nie ma rozmów przez radio.

– Okej.

– Nie podoba mi się ten pieprzony deszcz – rzucił Hopgood i zniknął w ciemnościach.

Cashin podniósł szybę. Siedzieli w milczeniu.

Cashina rozbolała miednica. Skoncentrował się na oddychaniu w wypróbowany sposób, ale musiał często zmieniać pozycję, żeby mniej cierpieć.

– Mógłbym zapalić? – zapytał Dove.

– Ja też zapalę.

Nacisnął zapalniczkę, wziął papierosa od Dove'a, uchylił szybę w swoim oknie. Przez chwilę palili w milczeniu, ale nikotyna rozwiązuje język.

– Często to robisz? – zapytał Cashin.

Dove odwrócił twarz. Widać było tylko białka jego oczu.

– Co?

– Reprezentujesz Aborygenów.

– To przysługa dla Villaniego. Powiedział, że naciskano na niego z powodu związku, jaki ta sprawa ma z Bobbym Walshe'em. Odszedłem z policji federalnej, bo nie chciałem być gliniarzem czarnuchem na pokaz.

– Chodziłem do podstawówki z Bobbym Walshe'em – powiedział Cashin i zaraz tego pożałował.

– Myślałem, że on dorastał w osiedlu Daunt.

– Wtedy nie było tam żadnej szkoły. Dzieci chodziły do Kenmare.

– Więc ty go znałeś.

– Możliwe, że mnie pamięta. Mógł pamiętać mojego kuzyna Bema. Połączyli siły przeciwko dzieciakom, które ich obrzucały wyzwiskami.

Czemu zacząłem o tym mówić, zastanowił się Cashin. Żeby się przypodobać temu człowiekowi?

Długa cisza, silnik nie wydawał najmniejszego szmeru. Cashin nacisnął pedał i motor zawarczał.

– Jakimi wyzwiskami? – zapytał Dove.

– Czarnuch. Negro. Tego typu.

Znowu milczenie. Papieros Dove'a zarzył się w mroku.

– Dlaczego tak nazywali twojego kuzyna?

– Jego mama jest Aborygenką. Moja ciotka Stella. Ona pochodzi z Daunt.

– Co takiego? Więc ty jesteś czarnuchem przez powinowactwo.

– Tak. Coś w tym rodzaju.

W szpitalu Cashin zaczął rozmyślać o tym, że nigdy nie stawał po stronie swoich kuzynów Doogue'ów, z Bobbym Walshe'em i innymi dziećmi z Daunt, gdy biali nazywali ich czarnuchami. On wtedy odchodził. Jego nikt nie przezywał, więc po co miał się wtrącać. Pamiętał, jak opowiedział ojcu o tych walkach. Mick Cashin majstrował przy traktorze, starym massey fergusonie, wykręcał wielkimi palcami świece zapłonowe.

– Nie musisz nic robić, dopóki oni nie przegrywają – powiedział. – W razie czego się włącz i rozkwaś gęby kilku koleśiom. Stań po stronie rodziny twojej mamy.

Gdy ciotka Stella przyjęła go pod swój dach, już nikt żadnego chłopca Doogue'ów nie obrzucał wyzwiskami. Urosli i nie miało się do czynienia tylko z jednym z nich, stali się drużyną.

Obserwował główną szosę. Przejechał jakiś samochód. Cruiser się nie ruszył. Cashin włączył wycieraczki. Deszcz padał rzęsiście. Nadszedł czas, żeby odwołać całą akcję, nie można było sprawnie przeprowadzić działań przy oberwaniu chmury.

Obok nich przemknął następny pojazd.

Błysk tylnych świateł. Hopgood ruszył.

– Zaczynamy – oznajmił Cashin.

Deszcz lał jak z cebra, wycieraczki falcona nie nadążały ze zgarnianiem wody.

Hopgood nie zawahał się na skrzyżowaniu, skręcił w prawo. Cashin pojechał za nim, niewiele widział dokoła.

Jechali z prędkością pięćdziesięciu, osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu, stu kilometrów na godzinę; falcon nie mógł już wyciągnąć ponad setkę, coś było z nim nie tak.

Cashin poczuł, że jedno z przednich kół się chybcze. Bał się, że straci panowanie nad autem, zwolnił.

Tylne światła samochodu Hopgooda zniknęły w wilgotnym mroku nocy.

To nie było mądre, nie tak należało to rozegrać.

– Połącz się z Hopgoodem – powiedział Cashin. – To nie ma sensu.

Dove wziął słuchawkę z mikrofonem.

– Kanapka dwa do kanapki jeden, słyszysz mnie? Odbiór.

Bez odpowiedzi.

Stacja obsługi Goldinga po lewej stronie, czerwona plama neonowego szyldu w mokrym nocnym powietrzu. Pierwszy samochód, grupa trzy, Preston i K.D. mogli już ruszyć, i jadąc przed pikapem, zbliżać się do świateł sygnalizacyjnych.

– Przerwywamy akcję – oznajmił Cashin. – Przekaż dalej.

– Kanapka jeden, przerywamy akcję, odebraliście? Proszę, potwierdźcie odbiór.

Cztery samochody pędzące w deszczu w noc ciemną choć oko wykol.

Światła będą czerwone. Preston się zatrzyma.

Toyota stanie za nim. Trzej chłopcy w dwukabinówce. Zmęczeni długą podróżą. Ziewają. Myślą o domu i łóżku. Czy to oni napadli Bourgoyne'a? Przynajmniej jeden z nich mógł wiedzieć, kto zdjął zegarek z ręki starego człowieka.

– Powtarzam: wstrzymujemy akcję, wstrzymujemy – nadawał Dove. – Potwierdźcie odbiór.

– Powtórz jeszcze raz, kanapka dwa, nic nie słyszę.

Cashin w strugach deszczu dojeżdżał do ostatniego zakrętu, wyłoniło się skrzyżowanie z Lambing Street. Nie widział niczego prócz żółtego blasku ulicznych lamp.

– Kanapka jeden, wstrzymujemy akcję, odebrałeś? Potwierdź, proszę.

Cashin dojechał do zakrętu, zwolnił.

Czerwony ostry blask. Tylne światła cruisera.

Cruiser się zatrzymał.

Cashin nacisnął hamulec, zarzuciło tyłem falcona, ale zapanował nad pojazdem.

– Jasna cholera! – warknął Dove. – Kanapka jeden, wstrzymujemy akcję. Odbiór.

Cashin przystanął za cruiserem, nie mógł dostrzec niczego. Troje drzwi było

otwartych.

– Idziemy – rzucił. Wyczuwał, że dzieje się coś bardzo złego.

Dove znalazł się szybciej po drugiej stronie wozu; Cashin wpadł na niego, omal się obaj nie przewrócili, oślepieni strugami deszczu.

Jakiś samochód uderzył w światła sygnalizacyjne po drugiej stronie jezdni. Pikap. Cashin dostrzegł trzy postacie – rozbiegły się w różne strony.

Wystrzały.

Ktoś krzyknął:

– Odłóż tę pieprzoną pukawkę...!

Błysnął płomień z wylotu lufy, odbity na mokrym asfalcie.

– Rzuć to, rzuć tę pieprzoną broń!

– Zostawcie mnie w spokoju! Zostawcie mnie!

Dwa następne strzały, krótka broń palna, koniuszki języków ognia, szybkie bach-bach.

Cisza.

– Cholera – zaklął Dove. – Och, jasna cholera!

Ktoś jęczał.

– K.D., Chryste, dawaj światło punktowe! – krzyknął Hopgood.

Po kilku sekundach światło się zapaliło, świat stał się przeraźliwie biały. Cashin zobaczył rozbitą toyotę ute, setki kawałków szkła połyskujące na szosie.

Trzech stojących mężczyzn. Ciało za toyotą, przy nim śrutówka.

Ruszył naprzód, wycierając krople deszczu z twarzy.

– Wezwijcie karetkę! – krzyknął Cashin. – Niech jadą pełnym gazem.

Podszedł do osoby leżącej na ziemi, szczupłego wyrostka. Chłopiec miał rozwarte usta. Dostał kulę w gardło. Cashin zobaczył błysk zębów, usłyszał bulgoczący odgłos. Dzieciak zakasłał, z ust wyciekła krew, spłynęła na szosę, gęstsza niż deszcz.

Cashin ujął go za ramiona. Wiedział, że małego umrze. Czuł to, dotykając jego chudych rąk, po słabych dreszczach, słyszał to w chrypiących odgłosach.

– Pieprzony idiota – warknął z tyłu Hopgood za plecami Cashina.

Cashin opuścił ciało chłopca na ziemię. Nie mógł mu pomóc w żaden sposób. Wstał i podszedł do samochodu. Kierowca siedział przygwożdżony kierownicą i deską rozdzielczą, twarz miał całą czerwoną, krew była wszędzie.

Cashin położył palec na jego szyi, poczuł słabiutki puls. Próbował otworzyć drzwi, nie udało się. Przeszedł na drugą stronę. Dove już tu stał. Pasażerem też był nastolatek, krew płynęła mu z ust, ale oczy miał szeroko otwarte.

– Ja pieprzę – powiedział cicho. Powtarzał to wciąż od nowa.

Wynieśli wyrostka z auta, położyli na asfalcie. On miał szansę.

Nadjechała karetka, za nią następna, w tej drugiej przybył lekarz, kobieta. Nigdy nie zajmowała się ranami postrzałowymi, ale to nie miało znaczenia, prawie zawsze było za późno na ratowanie ludzi, którym je zadano.

Kiedy podnieśli chłopca z ziemi, Cashin zauważył śrutówkę w czarnej kałuży obok. Jednolufowy obrzynek.

Kierowca jeszcze żył, kiedy wnoszono go do karetki. Policjanci otaczali ją wokoło.

– Nikt niczego tutaj nie dotyka – rozkazał Cashin. – Nie rusza żadnej rzeczy. Zamknijcie przejazd tą ulicą.

– Myślisz, że kim ty jesteś, do diabła? – warknął Hopgood. – To jest Cromarty, kolego.

Villani włożył taśmę do odtwarzacza i wręczył pilota Hopgoodowi.

– Konferencja prasowa, która odbyła się dwie godziny temu – powiedział. – Pokazano ją w telewizji w porze lunchu.

Na ekranie pojawiła się różowa dziecięca twarz przedwcześnie wyłysiałego zastępcy komisarza wydziału zabójstw.

– Mam smutny obowiązek poinformować państwa, że dwie spośród trzech osób, które uczestniczyły w incydencie w pobliżu Cromarty wczorajszej nocy, zmarły na skutek odniesionych obrażeń – powiedział. – Trzecia osoba odniosła lżejsze obrażenia i jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Przebieg wypadków jest obecnie przedmiotem dokładnego dochodzenia.

– Czy może pan potwierdzić, że policja strzelała do trzech młodych Aborygenów na blokadzie drogowej? – zapytał jakiś dziennikarz.

Twarcz komisarza nadal nie zdradzała żadnych uczuć.

– Nie, to nie była blokada drogowa. Sądzymy, że funkcjonariusze policji zostali ostrzelani i zareagowali właściwie.

– Jeśli nie blokada drogowa, to co to było?

– Osoby, które uczestniczyły w tym zajściu, są podejrzanymi w pewnym śledztwie. Dokonano próby ich aresztowania.

– Chodzi o napad na Charlesa Bourgoyne'a?

– Tak.

– Czy obie ofiary zmarły w wyniku ran postrzałowych?

– Jedna z nich, niestety.

– I jest nią Luke Ericson, siostrzeniec Bobby’ego Walshe’a? – dopytywał dziennikarz.

– Nie umiem teraz udzielić odpowiedzi na to pytanie – odparł komisarz.

– A drugi chłopiec? Jaka była przyczyna jego śmierci?

– Obrażenia poniesione w wypadku samochodowym.

– Komisarzu! – zawołał inny dziennikarz. – Czy funkcjonariusze, którzy brali udział w akcji, byli umundurowani?

– Tak.

– Więc może to był pościg, który się nie udał?

– Nie. Przeprowadzono operację zaplanowaną tak, by uniknąć niebezpieczeństwa zarówno...

– Czy może pan potwierdzić, że dwa samochody policyjne jechały za toyotą, która się rozbiła?

– Owszem, jednakże...

– Pan wybaczy, komisarzu, czym to jest, jeśli nie pościgiem?

– Policjanci nie ścigali tamtego samochodu.

– Nie zrobiliście blokady drogowej, nie prowadziliście pościgu i macie dwóch martwych aborygeńskich chłopców?

Komisarz podrapał się w policzek.

– Powtórzę. To była operacja mająca na celu aresztowanie podejrzanych, zaplanowana tak, by ryzyko, że ktoś dozna obrażeń, zostało zredukowane do minimum. Zawsze takie są nasze intencje. Ale funkcjonariusze policji w obliczu zagrożenia mają prawo chronić siebie i swoich kolegów.

– Komisarzu, Cromarty nie cieszy się dobrą opinią, gdy chodzi o tego rodzaju akcje, prawda? Od 1987 roku zginęli czterej Aborygeni i miało to związek z działaniami tamtejszej policji. Dwaj zmarli w areszcie.

– Na ten temat nie mogę się wypowiadać. Wiem natomiast, że policjanci, którzy brali udział w tej operacji, a w ich gronie znajdował się wysoko ceniony funkcjonariusz Aborygen, postępowali zgodnie z przepisami. Poza tym, będziemy czekać na werdykt koronera.

Villani dał znak Hopgoodowi, by wyłączył nagranie.

Cashin stał przy oknie, patrząc na południowe słońce rozjaśniające ścianę budynku po przeciwległej stronie ulicy, i miał trudności z koncentracją. Myślał o chłopcu zmiażdżonym w

toyocie. Shane Diab wyglądał podobnie, jakby wyciśnięto z niego życie.

Gołębie i mewy spacerowały, niektóre nawet drzemały, najwyraźniej żyły w zgodzie. I nagle na parapecie rozgorzała gwałtowna bójka – poszły w ruch skrzydła, dzioby, pazury. Pokój trwał tylko chwilę.

– Sytuacja jest taka. – Villani potarł dłońmi twarz, jakoś ją postarzając w ten sposób. – Operacja wywołała lawinę gówna, która spadła na mnie, na was, na ten komisariat i na całą pieprzoną policję. Tkwimy w szambie po uszy, ci winni i ci niewinni.

– Z całym szacunkiem – wtrącił się Hopgood. – Kto mógł przewidzieć, że kierowca okaże się tak durny. Jakim trzeba być głupim kutasem, żeby gwałtownie skręcać na czerwonym świetle?

– Nie można było tego przewidzieć – przyznał Villani. – Ale nie byłoby takiej potrzeby, gdybyście posłuchali mnie i zdjęli ich w domu. Teraz módlcie się tylko, żeby ci gnoje okazali się sprawcami napadu na Bourgoyne'a.

– Ericson nie miał żadnego powodu, żeby do nas strzelać. – Hopgood nie dawał za wygraną. – Agresywny mały sukinsyn. Prawdopodobnie zrobiłby to samo, gdybyśmy zaczekali, aż wrócą do domu w Daunt.

– Według mnie – ciągnął Villani – to było tak: toyota ma wypadek, Ericson wysiada, widzi, że dwóch ludzi wyskakuje z nieoznakowanego samochodu, i biegnie w jego stronę. Może to łobuzy. Trzy lata temu cztery bydlaki ciężko pobiły dwóch kolorowych chłopców, jeden do końca życia będzie jeździł na wózku inwalidzkim. Także w tym mieście rok temu czarny małolat wracający do domu był ścigany przez samochód. Próbował uciec, auto ruszyło za nim na chodnik i rozjechało go na miazgę. Zmarł w drodze do szpitala. – Villani potoczył wzrokiem po pokoju, po czym utkwiał spojrzenie w Hopgoodzie. – Znane są panu te wypadki, detektywie?

– Tak, szefie. Ale...

– Niech pan zachowa swoje „ale” na czas, kiedy zacznie się dochodzenie i ustalanie przyczyny zgonu. Wtedy będą panu potrzebne wszystkie „ale”, jakie się panu uda znaleźć. – Villani westchnął. – Dwaj czarni chłopcy nie żyją. Siostrzeniec Bobby'ego Walshe'a. Cholera jasna!

– Walshe nigdy nie utrzymywał bliskich kontaktów ze swoim siostrzeńcem. Jest za dobry dla swoich krewnych z Daunt, tych...

Nie dokończył. Wszyscy wiedzieli, jakie to miało być słowo.

– Żałuję, że nie byłem daleko stąd – powiedział Villani. – Gdzieś na Marsie, na przykład. A może to i tak nie dość daleko.

Cashin zakasłał, co wywołało eksplozję bólu.

– Jestem tylko wiejskim policjantem – odezwał się Hopgood – i nie bardzo rozumiem, dlaczego domniemanie niewinności może mieć zastosowanie wobec dupków, którzy próbują przejechać na czerwonym świetle, wpadają na słup, wyskakują z nielicencjonowanym obrzynem i strzelają do funkcjonariuszy policji. – Potarł wielkim palcem szczecinę na górnej wardze. – Chyba że tak się rzeczy mają, kiedy gnojki są krewnymi pieprzonego Bobby’ego Walshe’a.

– Dobrze powiedziane – skwitował Villani. – Domniemanie niewinności. Mógłbyś pomyśleć o przekwalifikowaniu się na prawnika. W każdym razie o zmianie fachu. – Wyjął paczkę papierosów, pstryknął w nią, zacisnął wargi na jednym, zapalił. W pokoju umieszczono plakietkę z zakazem palenia. Dym zawisł w nieruchomym powietrzu. – Przyjęta tutaj procedura będzie modelem podczas badania przyszłych spieprzonych akcji – powiedział Villani. – Dwaj federalni plus funkcjonariusze z wydziału etyki zawodowej plus biuro rzecznika praw obywatelskich. Wszyscy już tu się zbiegli. Policjanci, którzy brali udział w tej akcji, od tej chwili są na urlopie. Jeśli tylko będzie jakiś kontakt, przeciek, rozmówka, mrugnięcie okiem nad bananami w supermarkecie, ci włączeni w sprawę natychmiast złapią trop. Zrozumiano?

– Mógłbyś powtórzyć? – odezwał się Cashin.

– Dobra, to wszystko. Możecie iść. Cashin zostaje.

Hopgood i Dove wyszli.

– Joe, nie podziękuję ci za takie gówniane odzywki – warknął Villani.

Palił i strząsał popiół do plastikowej filizanki. Cashin spoglądał w bok, przez okno obserwował ptaki po drugiej stronie ulicy. Sen, przechadzka, robienie kupy, walka.

– Za nadzorowanie tej obsuwy jestem teraz napiętnowany – odezwał się Villani.

– Ja ci tak doradziłem. Co innego mogłeś zrobić?

– Przekazałeś mi opinię Hopgooda. Nic więcej. Ja podjąłem decyzję. – Przymknął oczy. Wyglądał na zmęczonego. Małe żyłka pulsowała na jego powiece. – Nie powinienem cię w to wciągać – uznał. – Przepraszam.

– Bzdura. Żadnego śladu zegarka Bourgoyne’a?

– Żadnego. Prawdopodobnie opylili go gdzie indziej. Trwają poszukiwania. Nie znaleziono miejsca pobytu Pascoe’a w Sydney.

– Doskonały przykład sprawności znakomitej stołecznej policji – skwitował Cashin.

– Nie wskażę nikogo palcem – odparł Villani. – Ja na pewno nie. – Podszedł do okna, otworzył je na siłę, rzucił niedopałek w stronę gołębi, opuścił okno. – Czeka mnie małe

spotkanie z mediami – mruknął. – Jak wyglądam?

– Zachwycająco – odparł Cashin. – Ładny garnitur, przyzwoita koszula i piękny krawat.

– Takie mi doradzili eksperci. – Stojąc już w drzwiach, dodał: – Na twoim miejscu, mówiłbym jak najmniej. Pozornie niewinne rzeczy wracają, żeby cię osaczyć. I ten fiut Hopgood, Joe... Nie staraj się mu w niczym pomóc, on cię sprzeda bez mrugnięcia okiem.

Minęła już połowa popołudnia, gdy przyszła kolej na Cashina.

W przegrzanym pokoju przesłuchań z uruchomioną kamerą wideo i magnetofonem usiadł na śliskim winylowym krześle przed dwojgiem federalnych, grubym starszym sierżantem z wydziału etyki zawodowej, Pittem, oraz jego asystentem wyróżniającym się zdziwionym wyrazem twarzy, Millerem, i przed facetem z policyjnego biura rzecznika praw obywatelskich.

Przy pierwszej okazji Cashin oświadczył, że to on przekonał Villaniego, by zaaprobował sposób przeprowadzenia operacji.

– No cóż, tą sprawą zajmiemy się kiedy indziej – oznajmił Pitt. – Nie teraz.

Federalni – oboje o żylastej budowie maratończyków – dwukrotnie przejrzeni zeznanie Cashina.

– Jak przypuszczam – zaczął mężczyzna – z perspektywy czasu uważa pan to za błąd w ocenie sytuacji?

– Z perspektywy czasu większość mojego życia wydaje mi się błędną oceną sytuacji – odparł Cashin.

– Czy pan poważnie traktuje to pytanie, detektywie? – zapytała kobieta.

Cashin miał ochotę poradzić jej, żeby się odpieprzyła. Ale powiedział tylko:

– W tych samych okolicznościach ponownie podjąłbym taką decyzję.

– W efekcie zginęły dwie młode osoby – zauważyła.

– Sąd zadecyduje, kto ponosi za to winę – skomentował Cashin.

Zapadło milczenie. Przesłuchujący spojrzeli po sobie.

– Jakie było pańskie zdanie co do przeprowadzenia operacji podczas ulewnego deszczu? – zapytała kobieta.

– Nie można sobie wybierać pogody. Jest, jaka jest.

– Pytam o sens tamtych działań? Jakie było pańskie zdanie?

– Nie miałem zdecydowanej opinii do momentu, kiedy już było za późno.

Rzeczywiście było za późno. Czekał zbyt długo.

– I wtedy, według zeznań, polecił pan Dove'emu, żeby zadzwonił do Hopgooda i wydał rozkaz przerwania operacji?

– Tak zrobiłem.

– Uważał pan, że był upoważniony do tego, by wydać rozkaz wstrzymania akcji? – drążył funkcjonariusz z biura rzecznika praw obywatelskich.

– Tak.

– Nadal pan tak sądzi?

– Pomyślałem, że w gruncie rzeczy to ja dowodzę akcją.

– To znaczy nie było jasno ustalone, kto dowodzi?

– Ja nadzoruję śledztwo w sprawie Bourgoyne'a. Operacja wynikała z tego śledztwa.

Przesłuchujący znowu spojrzeli po sobie.

– Przejdźmy do następnego punktu – zdecydowała kobieta. – Powiedział pan, że trzykrotnie próbował odwołać akcję?

– Tak.

– I koledzy nie potwierdzili odbioru?

– Nie.

– Dove prosił o potwierdzenie odbioru?

Cashin odwrócił wzrok. Odczuwał ból, myślał o domu, whisky, łóżku.

– Tak. Wielokrotnie. Po pierwszym komunikacie Hopgood poprosił o powtórzenie, powiedział, że nas nie usłyszał.

– Czy to zdziwiło pana?

– Takie rzeczy się zdarzają. Sprzęt czasem zawodzi.

– Wróćmy do momentu, kiedy minął pan pikapa – wtrącił się mężczyzna. – Mówił pan, że rozległy się dwa strzały.

– Tak jest.

– I widział pan błysk z lufy obok pikapa?

– Tak.

– Słyszał pan strzały, a potem zobaczył błysk z lufy?

Cashin pomyślał: pyta mnie, czy strzelano do Luke'a Ericsona, a on wtedy odpowiedział strzałami.

– To była tylko chwila podczas oberwania chmury – odparł. – Słyszałem strzały, widziałem błysk z lufy przy pikapie. Co do kolejności, to...

– Czy jest możliwe, że błysk z lufy nastąpił po strzale Ericsena w odpowiedzi na inne strzały? – zapytał Pitt.

– Nie umiem tego rozstrzygnąć.

– Ale jest to możliwe?

– Owszem. Możliwe też, że najpierw wystrzeliła śrutówka.

– Przepraszam, czy pan zmienia swoje zeznanie?

– Nie, tylko je uściślam.

– Od osoby z pańskim doświadczeniem oczekivalibyśmy nieco więcej precyzji – stwierdził agent federalny.

– My? – Cashin popatrzył mu prosto w oczy. – To znaczy kto? Pan? Co pan w ogóle wie, do cholery, o czymkolwiek?

To z pewnością mu nie pomogło. Dopiero po upływie następnej godziny mógł pojechać do domu. Ostrożnie prowadził samochód, był zmęczony, miał stargane nerwy. Na skrzyżowaniu z szosą do Kenmare przypomniał sobie o mleku, chlebie i jedzeniu dla psów, został już tylko kawałek kiełbasy. Zatrzymał się przy stacji benzynowej obok sklepu Callahana.

Nieogrzewany sklep pachniał skwaśniałym mlekiem i stęchłym ciastem, za ladą nie było nikogo. Cashin wziął mleko – ostatni karton – podszedł do półki, by sięgnąć po karmę dla psów. Została tylko jedna mała puszka.

– Znowu wróciłeś. – Derry Callahan z twarzą zaplamioną olejem stanął tuż za nim. Miał na sobie sweter z anilany zapinany na zamek błyskawiczny, który opinał mu się na brzuchu. – Miło widzieć, jak wy, chłopaki, dla odmiany uczciwie zarabiacie – powiedział.

Cashin rozejrzał się, poczuł alkohol i obrzydliwy oddech, zobaczył zaróżowione powieki Callahana, tłuste pasma włosów zaczesane dłonią na błądą, pokrytą plamami skórę na głowie.

– Powtórz, nie dosłyszałem – burknął.

– Zlikwidowaliście dwóch czarnuchów z Daunt. Szkoda tylko, że to nie autobus pełen takich gnojków.

Cashin w tym momencie w ogóle nie myślał, poczuł tylko przypływ wściekłości. Trzymał w prawym ręku puszkę Frisky Dog – duże kawałki mięsa w sosie ze szpiku kostnego. Zamachnął się i rąbnął Derry'ego w środek twarzy, dłoń nie powędrowała daleko, stali jeden tuż przy drugim. Poczuł tak ostry ból, jakby złamał sobie palce.

Callahan cofnął się, zrobił dwa małe kroki, padł powoli na kolana jak do modlitwy, próbował dłońmi sięgnąć do twarzy, na której pojawiła się krew, ciemnoczerwona, prawie

czarna we fluorescencyjnym świetle.

Cashin miał chęć uderzyć faceta raz jeszcze, ale tylko cisnął w niego kartonem mleka. Zrobił krok do przodu, by wymierzyć kopniaka, ale coś go powstrzymało.

Już w samochodzie zdał sobie sprawę, że wciąż jeszcze trzyma w ręku puszkę z karmą dla psa. Otworzył dłoń. Puszka była wgnieciona. Rzucił ją na tylne siedzenie.

Rebb usłyszał, że Cashin nadjeżdża, snopy światła rozjaśniły mrok, psy podbiegły do swojego pana, powiewając uszami, skakały jak szalone. Cashin głaskał je po głowach, ręka bolała jak diabli. Psy obiegały go dokoła i wróciły po więcej pieszczot.

– Myślałem już, że zniknąłeś na dobre – powiedział Rebb. – I zostawiłeś mnie z tymi szaleńcami i wszystkimi twoimi długami.

Psy obudziły Cashina na długo przed świtem. Po omacku wstał, podszedł do drzwi i wpuścił je do zimnego, ciemnego pokoju, potem wrócił do łóżka. Powęszyły chwilę w części kuchennej, szukając resztek jedzenia, zrezygnowały i wskoczyły, rozpuszczone jak dziadowski bicz, do łóżka.

Cashin nie zwracał na to uwagi. Wcisnęły go między siebie, przywarły do jego boków, położyły mu głowy na nogach. Znów zasnął, obudził się przestraszony, zapamiętał ten dźwięk, zgrzyt metalu o metal. Przez moment nasłuchiwał.

To był tylko odgłos ze snu. Każdy dziwny szmer psy wychwyciłyby znacznie wcześniej niż on. Ale nie mógł już zasnąć. Leżał na plecach, słuchając zawodzenia wiatru pojękującego przed świtem, bolały go palce prawej ręki.

Chłopcy w pikapie.

W tych samych okolicznościach ponownie podjąłbym taką decyzję.

W efekcie zginęły dwie młode osoby.

Do tamtej chwili w zatęchłym pokoju nie w pełni zdawał sobie sprawę z faktu, że krwawiących i umierających chłopców łączyła z nim nie, jego rozmowa z Villanim.

Nie dramatyzuj. To tylko trzy dzieciaki w pikapie. To nie może być trudne do rozegrania.

Czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Hopgood sam rozmawiał z Villanim? Czy Villani odrzuciłby tę sugestię, gdyby usłyszał ją bezpośrednio od Hopgooda?

Bez względu na to, jak bardzo mogli spartaczyć naloty na chłopców w ich domach, nie byłoby dwóch zabitych.

Cashin próbował myśleć o czymś innym.

Odbudowanie domu Tommy'ego Cashina, wysadzonego w powietrze tuż po zakończeniu I wojny światowej i leżącego od tej pory w gruzach. Co za głupota. Nigdy tego nie dokona, najpierw będzie tracił na to trochę swojego wolnego czasu, potem zrezygnuje. Skąd ten pomysł przyszedł mu do głowy?

Narodził się podczas spacerów z psami, gdy wracali do poskręcanych ruin pełnych zniszczonych elementów. A pewnego ranka, jadąc do pracy, spotkał na skrzyżowaniu Berna. Tył jego dodge'a był załadowany starymi cegłami. Obok Berna siedział mieszkający w okolicy starzec, Collo – czyścił cegły pod gołym niebem każdego dnia, bez względu na pogodę. Pokryty warstewką szarego cementowego pyłu, pogwizdując przez szpary między zębami, zawzięcie zdrapywał i odłupywał zaprawę murarską.

Zjechali na pobocze, wysiedli. Bern przeszedł przez szosę z papierosem w ustach.

– Trochę wcześniej jak na ciebie – zauważył Cashin. – Rozebrałeś jakiś dom pod osłoną nocy?

– Co wy, kutasy, możecie wiedzieć o uczciwej pracy? – odparł Bern. – Wszyscy macie grube tyłki, których wam się nigdy nie chce ruszyć.

– Ach, jesteś znawcą tyłków? – A potem Cashin wypowiedział te brzemiennie w skutki słowa: – Ile masz tutaj cegieł?

– Ze trzy tysiące:

– Po ile?

– Na co ci to?

– Po ile?

– Dla dobrego klienta czterdzieści za setkę, oczyszczone.

– Powiedzmy dwadzieścia pięć.

– Mam ci sprzedać cegły po dwadzieścia pięć, skoro mogę dostać czterdzieści? Wiesz, jak rzadkie są stare cegły? Prawdziwe antyki, bracie. – Bern splunął precyzyjnie. – No nie, skąd możesz wiedzieć. Ty w ogóle gównu wiesz.

– Dobra, trzydzieści.

– Co chcesz z nimi zrobić?

– Naprawiam dom Tommy'ego – wyjaśnił Cashin. Te słowa wymknęły się nagle, nie wiadomo skąd.

Bern pokręcił głową.

– Kolejny zwariowany Cashin. Umowa stoi, trzydzieści. Dostawa za dodatkową opłatą.

Teraz sterta cegieł leżała w pobliżu ruin.

Cashin wstał, ubrał się, zrobił herbatę. Na chwilę przed świtem wyruszył z psami na plażę – piętnaście minut jazdy, kilka ostatnich po drodze gruntowej. Pod niebem, które wyglądało jak poplamiony marmur, kroczył bosy po twardym, pomarszczonym piasku pod wiatr.

Jego ojciec uważał, że nie nosi się butów na plaży, bez względu na to, co się tu robi. Żadnych kłapek, niczego. Jeśli piasek jest gorący, nic nie gadaj albo wracaj do domu. Cashin myślał o tych czasach, gdy każdego lata miał stopy poparzone, porozcinane rozbitym szkłem i ostrymi kamieniami. Kiedyś stanął na haczyku od wędki. Podskoczył i usiadł gwałtownie na twardym piachu, łzy bólu popłynęły mu z oczu.

Ojciec wrócił, podniósł stopę. Haczyk utkwił w miękkim ciele za opuszką wielkiego palca.

– Nigdy się tego cholerstwa nie cofa – oznajmił i szarpnął za haczyk.

Cashin pamiętał, jak zadziór wychodził przez skórę – wydawał się ogromny. Ojciec ujął go między kciuk i palec wskazujący, pociągnął. Skóra się wybrzuszyła, zanim pokazało się oczko. Pamiętał to uczucie, gdy żyłka przejeżdżała całą długością przez palec.

Psy lubiły plażę, nie przepadały za morzem. Gonily za mewami, uganiały się za sobą, łapały zębami fale, uciekały przed nimi, wbiegały na wydmy, by penetrować wysokie trawy i busz w poszukiwaniu królików. Cashin, idąc wzdłuż brzegu, patrzył na morze z twarzą odwróconą od piasku nawiewanego z wydm.

Tuż za wielkimi bałwanami, równoległe do plaży toczył się silny prąd. Biegł tak aż do ujścia Stone's Creek. Odpływ dzielił potok na pięć lub sześć płycizn, piaszczyste łachy do złudzenia przypominały herbatniki biszkoptowe różnej szerokości. To tu, jak powiedziała Cashinowi Cecily Addison, Adrian Fyfe planował zbudować swój kurort.

„Hotel, pole golfowe, domy. Bóg wie co jeszcze. Burdel, kasyno, słowem wszystko, czego potrzebujesz”.

W takim burzliwym, niemal polarnym dniu, ten pomysł wydawał się szaleństwem.

Psy dobiegły do strumyczka, zamoczyły sobie stopy, zastanawiały się, czy przejść do pierwszego herbatnika. Cashin gwizdnął, spojrzały na niego i odwróciły się, gotowe biec do domu na śniadanie.

Kiedy już je nakarmił, wziął prysznic, znalazł czystą koszulę i pojechał do Port Monro zrobić porządek na swoim biurku. Nie miał pojęcia, jak długo może potrwać zawieszenie. Już na zawsze, pomyślał.

Przed komisariatem w starej ciężarówce volvo siedziała kobieta, dwójka małych dzieci

była uwięziona z tyłu. Cashin zaparkował za budynkiem i otworzył tylne drzwi, kobieta już nacisnęła przycisk dzwonka od frontu.

Zerknął poprzez żaluzje, zanim je podniósł – trzydzieści kilka lat, wiele warstw ubrania, rzadkie brudne włosy z czerwonymi i zielonymi pasemkami, gorycz w kącikach ust.

Otworzył drzwi.

– Nie przemęczacie się tutaj, cholera – warknęła na powitanie. – To komisariat, nie?

– Będzie otwarty dopiero za pół godziny. Jest wywieszka.

– Jezus, zupełnie jak ci pieprzeni lekarze, ludziom wolno chorować tylko w godzinach przyjęć, od dziewiątej do piątej.

– Zapominamy o pogotowiu ratunkowym.

Cashin zajął miejsce za biurkiem dyżurki.

– Miałam pieprzoną przygodę w tym mieście – oznajmiła. – Byłam w supermarkecie wczoraj wieczorem i im się wydało, że widzieli, jak wyjmowałam mrożonki ze swojego wózka i ładowałam do samochodu. Więc ja łączę z mrożonym grochem na wózku, tak?

– Kto tak powiedział?

– Ta zdzira Colley. O nią mi chodzi, o tę sukę.

– Co zrobiła?

– Zakazała mi wstępu do sklepu. Połowa tego cholernego miasta to słyszała.

– O którym supermarkecie mówimy?

– Supa Valu, tym na rogu.

– No cóż, jest jeszcze Maxwell.

Wysunęła podbródek.

– To takie jest pańskie stanowisko? Jestem uznana za winną bez sądu? Tylko na podstawie ich głupiego gadania?

Cashin poczuł, że pomalutku zaczyna robić mu się gorąco pod powiekami.

– Czego pani oczekuje ode mnie, pani...?

– Reed, Jadeen Reed. No więc, niech pan powie tej suce Colley, że nie ma żadnego prawa zakazywać mi wstępu. I niech się ode mnie odczepi.

– Sklep ma prawo odmówić wstępu każdemu – zasugerował Cashin. – Może powiedzieć samemu premierowi, że nie życzy sobie takiego klienta.

Jadeen otworzyła szeroko oczy.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się ponuro. – Cholera, naprawdę? Nie gadaj mi pan takich bzdetów. Gdybym zaparkowała mercedesa przed tym pieprzonym supermarketem, ta suka też by się do mnie przyczepiła? Niech pan pozna lepiej naszą rzeczywistość, drogi panie.

Teraz czuł już wyraźne gorąco pod powiekami.

– Zanotuję pani skargę, pani Reed. Może pani także przedstawić swój problem w wydziale spraw konsumenta. Numer jest w książce telefonicznej.

– To wszystko?

– Wszystko.

Odwróciła się, zrobiła kilka kroków. Przy drzwiach znów się odwróciła.

– Cholerne palanty – wycedziła. – Troszczycie się o bogatych, to jest wasze zadanie, może nie?

– Była pani notowana, Jadeen? – spytał Cashin. – Za cokolwiek? Proszę usiąść, sprawdzę.

– Ty sukinsynu! – zawołała. – Ty pieprzony dupku.

Wychodząc, próbowała trzasnąć drzwiami, ale nie dała rady – były samoczynne.

Cashin przeszedł do biurka i przejrzał papiery leżące na tacce z korespondencją przychodzącą. Szukał spraw, którym powinien poświęcić uwagę. Psy łąziły dokoła ogrodzenia jak więźniowie na spacerniaku; przynajmniej nie musiały stać w jednym miejscu.

Nie nadaję się do tej pracy, pomyślał Cashin. A jeżeli nie potrafię kierować tym komisariatem, nie powinienem wykonywać żadnej policyjnej roboty. Co jeszcze zrobił ze mną Rai Sarris? Nie chodzi tylko o ciało. Co ten szalony kutas popsuł w tkankach mojego układu nerwowego? Kiedyś miałem cierpliwość, nie paliły mnie powieki, nie atakowałem ludzi, myślałem, zanim zrobiłem cokolwiek.

„Posterunkowy Cashin umie właściwie postępować z ludźmi, zwłaszcza w tych przypadkach, kiedy zachowują się agresywnie”.

Sierżant Willis napisał to w pierwszej opinii Cashina i pokazał mu ją przed wysłaniem.

– Tylko przez to nie zacznij za dobrze o sobie myśleć, synu. Mówię to samo o wszystkich dziewczynach. – Przeszedł do swojego boksu i dodał: – Oczywiście, za moich czasów, po takim raporcie jak ten, kierowali palanta do drogówki.

Nadeszła Kendall. Robiła poranną herbatę, stojąc plecami do Cashina.

– Ta sprawa w Cromarty... – odezwała się nagle.

– Och, całkowita porażka. Jestem w związku z tym na urlopie. Ty tu teraz dowodzisz. Chłopak przysłany nam do pomocy zostaje.

– Na jak długo?

– Nie wiadomo, dopóki wydział etyki nie wyjaśni, kto ponosi winę i odpowiedzialność za to, co się stało. Zwolnienie ze służby może się okazać ostateczne.

– To byli ci, którzy napadli Bourgoyne’a?

– Na to wygląda. Albo ktoś, kogo znali.

– A zatem krzyżyk im na drogę – skwitowała.

Cashin spojrział przez okno na niebo, poczuł przez moment nienawiść do Kendall, do jej szybkiej, głupiej oceny tego okropnego wydarzenia. Zobaczył iskry, rozbity samochód, deszcz, krew w kałużach. Chłopców, z których uchodziło życie. Pomyślał o swoim synu.

– To tylko tak się wydaje, Ken – rzekł. – Nikt nie powinien umierać tylko dlatego, że jest podejrzany o popełnienie złego czynu. Nikt nie dał nam takiego prawa.

Ty pieprzony hipokryto, pomyślał. Kendall odeszła do swojego biurka.

Cashin skończył, zebrał dokumenty, kartki z notatkami i wszystko położył na tacce Kendall z korespondencją przychodzącą.

– Całkiem świeże sprawy – oznajmił.

Nie podniosła na niego wzroku.

– Przepraszam, że tak powiedziałam, Joe – odezwała się cicho. – Po prostu, cholera, samo tak wyszło. Chciałam tylko...

– Wiem. Solidarność. Dobry odruch. Zadzwoń do mnie w razie potrzeby.

Doszedł już do tylnych drzwi, gdy powiedziała:

– Joe, zawsze będziesz tu mile widziany. Naprawdę.

– Dzięki – odparł i wyszedł.

Poszedł odwiedzić bar Dublin. Nowy samochód z napędem na cztery koła stał zaparkowany przed wejściem; Leo miał dwoje klientów, parę w średnim wieku, jedli śniadanie. Kurtki z miękkiej skóry wisiały na oparciach ich krzeseł.

– Czarna na wynos – zamówił Cashin. – Siekiera.

– Albo usiądź, albo weź jeden z tych kubków-termosów – powiedział Leon. – Polistyren wcale nie psuje smaku drogiej kawy.

Cashin nie wykazał zainteresowania tą propozycją.

– Zapamiętam na przyszłość – rzucił.

Leon podszedł do ekspresu.

– Twój umięśniony chłopak wpadł tutaj wczoraj. Bardzo uroczy, ale niezbyt chętny do płacenia. Wyjął forszę dopiero po długiej i wymownej pauzie.

Cashin spoglądał w poprzek ulicy – Cecily Addison rozmawiała z jakąś kobietą przed gabinetem aromateurapetycznym.

– To chłopak z miasta – wyjaśnił. – Tam traktuje się funkcjonariuszy policji inaczej. Jak członków rodziny królewskiej.

– Przesłanie dotarło. Przyjąłem. Wy tak mówicie? Przyjąłem?

– Różnie mówimy, zależy od sytuacji.

Leon postawił naczynie z przykrywką na barze.

– Sprowadzicie posiłki na marsz?

– Marsz?

– Może być niewesoło. Zdzicziali Zieloni, bogate stare pierdoły, wciągną most zwodzony.

– Nie zrozumiałem – powiedział Cashin. Nie miał pojęcia, o czym Leon mówi.

– Marsz przeciwko kurortowi Adriana Fyfe’a. Nie było cię tu jakiś czas, co?

– Nie nadążam za wszystkimi wydarzeniami w tym mieście. Tu ciągle dzieje się coś nowego. Zresztą jestem teraz na urlopie.

– Czemu nie wybierzesz się do Noosa, nie pogawędzisz z bogatymi gliniarzami z brygady antynarkotykowej, wysłanymi na emeryturę? Tam jest ciepło?

– W Noosa nie troszczą się o wiktuały – odparł Cashin. – Co powiesz na zwyczajną zapiekankę z serem i pomidorami?

Leon teatralnie uniósł ramię, przesunął palcami po czole, jakby ocierał pot.

– Rozumiem, że nie chcesz sera z mleka owczego, z półsuchymi naturalnymi pomidorami na chlebie wypiekany na zakwasie?

– Nie.

– Chyba znajdę jakiegoś nagazowanego pomidora, trochę sera z pułapki na szczury i kilka plasterków białej chusteczki higienicznej.

Cashin kupił miejscową gazetę i pojechał na Open Beach. Samotny surfingowiec na wielkim falującym morzu.

Nagłówek na trzeciej stronie brzmiał: „Dwie ofiary pościgu. Kraksa, strzelanina”.

Poranna gazeta z poprzedniego dnia nie zdążyła podać wiadomości o tym wydarzeniu. Fotografie trzech chłopców pochodziły z wcześniejszych lat. Podpis o tym nie wspomniał. A reporter nie dał wiary wersji o przechwyceniu. Jego zdaniem, to był nieudany pościg. Napisał, że Luke Ericson „najwyraźniej zginął podczas strzelaniny”. Poinformował także czytelników, że zachowanie siedmiu funkcjonariuszy stało się przedmiotem dochodzenia.

Inny artykuł opatrzone nagłówkiem: „Lider Zjednoczonej Australii atakuje policję”.

Zacytowano Bobby’ego Walshe’a:

„Szok i żal, to czuję. Luke Ericson był synem mojej siostry, bystrym, pogodnym chłopcem. Wszyscy pokładali w nim wielkie nadzieje. Nie wiem dokładnie, co się wydarzyło, ale to nie ma tak naprawdę znaczenia. Dwaj młodzi chłopcy nie żyją. To jest tragedia. I zbyt wiele mamy takich tragedii. W całej Australii istnieje problem kultury policji. Autochtoniczna

ludność najboleśniej odczuwa tego skutki. Komu potrzebne są sądy, skoro każdy sam może wymierzyć sprawiedliwość? Wcale się nie dziwię, że to się wydarzyło w Cromarty. Obecny minister finansów umocnił taką kulturę, gdy był jeszcze szefem policji stanowej. Pomógł lokalnej policji zatuszować sprawę śmierci dwóch osadzonych w celi Aborygenów. Przypomnę mu o tym haniebnym epizodzie w czasie kampanii wyborczej. Będę mu często o tym przypominał. Obiecuję”.

Zapiekanek nie była zła. Płaska, przypieczona, ociekająca serem, czymś żółtym w każdym razie.

Czy Deny Callahan mógł się poskarżyć, że został trzaśnięty puszką z psim żarciem? Cashin pomyślał, że go to w ogóle nie obchodzi. Warto było uszkodzić sobie palce, by walnąć drania. Powinien jeszcze kopnąć sukinsyna, poczułby się wtedy lepiej.

Zadzwoiła komórka. Odnalezienie jej zajęło Cashinowi trochę czasu.

– Odpoczywasz? – odezwał się Villani. – Leżysz na plaży w termoaktywnym stroju? W długich pasiastych ciepłych gatkach?

– Czytam właśnie gazetę. Pełno tu dobrych wieści.

– Powiem ci dobrą wieść. Facet z lombardu zidentyfikował Pascoe’a i Donny’ego.

Surfingowiec wspiął się na wielką wodną ścianę. Wyglądało na to, że ta ściana nie chce się załamać, potem się zwinęła, on stał, nagły przypływ od piaszczystej łachy spowodował, że fala pękła pod naporem drugiej. Surfingowiec runął w tył pociągnięty przez deskę.

– Przed chwilą rozmawiałem z komisarzem – ciągnął Villani. – Tak naprawdę to on mówił do mnie. Bez przerwy. Rzecznicy prasowi twierdzą, że sami się podkładamy, jesteśmy narzędziem w ręku naszych przeciwników. Myślę, że chodzi im o Bobby’ego Walshe’a i media. Tak więc tylko Lloyd i Steggles są zawieszeni. Ty nie jesteś już na urlopie. A Dove wraca do ciebie, będzie twoim partnerem.

– A co z innymi?

– Preston przeniesiony do Shepparton, Kelly jedzie do Bairnsdale.

– A Hopgood?

– Zostaje na stanowisku.

– A więc obciąża się funkcjonariuszy niższej rangi?

– Decyzja komisarza, Joe. Tak mu poradzono.

– To się nazywa szefostwo. W Sydney, w lombardzie byli tylko Pascoe i Donny?

– Ericson prawdopodobnie czekał na zewnątrz.

– To co będzie z Donnym?

– Wciąż jest w szpitalu, pod obserwacją, ale nic mu nie grozi; ma tylko siniaki, stłuczenia, drobne skaleczenia. Będzie oskarżony o usiłowanie zabójstwa, przesłuchanie o dziesiątej rano w obecności prawnika.

– No nie wiem, oskarżony o usiłowanie zabójstwa? Wybacz, to cholernie cienka sprawa.

– Jeśli dopisze nam szczęście, przyzna się – powiedział Villani. – Jeśli nie, zobaczymy, co dalej.

– To postawa przejęta od Singa. Zdać się na los?

– To jest to, co musimy zrobić, Joe – zakończył Villani beznamiętnym tonem.

Siedzieli w pokoju przesłuchań, czekali. Cashin, od momentu gdy przyjechał do Port Monro, nie nosił garnituru.

– Bardzo prędko zniechęciłem to miasto – odezwał się Dove. Położył przedramiona na stole; widać było mankiety spięte małymi pręcikami srebrnych spinek. Przyglądał się swoim dłoniom, długim palcom.

– Kiepska tu pogoda – powiedział Cashin.

– Nie o to chodzi. Pogoda jak pogoda. Jest coś złego w samym miejscu.

– Zwykła miejscina.

– Nie, to jest miasto, które się skurczyło tak, że zostało w nim tylko gówno, nic więcej.

Jak długo już czekamy na więźnia?

Stuknięcie w drzwi, wszedł policjant, za nim młody chłopak, którego Cashin widział na miejscu pasażera w pikapie na tamtym fatalnym skrzyżowaniu, potem następny policjant. Donny Coulter miał chudą, smutną twarz, opuchnięte oczy, zadarty nos, napięte usta. Twarz przestraszonego dziecka. Zachowywał się nerwowo, co chwila oblizywał wargi.

– Siadaj, Donny.

Znowu zapukano, drzwi znajdowały się za plecami Cashina.

– Proszę wejść! – zawołał.

– Helen Castelman, Pomoc Prawna dla Aborygenów. Reprezentuję Donny'ego.

Cashin się odwrócił. Młodo wyglądająca kobieta, szczupła, z ciemnymi włosami ściągniętymi do tyłu. Popatrzyli na siebie.

– No, proszę, coś takiego. Witam – powiedział. – Dawno żeśmy się nie widzieli.

Zmarszczyła brwi.

– Joe Cashin – przypomniał. – Znamy się ze szkoły.
– Och, oczywiście – odparła bez uśmiechu. – A to niespodzianka.

Podali sobie ręce z zakłopotaniem.

– Sierżant Dove – przedstawił Cashin kolegę.

Skinęła głową.

– Nie wiedziałem, że tu mieszkasz – ciągnął Cashin.

– Długo mnie tu nie było. A co u ciebie?

– Pracuję w Port Monro.

– Racja. A więc kto nadzoruje śledztwo?

– Ja. Miałaś możliwość przeprowadzenia rozmowy ze swoim klientem bez świadków?

– Tak.

– Możemy więc zaczynać?

– Bardzo proszę.

Cashin usiadł naprzeciwko Donny'ego. Dove włączył nagrywanie i odnotował datę, godzinę, nazwiska obecnych osób.

– Jesteś Donald Charles Coulter, zamieszkały przy Fraser Street 27, na osiedlu Daunt w Cromarty?

– Zgadza się.

– Donny – odezwał się Cashin. – Masz prawo zachować milczenie, ale wszystko, co powiesz lub zrobisz, może być użyte jako dowód w sprawie. Rozumiesz?

Donny nie odrywał oczu od stołu.

– Powtórzę – ciągnął Cashin. – Nie musisz odpowiadać na pytania. Ale jeśli to zrobisz, my możemy wykorzystać przed sądem twoje zeznania. Jasne, Donny?

Chłopak nie chciał podnieść wzroku. Obliznął wargi.

– Pani Castelman – zwrócił się Cashin do opiekunki prawnej.

– Donny, rozumiesz, co powiedział policjant? Pamiętasz, co ja ci mówiłam? Nie musisz odpowiadać na pytania.

Donny spojrzał na nią i skinął głową.

– Powiedz, że rozumiesz, Donny – poprosił Cashin.

– Rozumiem.

Donny bębnił knykciami w stół.

– Teraz inne przysługujące ci prawa – ciągnął Cashin. – Możesz się skontaktować z przyjacielem albo krewnym, by poinformować tę osobę o miejscu, w którym przebywasz. Możesz się skontaktować z adwokatem.

– W tym momencie – wtrąciła się Helen Castelman – chciałabym oświadczyć, że mój klient skorzysta z przysługujących mu praw i nie będzie odpowiadał na żadne dalsze pytania zadawane w tym przesłuchaniu.

– Przesłuchanie przerwane o dziewiątej czterdzieści – zakomunikował Cashin.

Dove wyłączył sprzęt.

– Szybko załatwione – zauważył Cashin. – Zechciałaby pani wyjść ze mną na chwilę, pani Castelman?

Opuścili pokój przesłuchań.

– Rozpatrzenie zwolnienia za kaucją o dwunastej piętnaście – poinformował Cashin. – Gdyby Donny opowiedział swoją historię, mogłoby nie być sprzeciwu wobec zwolnienia.

Jedno oko miała szare, drugie niebieskie. To nadawało jej wygląd gniewny i jednocześnie pełen dystansu. Cashin przypomniał sobie, jak nieraz przyglądał się jej twarzy na pamiątkowym zdjęciu klasy, długo po skończeniu szkoły.

– Będę musiała uzyskać odpowiednie instrukcje – odparła.

Dove i Cashin poszli wzdłuż ulicy. Kupili kawę U Ciotki Jenmimah. W lokaliku były kraciaste obrusy na stołach i obrazy Petera Rabbita na ścianach.

– Koleżanka ze szkoły – zagadnął Dove. – Szczęściarz z ciebie.

– Nie moja liga – odparł Cashin. Stara zamożna rodzina z Cromarty. Ojciec Helen był lekarzem. Rodzina miała własną gazetę. I sklep ze zdrową żywnością. Helen nie poszła do szkoły z internatem tylko dlatego, że nie chciała opuścić swoich koni.

W drodze powrotnej Dove otworzył kubek i pociągnął łyk.

– Jezu, co to jest? – jęknął.

– Trochę gówna, nic więcej.

Helen Castelman stała przed komisariatem, rozmawiając przez komórkę. Przyglądała się im, gdy nadchodzili. Byli już przy schodach, kiedy się odezwała:

– Detektywie Cashin.

– Pani Castelman?

– Matka Donny'ego mówi, że chłopak był w domu tej nocy, gdy napadnięto Bourgoyne'a. Zobaczmy się w sądzie.

– Czekam z niecierpliwością.

Cashin wszedł do komisariatu i zadzwonił do prokuratora.

– Stanowczo sprzeciwiam się zwolnieniu za kaucją – oznajmił. – Dochodzenie nie jest zakończone. Istnieje realne niebezpieczeństwo, że oskarżony będzie wywierał wpływ na zeznania świadków albo ucieknie.

O jedenastej piętnaście Dove i Cashin zmierzali w stronę wyjścia z komisariatu.

– Telefon do pana – powiedział policjant w dyżurce. – Inspektor Villani.

– Co się dzieje z twoją komórką? – warknął Villani.

– Przepraszam. Wyłączyłem.

– Posłuchaj, chłopak dostaje zwolnienie za kaucją.

– Dlaczego?

– Ponieważ tak minister polecił naczelnemu komisarzowi, on to powtórzył komisarzowi wydziału zabójstw, a ten przekazał to polecenie mnie. Względy polityczne. Nie chcą ryzykować, by Donny’emu mógł się zdarzyć w areszcie choćby najmniejszy wypadek.

– Jak wysoki sąd sobie życzy.

– Nie sprzeciwiają się zwolnieniu za kaucją – poinformował Cashin Dove’a.

– Palanci – burknął Dove. – Żałona kapitulacja.

Policjant w dyżurce wskazał drzwi.

– Macie komitet powitalny. Telewizja.

Cashinowi zrobiło się zimno. Nie pomyślał o spotkaniu z dziennikarzami wcześniej.

– Porozmawiaj z nimi – poprosił Dove’a. – To ty jesteś z miasta.

Dove pokręcił głową.

– Tak prędko się przeistoczyłeś w wiejskiego policjanta?

Wyszli naprzeciw fleszom, błyszczącym, czarnym oczom kamer telewizyjnych i puszystym mikrofonom na długich uchwytach. Co najmniej kilkanaście osób zaczęło się do nich przepychać.

– O co jest oskarżony Donny Coulter? – zapytała kobieta ubrana na czarno z blond włosami usztywnionymi lakierem.

– Bez komentarzy – powiedział Dove. – Wkrótce wszystko będzie ujawnione.

Obaj schodzili schodami – kamerzyści pobiegli naprzód, by filmować ich, jak idą zimową ulicą pod szarym, niskim niebem. Gdy skręcili za róg, zobaczyli tłum zebrany przed budynkiem sądu.

– Pani Castelman nagłaśnia sprawę – zauważył Dove.

Tłum rozdzielił się, umożliwiając im przejście wąskim korytarzem. Szli tuż obok siebie między nieprzyjawnymi twarzami, w ciszy, która trwała do chwili, gdy znaleźli się u szczytu schodów.

– Mordercy! – krzyknął mężczyzna w podwiniętej kominiarce stojący na lewo od Cashina. – Sukinsyny, potraficie tylko zabijać dzieci, nic innego.

– Łajdaki – warknęła kobieta po stronie Dove’a. – Parszywe kundle.

Hol sądowy był zatłoczony, mała sala rozpraw pełna ludzi. Podeszli do oskarżycielki publicznej w randze starszego posterunkowego.

– Zmiana stanowiska – powiedział Cashin. – Nie sprzeciwiamy się zwolnieniu za kaucją.

Skinęła głową.

Usiedli na miejscach dla świadków oskarżenia. Dove rozejrzał się wokoło.

– Tylko my dwaj reprezentujemy siły porządkowe. Gdzie Hopgood, przyjazna twarz systemu współpracy policji z lokalną społecznością?

– Prawdopodobnie sprawdza umiejętności strzeleckie następców K.D. i Prestona.

Dove popatrzył na niego przez moment, oczy mu rozbłysły za okrągłymi szklami okularów.

Helen Castelman przyszła z jakąś starszą kobietą. Cashinowi wydało się, że dostrzegł jej podobieństwo do Donny'ego.

Dokładnie o dwunastej piętnaście przyprowadzono do sali Donny'ego, publiczność powitała go jak bohatera. Spojrzał na kobietę towarzyszącą Helen Castelman. Uśmiechnęła się do niego i mrugnęła, robiąc dobrą minę do złej gry.

Publiczności polecono, by się uciszyła, następnie kazano wszystkim wstać. Wszedł sędzia i usiadł na swoim miejscu. Miał pulchną, różową twarz i siwe kosmyki włosów zaczesane na łysinę. Trochę przypominał dziecko cierpiące na chorobę przedwczesnego starzenia.

Oskarżycielka publiczna sprawdziła dane Donny'ego i oznajmiła, że został oskarżony o usiłowanie morderstwa. Znow musiano uciszyć poruszoną publiczność.

– Wysoki sędzie, mimo poważnego oskarżenia, nie ma sprzeciwu wobec zwolnienia za kaucją – oznajmiła.

Sędzia spojrział na Castelman i skinął głową.

Helen wstała.

– Wysoki sędzie, reprezentuję pana Coultera i chciałabym wystąpić o zwolnienie za kaucją. Mój klient nie był dotychczas notowany. Został oskarżony w najbardziej tragicznych okolicznościach, jakie można sobie wyobrazić. Kilka dni temu widział, jak jego kuzyn i bliski przyjaciel zginęli w incydencie, w którym brała udział policja...

Oklaski na sali, kilka okrzyków. Urzędnik sądowy znow musiał uciszać obecnych.

– W tym sędzie gra pod publikę, pani Castelman, nie jest dobrym pomysłem – powiedział sędzia, dziecko z szorstkim głosem.

Helen pochyliła głowę.

– Nie miałam takiego zamiaru, wysoki sędzie. Mój klient jest po prostu niewinnym chłopcem, ofiarą okoliczności. Wciąż jest w szoku po tym, co się stało, i powinien przebywać w domu, razem z rodziną. Przyjmie wszelkie zobowiązania, jakich sąd zażąda, i oczywiście ich dotrzyma. Dziękuję, wysoki sędzie.

Sędzia zmarszczył brwi.

– Udzielam zgody na zwolnienie za kaucją – oznajmił. – Oskarżonemu nie wolno opuszczać miejsca zamieszkania między dziewiątą po południu a szóstą rano i musi codziennie zgłaszać się na policję w Cromarty.

Znowu oklaski, okrzyki, uciszanie.

Cashin spojrział na Helen Castelman. Przekrzywiła głowę. Obdarzyła go lekkim uśmiechem, tylko rozchylając wargi. Cashin poczuł znowu jak nastolatek pożądanie i zachwyty połączone ze zdumieniem, że piękna i mądra, bogata dziewczyna chciałaby go pocałować.

Przeszli obok Helen Castelman, która udzielała wywiadu na schodach budynku sądu, ekipy telewizyjne dogoniły ich, zanim dotarli do komisariatu. Dove odmówił odpowiedzi na pytania.

– Przygotowaliśmy pokój, szefie – poinformował Cashina policjant w dyżurce. – Na górze, proszę skrócić w lewo, ostatnie drzwi na prawo.

Kiedy tam weszli, Dove rozejrzał się i pokręcił głową.

– Przygotowali? Po prostu otworzyli jakąś rupieciarnię.

Zsunięte razem stoły, dwa komputery, cztery kiepskie krzesła, stosy starych gazet, notesy, zwały pudełek po pizzy, styropianowe kubki, plastikowe łyżki, długopisy bez skuwek, puszki po napojach.

– Jak pokój w akademiku – ocenił Dove. – Ohyda.

Szarpnął dolną połowę okna do góry, nie udało się otworzyć. Walnął pięściami w ramy, znów spróbował. Żyły nabrzmiały mu na szyi. Okno ani drgnęło.

– Cholera – zaklął. – Nie można tu oddychać.

– Potrzebujesz inhalatora?

Prowokacyjne pytanie odniosło pożądany skutek.

– Nie cierpię na astmę – burknął Dove. – Mam problem z oddychaniem powietrzem wydychanym dziesiątki tysięcy razy przez ludzi z zepsutymi zębami, zgniłymi migdałkami i cierpiącymi na zaparcia.

– Spokojnie. Astma, ludzka rzecz.

Cashin usiadł. Musiał koegzystować z Dove'em.

Dove wysunął krzesło, rozsiadł się, oparł nogi w starannie wyczyszczonych butach na biurku. Podeszwy prawie w ogóle nie były znoszone, żółte, błyszczące, wyglądały nieskazitelnie.

– No, więc dobrze – powiedział. – Nie mam astmy.

– Miło to słyszeć. Przypuszczam, że obrona będzie chciała obciążyć Luke'a Ericsona podejrzeniami w sprawie Bourgoyne'a. Luke nie żyje, dla niego to żaden problem.

– Jeśli Donny tam był, też zostanie obciążony.

– Oskarżenie Donny'ego stanowiłoby wyzwanie. A jeśli do tego dojdzie, stwierdzą, że to starszy kuzyn sprowadził chłopaka na złą drogę.

Nagły łoskot; Cashinowi aż serce skoczyło. Po tym, jak Dove otworzył zatrask okna, przegniłe prowadnice w ramach raptem puściły, a górna połowa okna opadła. Wielkie szyby drżały, jakby zatrzęsł się cały świat na zewnątrz.

Do pokoju wtargnęło zimne powietrze, zapach morza – słony, seksualny.

– Tak lepiej – powiedział Dove. – Znacznie lepiej. Opóźnione działanie. Zapalisz?

– Nie, dzięki. Zawsze walczę z tą pokusą.

Dove przypalił sobie papierosa, przesunął swoje krzesło tam i z powrotem.

– Jestem nowy w tych sprawach, ale jeśli nie wykażemy, że Donny był w rezydencji, pozostaje nam tylko fakt, że pojechał do Sydney z Lukiem i próbowali sprzedać zegarek Bourgoyne'a. Wywinie się z tego.

– Cóż, tak działa system.

Dove patrzył na niego przez chwilę, mrużąc oczy.

– Przemądrzałe dupki, które wychodzą na wolność. Spoglądają na swoich kolegów z uśmiechem wyższości. Robią nawet gest zwycięstwa. Jak łatwo to przyszło. Pieprzone policyjne gnojki dały się wymanewrować. – Chwila przerwy. – Co mówi Villani, twój kumpel?

Cashin poczuł ogromną chęć, żeby rąbnąć Dove'a. Powstrzymał się jednak.

– Inspektor Villani nic nie mówi – odparł. – Za to matka Donny'ego daje chłopakowi alibi. Inni też mogą je potwierdzić.

Dove odchylił głowę.

– Niektóre kobiety zdumiewają mnie. Całe życie kryją mężczyzn: ojca, męża, synów. Jakby to był ich święty obowiązek. Nie ma znaczenia, co sukinsyn robi. Co z tego, jeżeli mój tata bije mamę; co z tego, że mój mężulek pieprzy opiekunkę do dzieci; co z tego, że mój syn

jest nastoletnim gwałtcielem...

– Nie możemy udowodnić, że Donny był w rezydencji tamtej nocy – powiedział Cashin.

– Tak czy inaczej, to akademicka dyskusja – odparł Dove. – Hopgood ma rację. Bobby Walshe sprawia, że im wszystkim miękną fujary. Najpierw jest zwolnienie za kaucją, potem odstąpią od oskarżeń.

– Powinieneś to powiedzieć Hopgoodowi. Weźmie cię do drużyny Cromarty. Mógłbyś być ich rzecznikiem prasowym.

Dove palił w milczeniu ze wzrokiem utkwionym w sufit.

– Jestem czarny, więc powinienem wczuwać się w sytuację tych chłopców z Daunt. To właśnie chcesz mi powiedzieć? – spytał po chwili.

Na parapecie pojawiła się mewa – twarde oczy, wyleniała głowa, kogoś przypominała Cashinowi.

– Nie, tylko tyle, że musimy mieć otwarty umysł, dopóki nie zdobędziemy twardych dowodów.

– Tak, szefie. A na razie będę mieszkał w motelu Wzwód Wieloryba.

– W Zajeździe Wielorybników.

– Bardzo możliwe. – Z papierosem w zębach Dove spojrzał na Cashina. – Mów, co mam robić. Godzę się z rzeczywistością. Powinienem czytać książkę do końca służby?

– Trzeba zebrać dowody przeciwko Donny’emu i Luke’owi. Nie mam żadnych innych poleceń.

– Nie mówię o poleceniach.

Zapadające się krzesło, nieodpowiednie dla bolącego kręgosłupa, nie poprawiało Cashinowi nastroju. Wstał, zdjął płaszcz, rozłożył na podłodze starą gazetę, położył się i oparł nogi o krzesło.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał zaniepokojony Dove.

Cashin nie widział go teraz.

– Jestem istotą podłogową. Musimy się dowiedzieć, gdzie możemy się spotkać z matką Donny’ego.

Dove pojawił się nad nim w zasięgu wzroku.

– Po co?

– Jeśli zamierza kryć syna i kłamać, zaniepokoi się. Oni nie wiedzą, co na niego mamy. Jeśli sprawimy, że Donny przyzna się do czegoś, osiągniemy niezły rezultat.

Cashin usłyszał, że drzwi się otworzyły.

– Tylko ty, słoneczko? – powiedział Hopgood. – Gdzie Cashin?

Dove spojrział w dół. Hopgood obszedł stół i zaczął uważnie przyglądać się Cashinowi, jakby ten był jakimś zwierzęciem rozjechanym na szosie.

– Co to znaczy, do cholery? – zapytał.

– Brakowało nam ciebie w sądzie – rzucił Cashin.

Hopgood uniósł podbródek. Cashin mógł teraz zobaczyć włosy w jego nosie.

– To nie moja sprawa.

– Chcemy porozmawiać z matką Donny’ego.

– Zamierzasz pojechać do Daunt?

Cashinowi nie podobał się ten pomysł.

– Jeśli będziemy musieli. Nie bardzo wierzę, że uda się ją ściągnąć tutaj.

– Jasne. To twój interes – odparł Hopgood. – Nas do tego nie wciągaj.

– Chcę porozmawiać z facetem od kontaktów z Aborygenami.

– Spytaj dyżurnego, gdzie ten gość się teraz opierdziela.

Zadzwoił telefon. Dove podniósł jedną słuchawkę, nie ta, wziął drugą.

– Tu Dove. Dobrze, szefie, tak. Już łączę. – Podał słuchawkę Cashinowi. – Inspektor Villani – poinformował bezzamiętnym tonem.

Cashin wyciągnął rękę do góry.

– Naczelnny dowódca.

– Joe, próbujemy poprawić sytuację – powiedział Villani.

– To znaczy?

– Pozwólmy, żeby wszystko się uspokoiło. Widziałem dzisiaj ten tłum przed sądem i w sali rozpraw; przyjaciele z telewizji pokazali nam swoje zdjęcia przygotowane do wiadomości wieczornych. Polecenie brzmi: nie chcemy wzniecać żadnych niepokojów.

– Kto tak zdecydował?

– Nie byle kto.

– Chłopaka prawie o nic nie oskarżono. Teraz nie chcesz, żebyśmy znaleźli jakikolwiek dowód lub próbowali go nakłonić, by się przyznał do winy?

– Nie róbcie niczego, co zaogniłoby sytuację.

– To sprawa polityczna, tak?

Villani wypuścił ze świstem powietrze.

– Joe, czy ty możesz nabrać odrobinę rozumu?

Cashin czuł, że Dove i Hopgood patrzą na niego – na faceta, który rozmawia przez telefon, leżąc na podłodze z łydkami opartymi o krzesło.

– Chciałbym zauważyć, szefie, że jeszcze tylko przez jakiś czas możemy dowiedzieć się czegoś istotnego w sprawie. Jeżeli nie wykorzystamy tej szansy, będziemy potrzebowali wiertarki udarowej.

Milczenie.

Cashin utkwiał wzrok w suficie, żółtym, pomarszczonym i pokrytym plamami jak grzbiet starczej dłoni.

– Tak mi podpowiada zdrowy rozsądek – odezwał się po chwili.

Milczenie.

– A co on jest wart, Joe? – odparł Villani – To żeby Shane Diab zaparkował przed domem Rai Sarrisa, było, twoim zdaniem, zgodne ze zdrowym rozsądkiem?

Cashin poczuł, jak przeszywa go zimne ostrze noża.

– Idźmy dalej – wymamrotał. – Jak długo ma trwać przerwa? Przykładowo.

– Nie wiem, Joe, tydzień, dziesięć dni, może dłużej. – Villani mówił powoli, jak ktoś kto przemawia do tępego dziecka. – Sami musimy ocenić sytuację.

– Słusznie. Niektórzy z nas posłużą się własną oceną sytuacji. – Cashin spojrzał na Dove'a. – A co ma robić w tym czasie Paul Dove?

– Potrzebuję go z powrotem. A ty weź sobie trochę wolnego. Wytrzymasz to?

– Znowu zawieszenie, szefie?

– Nie bądź durniem, Joe. Zadzwoń do ciebie później. Daj mi Dove'a.

– Co powiedział? – zapytał Hopgood.

– Ogłosił przerwę w dochodzeniu w sprawie Donny'ego.

– Tak? – W głosie Hoopgooda Cashin wyczuł kpinę. – Nie będzie ci więc potrzebne to wygodne biuro.

Padał drobny deszcz, Dove i Cashin poszli do Regent, wzięli po piwie, usiedli w mrocznym bistro, pachnącym gotowanym tłuszczem, jako jedyni klienci.

Dove przeczytał laminowane menu, przejechał wskazującym palcem po spisie potraw.

– Dwanaście głównych dań – powiedział. – Potrzeba co najmniej trzech ludzi w kuchni, by to przyrządzić.

– W mieście – odparł Cashin. – Trzech nierobów. U nas to wszystko robi jedna dziewczyna z doświadczeniem zawodowym.

– Kanapka z wołowiną – przeczytał Dove. – Jak bardzo mogą to spieprzyć?

– Zawsze stają na wysokości zadania.

Zniszczona kobieta w zielonym kombinezonie wyszła zza tylnych drzwi i stanęła nad nimi z bloczkiem w dłoni. Wciągnęła powietrze przez zęby, wydając odgłos, jakby ostatnie

resztki pomyj sływały przez zapchany odpływ zlewu.

– Dwie kanapki z wołowiną, proszę – zamówił Cashin.

– Tylko przy barze – wyrecytowała, wpatrując się w ścianę. – Tu podajemy wyłącznie potrawy bistra.

– Jesteśmy gliniarzami. Potrzebujemy odrobiny prywatności – nalegał Cashin.

Spojrzała w dół, uśmiechnęła się do niego.

– Wobec tego w porządku. Znam wszystkich gliniarzy. Wy jesteście tutaj w sprawie Bourgoyne'a?

– Nie możemy mówić o naszej pracy.

– Czarne łajdaki – wycedziła z nienawiścią. – Sprzątnęliście dwóch, czemu nie załatwicie jeszcze całej kupy tych sukinsynów? Zbombardujcie to miejsce. Jak Bagdad.

– Może pani odciąć tłuszcz? – odezwał się Dove. – Byłbym wdzięczny.

– Nie lubi pan tłuszczu? Nie ma sprawy.

– I chciałbym plasterek pomidora.

– Na kanapkę z wołowiną?

– Tak jadają czarnuchy.

W drzwiach kuchni kobieta zerknęła do tyłu na Dove'a. Mimo panującego mroku Cashin dostrzegł niepewność w jej oczach.

– Atrakcyjna kobieta. Tyłu tu wspaniałych ludzi... to musi mieć związek z dominacją genów białych. – Rozejrzał się dookoła. – Przejmujesz się takimi rzeczami jak te, które zdarzyły się tamtej nocy? Nadal się przejmujesz? Zawsze się będziesz zajmował?

– Co masz na myśli?

– No wiesz, bardzo trudno cię rozszyfrować. Nie dałoby się w ogóle, gdybyś nie kładł się na podłogę. Wtedy widać duszę.

Cashin zastanawiał się, czy powiedzieć mu o swoich snach.

– Przejmuję się.

– Zastrzeleniem chłopca.

– Ktoś strzela do ciebie, co wtedy robisz?

– Zmierzam do tego, czy chłopak rzeczywiście strzelił pierwszy. Czy tak im powiedziałeś?

Cashin nie miał ochoty odpowiadać na to pytanie, w ogóle nie chciał się nad nim zastanawiać.

– Dowiesz się, co im powiedziałem, u koronera.

– Nie przyszło ci na myśl, że zostaliśmy wrobieni? Hopgood wsadził nas do felernego

samochodu. Twierdzi, że nie słyszał radia.

– Czemu miałby tak zrobić?

– Żeby zostawić sobie i swoim chłopcom trochę luzu na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

– To byłoby chyba posunięcie zbyt dalekowzroczone jak na Hopgooda. Tęsknisz za federalnymi?

Dove z politowaniem pokręcił głową. Rozmawiali przez jakiś czas o nieważnych rzeczach, kobieta przyniosła kanapki, wyraźnie okazywała sympatię Cashinowi.

– Czy to mógł być filet z wieloryba? – zapytał Dove po chwili intensywnego przeżuwania. – Nie sądzę, żeby tu przestrzegano ustaleń traktatu wielorybniczego.

Na dworze powitała ich mżawka. Wiał mroźny wiatr.

– Mamy przerwę w dochodzeniu, pieprzę to. Sprawa trafiła do zamrażarki i tam sobie posiedzi. Więc się wynoszę z cholernej tawerny Wzwód Wieloryba.

– Z Zajazdu Wielorybników.

– Stamtąd też.

Na schodach komisariatu Dove wyciągnął do Cashina długą dłoń.

– Mam mocne przeczucie, że tu nie wrócę. Będę bardzo tęsknił za tym miastem.

– Takie tu dobre rzeczy, filet z wieloryba, kawa panny Piggy.

– Ciotki Jenimah.

– Wy, federalni, jesteście dobrze wyszkolonymi obserwatorami – powiedział Cashin. – Wkrótce znowu się zobaczymy.

Debbie Doogue siedziała przy kuchennym stole. Porozkładane szkolne książki, kubek herbaty z mlekiem, kruche ciasteczka, film rysunkowy w telewizji. W pomieszczeniu było ciepło, piecyk na drewno buzował w kącie.

– Miło być w takim miejscu – zauważył Cashin.

– Chcesz herbaty? – zapytała.

Miała jasnorude włosy ściągnięte do tyłu, cienie piegów na policzkach. Skończyła dopiero czternaście lat, ale wyglądała na starszą.

– Nie, dzięki. Już się opilem herbatą. Jak tam w szkole?

Zadawanie takiego pytania nastolatce nie miało sensu.

– W porządku. Za dużo zadają do domu. – Przesunęła się na krześle. – Tata jest w

szopie.

Cashin podszedł do zlewu, wytarł otwór w zaparowanej szybie. Widział deszcz padający na kałuże w pobrużdżonym błocie między domem a szopą. Bern ładował coś na ciężarówkę. Papierosa trzymał w zębach.

– Martwi się tymi prochami, które znalazła twoja mama. – Cashin odwrócił się i oparł o zlew.

Debbie miała spuszczoną głowę; udawała, że czyta.

– To nie tak. Wrobili mnie – mruknęła.

– To znaczy?

Spojrzała na niego jasnoniebieskimi oczami Doogue'ów.

– Nie wiedziałam nawet, co to jest. Pewna osoba po prostu dała mi pudełko. I powiedziała: „Przechowaj to dla mnie”. Nic więcej.

– Myślałaś, że co to jest?

– W ogóle o tym nie myślałam.

– Daj spokój, Debbie, jeszcze nie jestem sklerotykiem.

Wzruszyła ramionami.

– Nie biorę prochów, nie chcę o nich słyszeć.

– Ale twoi przyjaciele biorą, zgadza się?

– Chcesz, żebym wrobiła kumpli? Nie ma mowy.

Cashin zrobił dwa kroki, przysunął sobie krzesło i usiadł przy stole.

– Debbie, mam w nosie, czy twoi koledzy biorą prochy. Nie pofatygowałbym się na drugą stronę ulicy, żeby ich przyskrzynić. Ale nie chcę znaleźć twoich zwłok w jakimś zaułku.

Jej policzki nabrały nieco kolorów, spojrzała na swój notatnik.

– Tak, no dobrze, ja nie jestem...

– Debbie, mogę ci wyznać coś w tajemnicy?

Lekki, niepewny ruch głową.

– Nie powiedziałbym tego, gdybyś nie należała do rodziny.

– Hm, oczywiście... tak.

– Zatrzymasz to dla siebie?

– Tak.

– Obiecujesz?

– No tak.

Drzwi od wewnętrznego korytarza otworzyły się gwałtownie i pojawiło się dwóch

chłopców. Wszli ramię przy ramieniu, walcząc o to, który będzie pierwszy. Debbie odwróciła głowę.

– Wynocha, szczeniaki!

Wielkie oczy w okrągłych twarzach, rozchylone usta, odsłaniające małe zęby.

– Jesteśmy głodni! – zawołał ten z lewej strony.

– Wynosić się! No już! Już!

Chłopcy cofnęli się, jakby pociągnięci na sznurku, i zniknęli, zamykając za sobą drzwi.

– Obiecuję – powtórzyła Debbie.

Cashin pochylił się nad stołem i szepnął:

– Niektórzy z dilerów są tajniakami.

– Tak?

– Rozumiesz, co to znaczy?

– Tajni agenci?

– Zgadza się. Dlatego policjanci z oddziału antynarkotykowego znają wszystkie nazwiska. Jeśli twój przyjaciel kupił te prochy, jest na ich liście.

– Nie mój, jej przyjaciel, ja nawet go nie znam.

– To dobrze. I niech tak zostanie.

– Co oni mogą zrobić z nazwiskami?

– Przekazać szkole, rodzicom. Zrobić nalot na domy. Gdybyś była na liście, mogą zapukać do drzwi o każdej porze.

Cashin wstał.

– No nic, muszę już iść. Chciałem tylko, żebyś o tym wiedziała, bo jesteś rodziną.

Wolałbym, żeby nie stało ci się nic złego. Ani twojej mamie lub ojcu.

Gdy był już przy drzwiach, szurnęło krzesło.

– Joe.

Odwrócił się. Debbie stała, obejmując się ramionami. Teraz wyglądała na sześć lat.

– Boję się, Joe.

– Dlaczego?

– Kupiłam te prochy. Dla kogoś.

– Dla przyjaciółki?

– Nie, dla przyjaciela – odparła z wyraźną niechęcią.

– Od Piggota?

– Tak.

– Od którego?

– Muszę powiedzieć?

– Ja nic nie będę robił w tej sprawie. Nie moja branża.

– Od Billy’ego.

– Łykasz prochy?

– Nie. No dobrze, wzięłam tylko raz. Wcale mi się to nie spodobało. Opuścił wzrok, spojrzał jej w oczy, czekał.

– Palisz?

– Nie. Też mi się nie podoba.

Na zewnątrz rozległ się odgłos piły łańcuchowej, zawyła, wgrzyła się w coś twardego, wydała przeraźliwy jęk.

– Nie zrobią tego, co? – spytała cicho Debbie. – Doniosą na mnie? Przyjdą tutaj?

– Nie mam na to wpływu – odparł Cashin. – Ale spróbuję z nimi pogadać. Co mógłbym im powiedzieć?

Dała mu kilka wskazówek.

Wyszedł na dwór i ruszył w stronę szopy, błoto przywierało mu do butów. W tyle pomieszczenia, w mroku siedział Bern, naprawiając lampą lutowniczą kuchenny kredens. Warstwy farby ciemniały i łuszczyły się pod niebieskim płomieniem. Zapach zwęglonego drzewa i czegoś metalicznego unosił się w powietrzu.

– Czuję ołów – odezwał się Cashin. – To farba ołowiana, którą spalasz.

Bern odwrócił lampę, wstał. Płaty farby przywarły mu do brody.

– No i co z tego?

– Jest toksyczna. Może cię zabić.

Bern postawił lampę na kredensie.

– Tak, tak... wszystko może cię zabić. Jak to się stało, że wy, cholerne kutasy, zabiliście tych chłopaków.

– Wypadek. Nie chcieliśmy im zrobić krzywdy.

– Ten Corey Pascoe. Chodził z Samem do klasy. Od podstawówki były z nim kłopoty.

– Więc trochę jak z Samem.

– Sam jest dobrym chłopakiem. Sprowadzili go na złą drogę. Rozmawiałeś z Debbie?

– Tak. Powiedziałem jej to i owo.

– A co ona na to?

– Wydaje się, że mnie zrozumiała.

Bern skinął głową.

– No cóż, możemy mieć tylko nadzieję, że tak. Dzisiaj podrzuciłem do ciebie drewno. Jest tam jakiś facet, który mi pomógł.

– Dave Rebb. Razem będziemy odbudowywać dom.

– Tak? Gdzie go znalazłeś?

– W szopie w Beckett. U pani Haig. To włóczęga.

Bern pokręcił głową, potarł szczecinę na policzku, natrafił na płatki farby i chwilę patrzył na nie.

– Włóczędzy nie bardzo garną się do roboty – powiedział.

– Zobaczymy. Pomaga Denowi Milianowi i jak na razie Den nie skarży się na nic.

– Chyba gdzieś go już widziałem. Dawno temu.

Cashin wsiadł do samochodu. Bern położył brudne ręce na uchylonej szybie i spojrzał na niego.

– Podobno ktoś przyrznął pięścią temu sukinsynowi Derry’emu Callahanowi. I ukradł mu puszkę z psią karmą. Prowadzicie śledztwo w tej sprawie?

Cashin zmarszczył brwi.

– Naprawdę? Nie słyszałem o żadnej skardze. Kiedy wpłynie, urządzimy obławę. Będziemy chodzić od drzwi do drzwi.

– Popatrzmy na twoją rękę.

– Popatrzmy na twojego fiuta.

– Daj spokój. Coś ukrywasz?

– Odpieprz się.

Bern roześmiał się, zachwycony, walnął Cashina w ramię.

– Ty cholerny brutalny draniu.

Wracając do domu, Cashin pomyślał, że to, co nakłamał Debbie, może prawdopodobnie powstrzymać ją od wyskoków przez pół roku, nie dłużej.

Cóż, pół roku to w końcu całkiem niezły kawałek czasu. Na ogół jego kłamstwa miały znacznie krótszy żywot.

Z niezrozumiałych dla Cashina powodów Kendall Rogers chciała, żeby to on dowodził ochroną policyjną marszu.

– Jestem na urlopie – zaprotestował.

– To tylko godzina.

– W Port Monro nic złego się nie stanie.

Takich rzeczy nie powinno się mówić.

– Byłabym ci po prostu wdzięczna – powiedziała Kendall, nie patrząc na niego. – Wyświadczyłyś mi przysługę.

– Raczej serię przysług.

Demonstranci zebrali się obok urzędu pocztowego przy głównej ulicy. Kendall czuwała na Moorhouse Street po tej samej stronie, co Cashin. Carl Wexler kierował ruchem na skrzyżowaniu przy Wallace, co zimą o jedenastej przed południem w Port Monro nie wymagało zbytniego wysiłku. Ale robił z tego wielką sprawę, wykonywał wystudiowane ruchy, jak stewardesa pokazująca wyjścia. Cashin pomyślał, że łatwo było rozpoznać tych, którzy pojawili się niespodziewanie w Port Monro. Nabyli tu udziały za duże pieniądze i teraz chcieli, by przed innymi podniesiono zwodzony most. Mieli dobrze ostrzyżone włosy, nosili drogie turystyczne ubrania i skórzane buty.

Gdy nadszedł zapowiadany czas rozpoczęcia marszu, gruby fotograf z „Cromarty Herald” patrzył ze smutkiem na tłum liczący około trzydziestu osób, z czego ponad połowę stanowiły kobiety. Zza rogu wyszła podstawówka, wszyscy w strojach przeciwdeszczowych, wielobarwny sznur dzieci idących parami, prowadzonych przez dyrektora szkoły, chudego łysiejącego mężczyznę, który trzymał za ręce chłopca i dziewczynkę. Dzieci niosły hasła wypisane na białym kartonie i przymocowane do patyków, bez wątplenia dzieło pracy całego ranka na zajęciach plastycznych: „Trzymajcie się z dala od naszego ujścia”, „Nie niszczyć naszych plaż”, „Przyroda jest dla wszystkich, nie tylko dla bogatych”.

Przybyli trzej znani Cashinowi radni hrabstwa. Reporter „Heralda” wysiadł z samochodu i dał znak fotografowi gazety, który niemrawo przystąpił do działania. Chwilę później dwa minibusy przystanąły na tym końcu ulicy, gdzie czuwał Carl. Teatralnym gestem pokazał, by jechały dalej. Po minucie lub dwóch ich pasażerowie wrócili; szli grupą liczącą około trzydziestu osób w różnym wieku, począwszy od piętnastolatków. Po jednej stronie kroczyła Helen Castelman, rozmawiając przez telefon komórkowy. Wyłączyła go, przeszła obok Cashina i skinęła mu głową.

– Dzień dobry, detektywie Cashin.

– Dzień dobry, pani Castelman.

Cashin przyglądał się, jak rozmawiała z organizatorką marszu, Sue Kinnock, żoną lekarza. Sue złożyła uprzednio wizytę na komisariacie, by pokazać zezwolenie hrabstwa na marsz.

– Zbierzemy się przy urzędzie pocztowym, przejdziemy wzdłuż Moorhouse Street,

przetniemy Wallace, skróćmy w prawo w Enright, potem w lewo do parku – poinformowała.

Światło słoneczne ujawniło bladożółtą barwę jej policzków. Miała wielkie zęby i mówiła urywanym głosem. Cashin odnotował ją w pamięci jako angielską pielęgniarkę, która wyszła za męża za lekarza Australijczyka ku zazdrości jej ładniejszych koleżanek.

Podeszła teraz do niego razem z Helen Castelman.

– Sadzę, że się znacie, detektywie. Helen jest przewodniczącą organizacji WildCoast Australia w Cromarty.

– Pani Castelman odgrywa wiele różnych ról – odparł Cashin.

– Pan także, detektywie. Raz jest pan oficerem wydziału zabójstw, a raz pilnuje pan porządku w czasie demonstracji.

– Musimy być wszechstronni. W dzisiejszych czasach bierzemy się do wszystkiego. Co z Donnym?

– Niedobrze. Matka niepokoi się o niego. A jak pańskie dochodzenie?

– Posuwa się naprzód. Tak jak powinien posuwać się ten pochód.

– Leci tutaj helikopter dziewiątego kanału, podrzucą Bobby'ego Walshe'a. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zaczekamy na niego.

– Proszę bardzo, jeśli czekanie nie przekroczy rozsądnych granic. To jakie będą te rozsądne granice?

– Piętnaście minut? Wylądują na boisku sportowym.

– Zgadzam się.

Helen Castelman przeszła na drugą stronę i pomogła młodemu mężczyźnie w zielonej wiatrówce WildCoast ustawić maszerujących – dzieci na czele, pozostałych uczestników w szeregach po pięć osób. Cofnęła się, spojrzała na pochód, podeszła do dyrektora szkoły. Rozmawiali przez chwilę. Nie wyglądał na zadowolonego, ale na coś się zgodził. Helen wybrała szóstkę dzieci i osiem dorosłych osób, tutejszych mieszkańców. Zostali ustawieni w dwa rzędy, w każdym czworo dorosłych i troje dzieci trzymało się za ręce. Za nimi należeli się idący parami uczniowie szkoły podstawowej, a dalej pozostali uczestnicy marszu.

Helen podeszła do Sue Kinnock.

– Wrócimy za kilka minut. Prosimy o cierpliwość – oznajmiła Sue przez megafon.

Helikopter zadudnił w górze i opadł za ścianą sosen. Pasażerowie przybyli wkrótce w jednym z minibusów. Carl pokazał im, gdzie mają jechać. Zatrzymali się przed biblioteką. Drzwi się rozsunęły i wysiadł Bobby Walshe – za nim młody mężczyzna w ciemnym garniturze. Cashin zobaczył, jak kobieta na przednim siedzeniu przesunęła lusterko wsteczne, żeby poprawić sobie szminkę.

Bobby Walshe był ubrany swobodnie, miał jasnoniebieską rozpiętą pod szyją koszulę, ciemnoniebieską kurtkę. Pocałował Helen Castelman, znał ją, widać było, że kiedy się śmiali, mimochodem zatrzymał dłonie na jej ramionach. Cashin poczuł ukłucie zazdrości.

– Wszyscy gotowi? – zawołała Sue Kinnock do megafonu. – Przepraszam, że musieliście czekać. Transparenty w górę, proszę. Dziękuję. Ruszamy.

Cashin spojrział na drugą stronę ulicy. Cecily Addison wykladała coś Leonowi, co chwila unosząc rękę. Leon napotkał wzrok Cashina, kiwnął mu znacząco głową. Nieprzyjemna para z kiosku z gazetami stała w drzwiach swojego sklepiku, złośliwie wykrzywiając usta. Bruce ze sklepu wideo, który trzykrotnie przeszedł operację bajpasów, stał obok przesyconej zapachem tłuszczu Meryl, właścicielki sklepu ze smażoną rybą i frytkami. Przy stojaku na rowery obok krawężnika, trzęsąc się w żółtych T-shirtach, trzy młode kobiety, zimowy personel kawiarni U Sandry, klóciły się o coś; jedna z nich z kolczastą fryzurą i kolczykami w nosie spierała się z pozostałymi dwiema.

Przed supermarketem Supa Valu stało kilka osób w anorakach i dresach. Jakiś stary mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym miał czapkę naciągniętą na uszy.

Cashin ruszył wzdłuż chodnika.

– Nie wiedziałem, że mamy tak wielu gliniarzy – odezwał się Darren ze sklepu sportowego.

Zaczęło mżyć; uczestnicy marszu zaintonowali nierówno i słabymi głosami pieśń:

– „My chcemy tylko jedneego, ocalić nasze wybrzeżeee”.

Dzieci już przeszły, kiedy z baru Orion wytoczyli się dwaj mężczyźni. Ronnie Barrett i jego kumpel, drobniejszej budowy, w żółto-brązowym pasiastym dresie, z małą kępką włosów na podbródku.

Barret stanął na krawężniku, utworzył z dłoni tubę.

– Spieprzajcie, palanty! Macie w dupie miejsca pracy, no nie?

Drugi mężczyzna przyłączył się do niego.

– Bogate sukinsyny, won z Port Monro! – krzyknął.

Zrobił krok do tyłu, potem jeszcze jeden, zachwiał się, omal nie upadł.

Cashin zobaczył, jak Barret wykonuje jakieś gesty w kierunku któregoś z maszerujących, schodzi z krawężnika pełen pijackiej agresji. Kompan sunął w ślad za nim.

Mężczyzna w czarnym berecie na tyle głowy wyszedł z kolumny i powiedział coś do Barreta.

Cashin ruszył naprzód. Carl Wexler biegł truchtem wzdłuż ulicy, za nim telewizyjny kamerzysta. Byli jeszcze dość daleko, gdy Barret rzucił się na uczestnika marszu i zamachnął

się lewą ręką.

Mężczyzna wyglądający na zupełnie wyluzowanego zrobił krok do przodu, pozwolił Barretowi zbliżyć się do siebie. Barret wyparował prawą ręką, mężczyzna od niechcenia zablokował jego pięść, stanął na lewej stopie napastnika i uderzył go w podbródek krawędzią dłoni.

Nie było to silny cios, zdradzał pogardę dla przeciwnika, ale głowa Baretta odskoczyła, a mężczyzna lewą ręką wymierzył mu kilka szybkich, fachowych uderzeń w żebra.

– Przestańcie! – krzyknął Carl.

Barret leżał na ziemi, jęczał; jego przyjaciel wycofał się – najwyraźniej zupełnie stracił ochotę do walki.

Uczestnik marszu spojrzął na Cashina, wrócił do szeregu z kamiennym wyrazem twarzy, poprawił beret. Jakiś stary mężczyzna poklepał go po ramieniu.

Pochód przystanął. Cashin odwrócił się tyłem do kamery; nie chciał, by go znowu pokazywano w telewizji.

– Idziemy dalej! – zawołał. – Przechodźcie, proszę.

Szkoła ruszyła do przodu.

– Mam go aresztować, szefie?

– Kogo?

– Tego zielonego.

Cashin stanął nad Barretem.

– Wstawaj i spieprzaj stąd – powiedział. – Jeśli cię dzisiaj znowu zobaczę, prześpisz się w komisariacie. – Odwrócił się do Carla. – Już po wszystkim. Wracamy do roboty.

W parku Sue Kinnock stanęła na estradzie i wygłosiła krótkie przemówienie na temat ludzi ograbiających innych z cudów natury; o tym, że nie chce, by Port Monro skończyło jak Raj Surfingu. Cashin spojrzął na burzowe chmury kłębiące się na południu, na zimną mżawkę padającą na parasole, na dziesiątki kapturów płaszczy przeciwdeszczowych. Jak Raj Surfingu? Proszę, Boże, czy można by jakoś załatwić, żebyśmy mieli pogodę taką jak tam?

Sue Kinnock przedstawiła obecnym Helen Castelman.

– Jak może wicie – zaczęła Helen – WildCoast jest głęboko zaangażowane w sprawę ochrony australijskiej linii brzegowej i zachowania jej otwartej dla wszystkich. Przyszliśmy dzisiaj tutaj, żeby powiedzieć: jeśli chcecie powstrzymać deweloperów niszczących to, co czyni nasz region czymś wyjątkowym, jesteśmy z wami. Będziemy zwalczać ten projekt. I zwyciężymy!

Głośne oklaski. Helen czekała, aż tłum się uciszy.

– A teraz chciałabym wam przedstawić kogoś, kto podziela naszą troskę, kto musiał zadać sobie wiele trudu, aby być z nami dzisiaj tutaj. Proszę, powitajcie lidera najnowszej australijskiej partii politycznej, który dorastał w tym regionie. Bobby Walshe ze Zjednoczonej Australii.

Walshe podszedł do mikrofonu. Tłum uciszył się na jego widok. Sue Kinnock próbowała trzymać nad nim wielki parasol golfowy. Walshe dał jej znak, by się odsunęła, podziękował i milczał przez chwilę.

– Srebrzystowodne Ujście. Wspaniała nazwa. Przywodzi na myśl miejsce, gdzie czysta woda spotyka się z oceanem. – Uśmiechnął się. – Ale cóż, rzeczywistość wygląda tak, że to srebrzystowodne ujście, tutejszy krajobraz i ekosystem zostaną zniszczone w imię zysku. – Podniósł nad głowę gazetę. – „Cromarty Herald” ekscytuje się tym projektem. Dwieście pięćdziesiąt nowych stanowisk pracy. Jak takie przedsięwzięcie może być czymś złym? No cóż, biznesmeni zawsze wywołują podniecenie perspektywą miejsc pracy. Nowe miejsca pracy. Magiczny zwrot, prawda? Usprawiedliwia wszystko. Ale w całej Australii wiele miejsc stało się paskudnych. Są obrzydliwe. Zniszczone przez takie projekty, jak Srebrzystowodne Ujście. – Przerwał na chwilę.

– A deweloperzy i lokalne gazety sprzedają podobne projekty jako program tworzenia stanowisk pracy. – Przesunął palcami po mokrych, lśniących włosach. – Musimy także zapytać, jakie to miejsca pracy tak naprawdę utworzą? Powiem wam. Posady dla sprzątaczy, pomywaczy i kelnerów. Posady z minimalną płacą, które pojawiają się i znikają wraz ze zmianami pór roku, strajkami pracowników linii lotniczych i wydarzeniami odległymi o tysiące kilometrów stąd.

Oklaski.

– Pomówmy jeszcze o tak zwanych lokalnych gazetach. Nie, one wcale nie są lokalne. Weźmy, na przykład, „Cromarty Herald”. – Pomachał trzymanym egzemplarzem. – Ta „lokalna” gazeta jest własnością Australian Media. Główna siedziba A.M. znajduje się w Brisbane. Naprawdę miejscowa firma, prawda? Wydawca przyjechał trzy miesiące temu z Nowej Południowej Walii, gdzie wydawał inną „lokalną” gazetę. A jeszcze przedtem był w Queensland i tam robił to samo, co polecono mu robić tutaj. To znaczy? – Bobby znowu odczekał chwilę. – Zwiększyć dochody z reklam. Zarobić więcej pieniędzy. Ponieważ dla nich, tak samo jak dla ludzi opowiadających się za Srebrzystowodnym Ujściem, liczą się tylko pieniądze. Aten groźny dla środowiska projekt oznacza dla gazety wielkie kwoty za reklamy. Co do firmy, która za tym stoi... no cóż, zbierze cięgi, a potem zostanie odsprzedana,

gdy tylko uzyska pozwolenie na rozpoczęcie prac. – Walshe był już mokry, deszcz ściekał mu po twarzy, koszula stała się ciemna. – Władze stanowe mogą w jednej sekundzie raz na zawsze przekreślić ten projekt – podjął po chwili. – Ale nic nie wskazuje na to, że zamierzają tak zrobić. To nie należy do rezerwatów wybrzeży, mówią. Sprawa leży w gestii władz samorządowych hrabstwa. Czy to znaczy, że tereny poza rezerwatem wybrzeży mają padać ofiarą pierwszego lepszego dewelopera, który się pojawi? Jestem tutaj, żeby powiedzieć: do diabła z biurokratycznymi bzdurami. Zjednoczona Australia jest z wami w tej walce. Poprze wszystkich, którzy toczą podobną batalię w całym kraju. Także w miastach. – Bobby startł wodę z włosów, uniósł ręce. – Jedna, ostatnia już rzecz. Wiecie, czym jest taki projekt? Zniewagą dla przyszłości.

Oklaski. Bobby Walshe pokręcił głową i krople deszczu prysnęły z jego włosów.

Cashin pomyślał, że Walsh wiedział, jak to będzie wyglądało w telewizji: przystojny polityk stoi na deszczu, bo chodzi mu o rzeczy ważniejsze niż jego własna wygoda.

Długie oklaski. Bobby zwolnił miejsce przy mikrofonie. Teraz nastąpiło kiepskie przemówienie, które wygłosił źle ostrzyżony mężczyzna, członek samorządu hrabstwa, Barry Doul. Gdy deszcz przeszedł w ulewę, Sue przerwała mu, podziękowała i skierowała ludzi do stoiska, gdzie zbierano pieniądze na fundusz Walki o Ocalenie Ujścia.

Tłum zaczął się rozchodzić, ludzie chcieli uścisnąć rękę Bobby’emu Walshe’owi, a on podawał dłoń każdemu, kto do niego podchodził. Pochylił się, by wymienić kilka słów z jakąś starszą panią – ucałowała go przed kamerą. Grupa uczniów zmieniła szyk i opuściła park, by najkrótszą drogą wrócić do domów.

Cashin wracał razem z Kendall.

– Facet z ikrą – powiedziała. – Głosowałam na niego. Nie wiedziałam, że pochodzi stąd.

– Upewnij się, czy ci się podoba jego polityka – odparł Cashin.

Na głównej ulicy Bobby Walshe udzielił krótkiego wywiadu przed kamerą kobiecie, która przyleciała wraz z nim. Cashin rozpoznał ją; spotkali się wcześniej, kiedy on i Dove wychodzili z komisariatu w Cromarty do sądu. To ona zadała im wtedy pytanie.

Bobby rozmawiał z Helen Castelman. Oboje byli wyraźnie ożywieni. Przywódca Zjednoczonej Australii obejrzał się przez ramię, napotkał wzrok Cashina, coś powiedział do Helen. Ruszyli w jego stronę.

– Ja pana znam – zagadnął Walshe. – Joe Cashin. Kuzyn Berna Doogue’a. Chodziliśmy razem do podstawówki.

– To prawda.

Walshe wyciągnął rękę, uścisnęli sobie dłonie.

– Co u Berna? – zapytał Walshe.

– Wszystko w porządku.

– Co teraz robi?

– No cóż, to i owo.

– Nie wytrzymałbym w podstawówce, gdyby nie Bern – wyznał Walshe. – Najlepszy kumpel, gdy trzeba było walczyć po jednej stronie.

– Ma do tego pewne predyspozycje, to fakt – przyznał Cashin.

Walshe się roześmiał.

– Widujesz go?

– Co najmniej raz na tydzień.

– Luke i Corey... – powiedział Walshe. – Byłeś tam.

– Niestety.

– Smutna sprawa.

– Chłopcy chodzą ze śrutówkami, więc zawsze jest możliwość, że zrobi się nieprzyjemnie.

Walshe wzruszył ramionami.

– No cóż, dochodzenie wykaże, z czyjej broni padł pierwszy strzał. Pozdrów ode mnie Berna. Przekaż mu, że nie zapomniałem.

– Oczywiście.

Raz jeszcze uścisnęli sobie dłonie.

– Nie zapomnij głosować na Zjednoczoną Australię.

– Czy można głosować na drużynę piłki nożnej?

Walshe wybuchnął śmiechem. Helen uśmiechnęła się słabo do Cashina. Poszli w stronę mikrobusu; telewizyjna reporterka znowu zaczęła rozmawiać z Walshe'em.

W drodze powrotnej na komisariat Kendall powiedziała:

– Nie mówiłeś, że go znasz.

– On mnie zna. Słuchaj, wiesz o Billym Piggocie?

– Nie znam żadnego Billy'ego. To z Rayem Piggotem mamy trochę roboty.

– Co zmalował?

– Obrobił reportera, który zatrzymał się w motelu. Pięćset ileś dolców. Facet przyszedł do nas następnego ranka. Cromarty zajęło się tą sprawą.

– Jak go obronił?

– Facet opowiedział jakąś historię, ale prawdopodobnie... – Kendall zrobiła ręką

znaczący gest.

– Śmietanka towarzyska ci Piggotowie – mruknął Cashin. – No dobrze, ja mam dwa tygodnie wolnego, żeby sobie pożyć?

– A my mamy personel w komplecie. Jeśli można nazwać personelem jednego mięśniaka i drugiego, jeszcze młodszego chłopaka z przygotowaniem zawodowym.

– Pod twoją komendą na pewno dojrzeją – odparł Cashin. – Nie traktuj ich zbyt surowo, ale i nie rozpieść chłopaczków.

Dała mu lekkiego kuksańca w plecy. Biorąc pod uwagę jego rangę, był to objaw prawdziwej niesubordynacji.

Pod koniec tego dnia siedemdziesięcioletni Mick spod Kenmare przejechał kosiarką wokół ruin domu, po rozbitych butelkach, kawałkach pomiażdżonego metalu. Maszyna podskakiwała na twardych przeszkodach ukrytych w trawie.

– Powinienem policzyć za pracę w niebezpiecznych warunkach – stwierdził, kiedy już załadował ciągnik i kosiarkę na ciężarówkę. – Trudno, nie mogę. A tych sześćdziesiąt dolców, które dostanę, przekażę na cele dobroczynne.

– Jestem gliniarzem – odparł Cashin. – Przysięgałem stać na straży prawa podatkowego naszego kraju.

– Niech będzie pięćdziesiąt – zgodził się Mick.

Cashin wręczył mu banknot. Mick złożył go i wsunął pod kapelusz. Ludzie w tej części świata żywili wyjątkową niechęć do płacenia podatków.

Podczas gdy psy przeszukiwały oczyszczony teren, ogromnie podniecone zapachami, które się pojawiły po skoszeniu zieleni, Dave Rebb i Cashin obchodzili zrujnowany budynek, wykonując pomiary. Cashin trzymał koniec taśmy, a Rebb zapisywał odległości i robił plan na papierze milimetrym. W końcu usiedli na fragmencie ściany i Rebb pokazał Cashinowi rysunek.

– O rany – powiedział Cashin. – Nigdy nie sądziłem, że to aż tyle przestrzeni.

– Bogaty był z niego drań, co?

– Zrobił forszę na polach złotonośnych, wszystko włożył w ten dom. I hodowlę koni, jak przypuszczam.

Powiew wiatru położył trawę dookoła. Dało się w nim wyczuć zapach ziemi, woń zimnego morza.

– On wcześniej chyba oszalał – stwierdził Rebb. – Mógł zbudować dom gdzieś, gdzie jest ciepiej.

– Chciał się popisać przed tutejszymi ludźmi – odparł Cashin. – Cashinowie przedtem gównem mieli. Potem zresztą też.

Rebb zapalił skręta, wypluł żdźbła tytoniu.

– Więc ty chcesz zrobić to samo, pokazać się?

– Właśnie. Co teraz?

– Mnie pytasz? Co ja mogę wiedzieć?

Wstali, wiatr przybrał na sile, parł na nich niestrudzenie. Przyglądali się psom. Zwierzęta wyczuły ich wzrok, rozejrzały się, podbiegły, zatrzymały się przy nich na chwilę i wróciły do obwąchiwania terenu. Cashin pomyślał, że jego projekt jest zupełnie bez sensu. Teraz mógł jeszcze z niego zrezygnować.

– A co z tą fotografią? – zapytał Rebb. – Brakuje całego kawałka muru, poleciał w cholerę. Potrzebna nam będzie też jakaś buda, żeby sprzęt i materiały nie zamokły.

Ruszyli z powrotem, w dolinie robiło się mroczno. Zmierzch szybko teraz zapadał, w dwadzieścia minut pełny blask dnia ustępował czarnej jak atrament ciemności. Cashina od roboty bolało całe ciało.

Gdy byli już blisko szopy, Rebb powiedział:

– Ten stary gość dał mi królika. Schowałem do lodówki. Widziałeś?

– Nie.

– Leży tam już od dwóch dni. Lepiej ugotuj go dziś wieczorem.

Cashin nic nie odpowiedział. Nie miał ochoty gotować.

– Mogę to zrobić – zaoferował się Rebb. – Przyrządę potrawkę z królika.

Chwila wahania. Gliniarz spotyka włóczęgę, a ten sprowadza się do jego domu, pichci mu posiłki. To mogło wzbudzić żywe zainteresowanie tutejszych mieszkańców. Pedąły, bracie. Pedął detektyw i jego dupa, włóczęga.

Cashin miał to w nosie.

– Brzmi zachęcająco – powiedział. – Zaryzykuję.

Nakarmił psy, rozpałił ogień, wyciągnął piwo, usiadł. Poczul pewną ulgę, ból zmalął. Rebb gotował jak ktoś, kto robił to już nieraz. Pokroił królika, pociął przywiedłe jarzyny, podrumienił mięso.

– To jest wino? – Wskazał butelkę stojącą na półce. – Trzymasz na jakąś okazję?

– Tam masz korkociąg, wisi.

Rebb otworzył wino, wlał trochę do garnka, dodał wody.

– Gotowe – oznajmił. – Zaraz przyjdę.

Ruszył w stronę bocznych drzwi. Psy poderwały się z podłogi i wyszły za nim. Cashin czytał gazetę, drzemał. Wrócił Rebb, przed nim weszły psy, witały się z Cashinem tak, jakby były na biegunie północnym i przez całą drogę, w obie strony, tylko o nim myślały.

Potrąwka okazała się znakomita. Cashin nałożył sobie górę ryżu. Siedział przodem do ognia i telewizora. Dave jadł przy stole i czytał gazetę. Zaczęły się wiadomości. Marsz w Port Monro był szóstą pozycją w programie.

Lider Zjednoczonej Australii, Bobby Walshe, odwiedził nadmorskie miasto Port Monro, by przemówić na wiecu przeciwko proponowanej budowie kurortu.

Na wiecu było wszystko, co telewizja lubiła: dzieci trzymające się za ręce z dorosłymi, śpiewy, krótka walka na pięści.

– Ten gość miał szczęście, że uniknął oskarżenia o napaść – powiedział Cashin, nie patrząc na Rebbę.

– Obrona własna – odparł Rebb. – Nie zrobił draniowi wielkiej krzywdy.

– Wy, włóczędzy, wiecie, jak sobie radzić.

– To tylko pijak – stwierdził Rebb. – Żaden przeciwnik.

Oglądali fragmenty przemówienia Bobby'ego Walshe'a. Zmoknięty wyglądał ładnie; pokazano jego zbliżenie, krople deszczu ściekały mu po twarzy. Zobaczyli, jak starsza pani pocałowała go – miły uśmiech, dłoń na jej ramieniu.

Walshe udzielił krótkiego wywiadu. Następnie kamera powędrowała śladem reprezentanta Zjednoczonej Australii i Helen Castelman. Oboje podeszli do Cashina, Kendall i Wexlera. Kamera zrobiła najazd na stróżę prawa.

Cashin wzdrygnął się na ten widok. Nie zauważył wtedy obiektywu skierowanego w swoją stronę – gdyby go dostrzegł, na pewno by się odwrócił. Kobieta z natapirowanymi włosami powiedziała:

– Bobby Walshe skorzystał z okazji, by porozmawiać z detektywem Joe Cashinem. To jeden z policjantów obecnych przy śmierci siostrzeńca Walshe'a, Coreya Pascoe, i drugiego chłopca, Aborygena Luke'a Ericsena, którzy zginęli w czwartek. Obaj mieszkali na osiedlu Daunt na peryferiach Cromarty.

Bobby Walshe znów przesunął dłonią po mokrych włosach.

– Tylko się przywitałem z tym funkcjonariuszem. Chodziłem z nim do podstawówki. Mam nadzieję, że dowiemy się, co dokładnie wydarzyło się tamtej nocy, i doczekamy się sprawiedliwej oceny tego, kto był odpowiedzialny za tragedię. Powiedziałem, mam nadzieję. Aborygeni już od dwustu lat mają nadzieję, że doczekają się sprawiedliwości.

Rebb podszedł do zlewu, umył talerz, nóż i widelec.

– Zastrzelełeś tego chłopaka? – zapytał obojętnym tonem.

Cashin spojrzał na niego.

– Nie. Ale zrobiłbym to, gdyby mierzył do mnie ze śrutówki.

– No to ja już pójdę.

– Świetnie przyrządzasz królika – powiedział Cashin. – Przynieś kiedyś jeszcze jednego.

Rebb stał już w drzwiach, psy próbowały wyjść razem z nim.

– Kiedy przyjedzie piła łańcuchowa? – zapytał.

– Jutro. Bern zamierza podrzucić ją razem z cysterną wody.

– Potrzebujemy cementu, piasku, drewna. Zapisalem to na kartce i położyłem przy zlewie.

– Ile cementu?

Cashinowi wydało się, że dostrzega wyraz politowania w oczach Rebba.

– Z sześć worków.

– Będzie potrzebna betoniarka?

Rebb pokręcił głową.

– Nie, chyba że zamierzasz tu przywieźć kilku innych niewinnych facetów, których znajdziesz gdzieś na drodze.

– Zawsze takich szukam – powiedział Cashin.

Zadzwoił do Berna, a potem zmęczony, obolały, smutny położył się wcześniej do łóżka. Zasnął szybko, obudził go koszmar, i to zupełnie nowy. Mrok, deszcz i jaskrawe światła, krzyki, wszędzie dokoła ludzie, jakiś zamęt. Był uwięziony, chwyciło go coś podobnego do ośmiornicy, walczył. Przestrzeń wokoło niego się kurczyła, już brakowało mu powietrza, dusił się, umierał pełen przerażenia.

Ocknął się, zobaczył słabe, zielone światełko radiobudzika; czuł ciężar serca w piersiach, słyszał wiatr ślizgający się po powierzchni wody.

Wstał. Psy usłyszały go, zaszczekały, wpuścił je do środka. Podbiegły do łóżka, skoczyły, umościły się w pościeli. Cashin zapalił lampę, dorzucił drewna do pieca, owinął się kocem i usiadł obok łóżka z *Nostramo* w ręku.

„Zawsze wtedy kapelan – nieogolony, brudny mężczyzna z szablą u boku i małym krzyżykiem wyhaftowanym białą bawełną na lewej piersi munduru porucznika – szedł za nimi z papierosem w kąciu ust, z drewnianym taboretom w dłoni, by wysłuchać spowiedzi i udzielić rozgrzeszenia; bo Obywatel Zbawca Ojczyzny, tak oficjalnie nazywano w petycjach

Guzmana Benta, nie miał zastrzeżeń przeciwko okazywaniu łaskawości w rozsądnych wymiarach. Dawiała się słyszeć nieregularna salwa, po której czasami rozbrzmiewał pojedynczy strzał. Mała niebieskawa chmurka dymu wlatywała nad zielonymi krzewami...”

Zasnął w wielkim sfatygowanym fotelu, obudził się wczesnym rankiem, oba psy ocierały się o niego, ich ogony poruszały się szybko jak puszyste metronomy. Kiedy nalewał wody do czajnika, zadzwonił telefon.

– Posterunkowy Martin z Cromarty, szefie. Polecono mi zawiadomić pana, że matka Donny’ego Coultera dzwoniła kilka minut temu. Chłopak gdzieś zniknął. Kobieta nie wie, od kiedy go nie ma. Ostatni raz widziała syna w łóżku o jedenastej wieczorem.

Cashin położył dłoń na mikrofonie słuchawki, odkaszlnął.

– To jeszcze nic złego, dopóki się nie okaże, że nie zgłosił się do was. Powiedz pani Coulter, żeby sprawdziła kumpli, dowiedziała się, czy któryś z nich też zwiął. Zadzwoni do mnie na komórkę.

Wyszedł na dwór, wysikał się, spoglądając w stronę wzgórze. Szkarłatne klony wyłaniały się z mgły i znikły jak reflektory. Poruszył ramionami, próbując rozluźnić zeszywniałe mięśnie.

Donny nie podpisze się w rejestrze zwolnionych za kaucją. Cashin był tego pewny.

Donny się nie pokazał – oznajmił Hopgood. – Jego matka powiedziała, że ten mały palant zupełnie się rozkleił.

Padła deszcz, w powietrzu unosiła się lekka mgła. Cashin z Rebbem zaczęli właśnie oczyszczać ścieżkę prowadzącą do dawnych frontowych drzwi, odsłaniając czerwone kafelki, które mimo pożaru wciąż jeszcze zachowały jaskrawą barwę.

– Próbowwała go odnaleźć?

– Na to wygląda.

– Co z jego kumplami?

– Zdaje się, że wszyscy cholernie szybko też wyparowali.

– Wziął coś ze sobą? Torbę, ubrania?

– Powiedziałbym ci.

Cashin przyglądał się, jak Rebb przekopywał głęboką warstwę perzu, zielska i ziemi. Niezmordowanie machał łopatą z długą rączką, wydobywając i odrzucając na bok ukryte tam kafelki. Cashin doznał niemiłego odczucia własnej nieudolności, efekty jego kopania były

mizerne.

– Wiem, jesteś na urlopie, ale nadal prowadzisz tę sprawę. Czekamy na polecenia.

– Naruszenie warunków zwolnienia za kaucją – powiedział Cashin. – To sprawa dla mundurowych. Gość od kontaktów z Aborygenami może współpracować z matką Donny’ego.

Niech miejscowi przeszukają całe Daunt. Każdy garaż, sracz, każdą szopę.

– Mają znaleźć Donny’ego? Gorzej ci?

Cashin podniósł wzrok ku niebu.

– Informuj mnie na bieżąco – powiedział.

Wrócił do przekopywania swojej strony ścieżki. Czuł pustkę w żołądku, jakby nic nie jadł już od dłuższego czasu. Posunął się naprzód o cztery albo pięć metrów – Rebb go zdecydowanie wyprzedzał – kiedy nadjechała poobijana cysterna z wodą ciągniona przez porysowaną i pokiereszowaną ciężarówkę. Bern wyskoczył na ziemię, nieogolony, w zatłuszczonym kombinezonie, z papierosem w ustach. Spojrzał dokoła, niezadowolony z tego, co zobaczył.

– Jezu, zwariowaliście – mruknął. – Płatne przy odbiorze.

– Wpół do jedenastej?! – krzyknął Cashin. – I to ma być w pierwszej kolejności?

– Na dziś to moja pierwsza dostawa dla ciebie. Sto dwadzieścia dolców za narzędzia, w tym za piłę. Należała do pewnej starszej pani, ścinała nią kwiaty. Dwadzieścia za blachę falistą, dwadzieścia na tydzień za cysternę, wynajem minimum na cztery tygodnie, dziesięć za dostawę. Woda, pierwszy raz za darmo, to bardzo szczodry gest z mojej strony, ponowne napełnienie po dziesięć... Razem... powiedzmy dwieście. Dorzucam pierwsze napełnienie. Prezent dla ciebie, bo należysz do rodziny i jesteś pieprzonym dowcipnisiem.

Cashin obszedł cysternę z wodą. Była niechlujnie pomalowana czarną farbą w aerozolu. Ale zanim to zrobiono, rdza zdążyła pokryć miejsca, gdzie starto oznaczenia, prawdopodobnie stalową szczotką, i spurchliła nową farbę.

– Skąd to wytrzasnąłeś? – zapytał.

Bern strzepnął popiół z koniuszka papierosa.

– Posłuchaj, jak jesteś w przydrożnym McDonalddie, to pytasz, skąd wzięli mielone mięso?

Cashin raz jeszcze okrążył cysternę.

– Jest skarga z jednostki rezerwy – powiedział. – Byli po drugiej stronie Livermore w wąwozie, nudzili się w namiocie, więc pojechali do miasta na piwo. Następnego dnia nie mogli się doszukać dwóch cystern z wodą, jednego wielkiego namiotu, kilku plandek i butli z gazem.

– W rezerwie potrzebują trzech facetów do wytarcia jednego tyłka – odparował Bern.
– Facet zostawił to na moim podwórku, jeśli chcesz wiedzieć. Mówił, że wróci, żeby pogadać o forsie. Nigdy go przedtem nie widziałem, potem już też nie, ani razu. – Splunął na ziemię. – Nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Nie mów nic, co mogłoby być użyte przeciwko tobie w sądzie – odparł Cashin.
Wyjął portfel, wręczył Bemowi cztery pięćdziesięciodolarówki.

– Co, w ogóle się nie targujesz?

– Nie.

Bern wziął trzy pięćdziesiątki.

– Jezu, budzisz we mnie chrześcijanina.

– Bądź małym chrześcijaninem. Takim jak krasnal ogrodowy. Potrzebujemy trochę żelastwa. Kielni i poziomic.

Bern popatrzył na Rebba, który stał, opierając się na łopacie, i patrzył w inną stronę.

– Hej, Dave! – krzyknął. – Znasz się trochę lepiej na budowaniu niż ten gość?

Rebb odwrócił się, wzruszył ramionami.

– A niby skąd mam wiedzieć, co on potrafi.

– No dobra, proponuję, żebyście się wzięli ostro do roboty – powiedział Bern. – Mam trochę murarskiego sprzętu. Nie będzie tani, bo takie rzeczy teraz trudno dostać.

– Było włamanie do wyższej szkoły technicznej w Cromarty – stwierdził Cashin. – Sprawcy dostali się do magazynu wydziału budownictwa.

– Co ty powiesz? Ja chromolę. O tym też nigdy nie słyszałem. Zmyślasz, tak?

– Nie kupię niczego, co jest w wykazie skradzionych rzeczy – skwitował Cashin.

– Nie wiem, skąd ci przychodzą do głowy takie myśli. Jestem czysty jak łaźnia. Twoi kumple przyjechali do mnie, ten pieprzony Hopgood razem z bandą palantów. Szukali przez godzinę, narobili cholernego bałaganu, nie znaleźli niczego, nie raczyli nawet przeprosić. – Bern splunął. – Tak czy inaczej, weźmy się do tej blachy. Znasz jakąś fajną historię o tym, jak komuś zginęła blacha falista?

Wyładowali blachę. Bern wszedł do ciężarówki.

– Dave, chciałem cię o coś zapytać – zagadnął. – Czy my się skądś nie znamy?

Rebb oglądał piłę łańcuchową.

– Ja ciebie nie znam – odparł. – Ale rozpoznam rozpieprzoną piłę, kiedy taką zobaczę.

Wrócili do pracy. Gdy Rebb dotarł już do budynku, zaczął kopać po stronie Cashina, szybko posuwając się w jego kierunku.

Zadzwoniła komórka Cashina.

– Do twojej wiadomości – odezwał się Hopgood. – Nie ma śladu Donny’ego. Sprawdzono każdy centymetr kwadratowy wokół jego domu.

Cashin przyglądał się swojej lewej dłoni, na każdym palcu miał przezroczysty pęcherz.

– Faza dwa – powiedział. – Prawdopodobnie należało to zrobić na początku.

– Mówisz o nas czy o sobie?

– Po prostu mówię.

– Alarm został ogłoszony przed dziewiątą rano. Nie czekaliśmy, aż ty to zakomunikujesz. Wiesz, że Bourgoyne umiera?

– Nie.

– Może już przestałeś być taki ważny.

Kiedy odrzucając ostatnie kawałki darni w zielone zielska, zbliżyli się już do siebie na ścieżce, Rebb zagaił:

– Bern to twój kuzyn?

– Zgadza się.

– Ze strony ojca?

– Mamy. Jego stary jest bratem mojej matki.

Rebb spojrzał Cashinowi prosto w twarz i znów wziął się do roboty. Po chwili powiedział:

– To był prawdziwy ogród. Znajdziesz jakieś jego zdjęcie?

– Pojadę do Cromarty, zobaczę – odparł Cashin.

Nie myślał teraz o ogrodzie, ale o Donnym, o martwych chłopcach i o Hopgoodzie.

Helen Castelman była w sądzie, tak powiedziano mu w jej firmie. Cashin przespacerował się do gmachu sądu i ledwo zdążył usiąść w sali rozpraw, gdy Helen wstała cała w czerni, z jedwabistymi włosami.

– Jak wysokiemu sądowi wiadomo, ustawa o zwolnieniu za kaucją z 1977 roku nie podaje definicji okoliczności wyjątkowych...

Sędzia przerwał jej, unosząc palec.

– Pani Castelman, proszę mi nie mówić o tym, o czym wiem.

– Dziękuję za pouczenie, wysoki sędzie. Oskarżony nie ma na swoim koncie żadnych wykroczeń związanych z narkotykami. Dostał dwa wyroki skazujące za drobne przestępstwa, to znaczy za kradzieże używanych rzeczy. Ma czworo dzieci w wieku poniżej dwunastu lat.

Jedynym źródłem utrzymania rodziny jest zbiórka złomu. Pani O'Hlloran nie może zastępować w tym męża i jednocześnie opiekować się dziećmi.

Sędzia spoglądał w stronę okna.

– Wysoki sędzie – ciągnęła Helen. – Powiedziano mi, że proces mojego klienta zacznie się najwcześniej za trzy miesiące. Z całym szacunkiem, przedkładam prośbę, by wspomniane czynniki zostały uwzględnione jako wyjątkowe okoliczności wymagane przez ustawę, i proszę o wyrażenie zgody na zwolnienie za kaucją.

– W tej społeczności posiadanie heroiny traktowane jest jako wyjątkowo poważne przestępstwo – oznajmił sędzia.

– Z całym szacunkiem, wysoki sędzie, chodzi jedynie o próbę wejścia w posiadanie...

Cashin dostrzegł, jak mięśnie szczęki sędziego się napięły.

– Posiadanie heroiny to wyjątkowo poważne przestępstwo. Być może w Sydney jest inaczej, pani Castelman.

Sędzia wydał odgłos podobny do rechotu, wyszczerzył połówkę jak u starego psa zęby i rozejrzał się wokoło, szukając aprobaty. Oskarżyciel uśmiechnął się, Helen zachowała kamienną twarz. Sędzia odwrócił się w jej stronę, wciąż jeszcze eksponując swoje uzębienie.

– Chciałabym zwrócić uwagę, wysoki sędzie, że mój klient, jeśli nawet zostanie uznany za winnego, prawdopodobnie otrzyma najniższy wymiar kary – nie ustępowała Helen.

– Ta okoliczność sprawia, że naruszenie przez niego warunków zwolnienia za kaucją wydaje się raczej mało prawdopodobne.

Sędzia wpatrywał się w nią uważnie.

– Jeśli pan sędzia sobie życzy, przedstawię swój wniosek łącznie z ostatnim orzeczeniem Sądu Najwyższego dotyczącym odwołania od decyzji sądu pokoju odmawiającej zwolnienia za kaucją.

Sędzia wyjął chusteczkę i wydmuchał nos.

– Nie życzę sobie żadnych wykładów płynących z otchłani pani braku doświadczenia, pani Castelman. – Po tym oświadczeniu przedstawił warunki zwolnienia za kaucją.

– Wysoki sędzie, z całym szacunkiem, pozwolę sobie zauważyć, że kwota dwudziestu tysięcy dolarów tak dalece przekracza możliwości finansowe oskarżonego, że w istocie stanowi odmowę zwolnienia za kaucją – zaoponowała Helen.

– Och, naprawdę?

– Czy mogę przedstawić sądowi precedens?

Sędzia spokojnie wysłuchał przemówienia Helen. Potem, rozpryskując drobinki śliny srebrzące się w smudze światła, obniżył kaucją do pięciu tysięcy.

Gdy Cashin wyszedł na zewnątrz, zobaczył znajomego funkcjonariusza dochodzeniówki, Grega Lawa – oparty o balustradę palił papierosa, trzymając go w palcach pożółkłych jak zęby sędziego.

– Jezu, ale bezczelna baba – powiedział Law. – Powinno się lizać mu dupę, a nie grozić apelacją od wyroku.

– To właśnie główny problem w sądzie karnym: kiedy lizać, a kiedy kopać – odparł Cashin.

Law obserwował ulicę. Cashin podążył wzrokiem za jego spojrzeniem ku porzewiałemu pomarańczowemu datsunowi z jednymi niebieskimi drzwiami. Kobieta za kierownicą wyglądała jak gruby manekin. Wystawiła za okno muskularne ramię. W tłustych palcach trzymała papierosa. Podniosła go do ust. Cashin spostrzegł trzy wielkie pierścionki, kastety.

– Gabby Trevena – wyjaśnił Law. – Wygląda, jakby była w przenoszanej ciąży. Złamała szczękę jakiejś kobiecie przed barem Gecko. Powaliła ją na ziemię, potem postawiła biedaczce na piersiach swoją nóżkę i zmiażdżyła cztery żebra. Kawał cholery.

Ulicą szedł mężczyzna w towarzystwie chłopca. Podeszli do schodów, spoglądając na Grega Lawa. Facet miał chudą twarz, spłowiałe, rudawe włosy. Stary garnitur pachnący stęchlizną leżał na nim luźniej niż w dniu ślubu przed wieloma laty. Chłopak wyglądał podobnie jak ojciec. Miał dłuższe, połyskujące rude włosy i złoty kolczyk w uchu.

– Idźcie, idźcie, za chwilę do was dołączę. – Law pstryknął palcami w ich stronę. – Historia wygląda tak, że ta kobieta zerwała rośliny, które Gabs posadziła na dachu. W porze zbiorów.

– Ogródek na dachu, a nad nim płócienny daszek, kilka leżaków, rośliny w doniczkach. Wyobrażam to sobie – powiedział Cashin.

– Ta gruba suka przyszła. Ale powódka zapadła się pod ziemię. Potrzebna by była koparka, żeby ją odszukać. – Law odsunął się od balustrady. – Skoro mowa o lizaniu i kopaniu. Słyszałem, że Hopgood to twój najlepszy kumpel.

– Tak?

Law cisnął niedopałek na ulicę.

– Gabby Trevena nie jest najbardziej niebezpieczną osobą w tym mieście. Prawie, ale niezupełnie.

– Co to znaczy?

– A jak myślisz? Muszę już iść.

Helen Castelman schodziła po schodach. Cashin zrobił krok do przodu.

– Moglibyśmy chwilę porozmawiać?

– Jeśli zechcesz mi towarzyszyć. Spieszę się na spotkanie z klientem. Zeszli na chodnik, skręcili w lewo.

– Otrzymałeś moją skargę, że policja nękała Donny'ego? – zapytała.

– Nie. Jestem na urlopie. Jak był nękany?

– Złożyłam skargę na ręce waszego pana Hopgooda. Radiowozy przejeżdżają obok domu, świecą reflektorami punktowymi. Co to za idiotyzmy? Jeszcze się dziwicie, że się stamtąd wyniosłam?

– Nic o tym nie wiem.

– Po prostu nie macie żadnych dowodów przeciwko niemu.

– Mamy – skłamał Cashin.

Nadjechała para na deskorolkach, jadący przodem mężczyzna był za stary na takie rozrywki. Cashin odsunął się w lewo, para przejechała pomiędzy nimi.

– Powiedz to tym dwóm nieżywym chłopcom – odcięła się Helen.

– Żaden zdrowy psychicznie policjant nie chce strzelać do dzieciaków; tak naprawdę, nie ma ochoty strzelać do nikogo. Ale normalne dzieci nie wysiadają z wraku samochodu ze śrutówką w ręku.

– W porządku. To wasza wersja tego, co się stało, a nie fakt. Czego chciałeś ode mnie? Cashin nie zamierzał wzbudzać w niej niechęci do siebie.

– Pomogłoby nam, gdybyśmy wiedzieli, że on uciekł.

Helen pokręciła głową w zadumie.

– Myślisz, że powiedziałabym ci o tym, gdybym wiedziała?

– A czemu nie?

– Taką wiedzę mogłabym mieć, będąc pełnomocniczką chłopaka. I nie działałabym na jego niekorzyść. Tutaj przechodzę.

Stali na rogu ulicy, czekając na zmianę świateł. Cashin zerknął na Helen i pochwycił jej spojrzenie.

– Nie pamiętam ciebie takiego wysokiego i chudego – powiedziała.

– Później gwałtownie urosłem – odparł. – Ale prawdopodobnie mylisz mnie z kimś innym.

Zielone światło. Przeszli na drugą stronę ulicy.

– Nie. To ciebie pamiętam.

Cashin poczuł, że się czerwieni.

– Wracając do teraźniejszości. Jesteś przedstawicielką sądu, więc nie widzę żadnego

problemu etycznego.

Nie odpowiedziała. Szli dalej w milczeniu, zatrzymali się przed jej biurem.

– Mówiono mi, że byłeś funkcjonariuszem wydziału zabójstw w wielkim mieście.

– To prawda.

Odwróciła głowę w jego stronę. Wzmógł czujność.

– Więc z twojego doświadczenia wynika, że adwokaci mówią gliniarzom różne rzeczy o swoich klientach?

– W zasadzie w ogóle o to ich nie pytam. Ale twój klient naruszył warunki zwolnienia za kaucją. Więc jeżeli wiesz, że opuścił ten rejon, mogłabyś nam zaoszczędzić poszukiwań. To nie jest wygórowana prośba.

– Niestety, nie wiem więcej niż ty.

– Dziękuję, pani Castelman.

– Cała przyjemność po mojej stronie, detektywie Cashin. Zawsze. Nawiasem mówiąc, wczoraj odkryłam, że będziemy sąsiadami.

– Jak to?

– Kupiłam teren obok twojej działki. Ten ze starym domem. Posiadłość pani Corrigan.

– Witamy w hrabstwie.

Dzisiaj postawimy ogrodzenie na granicy, pomyślał.

Wrócił na komisariat. Hopgooda nie było, wyjechał w sprawie zwłok znalezionych w zgliszczach jakiegoś domu w zachodnim Cromarty.

Cashin zostawił krótką wiadomość i pojechał do biblioteki, by zdobyć fotografię. Była zamknięta – dzień wolny. Wracając do domu, myślał o pewnym wieczorze; to był ostatni jego rok w szkole, tuż przed wakacjami. Tony Cressy przyjechał, żeby zabrać go mercedesem pożyczonym z Cressy's Prestige Motors na przejażdżkę po autostradzie. Tony grał na obronie w drużynie Cromarty High; nie był szybki, z trudem się poruszał po boisku, ale onieśmiała postawa przeciwników potężną posturą.

Pojechali we czworo do Kotła i Schodów Dangara, oni dwaj – Tony i Cashin – oraz dziewczęta – Helen Castelman i Susan Walls. Przed tym wieczorem nie wymienił z żadną z nich więcej niż kilka słów.

Schody były od dawna ogrodzone, wokoło stały znaki ostrzegawcze, ale to tylko zachęcało ludzi. Cashin pomógł Helen przejść nad drutami, zrobił strzemię ze swoich dłoni. Helen była świetnym jeźdźcem, skakała konno przez przeszkody. Mówiono, że mogłaby pojechać na olimpiadę. Przeszli przez skałę wytartą ścieżką po schodach Szalonego Percy'ego Hamiltona Dangara, który przez dwanaście lat wycinał wąskie schodki. Zaczynały się one

blisko wejścia na teren Kotła, okrążyły zbocze, potem biegły aż do linii wodnej przyływu. Wszyscy znali tę historię. Zachowało się sto stopni niebezpiecznie opadających w dół, niszczonych przez zachłanne morze, mgiełkę drobnych kropli i wiatr.

Tego wieczoru nie zeszli daleko. Usiedli oparci plecami o pionowe urwisko, chłopcy palili, podawali sobie butelkę whisky Jim Beam, łykali pałacy trunki – tak naprawdę wtedy jeszcze nie pili alkoholu. To był po prostu szpan. Wypadało to robić. Cashin i Helen siedzieli na stopniu poniżej Tony’ego i Susan. Tony wciąż ich rozśmieszał, potrafił rozbawić każdego, nawet surowych nauczycieli.

Cashin przypomniał sobie, jak pierś Helen dotknęła jego nagiego ramienia, gdy dziewczyna roześmiała się i przechyliła na bok.

Nie nosiła stanika.

Pamiętał olbrzymie fale rozbijające się o wejście, grzmot, wznoszącą się białą mgiełkę kropelek, sekundy, w których serce zamierało nagle, gdy woda wybuchała w okrągłej komorze pod nimi, piętrząc się na wapiennych ścianach. Nie było żadnej pewności, że się zatrzyma – wznosiła się coraz wyżej i wyżej; myślałeś, że tym razem cię strąci, pociągnie w dół, w tę czeluść, i będziesz spadał do kipiącego Kotła.

Ale tak się nie stało.

Kipiel wspięła się na urwisko na odległość pięciu lub sześciu metrów od nich i cofnęła, wodne języki spłynęły ze skalnych grot. Kocioł zapełnił się po brzegi, zabulgotał, potem wielki dół opróżnił się i uspokoił.

Pamiętał żarty. „Następnym razem my tam polecimy”.

Najpierw podrzucili do domu Susan, potem zatrzymali się kilkaset metrów od domu Helen. Joe odprowadził ją do furtki. Pocałowała go szybko, niespodziewanie, spojrzała na niego, potem znowu pocałowała – długo, namiętnie zanurzyła palce w jego włosy.

– Miły jesteś – szepnęła i otworzyła furtkę. Wrócił do samochodu, serce waliło mu jak młotem.

– No i co? – powiedział Tony Cressy. – To jest klasa. Szczęściarz z ciebie, bracie.

Było już prawie ciemno, wiatr się nasilił, gdy skończyli wydobywać zbutwiałą belkę z ostatniego wykopu. Cashina wszystko bolało, nawet zwykłe stanie sprawiało mu ból.

– Zrobimy to jutro do wieczora – stwierdził Rebb. – Jeśli przyjadą materiały.

– Bern przywiezie wszystko z rana – odparł Cashin. – Teraz już chyba lepiej rozumie,

co to znaczy „w pierwszej kolejności”.

Wzięli łopaty na ramiona i zaczęli się wspinać po zboczu wzgórza w stronę domu. Cashin gwizdnął i czarne głowy psów, jedna przy drugiej, pojawiły się przy strumieniu.

Widać już było dach domu, gdy zadzwonił telefon komórkowy, słabo słyszalny w szumie wiatru. Cashin przystanął, odłożył szpadel, odnalazł komórkę. Rebb szedł dalej.

– Cashin.

Trzaski zakłóceń. Żadnej odpowiedzi. Wyłączył telefon.

Z wysiłkiem ruszył pod górę w ślad za Rebbem. Gdy znalazł się już na płaskim terenie, komórka znów zadzwoniła.

– Cashin.

– Joe?

Matka.

– Tak, Syb.

– Słabo cię słyszę, ty mnie słyszysz?

– Ja ciebie słyszę dobrze.

– Joe, Michael próbował popełnić samobójstwo, nie wiadomo...

– Gdzie?

Uczucie chłodu, mdłości.

– W Melbourne w swoim mieszkaniu. Ktoś zadzwonił do niego i zorientował się, że...

– Który szpital?

– Alfreda.

– Już jadę. Przyjechać po ciebie?

– Jestem przerażona, Joe. Dzwoniłeś do niego? Prosiłam...

– Sybil, już wyjeżdżam. Chcesz tam pojechać?

– Za bardzo się boję, Joe. Nie dam rady...

– Dobrze. Skontaktuję się z tobą, kiedy zobaczę się z Michaelem.

– Joe.

– Słucham.

– Powinieneś zadzwonić do niego. Prosiłam cię o to dwa razy. Dwa razy.

Cashin patrzył na Rebbę i na zwierzęta. Byli już prawie w domu, psy biegały wzdłuż i wszerz drogi, z nosami przy ziemi. Miały wygląd przewodników narażonych na największe ryzyko w czasie wykonywania niebezpiecznego zadania bojowego. Przy bramie obejrzały się, każdy podniósł łapę, dając znak tym, którzy podążają za nimi, że droga wolna.

– Zadzwonię, Syb – obiecał. – Ty też się odezwij, jeśli dowiesz się czegokolwiek.

Było już całkiem ciemno, kiedy dotarł do skrzyżowania z Branxholme, gdzie skręcił na autostradę w kierunku miasta. Reflektory omiotły łuszczący się dom, samochód na osiach, rozświetliły diabelsko zielone psie oczy przy ciekącym zbiorniku z deszczówką.

Cashin czuł niemal panikę, kiedy lekarz prowadził go przez długą salę, poprzedzianą zasłonami. Znał ten zapach środka odkażającego i płynów do czyszczenia, tę bladą barwę świateł monitorów i to bezustanne elektroniczne bzyczenie. Przyszło mu na myśl, że podobne mogło być wnętrze okrętu podwodnego z napędem atomowym, leżącego w zamarzającym rowie oceanicznym, wyciszone, sterowane elektroniką.

Kiedy mijali kabiny, widział ciała podłączone do rurek i kabli. Płonęły maleńkie światełka, niektóre pulsowały.

– To tutaj – powiedział lekarz.

Michael miał przymknięte oczy. Jego twarz – część wokół maski tlenowej – przerażała bielą. Kosmyki włosów, czarne jak lukrecja, opadały na poduszkę. Cashin pamiętał, że kiedyś były krótkie, starannie utrzymane.

– Wyjdzie z tego – szepnął lekarz. – Gość, który do niego zadzwonił, wezwał pogotowie. Na szczęście karetka akurat była niedaleko, wracała z fałszywego alarmu. Mieliliśmy więc trochę czasu.

Lekarz – młody Azjata – miał cerę jak małe dziecko, głos jak wychowanek prywatnej szkoły.

– Co wziął? – zapytał Cashin.

Pragnął stąd wyjść, znaleźć się w oparach ulicy.

– Tabletki nasenne. Benzodiazepinę. Alkohol. Mnóstwo jednego i drugiego, śmiertelne dawki.

Lekarz potarł szczękę drobną dłonią. Wydawał się bardzo zmęczony.

– Dopiero co wrócił z dializy. Kiedy się obudzi, będzie się czuł fatalnie.

– Kiedy to nastąpi?

– Jutro. – Lekarz spojrział na zegarek. – To znaczy dziś. Proszę przyjść koło południa, powinien już wtedy móc rozmawiać.

Cashin wyszedł ze szpitala i zadzwonił do matki, zamienił z nią kilka słów. Potem pojechał do domu Villaniego w Brunswick, zaparkował samochód na ulicy i ruszył pieszo przez podjazd. Po drodze zadzwonił.

– Pokój Tony’ego, ten obok garażu, jest otwarty – oznajmił Villani. – Myślę, że został niedawno odkazony.

Na ścianach wisiały plakaty futbolistów, kick bokserów, podrasowanych samochodów, w rogu stał pulpit z nutami, obok futerał od wiolonczeli. Cashin spojrział na fotografie przypięte do korkowej tablicy nad biurkiem. Na jednej z nich zobaczył własną twarz, to było na długo przed Raiem Sarrisem – młody Cashin spoglądał w stronę obiektywu z basenu w czyimś domu, unosząc małego Tony’ego Villaniego. Chłopczyk wyglądał jak miniatura Villaniego seniora, którą wyretuszowano, by usunąć zmarszczki i przywrócić trochę włosów na skroniach.

Taki jest teraz mój chłopiec, pomyślał Cashin. Nagle smutek ścisnął go za gardło. Cashin usiadł na łóżku, zdjął buty i skarpetki, oparł łokcie na kolanach, ukrył twarz w dłoniach, zmęczony i obolały. Po chwili spojrział na zegarek: druga dwadzieścia pięć w nocy.

Na podjazd wjechał samochód. Kilka minut później rozległo się stukanie do drzwi.

– Wejź! – zawołał Cashin.

Villani wkroczył do pokoju, w garniturze, rozluźnionym krawacie. W jednej ręce trzymał butelkę, w drugiej kieliszki do wina.

– Jakie wieści?

– Wyjdzie z tego. W porę zabrali go do szpitala.

– To jest warte drinka.

– Tylko jedna butelka?

– Podobno jesteś cholernie słabowity. Chociaż osobiście uważam, że to ścierna.

Villani usiadł na krześle przy biurku syna, podał Cashinowi kieliszek, rozlał czerwone wino.

– To była próba na serio? – zapytał.

– Tak stwierdził lekarz.

– Niepokojące. Wiesz, dlaczego to zrobił?

– Dzwonił do mojej matki kilka razy, był przygnębiony. Prosiła mnie, żebym się z nim skontaktował. Nie zrobiłem tego.

– To brzmi jak streszczenie jakiegoś opowiadania.

– Co ty, u licha, możesz wiedzieć o opowiadaniach?

Villani powiódł wzrokiem po pokoju.

– Trochę ich czytałem. Czasem nie mogę zasnąć. – Przez chwilę smakował w ustach wino, wpatrując się w plakaty. – Z całą pewnością nie jest to grog – ocenił. – Ale też trochę rozcieńczone. – Zapalisz?

– Tak, proszę.

– Jutro rzucam palenie. Bo ty rzuciłeś.

Nikotyna ostro podziałała na Cashina, tak jak kiedyś po surfingu. Zamrugał. Wypił trochę wina.

– Zdecydowanie nie są to twoje siki z wpół do trzeciej nad ranem – stwierdził. – Jakoś to wyczuwam.

– Pewien gość mi podarował. Nie mogłem odmówić.

– No dobra, nad etyczną stroną tego zagadnienia popracujesz kiedy indziej. Bierzemy się do roboty. Mamy teraz późny wieczór czy wczesny ranek?

– Pamiętasz Vica Zable'a? – zapytał Villani.

– Nie cierpię na amnezję.

– No tak. Dopadli Vica dziś wieczorem. Na parkingu przy centrum sztuki, uwierzyłyś? Facet o sztuce nie miał zielonego pojęcia. Mogłaby go zainteresować najwyżej sztuka mięsa. Postrzelili go między żebami. Ten, który strzelał, siedział obok niego w srebrnym mercedesie z włączonym kwadrofonicznym radiem i ogrzewaniem. Władował w Vica cały magazynek. Jedna pieprzona kulka wyszła Vicowi nad mostkiem i uderzyła w dach merca.

Cashin upił łyk wina.

– Ilu przyjaciół mańkutów miał Vic?

– Rozumujesz jak glina z filmu. Na razie znamy dwóch. Jeden jest w Sydney, drugiego nie ma w domu. Właśnie stamtąd wróciłem. W pewnym momencie pomyślałem, że się nam poszczęściło, znaleźliśmy zabójcę.

– No tak, aresztowanie gangstera. Pochwała dla policjanta.

– Jasne, jak sobie narysuję.

– Jak się czuje Laurie?

– Dobrze. Jak zawsze. Wkurzona na mnie. A ja na nią.

– Co się stało?

Villani zaciągnął się papierosem, policzki mu się zapadły, wypuścił cztery kółka z dymu, doskonale krążki, które potoczyły się w nieruchomym powietrzu.

– Oboje mamy... romanse.

– A, to takie buty?

– Tak... no cóż, niewesoło jest w naszym domu. Albo ja padam z nóg, albo Laurie. Musi bywać na wieczornych przyjęciach; czasami w ogóle nie widzujemy się całymi dniami. Nie rozmawiamy już ze sobą, w zasadzie od lat. Tylko sprawy do załatwienia, rachunki,

dzieci. No i poznałem pewną kobietę...

– A Laurie?

– Odkryłem, że ma małą przygodę. Nie zostawiaj na wierzchu billingów telefonicznych.

– No więc, znoszą się wzajemnie, tak? Dwie małe przygody?

– Pytanie tylko, kto zrobił pierwszy krok. Co było przyczyną co skutkiem. To ja jestem winny, że znalazła sobie tego kretyna kamerzystę, tak mi powiedziała. Teraz siedzi z nim w Cairns, pracują nad jakimś gównem dla telewizji. A raczej pieprzą się na plaży w blasku tropikalnego księżycyca.

– Zrobiłeś się poetycki. – Cashin zagwizdał. – Nie chciał już dłużej tego słuchać, lubił Laurie, kiedyś bardzo jej pożądał. – Bycie szefem tak cię odmieniło?

Villani dolał wina.

– Ja po prostu naciskam pedał. Teraz bezpośrednio podlegam temu Angolowi Wickenowi, bo wywalił Bella. Nie rozumiem polityki i nie chcę, cholera, rozumieć. Pragnę tylko, żeby wrócił Singo. Wtedy byłem szczęśliwy. – Westchnął. – Dobra, co z Donnym?

– Prawniczka powiedziała, że był nękanym przez policję, radiowozy ciągle budziły w nocy rodzinę. Czemu nie powiedziałeś mi o Hopgoodzie?

– Myślałem, że znasz historię tego cholernego Cromarty. Ale Donny może się jeszcze odnaleźć.

– Albo i nie – stwierdził krótko Cashin. – A my nigdy nie mieliśmy na niego żadnych obciążających dowodów. W ogóle niczego.

Villani wzruszył ramionami.

– Tak. Jeszcze zobaczymy. Co zamierzasz robić w sprawie swojego brata?

Cashin już wcześniej zadawał sobie to pytanie.

– Nieudane samobójstwo. Nie mam o tym zielonego pojęcia.

– Wayne żyje, nieudane samobójstwo. Trzeba włożyć w to więcej wysiłku. Bruce nie żyje. Dobra robota, Bruce. Twój brat to duma rodziny, tak?

– Nie – odparł Cashin. – Jest po prostu zdolny, ma wykształcenie... no i pieniądze.

Villani nappełnił kieliszki.

– I kupę szczęścia. Żonaty?

– Nie.

– Jest kimś ważnym?

– Nie mam pojęcia. Widziałem go po raz ostatni, kiedy leżałem w szpitalu. Nie usiadł, odebrał kilka telefonów. Nie mam do niego pretensji, nie znamy się dobrze. Po prostu

wykonał swój obowiązek.

– To tak jak Laurie w stosunku do mnie i rodziny. Jeśli potrzebny mu psychoanalityk, znam takiego jednego. Pomógł Bertrandowi, kiedy facet się załamał po tym, jak chorwacki kutas dźgnął go nożem. To nie jest policyjny psychiatra.

– Psychiatra potrzebny był Chorwatowi. Bertrand potrzebował blacharza samochodowego.

Rozmawiali o różnych rzeczach, palili. Villani wyszedł w mrok i wrócił z następną otwartą butelką. Napelnił kieliszki.

– Myślisz o zmianie pracy? Masz teraz trochę wolnego. Odpowiedni czas, żeby się zastanowić.

– Do czego innego ja się nadaję?

Cashin odczuwał zmęczenie długą jazdą, szpitalem, czuł działanie wina.

– Do wszystkiego. Łebski z ciebie gość.

– Nic o tym nie wiem. A w młodości po prostu wstąpiłem do policji i już. Nie myślałem o pracy w kategoriach posady. – Cashin wypił kolejny łyk. – Stajemy się introspektywni, prawda?

Villani podrapał się w głowę.

– Dopóki nie trafiłem do wydziału zabójstw, nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jaką wartość ma ta robota. Świat złodziei... tak, to było naprawdę fascynujące. My przeciwko oszustom, coś jak zabawa dla dużych chłopców. Ale z zabójstwami jest zupełnie inaczej. Singo sprawił, że to zrozumiałem. Sprawiedliwość dla tych martwych. Mówił ci to?

Cashin skinął głową.

– Singo potrafił wybierać odpowiednich ludzi do oddziału. Instynktownie wiedział, kto się nadaje. Birkerts był beznadziejny pod każdym względem, ale Singo go wybrał. Facet jest gwiazdą. Teraz ja wybieram takich ludzi, jak Dove. Uniwersyteckie wykształcenie, bez skazy, nie nadmiernie wrażliwy. Nie chce być czarnym, nie chce być białym.

– On się sprawdzi – stwierdził Cashin. – Jest bystry.

– A teraz – ciągnął Villani – staram się oddać sprawiedliwość tym kanaliom z brygady antynarkotykowej, których załatwiono, zanim oni zdążyli załatwić kilku innych dupków. Do tego wysłuchuję wykładów na temat polityki, doboru pieprzonych garniturów i odpowiedniego poruszania się przed kamerami. Teraz wiem, dlaczego Singo przepalił sobie bezpieczniki w mózgu.

Kiedy wypili prawie całą butelkę, Villani powiedział:

– Jesteś bardziej zmęczony niż ja. Nastaw budzik, jeśli chcesz. Ja zamierzam się

porządnie wyspać.

Cashin uchylił okno, potem wszedł pod kołdrę na wąskim łóżku. Zapach dymu papierosowego wciąż utrzymywał się w powietrzu. Cashin przypomniał sobie, jak mając siedemnaście lat, w pokoju, który dzielił z Bernem, leżeli na plecach w ciemności i zanim zasnęli, podawali sobie papierosa między łózkami.

Gdy się obudził, zegarek wskazywał ósmą siedemnaście rano. Wstał, na moment zakreśliło mu się w głowie. Spał jak zabity, teraz czuł się półprzytomny.

Koperta pod drzwiami.

„Joe, klucz od tylnych drzwi, jajka i bekon w lodówce”.

Cashin zjadł śniadanie w małym barze na Sydney Road. Tureckim albo greckim. Jajka podał mu duży mężczyzna z oczami koloru rozwodnionego portera.

– Znam pana – powiedział. – Przyszliście do mnie po tym, jak zastrzelono mojego sąsiada, Aleksa Katsouridesa. Pan i taki mały facet.

– To było dawno temu – odparł Cashin.

– Nigdy ich nie złapaliście.

– Nie. Ale może któregoś dnia...

Potężne prychnięcie.

– Nigdy ich nie złapiecie. Cholerni gangsterzy. Facet w radiu mówił, że policja jest nic niewarta.

Cashin poczuł, jak krew napływa mu do twarzy, znów to gorąco pod powiekami.

– Ja teraz jem – warknął. – Chce pan rozmawiać z policjantem, niech pan przyjdzie na komisariat. Gdzie pieprz?

Michael opuścił już oddział intensywnej terapii; leżał w jednoosobowym pokoju, piętro wyżej.

Cashin podszedł do łóżka i dotknął z zakłopotaniem ramienia brata.

– Napędziłeś nam strachu, stary – rzucił.

– Przepraszam.

Chrapliwy, zdyszany głos.

– Dobrze się czujesz?

Michael wcale na niego nie patrzył.

– Okropnie. Jak kreatura, na którą marnuje się czas. Tutaj są naprawdę chorzy ludzie.

Cashin nie wiedział, co powiedzieć.

– Podjąłeś poważną decyzję – zaczął.

– Jaką tam decyzję. To się po prostu stało. Byłem porządnie urżnięty.

– A przypadkiem nie myślałeś o tym od dłuższego czasu?

– Myśleć myślałem. – Przymknął oczy. – Byłem w fatalnym nastroju.

Mijały minuty. Wyglądało na to, że Michael przysnął. Dzięki temu Cashin mógł dokładnie mu się przyjrzeć, czego nigdy dotąd nie robił. Zwykle nie patrzy się na ludzi zbyt uważnie. Zwierzęta też nie oglądają wzajemnie swoich nosów, szczęk lub uszów. Patrzą tam, gdzie spodziewają się ważnych sygnałów – na oczy i wargi.

Wciąż jeszcze przyglądał się bratu, gdy Michael odezwał się, nie podnosząc powiek:

– Wylali mnie z pracy trzy tygodnie temu. Zajmowałem się projektem przejęcia wielkiej firmy; ktoś zrobił przeciek i całą operację diabli wzięli. Obwiniono o to mnie.

– Dlaczego?

Przymknięte oczy.

– Fotografie moje z kimś z tej drugiej strony. Z tamtej firmy.

– Jakie fotografie?

– Nic obrzydliwego. Tylko pocałunek. Na schodach przed moim domem.

– No i?

Michael otworzył swoje czarne oczy, zamrugał kilka razy – miał długie rzęsy – i obrócił głowę na tyle, że widział Cashina.

– To był on.

Cashin poczuł nagłą chęć, żeby zapalić. To pragnienie nie wiadomo czemu owładnęło nim z wielką siłą. Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że brat mógłby być pedałem. Michael zaręczył się kiedyś z lekarką. Syb pokazała Joemu jej zdjęcie zrobione na zaręczynowym przyjęciu: chuda blondynka z zadartym nosem. Trzymała w dłoni kieliszek do szampana. Miała krótkie paznokcie.

– Pocałunek?

– Byliśmy razem na spotkaniu... Potem jeszcze zagadnęliśmy do siebie na parkingu.

Wstąpił do mojego mieszkania na drinka.

– Seks?

– Tak.

– Wspominałeś o transakcji?

– Nic.

– No cóż, słyszałem o gorszym gównie – uznał Cashin.

Brat znowu przymknął oczy; miał głębokie bruzdy między brwiami.

– On się zabił – szepnął. – W dniu kiedy odeszła od niego żona i zabrała troje dzieci. Jej ojciec jest sędzią, chodził na studia razem z szefem mojej firmy.

Cashin też przymrużył oczy, odchylił głowę i wsłuchiwał się w różne dźwięki – niskie elektroniczne brzęczenie, odgłosy ruchu ulicznego w dole, dudnienie helikoptera gdzieś daleko w powietrzu. Upłynęła dłuższa chwila. Kiedy uniósł powieki, zobaczył, że Michael wpatruje się w niego.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Wszystko w porządku – powiedział Cashin. – To cholernie gówniana sprawa.

– Tak. Mówili mi, że byłeś tu w nocy. Dzięki, Joe.

– Nie ma za co.

– Nie byłem za dobrym bratem.

– Ja też nie. Chciałbyś z kimś porozmawiać? Z psychoanalitykiem?

– Nie. Odwiedzałem psychiatrów. Niezłe się na mnie wzbogacili. Pomogłem im pokupować domy w Byron Bay. Oni nic nie mogą poradzić. Cierpię na depresję. To siedzi we mnie. Zaburzenia w mózgu. Prawdopodobnie genetyczne.

Cashin poczuł nagle niepokój.

– Zmuszali cię do brania psychotropów? – spytał.

– To zamiana normalnego życia w odsiadkę. Gdy jesteś na środkach przeciwdepresyjnych, nie możesz pracować po szesnaście godzin na dzień, przebijając się przez góry dokumentów, wynajdywać słabych punktów, wymyślać rozwiązań. Moja depresja nie jest tego typu, że czujesz, jakby zwałił się na ciebie namiot. Możesz pracować; praca nie pozwala się jej rozprzestrzeniać; nie pozwalasz sobie na bezczynność. Ale nie czujesz żadnej satysfakcji. Mógłbym równie dobrze, bo ja wiem, zmywać talerze.

Michael płakał cicho, łzy spływały mu po policzkach. Krystaliczne strumyki po obu stronach twarzy.

Cashin położył dłoń na przedramieniu brata, ale nie uścisnął jego ręki. Nie wiedział, jak się zachować. Nie znał gestów, którymi mógłby pocieszyć mężczyznę.

– Dowiedziałem się jednocześnie o tej fotografii i o śmierci Tima – wyznał Michael. – Wyszedłem ze spotkania, wsiadłem do samolotu, piłem, zasypiałem i znów piłem. Poczulem się gorzej... i wtedy wziąłem te leki. – Spróbował się uśmiechnąć. – Teraz, za jednym razem powiedziałem ci więcej niż przez całe nasze życie.

W drzwiach stanęła pielęgniarka.

– Pije pan ten płyn? – upomniała go surowym tonem. – To bardzo ważne, wie pan.

– Właśnie piję – odparł Michael. Przełknął ślinę. – Jeszcze za wcześnie na dżin z tonikiem?

Pokręciła głową na ten objaw nonszalancji. Cashin zauważył, że Michael się jej podoba. Wyszła.

– Kto pstryknął fotkę? – zapytał Cashin.

Wzruszenie ramion.

– Nie wiem. To była cała seria, pięć albo sześć sztuk. Zrobiono je z drugiej strony ulicy, jak sądzę.

– Ktoś obserwował ciebie albo jego. Kto to mógł być?

Kolejne wzruszenie ramion.

– Kiedy nastąpił przeciek? Przedtem czy potem?

Michael dotknął włosów.

– Jesteś gliniarzem. Zapomniałem o tym na chwilę. Potem. Następnego dnia, chyba tak. Wiedzieli, co się stało na spotkaniu naszego zespołu następnego ranka. Poza tym teraz to już nie ma żadnego znaczenia. Kim nie żyje, moja kariera jest skończona, straciłem wszystko, dwadzieścia lat harówki poszło na marne.

– Wybrałeś sobie niebezpieczny zawód.

Michael pamiętał. Uśmiechnął się smutno.

– Lepiej pojedź do Sybil i zostań z nią na jakiś czas – zaproponował Cashin. – Pomożesz jej mężowi atakować napalmem róże.

– Nie. Poradzę sobie. Zamieszkać u przyjaciółki, ma mnóstwo pokoi. Będę znowu brał leki. Unikał picia. Zacznę ćwiczyć. Wszystko się ułoży. – Chwila ciszy. – Naprawdę, Joe.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytał Cashin.

– Nic.

Michael wyciągnął lewą rękę. Cashin ujął jego dłoń. Obaj poczuli zażenowanie.

– Ty nie wpadasz w depresję, co? – mruknął Michael.

– Nie – skłamał Joe.

– Dobrze. To bardzo dobrze. Uniknąłeś przekleństwa ciężącego nad naszą rodziną.

– Czego?

– Ojciec, ja. Prawdopodobnie długi łańcuch przed nami. Tommy Cashin na pewno. Mama wspominała, że odbudowujesz jego dom. Wszyscy jesteśmy tacy sami; on po prostu posunął się najdalej. Chciał zabrać swój dom ze sobą.

– A co z tatą?

Michael cofnął rękę.

– Mama ci mówiła?

– O czym?

– O tacie.

– Co?

– Że popełnił samobójstwo.

– Aha, o tym... Tak, wiem.

– Okej. Słuchaj, przekaż mamie, że czuję się dobrze. Że to była głupia pomyłka.

Przypadkowe przedawkowanie. Powiesz tak?

– Jasne.

– Pozdrów ją ode mnie. Jutro do niej zadzwonię. Dziś nie czuję się na siłach.

Cashin pożegnał się, pocałował brata w czoło, poczuł smak soli. Wsiadł do windy z jakąś rodziną, czworgiem rodzeństwa, wszyscy z ponurymi minami. Na parterze znalazł toalety, wszedł do kabiny, usiadł wyczerpany z rękami opuszczonymi między udami. Było tu spokojnie. Od czasu do czasu w pisuarze szumiała spuszczana woda.

Zobaczył samego siebie w holdenie, chłopca siedzącego obok matki. Jechali w nieznanym miejscu z niewiadomego powodu.

Jego ojciec. Nikt nigdy mu nie powiedział. Wszyscy o tym wiedzieli, tylko nie on.

Prywatna klinika była wyspą żółtej cegły w morzu bituminu i betonu bez źdźbła trawy. Pielęgniarka w ciemnoniebieskiej spódnicy i białej bluzce w groszki zaprowadziła Cashina do pokoju.

Singo ubrany w kraciasty szlafrok siedział na wózku inwalidzkim przed szklanymi drzwiami. Widział stąd pas betonu i wysoki metalowy parkan koloru zaschniętej krwi.

– Ktoś przyszedł się z tobą zobaczyć, Dave – poinformowała półgłosem. – Masz gościa.

Singo nie zareagował.

– Zostawiam was. Pielęgniarka wyszła.

Cashin przyciągnął krzesło, usiadł zwrócony twarzą do profilu Singa, przysunął krzesło bliżej.

– Dzień dobry, szefie – powiedział. – To ja, Joe.

Singo obrócił głowę. Postarzał się, od czasu gdy Cashin widział go po raz ostatni. Sparaliżowana część twarzy wydawała się młodsza niż ta druga.

Singo wydał jakiś odgłos – to mogło być „Joe” – krótki, syczący.

– Wyglądasz znacznie lepiej, szefie – rzekł Cashin. – Zdrowiejesz. Villani chciałby, żebyś do nas wrócił. Sam ci to powie, wkrótce przyjedzie cię odwiedzić. Ma mnóstwo roboty. Dobrze wiesz, jak to jest.

Singo poruszyły ustami, wydał następny dźwięk, ale Joe dostrzegł w jego oczach... błysk rozbawienia. Singo podniósł lewe ramię, to sprawne, rozprostował palce. Wyglądało na to, że podaje rękę, by Cashin ją przytrzymał.

Nie uścisnął. Potrzymał.

Nie, nie mógł trzymać dłoni Singa. Niemożliwe, by Singo tego chciał. Nie miał uszkodzonego mózgu, tylko niektóre elementy układu nerwowego. Mimo zwiotczonych mięśni, nieposłusznych ścięgien, istniał nadal Singo – twardy mężczyzna.

Cashin nie wiedział, co robić, już po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch godzin. Być może jednak wcale nie było tu już twardego mężczyzny. Może teraz wyciągał rękę po prostu bezradny człowiek.

Cashin pomyślał o swoim ojcu i dotknął ręki Singa.

Singo cofnął swoją dłoń.

Błąd.

– Przepraszam, szefie – wymamrotał Cashin. – Wody? Chcesz się napić? Czegoś chcesz?

Singo zamrugał kilkakrotnie lewą powieką. Jego oczy coś mówiły. Wydał kolejny niewyraźny dźwięk.

– Oglądasz telewizję, szefie?

Na ścianie był telewizor, ale Cashin nigdzie nie zauważył pilota. Co Singo ma oglądać i jak długo, zdecydowano za niego.

Nieznacznym ruchem skinieniem głową?

– Villani ma pełne ręce roboty, widziałeś? – zapytał Cashin.

Singo znowu uniósł rękę, wyprostował palce.

Cholera, pomyślał Cashin, on coś pokazuje.

Spojrzał w tamtą stronę.

Na nocnej szafce spostrzegł bloczek z podkładką i pióro. Położył bloczek na tacy Singa, podał mu pióro do lewej ręki. Singo wziął je niezdarnie, niepewnie.

– Czemu pielęgniarka mi nie powiedziała, że możesz pisać, szefie?

Singo skupił się na stawianiu liter. Pióro nie chciało być posłuszne, notes się przesuwiał. Żyły wystąpiły mu na czole.

Cashin przytrzymał notes. Singo nabazgrał jakieś znaki, może „C”, może „R”, nagryzmolił linie. Wyglądało na to, że siły go opuściły, ręka opadła, oczy się zamknęły.

Cashin czekał.

Singo zasnął.

Cashin wstał i ruszył do wyjścia. Odwrócił się i powiedział:

– Wróć tu, szefie. Ciągłe myślimy o tobie. Wydostaniemy cię stąd.

Dostrzegł odbicie Singa w szklanych drzwiach i wydało mu się, że były zwierchnik patrzy na niego. Ruszył z powrotem. Singo miał zamknięte oczy. Cashin wysunął notes spod wielkiej dłoni z owłosionymi palcami i oderwał kartkę.

– Do zobaczenia, szefie. – Odważył się na śmiertelne ryzyko i dodał: – Uwielbiam cię.

Siedział przez chwilę w samochodzie, zanim uruchomił silnik, próbując zrozumieć sens znaków Singa. Potem włączył muzykę. Postanowił nie myśleć o tym, co go czekało w następnych godzinach, odjechał. Czuł się wyczerpany, bolały go obie nogi. Był już niedaleko domu, gdy odezwał się telefon komórkowy.

– Znaleźliśmy kogoś – oznajmił Hopgood. – Chcesz przyjechać?

Cashin przeszedł przez molo w gasnącym świetle dnia, stanął za kilkoma osobami obserwującymi uważnie coś, co się działo w pobliżu. Czuł na twarzy zimną sól, którą niosła wiejąca od zachodu wichura. Zobaczył mały statek ratowniczy przy falochronie, dwa silniki ryczały donośnie. Miejsce za sterem zajmował mężczyzna ubrany na żółto, za nim stały dwie postacie w ciemnych skafandrach do nurkowania.

Hopgood, w czarnej skórzanej kurtce, odwrócił głowę, potem przesunął się do tyłu przez grupę.

– Facet zobaczył z samolotu jakieś ciało przed Kotłem, niesione przez prąd odpływowy.

Cashin czuł, że robi mu się niedobrze. Bał się, że za chwilę zwymiotuje na Hopgooda.

– Wyglądasz fatalnie – zauważył Hopgood. – Nawet gorzej niż fatalnie.

Cashin słyszał o ciałach wpychanych do morskich grot przez potężne spiętrzone fale. Czasami mijały całe dni, tygodnie, zanim zwłoki zostały wyssane z dziur w Kotle i znalazły się w wodach prądu odpływowego.

Sternik wyłączył silnik. Statek zastygł w wodzie. Falując, dopłynął do mola i został ustawiony burtą do pontonu. Dwaj mężczyźni swobodnie rzucili linę i zacumowali jednostkę

dziobem i rufą.

Wyniesiono ciało na górę, owinięte w pomarańczową nylonową płachtę. Każdy róg trzymał inny mężczyzna. Dwaj ostatni byli wyraźnie przestraszeni. Kiedy znaleźli się na molo, delikatnie położyli swoje brzemie na surowych deskach, cofnęli się, odwinęli płachtę. Hopgood się pochylił.

Cashinowi mignęły przed oczami nagie stopy, rozdęta twarz, dzinsy podarte na strzępy. Nie chciał widzieć nic więcej. Wystarczająco napatrzył się na martwych ludzi. Przeszedł do barierki od strony brzegu i spojrzał na światła miasta w górze, przyćmione w mroku. Samochody przemykały przez dwa ronda na Marine Parade, ludzie wracali do domu. Czekwały na nich rodziny. Dzieci.

Żałował, że nie ma papierosa.

– To znaleźliśmy w kieszeni – powiedział z tyłu Hopgood. – W kurtce.

Cashin się odwrócił. Hopgood podał mu szary, nylonowy portfel, zamknięty na zamek błyskawiczny.

– Dajcie tu lampę! – zawołał.

Poświecił Cashinowi.

W portfelu była karta kredytowa z fotografią. Cashin zmusił się, by spojrzeć na zdjęcie, włożył kartę z powrotem do portfela.

Potem wyjął szarą książeczkę ze skaczącym jednorożcem na okładce. W środku tkwiła plastikowa koperta.

Kasa Pożyczkowa Daunt.

Książeczka była niemal sucha, zamoczona tylko na brzegach.

Okolo dwudziestu pozycji na dwóch stronach, rozmazane litery i cyfry, niewielkie kwoty wpłacane i pobierane. Donny Coulter utonął w Kotle, mając na koncie jedenaście dolarów i czterdzieści pięć centów.

Cashin włożył książeczkę oszczędnościową z powrotem do portfela, zapiął go i oddał Hopgoodowi.

– To chyba wszystko – powiedział. – Jadę do domu. Miałem być na urlopie.

– Pora poprawić swój wygląd – poradził mu Hopgood. – Nadchodzą.

Na molo pojawiła się ekipa telewizyjna, zmierzała w ich kierunku i już filmowała.

– Sam im dajesz cynk? – zapytał Cashin. – Czy masz może jakiegoś pieprzonego wazeliniarza, który to robi za ciebie?

– Jawność, kolego. Teraz tak się działa.

– Gówna prawda. Powiedziałaś matce Donny'ego?

– Najpierw będzie musiała go zidentyfikować.
– Zanim zobaczy relacje w telewizji?
– To nadal twoje śledztwo? Twój smagły przyjaciel nic mi o tym nie wspominał.
– To nie ma nic wspólnego z tym śledztwem – warknął Cashin. – I nigdy nie było żadnego pieprzonego śledztwa.

Ruszył naprzód, prosto w stronę ekipy telewizyjnej. Kobieta z natapirowanymi włosami rozpoznała go, coś powiedziała do dźwiękowca. Potem zagroziła Cashinowi drogę.

– Detektywie Cashin, może nam pan powiedzieć kilka słów?

Cashin szedł dalej, wyminął reporterkę. Odepchnął ramieniem mikrofon.

– Spokojnie – syknął facet z ekipy telewizyjnej.

– Odpieprz się – wycedził Cashin.

Przejechał ostatni odcinek drogi do domu z nastawionym na cały regulator nagraniem Callas, jej piękny głos wypełniał wnętrze samochodu pędzącego po ciemnych, wyboistych nawierzchniach. Kocioł. Ciało unoszące się na wodzie poza Kotłem, w wielkim, piniącym się nurcie.

Poszli tam po raz pierwszy, kiedy miał sześć albo siedem lat. Każdy musiał zobaczyć Kocioł i Schody Dangara. Mimo że stał wystarczająco daleko od kruszejącego brzegu, widok go przeraził. Bezkresne morze, szarzielona woda pokryta pianą, przelewająca się, spadająca, wzbierająca, pełna małych grzebieni, zagłębień i fałd. Niewyobrazalna moc pod powierzchnią, przerażająca siła, która mogła wessać w dół i kręcić człowiekiem, a on wciągałby do gardła lodowatą słoną wodę, łykał ją, dławił się. Siła żywiołu wepchnęłaby nieszczęśnika przez lukę w urwisku do Kotła, a potem rzucała nim o ospowate ściany, uderzała tak długo, aż ubranie zmieniłoby się w pasma nici, a ciało stało się tylko kawałkiem utłuczonego mięsa.

Ten fragment wybrzeża nazywano Przeklętym Brzegiem. Pewnego razu ktoś mu powiedział, że żeglarze, którzy pierwsi zobaczyli to urwisko, nazwali je tak, ponieważ kawały kruchych skał oderwały się od wapiennego klifu i runęły do morza. Być może żeglarze widzieli, jak się to stało. Może byli blisko i zobaczyli, jak brzeg ziemi rozpada się i tonie w morzu.

Wreszcie w domu, dzięki Bogu. Reflektory przesunęły się wzdłuż szopy Rebba.

Zatrzymał samochód w pobliżu budynku i siedział cały obolały. Wyłączył światła. Nie miał siły nawet się ruszyć. Mógłby tu zasnąć. Choćby na chwilę.

Usłyszał stukanie. Wyprostował się zaniepokojony.

Dwie psie głowy w oknie, strumień światła latarki. Opuścił szybę.

- Dobrze się czujesz? – zapytał Rebb.
- Tak, to tylko zmęczenie.
- Co z bratem?
- W porządku.
- To dobrze. Psy dostały żarcie. Jutro skończę ogrodzenie.

Rebb odszedł. Cashin wszedł z psami do domu. Zadzwoił do matki. Chciała usłyszeć więcej, niż miał do powiedzenia. Rozłączył się, popił piwem tabletki kodeiny, nalał sobie wielką porcję whisky. Usiadł na krześle, sączył trunek i czekał, aż poczuje ulgę.

Poczuł. Wypił więcej whisky. Przed pójściem do łóżka obejrzał lokalne wiadomości.

„Policja nie chce się wypowiadać na temat przypuszczeń, że zwłoki znalezione w morzu przy okrytym złą sławą kromartańskim Kotle to ciało osiemnastoletniego Donny’ego Coulera oskarżonego o próbę zabójstwa tutejszej osobistości Charlesa Bourgoyne’a. Starszy sierżant Cashin z wydziału zabójstw opuścił Długie Molo bez słowa komentarza, gdy zwłoki przeniesiono na brzeg”.

Zobaczył samego siebie idącego wzdłuż mola ze zmrużonymi oczami, sztywnymi ramionami, rozwianymi włosami wokół kamiennej twarzy. Hopgood z miną świętoszka kroczył z tyłu. Jego twarz przypominała oblicze księdza, jakby założył maskę smutku i szczerości na tę jedną okazję. „Zawsze jest przykro, kiedy znajduję zwłoki”, powiedział reporterom Hopgood. „Tym razem nie mamy żadnego innego komentarza”.

Reporter kontynuował:

„Matka Donny’ego Coulera – Lorraine Coulter, mówiła dziś wieczorem o tym, jak zachowywała się policja wobec jej zaginionego od środy syna”.

Matka Donny’ego stojąca przed domem z brązowej cegły, okolonym wytartym trawnikiem.

„Nękano go. Przez cały czas, od chwili gdy został zwolniony za kaucją. Przejeżdżali każdej nocy, puszczały reflektor punktowy prosto w okno Donny’ego, siedzieli przed wejściem. Zaczął sypiać w tylnej części domu, nie mógł tego dłużej wytrzymać. Doprowadzali nas do szału. Donny miał dosyć powodów do zmartwień po tym, jak policjanci zabili chłopców... po tym wszystkim...”

Cashin położył się do łóżka. Nic przedtem nie zjadł. Zasnął natychmiast i obudził się dopiero wtedy, gdy psy zaczęły się skarżyć i zimny świat tonął już w świetle dnia pod bezchmurnym niebem.

Rebb umocował kątowniki we wgłębieniach diagonali wzmacniających słupy nośne.

Nasmołowane paliki leżały wzdłuż linii nowego płotu. Pośrodku był słup nośny.

- Bern ci pomaga? – zapytał Cashin.
- Niepotrzebna mi pomoc. To nieduże ogrodzenie.
- Według mnie jest całkiem spore. Co teraz?
- Wbijamy paliki. Ustawiamy je w jednej linii.
- Musimy mieć sznurek.
- Oko wystarczy.
- Moje oko?
- Oko każdego fiuta.

Cashin patrzył spod zmrużonych powiek nad narożnym słupem, a Rebb odpowiednio do jego wskazówek przesuwiał się to w tę, to w tamtą stronę i umieszczał kolejne paliki w linii prostej z trzema słupami nośnymi. Rebb wbijał słupki młotem oburęcznym, a trzymał go tak, jakby narzędzie nic nie ważyło. Potem oznaczył na tyczce wysokość słupa nośnego i wysłał Cashina, by poszedł wzdłuż szeregu palików i od dołu zaznaczył kredą ich wysokość. Rebb kroczył za nim i walił młotem w paliki, dopóki nie weszły w ziemię do oznaczonego poziomu. Robił to z gracją, płynnie wykonywał pełny zamach nad głową bez najmniejszego wysiłku, trafiał precyzyjnie w nieduży cel, ani razu nie chybił. Głuchy odgłos uderzeń niósł się po dolinie i wracał echem; było w nim coś smutnego.

Następnie umocowali drut, cztery pasma; zaczęli od najniższego poziomu i od środkowego słupa nośnego, posługując się naciągarką do drutu, przyrządem dosyć groźnie wyglądającym. Rebb pokazał Cashinowi węzeł stosowany do mocowania drutu na słupie.

- Jak się nazywa?
- Co?
- Ten węzeł na drucie.
- A czy to ważne?
- No cóż, gdyby nie było nazw, ludzie porozumiewaliby się tylko za pomocą chrząkania, pomruków i języka migowego – odparł Cashin.

Rebb obrzucił go z ukosa przeciągłym spojrzeniem.

- Nazywa się węzłem napinającym. Ta nazwa nie przyda ci się do niczego. Dowiadywałeś się też może, jak ja się nazywam? Sprawdziłeś to?

Cashin się zawahał. O takich rzeczach nie wypadało rozmawiać.

- Owszem. Taki mam zawód.

– Znalazłeś coś na mnie?

– Jeszcze nie. Dobrze zacierasz po sobie ślady.

Rebb się roześmiał. Po raz pierwszy od czasu, gdy się poznali.

Wrócili do pracy. Zjawiły się psy, ale szybko się znudziły obserwowaniem robót, więc pobiegły znaleźć ciekawsze zajęcie. Kiedy skończyli, minęła już połowa popołudnia, żaden z nich nic nie jadł od kilku godzin. Stanęli na końcu ogrodzenia i spojrzeli wzdłuż jego linii. Biegło prosto, prosto też stały słupki, nowy drut lśnił srebrzyście w świetle późnego dnia.

– Doskonały parkan – ocenił Cashin.

Czuł dumę, praca nieczęsto dostarczała mu takich doznań. Był zmęczony, obolały od pasa w górę, ale i szczęśliwy.

– Zwyczajne ogrodzenie – odparł Rebb. Spoglądał teraz w bok. – Nowa sąsiadka?

Cashin nie rozpoznał kobiety idącej przez trawiaste zbocze. Miała rozpuszczone włosy, była w dżinsach i skórzanej kurtce. Czasami traciła równowagę, niewiele brakowało, by się przewróciła.

– Zabiorę te graty – powiedział Rebb. – Pora dojenia.

Helen Castelman.

Cashin ruszył jej na spotkanie wzdłuż ogrodzenia.

– Co to jest? – zapytała, z trudem łapiąc oddech.

Wyglądała czysto i świeżo. To spowodowało, że uświadomił sobie nagle, jak bardzo on sam był spocony.

– Po prostu naprawiam ogrodzenie – wyjaśnił. – Stawiam nowy płot. Nie proszę cię, żebyś zapłaciła połowę.

– Co za wielkoduszność! Myślałam, że granicę stanowi strumień.

– Strumień?

– Właśnie.

– Kto ci tak powiedział?

– Agent.

– Adwokat polega na opinii agenta?

Policzki Helen nagle zmieniły kolor.

– Spośród wszystkich ludzi, na których można by polegać – zaczął Cashin – agenci handlu nieruchomościami...

– Wystarczy, dziękuję. Ma pan dobrą passę, prawda, panie Cashin? Uważa się pan za bardzo sprytnego? Doprowadziliście biednego, wystraszonego chłopca do samobójstwa, teraz nie potrzebujecie już żadnych dowodów, on wam rozwiązał sprawę. Wszyscy podejrzani nie

żyją. Bo pan i pańscy cholerni koledzy ich zabili.

Odwróciła się i zaczęła wspinać po wzgórzu, ślizgając się co chwila.

Przez cały dzień prześladował go widok chłopca na Schodach Dangara, ciemnoskórego, w tanich dzinsach, nylonowym anoraku, zniszczonych butach – stał na kruszejącym wapiennym występie, skąpany w słonych kropelkach podobnych do mgły, patrzył w dół na kłębiącą się, spienioną wodę.

– Posłuchaj! – zawołał. – Pozwól mi odpocząć...

Odwróciła głowę, jej włosy zafalowały.

– Nie zasługujesz na odpoczynek. A swoją drogą sprawdzę, jak jest naprawdę z tą pieprzoną linią graniczną.

Cashin patrzył, jak się wspinała. Potknęła się kilka razy, znowu się pośliznęła. W połowie drogi odwróciła się, spojrzała w dół na niego.

– Na co się gapisz?! – krzyknęła. – Odepierz się, dobra?

Kiedy, stojąc pod prysznicem, myślał o tym, co powinien jej odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Nie miał pod ręką żadnego ręcznika. Ruszył w stronę aparatu, ociekając wodą.

– Sprawa zamknięta – oświadczył Villani. – Bourgoyne’a odłączono od aparatury. Nigdy dokładnie się nie dowiemy, co zdarzyło się tamtej nocy.

– Dokładnie? – Cashin drżał z zimna. Miejsce, w którym stał, było gigantyczną lodówką. – Nigdy, cholera, nie mieliśmy o tym zielonego pojęcia.

– Zegarek, Joe, zegarek. Nie został znaleziony. Ktoś go zabrał staremu... w każdym razie, pieprzyć to, sprawa skończona.

Cashin chciał powiedzieć coś więcej, ale się powstrzymał. Spojrzał na swój zwiędły penis w mokrych, drobnych loczkach włosów łonowych, który wyglądał jak kawałek śmiecia, leżącego w kałuży pozostawionej przez odpływ.

– Był zarzut, że policja nękała chłopaka – powiedział po chwili.

– W Cromarty już dawno powinno się przeprowadzić czystkę – warknął Villani. – Była do tego okazja. Ale nie, przenieśli szefa do drogówki, tam zabłysnął energią i skutecznością działania. No i proszę, po sześciu miesiącach Hopgood i jego pieprzeni kumple znowu rządzą w Cromarty.

– Nie jestem w dobrym nastroju...

– Ja też nie – odparł Villani. – Siedzę w domu. Skarżę się, że mnie tu nigdy nie ma. To prawda. No więc dziś wieczorem postarałem się, przyjechałem zjeść obiad z dziećmi, a tu dom pusty. No i co?

– Wcale ci nie współczuję. Wracaj do swoich gangsterów. Ja zawsze jestem sam w

domu.

W nocy Cashin się obudził, próbował na sobie hipnozy. Oddychał równomiernie, starał się zdusić niepokojące myśli. Gdy już zasypiał, zobaczył Kocioł, rozsuwające się chmury, księżyc w pełni oświetlający świat srebrzystoszarym blaskiem, napływające ogromne, spienione fale, które po nagłej eksplozji wdzierały się przez otwory w skalistym brzegu z nieskrępowaną morderczą siłą.

Cashin wstał wcześnie, czując wewnętrzny niepokój podobny do bólu żołądka. Zabrał psy na długi spacer. Przeszli na drugą stronę strumienia, wspięli się w górę i ruszyli z powrotem ścieżką biegnącą pod błyszczącym nowym parkanem na jego własnym terenie, już wyraźnie oznaczonym.

Po wspólnym śniadaniu zabrał psy do samochodu i pojechał do matki. W pobliżu wybrzeża wybrał drogę, która biegła między dwoma wulkanicznymi wzgórzami, ich kalderowe jeziora były siedliskiem setek łabędzi, kaczek, błotniaków, wciąż sprzecających się okrutnookich mew. Te jeziora nigdy nie wysychały. Cashin wspominał, jak pływał w nich w okresie, gdy mieszkał razem z Doogue'ami. Jeździli po okolicy na rowerach, pięciu albo sześciu chłopców. Taplali się, brodzili w czarnej wodzie, zimne błoto przesączało się przez palce nóg, drżeli z chłodu nawet w najgorętsze dni. Chodzili wokół powalonych pni, omijając gałęzie, które leżały prawie zatopione, pogrążone w wodzie jak wielkie węże, zielone od mchu i szlamu, poplamione ptasimi odchodami.

Na okrzyk wszyscy wskakiwali do wody i płynęli. Gromadzili się na środku, czując pod sobą czarną głębię, gotową ich pochłonać. Rzecz polegała na tym, żeby zanurkować i wynurzyć się z garścią szarego błota. Ale nikt nie miał ochoty zrobić tego pierwszy. W końcu najodważniejszy dawał nura. Czekali, aż wypłynie, dopiero wtedy nurkował następny. Pewnego razu Bern zanurkował i odpłynął pod wodą, po czym cicho się wynurzył za zwałonym pniem.

Czekali, aż się pojawi. Spoglądali niepewnie jeden na drugiego. Potem wpadli w panikę. Cashin pamiętał to; jak na komendę wszyscy ruszyli w stronę brzegu, pozostawiając Berna własnemu losowi; płynęli z takim zapamiętaniem, jakby walczyli o życie.

Kiedy stali już na płyciźnie, Bern krzyknął:

– Tchórzliwe dranie! Skąd mogliście wiedzieć, czy się gdzieś nie zaczepiłem!?

Radio nadawało wiadomości.

„Ostatniej nocy cztery osoby, w tym policjantka, trafiły do szpitala po tym, co – jak twierdzi policja w Cromarty – było atakiem na radiowóz w podmiejskim osiedlu Daunt. Policja oświadczyła, że samochód podczas rutynowego patrolu obrzucono kamieniami tuż po godzinie 22.00. Gdy dwa następne radiowozy przyjechały na miejsce wydarzenia, znalazły pierwszy samochód w płomieniach. Wrogo nastawiony tłum blokował ulicę.

Funkcjonariusze próbowali przedostać się przez tłum, by dotrzeć do kolegów, oświadczył rzecznik policji. Jednak zostali zmuszeni do opuszczenia wozów i użycia broni, zanim zdołali przywrócić porządek.

Szef policji Kim Bourke stanął dzisiaj w obronie policjantów, którzy brali udział w tej akcji.

„Oczywiście będzie przeprowadzone szczegółowe dochodzenie, ale nie ulega wątpliwości, że zaistniała tam bardzo groźna sytuacja. Życie policjantów znalazło się w niebezpieczeństwie. Obawiali się oni także o los swoich kolegów. Podjęte przez nich działania były koniecznością.

Czterdziestosześcioletni mężczyzna, młoda kobieta i chłopiec z osiedla Daunt zostali odwiezieni do szpitala w Cromarty. Ich stan jest stabilny. Jak nam powiedziano, życiu policjantki, która doznała urazów głowy, również nie zagraża niebezpieczeństwo. Dwie inne osoby po udzieleniu im pomocy medycznej wróciły do domu”.

Rutynowy patrol? Przejeżdżający przez Daunt tego wieczoru, gdy odnaleziono zwłoki Donny’ego Coultera? Jaki to komendant komisariatu nie uprzedził swoich ludzi, że na razie mają się trzymać z dala od Daunt?

„Doprowadziliście biednego, wystraszonego chłopca do samobójstwa, teraz nie potrzebujecie już żadnych dowodów... Wszyscy podejrzani nie żyją. Bo pan i pańscy cholerni koledzy ich zabili”.

Matka Cashina i Harry właśnie siedzieli w kuchni przy śniadaniu, jedli płatki owocowe w koślawych fioletowych miseczkach.

– Ty już po śniadaniu? – zapytała matka.

– Jeszcze nie.

– Pewnie nie ma nic do jedzenia w tej ruinie.

Sybil wstała i nałożyła mu do miseczki płatków ze szklanego słoja, dodała z puszki resztki bakalii.

Cashin usiadł przy stole, nalał sobie mleka do miski, zjadł płatki. Ku jego zaskoczeniu, okazały się całkiem smaczne.

– Dzwonił Michael – odezwała się matka po chwili. – Czuje się dobrze, jest bardzo

wesoły.

Harry skinął głową.

– Bardzo wesoły.

Harry zawsze powtarzał opinie Sybil, taką miał rolę w tym małżeństwie.

– Świetnie – skomentował Cashin.

– To był wypadek – ciągnęła Sybil. – W pracy ciągły stres. Za wielkie napięcie, to nie jest dobre życie.

Cashin utkwiał wzrok w swojej misce. Co to za czarne drobinki? Pestki?

– Wkrótce przyjedzie do nas, żeby trochę wypocząć.

– Trochę wypocząć – zawtórował Harry.

– Jest okazja, żebyście spędzili trochę czasu razem – ciągnęła matka. – Bardzo serdecznie mówił o tobie, bardzo cię chwalił.

– Uwielbiam, kiedy mnie chwala – mruknął Cashin. – Tak rzadko w życiu mnie to spotyka.

Harry wybuchnął śmiechem, ale dostrzegł spojrzenie Sybil, spoważniał w jednej chwili i utkwiał wzrok w swoim daniu.

– Prawdopodobnie byłeś aż nadto chwalony – stwierdziła Sybil. – Tak bardzo cię kochano i troszczono się o ciebie.

Cashin pomyślał o pijanej Sybil w przyczepie kempingowej, o nocach, kiedy czekał na jej powrót. Zjadł częśćkę brzoskwini i kawałek czegoś innego, różowawego. Ten sam smak.

– Skandaliczne rzeczy działy się w Daunt wczoraj wieczorem – powiedziała Sybil. – Zaczyna tu być jak w Izraelu, policja prowokuje biednych ludzi do używania przemocy. Produkcja dewiacji.

– Produkcja czego?

– Dewiacji – powtórzyła z naciskiem Sybil. – Ty też bierzesz w tym udział. Stwarzasz coś, co uzasadnia twoje istnienie.

– Ja?

– Istnienie aparatu władzy. Jesteś nieświadomą jego częścią.

– Dowiedziałaś się tego na uniwersytecie?

– Zawsze to wyczuwałam. Uniwersytet daje wsparcie intelektualne.

– Myślę, że mogłoby mi się przydać intelektualne wsparcie. Jak się nazywają te zajęcia?

– Zjedz do końca, nie chcę, żeby się zmarnowało. Naturalne, ekologiczne płatki. Kosztują mnóstwo pieniędzy. Kupiłam je na targu.

– Na targu. – Harry uśmiechnął się jak maminsynek.

Sybil odprowadziła Cashina do samochodu. Psy wpadły w szal.

– Nie lubią mnie – zauważyła.

– Nie wyrażają szczekaniem swojej opinii o tobie. Zwykle szczekanie, nic więcej.

Sybil pocałowała go w brodę.

– Bądź w kontakcie z Michael'em, proszę, kochany – nalegała. – Zadzwoń do niego.

Obiecujesz?

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że tata się zabił?

Zrobiła krok do tyłu, objęła się ramionami.

– On się nie zabił. Spadł. Pośliznął się i spadł.

– Gdzie?

Jej oczy zwilgotniały.

– Na rybach.

– Gdzie?

– Gdzie?

– Tak. Gdzie?

– W Kotle.

Cashin nie powiedział już nic więcej. Wsiadł do samochodu i odjechał, nawet nie pomachał na pożegnanie.

Tuż po południu, wracając z Cromarty, gdzie w końcu udało mu się skopiować fotografie domu Tommy'ego Cashina, Joe Cashin zdał sobie sprawę, że znalazł się w pobliżu wjazdu na drogę prowadzącą do domu Bourgoyne'a.

Zwolnił, skręcił, pojechał zakolami i minął bramy rezydencji Wzgórz.

Absolutnie nie umiałby powiedzieć, czemu to robi. Wydało mu się po prostu, że w ten sposób zakończy całą sprawę w miejscu, gdzie zaczął. Zaparkował samochód i ruszył wokół budynku. Co najmniej sześciu lub siedmiu policjantów kroczyło kiedyś tędy luźnym szeregiem, powoli, badając grunt, podnosząc gałązki, zaglądnąc pod liście.

Dzisiaj liści zostało niewiele. Cały teren uporządkowano. Miejscowy gwiazdor futbolu wraz synem najwyraźniej byli tu nadal zatrudnieni. Musieli całkiem niedawno wrywać chwasty, kosić trawę, zgrabiać żwir. Cashin przeszedł obok kuchennego wejścia przez altanę, tak misternie otoczoną pozwijanymi gałązkami, że prawie w ogóle nie przepuszczały do niej

światła.

Jednopiętrowe budynki gospodarcze z czerwonej cegły po lewej stronie, wybrukowany dziedziniec, stare różowe kostki ułożone w jodełkę, zapadające się miejscami, płytkie zagłębienia wypełnione wodą.

Cashin przeszedł pomiędzy dwoma budynkami, zajrzał przez bogato zdobioną żeliwną bramę na podwórko-suszarnię. Sznury do wieszania bielizny rozciągnięte między drewnianymi krzyżakami wystarczyłyby do wysuszenia ubrań całej armii. Kroczył dalej, do miejsca gdzie skoszony trawnik docierał do rustykalnego parkanu odległego o pięćdziesiąt metrów. Za parkanem był wielki padok, jego granicę stanowiła linia wysokich sosen. Za nim biegła droga.

Cashin ruszył z powrotem za południowo-zachodnim rogiem domu. Rozpościerała się tu wysprzątana wolna przestrzeń, długi prostokąt otoczony drzewkami cytrynowymi w dużych donicach z terrakoty. Wiele z nich, z pożółkłymi liśćmi, sprawiało smutne wrażenie.

Cashin pamiętał, że mieli kiedyś cztery drzewka cytrynowe, rosły za domem. Musieli je obsikiwać wokół pnia. Ojciec często brał go ze sobą, żeby to zrobić po wypiciu herbaty. Szli od drzewa do drzewa, Mickowi Cashinowi wystarczało moczu na wszystkie cztery drzewka, ostatnie dostawało tylko trochę mniej. Joemu wcześniej kończyły się zasoby, ale nie zwracał na to uwagi, stał nadal obok ojca ze swoją małą pustą sikawką skierowaną ku ziemi.

– Są takie miejsca, gdzie one nie dostają nic więcej – powiedział ojciec. – W suchych krajach. W sikach nie ma niczego niedobrego. Są dobrze przefiltrowane.

Po drugiej stronie dziedzińca stał dwupiętrowy ceglany budynek, na parterze znajdowały się drzwi i okna; wyżej okna otwierały się poziomo. Cashin przeszedł przez dziedziniec i spróbował odemknąć duże drzwi pośrodku frontowej ściany. Otworzyły się na korytarz biegnący przez całą szerokość budynku.

Drzwi po prawej stronie były uchylone. Wszedł do środka.

Znalazł się w wielkim pokoju, dobrze oświetlonym dzięki oknom po obu stronach. Mieściła się tu pracownia garncarska – dwa wielkie koła, jedno mniejsze, stoły na kozłach, kilka stalowych stolików na kółkach ustawionych w szeregu, sterty worków pod ścianą, półki z małymi torbami i puszkami wszelkich rozmiarów, rozłożone różnego rodzaju narzędzia. Nie dostrzegł jednak ani jednego gotowego wyrobu. Pomieszczenie było czyste, uporządkowane jak sala lekcyjna, zamiatana i starannie sprzątna po każdym dniu zajęć.

Cashin przeszedł korytarzem do drzwi po lewej stronie. Gdy je otworzył, otoczył go mrok. Poszukał dłonią kontaktu, znalazł ich kilka, nacisnął.

Zapłonęły światła punktowe, trzy rzędy pod dachem. To była galeria, bez okien, z

kamienną matowoszarą, gładką podłogą i nagimi ścianami jasnego koloru.

Wąski czarny stół zajmował niemal całą szerokość pomieszczenia. Stało na nim, w regularnych odstępach, dziewięć dzbanków. Były duże, przeszło półmetrowej wysokości, miały kształt jaj z odciętym wierzchołkiem i maleńkie dziobki. Uznał, że to piękna forma – naczynia pewnie chciałyby mieć taką, gdyby garncarze na to pozwolili.

Podszedł bliżej, przyjrzał się dzbanom z obu stron. Teraz spostrzegł drobne różnice kształtu, wypukłości i zwężeń. A także barw. Były pokryte plamami, cętkami i pasemkami rozmaitych kolorów w różnych odcieniach: czarnymi, pochłaniającymi światło, czerwonymi, wyglądającymi jak świeża krew wyciekająca przez maleńkie szczeliny, a także niebieskimi, brązowymi, szarymi i zielonymi – smutnymi i uroczymi kolorami Ziemi widzianej z kosmosu.

Cashin przesunął dłonią po powierzchni jednego z dzbanków. Napotykał części gładkie i szorstkie, jakby dotykał najpierw kobiecego, a potem męskiego policzka z kilkugodzinnym zarostem. Niektóre były lodowato zimne, jakby straszliwe przejście przez ogień nadało im stałą odporność na ciepło.

Czy do tego ograniczała się cała twórczość Bourgoyne'a jako garncarza? Niczego więcej nie przechowywał? W domu nie było żadnych wyrobów ceramicznych. Cashin podniósł ostrożnie jedno z naczyń, odwrócił je do góry dnem: litery C.B. i data: 11/6/88.

Postawił dzbanek na miejsce i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się, patrzył przez chwilę na naczynia. Nie chciał gasić światła i pozostawić ich w ciemności, która pozbawiała je barw.

Ale jednak nacisnął wyłączniki.

Reszta budynku go rozczarowała. Na górze po jednej stronie znajdowały się puste pokoje, po drugiej pomieszczenia mieszkalne, wygodnie urządzone, pewnie w latach siedemdziesiątych: salon, łazienka, kuchnia. Otworzył jakieś drzwi, mała sypialnia, zwyczajne podwójne łóżko, stolik nocny, szafa. Z okna widać było padoki i nic więcej.

W drzwiach na korytarz obejrzał się do tyłu i zajrzał w głąb salonu. Drzwi od sypialni miały zasuwę. Gdy znów znalazł się na dole, przez tylne drzwi wyszedł na taras, spojrzął na skoszony trawnik, stare wiązy, dąb za płotem ze sztachet. Na wprost znajdowały się stajnia i padok, na którym wylądował wówczas helikopter.

Betonowa dróżka prowadziła od podjazdu do lewego krańca tarasu. Cashin ruszył nią, przeszedł przez furtkę w ogrodzeniu i znalazł się w gęstym lesie. Rosnące tutaj dęby były ogromne, z całą pewnością sadził je któryś z przodków Bourgoyne'a. Mocno rozgałęzione, świetnie nadawały się do wspinania. Wciąż jeszcze miały mnóstwo brązowych liści, mimo że

pod nimi rozpościerała się na ziemi gruba świeża ich warstwa.

Teren wznosił się łagodnie, ścieżka wiła się pomiędzy drzewami, jej bieg wyznaczały nowe zasiewy. Gdy przeszedł nią ze trzydzieści metrów, zdał sobie sprawę, że spacer przez las w ten wczesnozimowy dzień sprawia mu przyjemność. Już za chwilę zamierzał zawrócić.

Jakiś dźwięk. Przystanął. Głuchy, żaloszny odgłos, jakby ktoś dał w wielką muszlę.

Szedł dalej, dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Dęby się skończyły, przecinka, potem wysokie eukaliptusy, które zaczęły rzednąć – skręcił w lewo. Otworzyła się przed nim polana na lekkim wzniesieniu. Ścieżka zakręcała w lewo za stertą narąbanych polan pod blaszanym dachem.

Poczuł zapach dawno temu spalonego drzewa.

Zatrzymał się zaniepokojony. Po chwili ruszył dalej, okrążył stertę drewna.

Na polanie stała podobna do tunelu konstrukcja z cegieł w kolorze cementu. Zwężała się w obu wymiarach, niższy i węższy jej koniec był skierowany ku wolnej przestrzeni pomiędzy drzewami i ku morzu oddalonemu stąd o kilka kilometrów. Z tyłu znajdował się kwadratowy komin.

Cashin podszedł bliżej. Ziemię u podnóża ścian pokrywała gliniasta skorupa. Nisko, wzdłuż lewego boku biegły kwadratowe otwory zamknięte stalowymi okiennicami; otaczające je cegły były poczerniałe. Z komina wystawała stalowa płyta, szyber. Pewnie do regulowania przepływu gorącego powietrza. Na drugiej ścianie znajdowały się inne zamknięte okiennicami okna.

Od frontu budynek był otwarty. Cashin czuł na szyi powiew zachodniego wiatru, który dał prosto w wylot komory, wydobywając ten głuchy dźwięk. To był piec do wypalania wyrobów ceramicznych Bourgoyne'a.

Poczerniałe cegły szczelnie otaczały wylot. Cashin przystanął, by mu się przyjrzeć; za okopconym wejściem znajdowały się trzy poziomy. Czuło się silną woń czegoś podgrzewanego, co trochę kojarzyło się z substancją chemiczną.

Wiatr od morza dmuchał w płonący piec, jak trębacz dmie w trąbę. Czy palono tu nocą? Piec huczał, otwory jarzyły się bielą żaru. Ktoś musiał dokładać drewna w dość regularnych odstępach czasu.

Cashin zapragnął nagle odejść z tej polany, od tego smutnego dźwięku i zapachu spalenizny. Uprzytomnił sobie, że wiatr był naprawdę zimny, powietrze przesycone wilgocią. Ruszył między drzewami z powrotem w kierunku Wzgórz, dotarł do budynków i znowu zaczął spacer wokół domu; przyglądając się rezydencji Bourgoyne'a, myślał o tym, jakby to było, gdyby ktoś pojawił się tu w nocy. Którędy mógłby się włamać do środka?

Kilka metrów od rogu północno-zachodniej ściany znajdowały się drzwi do połowy oszklone, z czterema szybami. Zajrzał do środka: mały pokój, wykładana kafelkami podłoga, stoły robocze po obu stronach, płaszcze i kapelusze na kołkach.

Odwrócił się. Starannie utrzymany ogród ciągnął się co najmniej ze sto metrów do płotu ze sztachet, dalej były padoki ogrodzone żywopłotami, kępy drzew, miejsca, gdzie pobłyskiwała woda.

Być może półpijani chłopcy przejeżdżali obok samochodem i nagle, ni stąd, ni zowąd jednemu przyszedł do głowy szczególnie pomysł na widok wielkich bram i mosiężnej tabliczki, którą wydobyły z mroku reflektory auta. Mógł to odebrać jak jaskrawe litery neonowego napisu: „Tu mieszkają bogaci ludzie”.

Przejeżdżali obok? Dokąd zmierzali? Byli na rybach, popijali na plaży, potem wracali do Daunt. Tą drogą mogli tam dojechać; mniejsze ryzyko niż gdyby wybrali główną szosę.

Czy zaparkowali samochód gdzieś na poboczu, przeleźli przez ogrodzenie, dotarli do rezydencji? Do pokonania kilometr w ciemności, trzeba było przejść przez padoki, otwierać furtki. Nie, tak nie zrobili.

Mogli zaparkować wóz przy bramach i ruszyć wzdłuż podjazdu. Marsz w ciemnościach, potężne topole wciąż jeszcze okryte liśćmi zasłaniały poświatę księżyca.

Chłopcy stoją w ciemnościach na końcu podjazdu, patrzą na dom. Czy światła się paliły? Sypialnia Bourgoyne'a znajdowała się z tyłu budynku. Nie był w łóżku. Gdzie przebywał? W gabinecie? Czy obeszlili dom i zobaczyli światła w gabinecie i sypialni? Jeśli tak, włamaliby się w miejscu położonym możliwie najdalej od tych pokoi.

Złodzieje nie wybierali zamieszkanego domu, tam gdzie były zapalone światła. Lokator mógł mieć broń.

Czym bili Bourgoyne'a? Przynieśli to ze sobą i potem zabrali? Opinia patologów mogła się sprowadzić do wykluczenia użycia narzędzi o skośnych krawędziach lub okrągłych i większych niż trzonek kija golfowego.

Rozległ się jakiś dźwięk. Z oszklonej werandy wyszła Erica Bourgoyne. Miała na sobie powiewne okrycie w różnych odcieniach szarości; tego dnia wyglądała młodziej, na trzydzieści lat.

– O co chodzi? – odezwała się.

– Chciałem tylko raz jeszcze rzucić okiem na dom – wyjaśnił Cashin. – Przykro mi z powodu pani ojczyma.

– Dziękuję. Jaki sens ma teraz rozglądanie się tutaj?

– Sprawa nie jest zamknięta.

Za Ericą pojawił się jakiś mężczyzna, z przedwcześnie posiwiałymi, kędzierzawymi włosami. Niski, opalony, w jasnej koszuli i niebieskim krawacie.

– Co się stało? – zapytał.

– To detektyw Cashin – powiedziała Erica.

Mężczyzna wyciągnął rękę do powitania.

– Adrian Fyfe.

Cashin poczuł mocny prawdziwie męski uścisk dłoni, odwzajemnił go słabo i cofnął rękę. Adrian Fyfe, adwokat i deweloper, który chciał zbudować kurort przy ujściu Stone Creek. Cashin przypomniał sobie oburzenie Cecily Addison tego ranka w kiosku z gazetami. „Ten szmatławiec nie wspomina słowem o tym, że kupno ujścia Stone Creek nie ma sensu, jeśli nie można tam dotrzeć. A jedyna droga prowadzi przez rezerwat przyrody albo przez obóz”.

– Byłby uznany za winnego, tak? – spytała Erica. – Donny Coulter.

– To nie jest pewne – odparł Cashin.

– No a zegarek?

– Mamy kogoś, kto mówi, że dwaj podejrzani próbowali mu go sprzedać. Nie wiemy, jak zdobyli ten zegarek.

– Nie wiecie? – wtrącił się Adrian Fyfe. – To przecież cholernie oczywiste.

– W takich przypadkach nie ma rzeczy oczywistych – odparł Cashin.

– Tak czy inaczej, sprawa skończona – stwierdził Fyfe. – Sprawiedliwości stało się zadość.

– To takie bezsensowne – powiedziała Erica apatycznym tonem. – Zabić starca dla głupiego zegarka i kilku dolarów. Jakim człowiekiem trzeba być, żeby to zrobić?

Cashin nie próbował odpowiedzieć.

– Chcielibyśmy uzyskać dostęp do tych budynków, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Chwila milczenia.

– Nie, nie mam – odpowiedziała. – Nie będę tu już przyjeżdżała. Posiadłość zostanie sprzedana. W kuchni jest wielki pęk kluczy. Dziesiątki kluczy. Po wszystkim niech pan przekaże je pani Addison.

Poszła za nim dokoła domu. Uścisnęli sobie ręce.

Ochroniarz stał oparty o saaba, paląc papierosa.

– O, ten cwaniaczek, co lubi sztuczki ze zwirem – rzucił w stronę Cashina. – Któregoś dnia urwę ci łeb i wsadzę go w dupę.

– Grozisz funkcjonariuszowi policji? – zapytał Cashin. – Ciebie prawo nie dotyczy, tak?

Mężczyzna z pogardą odwrócił głowę i splunął na zwir. Cashin się obejrzał. Erica nawet nie drgnęła.

– Tak przy okazji... Kto to odziedziczy? – spytał.

Spojrzała na niego, zamruwała.

– Ja. To, co pozostanie po realizacji zapisów.

Rebb kładł cegły, odbudowywał zwalony północno-wschodni róg domu. Cashin obserwował go przez chwilę – przyglądał się, jak Rebb odcina szpachlą zaprawę i smaruje cegłę, kładzie ją niedbałym gestem na właściwym miejscu, stuka rączką kielni, usuwa nadmiar zaprawy.

– Nadzorujesz? – spytał, nie odrywając oczu od roboty. – Jesteś szefem.

Cashin zamierzał to powiedzieć, ale jakoś nie mógł.

– Co mam robić?

– Mieszać. Trzy porcje cementu, dziewięć piasku, ostrożnie dolać wody.

Cashin starannie wymierzył ilości składników. Potem zepsuł mieszaninę, lejąc do niej zbyt dużo wody.

– Jeszcze raz – powiedział Rebb. – Teraz pół łopaty. – Podszedł, nalał wody, wziął szpadel, wymieszał zaprawę. – To jest pudding – oznajmił.

Psy wróciły z wyprawy łowieckiej, żywołowo powitały Cashina, po czym odbiegły wezwane do nagłego wypadku – być może chodziło o ratowanie królika, biedne stworzenie ugrzęzło w gęstych zaroślach.

Cashin przyniósł cegły, spojrzał na Rebbę, sporządził mieszaninę – tym razem bardziej udaną. Praca przeniosła się w przeciwległy róg, sznurek był naciągnięty jak struna.

– Układałeś kiedyś cegły? – zapytał Rebb.

– Nie.

– Spróbuj. Muszę się odlać.

Cashin położył trzy cegły. Trwało to długo, a efekt był tragiczny. Wrócił Rebb, w milczeniu rozwalił dzieło Cashina i oczyścił cegły.

– Patrz – polecił.

Cashin patrzył. Rebb w jednej chwili ułożył cegły z powrotem.

– Musisz utrzymywać tę samą szerokość muru – wyjaśnił. – Inaczej to wygląda źle.

– Chcesz coś zjeść? – zapytał Cashin. – Potem będę pracował nad równą szerokością.

Była trzecia po południu. Cashin kupił pierogi w dość porządnej piekarni w Cromarty. Wołowina i cebula. Zjedli, siedząc na zawietrznej stosu cegieł, w promieniach bladego, jakby rozcieńczonego słońca.

– Niezłe – ocenił Rebb. – Nawet jest trochę mięsa. – Przeżuł kawałek. – Mamy kłopot z drzwiami i oknami. Nie wiadomo, gdzie były.

– Wiadomo. Zdobyłem fotografie. Zapomniałem ci powiedzieć.

Gdy Cashin wrócił z fotografiami, Rebb skręcił papierosa. Spojrzał na zdjęcia.

– Jezu, tu są naprawdę znaczne braki. To poważne przedsięwzięcie.

– Tak – przyznał Cashin. – To nie jest w ogóle żadne przedsięwzięcie. Powinienem cię uprzedzić.

Pamiętał moment utrwalony na starych fotografiach. Na jednej Thomas Cashin i sześciu budowniczych stali przed domem. Thomas wyglądał jak Michael, tyle że w staroświeckim garniturze.

Usiedli w milczeniu. W dolinie jeden z psów szczeknął przenikliwie, po łowiecku, potem następny. W powietrze wzniosł się ibis, po chwili drugi, trzepotały skrzydłami jak prehistoryczne stworzenia. Rebb przeszedł za stos cegieł i podniósł fotografię. Spojrzał na świeżo naprawiony przez siebie fragment budynku, popatrzył na zdjęcie. Wrócił i usiadł obok Cashina.

– To trochę tak, jakbyś myślał o zrobieniu kawałka płotu tylko do następnego drzewa, a potem by wyszło, że trzeba stawiać przez trzydzieści kilometrów.

– Nie, to w ogóle beznadziejny pomysł – odparł Cashin.

Poczuł ulgę, że szaleństwo się skończyło. Jakby gorączka osiągnęła apogeum i teraz opadała, a on, choć jeszcze cały spocony, odzyskał już przytomność.

– Pieprzyć ten dom, niech zostanie, jak jest.

Rebb skrobał po ziemi obcasem.

– No, ja nie wiem. Mógłbyś robić gorsze rzeczy. Przynajmniej coś budujesz.

– To nie ma sensu.

– A co ma?

– Głupi pomysł. Przyznaję. Dajmy temu spokój.

– Jasne, ale ściągnąłeś tu tyle rzeczy. Zmarnuje się, a szkoda.

– Ja sam oceniam sytuację.

– Może za szybko oceniasz.

Cashina ogarnął nagły gniew.

– Mam trochę więcej doświadczenia, gdy chodzi o ocenę sytuacji, niż przeciętny włóczęga – chlapanął i natychmiast pożałował swojego tonu policjanta.

– Jestem wędrownym robotnikiem – sprostował Rebb, nie patrząc w jego stronę. – Ludzie płacą mi za to, że wykonuję za nich prace, których sami nie chcą robić. Tak jak tobie stan płaci za to, że pilnujesz własności bogaczy. Bogaci dzwonią z wezwaniem, ty przyjeżdżasz na sygnale. Biedni dzwonią, poczekajcie, mówisz, tu jest lista oczekujących, kiedyś do was zajrzemy.

– Bzdura – obruszył się Cashin. – Nie masz, cholera, bladego pojęcia o tym, o czym gadasz...

– Ci martwi chłopcy... – zaczął Rebb. – Mówisz o takiej ocenie sytuacji?

Cashin czuł, że jego gniew gaśnie; w ustach pojawił się metaliczny posmak.

– Różnica między nami jest taka – ciągnął Rebb – że ja nie muszę zostać w pracy. Mogę sobie zwyczajnie odejść.

Na chwilę zapadło milczenie. Nadbiegły psy, zaczęły lizać mężczyzn. Badając zarośla w dolinie, usłyszały ostre tony i przybyły co sił w łapach, by uspokoić przyjaciół.

– W każdym razie jest tak, że nie mam prawa wypowiadać wobec ciebie własnej opinii. Bo jestem włóczęgą.

Cashin niezupełnie teraz wiedział, co powiedzieć. Swoboda, jaka ostatnio powstała w ich wzajemnych relacjach, nagle zniknęła; a że dotychczas nigdy się nie kłócili, nie miał pojęcia, jakie będą konsekwencje tego pierwszego sporu.

– Pora udoju – oznajmił Rebb.

Wstał i ruszył przed siebie, zostawił łopatę wbłą w kopiec piasku, a narzędzia murarskie w wiadrze; ich rączki wystawały ze srebrzystej wody.

Psy poszły za nim po zboczach pagórka. Na tle suchej trawy wyglądały na jeszcze bardziej czarne. Truchtały radośnie przez jakiś czas. Potem przystanęły, odwróciły się, utkwili ciemne oczy w Cashinie siedzącym na ceglach.

Rebb maszerował dalej z rękami w kieszeniach, ze spuszczoną głową, pochylonymi ramionami.

Psy były rozdarte wewnątrz.

Cashin chciał im powiedzieć: idźcie z Rebbem, zdradzieckie stworzenia, ocaliłem was, przyjąłem pod swój dach; żyłybyście na betonowym podwórzu za domem, unurzane we własnych odchodach, nie odróżniałybyście królika od kurczaka z rożna. Ale ja byłem dla was zawsze tylko źródłem utrzymania i miękkim łóżkiem, na którym można rozłożyć łapy. Więc idźcie sobie. Spieprzajcie.

Psy wróciły do niego, przybiegły wspaniałymi, pełnymi wdzięku susami, ich uszy powiewały gwałtownie. Skoczyły, postawiły mu na kolanach łapy i zaczęły z nim swoją rozmowę.

– Dave! – krzyknął Cashin.

Żadnej reakcji.

– Dave!

Rebb odwrócił głowę, ale się nie zatrzymał.

– Okej, odbudujemy ten pieprzony dom!

Rebb szedł dalej, ale podniósł prawe ramię, a potem kciuk.

Telefon zadzwonił, kiedy Cashin robił sobie grzanekę.

– Joe, dajmy już temu spokój – powiedział Villani. – Sprawa jest zakończona.

– Jak to zakończona? – odparował Cashin. – Dlatego że Donny ze sobą skończył? To nie jest przyznanie się do winy, ale oskarżenie tych pieprzonych lokalnych glin.

– Oglądałeś Bobby’ego Walshe’a wczoraj wieczorem?

Cashin usiadł przy stole.

– Nie.

– Utrzymuj kontakt ze światem, synu. Jak widać, ukrzyżowaliśmy trójkę niewinnych czarnych dzieci. Każdy z nich jak Chrystus, żadnego złoczyńcy, wszyscy są czyści.

– Czy mogę zauważyć...

– I druga sprawa – przerwał mu Villani. – Ktoś rozmawiał z kimś, kto rozmawiał z zastępcą komisarza, który rozmawiał bezpośrednio ze mną. Chodzi o twoją wczorajszą wizytę w domu Bourgoyne’a.

– Tak?

– Pytano mnie, czemu wciąż jeszcze kręcimy się wokół Wzgórz.

– Po prostu wykonuję swoją robotę. Skarga wpłynęła od Eriki, zgadza się?

– Miejsce zostało dokładnie sprawdzone. Co ty, do diabła, tam robiłeś?

– Troszeczkę niuchałem. Pamiętasz Singa?

– Już za późno na niuchanie. Odpuść sobie, dobra?

– Wcale nie ma pewności, że zrobili to chłopcy – odparł Cashin.

Właściwie nie zamierzał tego powiedzieć.

Villani gwizdnął żałośnie.

– No cóż, Joe, mam mnóstwo spraw na głowie. Codziennie, od rana do wieczora. Co ty na to, żebyśmy porozmawiali później o twoich przenikliwych spostrzeżeniach? Zadzwoń do ciebie. Gdy tylko będę miał wolną chwilę. Okej?

– Jasne.

– Joe?

– Słucham.

– Jesteś gliniarzem, nie zapominaj o tym. Nie wpadaj w obsesję. Robisz wszystko, co w twojej mocy, a potem przechodzisz do następnej sprawy.

Cashin niemal słyszał głos Singa.

– Nikt w tej sprawie nie zrobił wszystkiego, co można było zrobić – powiedział. – Nikt, cholera, nie zrobił niczego.

– Wypocznij sobie – doradził Villani. – Mówiłem ci, że masz przedłużony urlop? Zastępca komisarza chce, żebyś wziął pełnych pięć tygodni, które ci się należą. Martwi się o twoje zdrowie i samopoczucie. On taki jest. Troskliwy. Zadzwoń jeszcze do ciebie.

„Nie wpadaj w obsesję”. Słowa specjalnie dobrane, żeby mu coś przypomnieć, ostrzec go, zranić.

Cashin czuł wzbierające mdłości i ból w ramionach, który mógł przejść przez szyję do głowy. W najgorszym okresie te objawy sygnalizowały rychłe pojawienie się zastygłych obrazów, upiornych negatywów, które pozostawały na siatkówce, kiedy przesuwiał wzrok z jednego przedmiotu na drugi. Wydawało mu się wtedy oczywiste, że popada w obłąd.

Wziął trzy tabletki, usiadł w fotelu, odchylił głowę, przymknął oczy, skupił się wyłącznie na oddychaniu. Czekał. Ból nie osiągnął takiego natężenia, jak kiedyś, uczucie mdłości minęło. Ale dopiero po godzinie Cashin odważył się wstać. Umył twarz i ręce, wyczyścił zęby, opłukał gardło i pojechał pustymi drogami do Port Monro. Krowy nie zwracały na niego uwagi, gdy je mijał.

Zatrzymał samochód przed pocztą. Cztery listy w skrzynce, żadnej prywatnej korespondencji. Nikt do niego nie pisał. Kto miałby to robić? Nie było nikogo takiego na całym świecie. Skręcił za rogiem w stronę komisariatu.

Przy biurku w dyżurce siedziała Kendall.

– Nie mogę tego znieść, nie mogę – powiedziała. – Szeffie.

– Utrzymujesz całkowity spokój?

– Tak, sir. Rozgłaszam wśród tutejszych mieszkańców, że w każdej chwili możesz wrócić. Niech się mają na baczności.

Cashin podszedł do swojego biurka, przeczytał rejestr, urzędowe zawiadomienia,

usiadł i patrzył przez okno na tylne podwórze.

– Skoro tu jesteś, mogłabym załatwić kilka prywatnych spraw, szefie? – zapytała Kendall.

– Proszę bardzo – zgodził się Cashin.

Ledwo Kendall wyszła, w drzwiach stanął chudy jak chart młody mężczyzna. Rozejrzał się wzrokiem przestępcy, który po raz pierwszy w życiu dokonuje napadu na bank. Cashin podszedł do biurka dyżurnego.

– Słucham pana?

– Podobno powinienem z wami porozmawiać.

Opuścił niżej okrągły daszek czapki.

– Tak? Pana nazwisko?

– Witts. Gary Witts.

– W czym możemy panu pomóc?

– Mam problem ze swoją dziewczyną.

Cashin ze współczuciem skinął głową.

– Z dziewczyną.

– Tak. Nie chcę jej narobić kłopotów.

– A jaki problem?

– Chodzi o mojego pikapa.

– O dziewczynę i pańskiego pikapa?

– To nie jest tak, że chcę wnieść przeciwko niej oskarżenie.

– Przeciwko swojej dziewczynie? Nie, nie, tego by pan nie chciał.

– Co nie znaczy, że nie jestem wkurzony. Nikt nie będzie mną pomiatał.

– Co zrobiła?

– Pojechała moim ute do Queenslandu. Z kumpelą z Cromarty, obie są fryzjerkami, praktykantkami. Zna pan firmę Szałowe Włosy? One tam pracują.

– Więc wzięła pańskiego pikapa bez pozwolenia?

– No, niezupełnie. Pożyczyłem jej. Teraz ona myśli, że może nie zwracać. Poznała faceta z Raju Surfera, Carla czy Maria, jakieś imię czarnucha, on ma trzy salony, zaproponował jej pracę. Ona teraz uważa, że to jej ute.

– Dlaczego?

Gary szarpnął znowu daszek czapki i Cashin nie widział już jego oczu.

– Wzięła dla mnie pożyczkę.

Cashin zrozumiał.

– I ona płaci raty?
– Tylko na razie. Wszystko zwrócę. Teraz dostałem pracę.
– Jak długo płaci te raty?
– Jezu, nie wiem. Rok, trochę dłużej. Ze dwa lata.
– Więc czego pan chce?
– Dałby pan znać tamtejszym gliniarzom, a oni kazaliby jej wrócić. Mógłby pan ją trochę przycisnąć.

Cashin oparł ręce na stole, splótł palce i zajął pod daszek czapki Gary'ego.

– Gary, my nie robimy takich rzeczy. Ona nie popełniła żadnego przestępstwa. Pożyczyłeś pikapa. Jesteś jej winien kupę forsy. Najlepiej sam tam pojedź, zwróć dziewczynie pieniądze i odbierz samochód.

– No tak, cholera – zakipiał Gary. – Tego właśnie nie mogę zrobić.

– Więc będziesz musiał spotkać się z adwokatem. Podjąć cywilne działania przeciwko dziewczynie.

– Cywilne?

– Adwokat ci to wyjaśni. Właściwie napisze do niej list, zażąda, żeby oddała ci ute, bo pożałuje.

Gary skinął głową, podrapał się w ucho.

– Ona się bardzo boi gliniarzy. Łatwo byłoby wam ją nastraszyć, to wiem na pewno.

– My się nie zajmujemy straszaniem, Gary.

Młodzieniec ruszył do drzwi, jego opuszczone ramiona wyrażały rozczarowanie. Zawahał się, wrócił, pociągnął nosem.

– Coś jeszcze – powiedział. – Dlaczego wy nic nie robicie w sprawie tych pieprzonych Piggotów?

– A czemu mielibyśmy coś robić?

– Oni się cholernie bogacą na prochach.

– O co ci chodzi, Gary?

– No, o kumpele, z którą pojechała. Ta laska jest blisko z Piggotami. Myślę, że one podrzuciły po drodze torbę. Kto będzie sprawdzał dwie niunie, prawda?

– Wiesz o tym, tak?

Gary odwrócił wzrok.

– Nie powiem, że wiem, nie powiem, że nie wiem.

– Jak się nazywa ta przyjaciółka?

– Lukie Tingle.

– Adres i numer telefonu do ciebie, Gary.

– Nie. Nie chcę być w to zamieszany. Do zobaczenia.

– Nie bądź głupi. Znajdę cię w ciągu pięciu minut, zaparkuję przed twoim domem, wejdę na filiżankę herbaty, no i co?

– Cholera, daj mi pan święty spokój, dobra?

Podał Cashinowi adres, numer telefonu i wyszedł bez słowa. W drzwiach minął się z Kendall.

Gdy Cashin wracał do domu, usłyszał w radiu rozmowę:

„- Problem rządu polega na tym, że jeśli będzie oceniony jako miękki, gdy chodzi o prawo i porządek w Cromarty, ryzykuje utratę głosów białego elektoratu i wielu mandatów w najbliższych wyborach. A potrzebny mu każdy mandat. Więc to prawdziwy dylemat. Dla rządu federalnego, Janice, korzyści polityczne, jakie Bobby’emu Walshe’owi przyniosło Cromarty, są koszmarem. Ale to oczywiście ogromny plus dla Zjednoczonej Australii.

– A konkretnie, jak wielkie korzyści, Malcolmie?

– Wystąpienie Bobby’ego ostatniego wieczoru było niezwykle. Tyle pasji, tyle smutku. Pokazano je we wszystkich wiadomościach w całym kraju, zaprezentowano na antenie największych rozgłośni radiowych. Bobby nadał Cromarty status symbolu i to jest bardzo ważne. Fragment o trzech „ukrzyżowanych” czarnych chłopcach zabrzmiał z tak wielką siłą; mogę śmiało powiedzieć, że Bobby przemówił do wszystkich ludzi. Biblijnie. Widzowie niesamowicie reagowali. Płakali, nawet ci o poglądach ultrakonserwatywnych. Słowa Bobby’ego uderzyły w ogromnie ważną strunę, wywołały bardzo silny rezonans.

– Ale czy spowoduje to polityczne skutki na skalę ogólnokrajową, mam na myśli...

– Żyjemy w ciekawych czasach, Janice. Rząd obawia się nie tylko utraty Cromarty. Bez Cromarty może się obejść, ale teraz pojawił się prawdziwy lęk, że Zjednoczona Australia podzieli elektorat w całym kraju. Że stanie się autentyczną koalicją wszystkich niezadowolonych. I wielki strach, że Bobby Walshe pozbawi mandatu ministra skarbu. On już zardzewiał, teraz dostanie z dziewięć procent i Bobby’emu może się udać, Janice.

– Dziękuję. Malcolm Lewis, nasz polityczny komentator mówił o wielkich problemach dominujących dzisiejsze życie polityczne. Powiedziałam »życie«. Przepraszam. Mój następny gość wiele wie o życiu, niemal utracił własne w...”

Cashin wyszukał stację nadającą muzykę klasyczną. Fortepian. Przekonał się do klasycznej muzyki fortepianowej – brzęczących dźwięków wydobywanych przez szybkie palce, dramatyzmu tych dzieł, tonów, które unosiły się w powietrzu jak perfumy pożądanых kobiet. A najbardziej lubił przerwy, chwile ciszy między tym, co było, a tym, co miało

nastąpić.

Znów pracowali przy budowie. Zanim nadeszła pora udoju, ułożyli cegły wokół pierwszego otworu drzwiowego do wysokości parapetu.

– Na fotografii są kamienne progi – powiedział Rebb. – I kamienne nadproża. Szerokie, cholerne drzwi.

– Pogadam z Bernem – odparł Cashin. – Może gdzieś takie podwędził.

Rebb odszedł. Cashin pracował nad ogrodem przez godzinę, zabrał psy na krótki spacer o chłodnym zmierzchu. Tego wieczoru odczuwał jedynie ukłucia bólu co jakiś czas. Był zmęczony, ale nie cierpiał. Nakarmił psy, wziął prysznic, rozpałił ogień, otworzył piwo, wstawił wodę na makaron.

Rebb zapukał, wszedł do środka, psy trzymały się blisko niego.

– Są tu geodeci – oznajmił, na wpół ukryty w cieniu, co nadawało mu trochę groźny wygląd. – Przy ogrodzeniu. Zjawili się, jak szedłem doić.

– Kobieta ma pecha – mruknął Cashin. – Marnuje pieniądze. Jej agent to żmija, powinna go sprawdzić. Zrobiłem makaron.

– Jadłem ze starym. Facet czuje się trochę samotny, nie chce, żebym za wcześniej odchodził. Nie przyznaje się do tego, ale nie jęknąłby nawet, gdyby krokodyl mu wisiał na nodze. – Rebb przerwał. – Jeśli chodzi o dom...

– Co?

– Możemy razem remontować, dopóki nie znajdziesz sposobu, żeby ciągnąć to dalej samemu.

Cashin poczuł, jak serce mu się ścisnęło w przeczuciu utraty.

– Słuchaj... – zaczął. – Chodzi ci o to, co powiedziałem o włóczęgach? Przepraszam, chcę cię przeprosić.

– Nie – odparł Rebb. – Jestem włóczęgą, a włóczęga musi być stale w drodze. Jak rekin. Nie, raczej jak tuńczyk.

– Staremu będzie cię brakować.

Cashin wiedział, że mówi o sobie.

Rebb patrzył w dół, głaskając psie głowy.

– Tak, no wiesz, wszystko mija. Znajdzie kogoś innego. Dobranoc.

Cashin jadł, siedząc przed telewizorem. Psy leżały po przeciwnych stronach na

kanapie, rozluźnione jak gepardy. Dołożył do ognia, nalał sobie dużą whisky, znów usiadł i pogrążył się w zadumie.

Michael – pedał. Czy matka o tym wiedziała? Nie, był biseksem. Ale wiedziała. Kobiety zawsze wiedzą. Jakie to miało znaczenie, kim był? Vicentia Lewis, pielęgniarka, która mu dała płyty swojego ojca, okazała się lesbijką. Gdyby miał możliwość, mógłby się z nią ożenić, żyć nadzieją. Jaką nadzieją? Co mężczyźni mieli do zaoferowania? Umierali, wzywając swoje matki.

Mick Cashin utonął w Kotle. „Odebrał sobie życie”. Było coś okropnego w tym wyrażeniu.

Odebrać sobie życie. To najskrajniejsza manifestacja prawa własności – wybrać odejście w ciszę, sen bez żadnej nadziei na świt, śpiew ptaków, zapach morza niesionego przez wiatr.

Obaj, Mick Cashin i Michael, dokonali tego wyboru.

Miał jeszcze coś innego do przemyślenia.

Jego ojciec zawsze się śmiał. Nawet kiedy powiedział coś poważnego, gdy beształ kogoś, dodawał w końcu coś żartem i sam się przy tym zaśmiewał.

Dlaczego matka wciąż się upiera, że to był wypadek. Mówiła Michaelowi, że powie Joemu prawdę. I nie mogła tego wyznać po tylu latach. Prawdopodobnie zmieniła swój pogląd na to, co się stało. Sybil panowała nad rzeczywistością. Nie widziała potrzeby, aby tolerować jej nieprzyjemne elementy.

Ale dlaczego nikt inny mu o tym nie powiedział? Wrócił i mieszkał w domu Doogue’ów; oni wszyscy wiedzieli, nikt nie pisał nawet słowa, nigdy nie wspominali jego ojca. Widocznie dzieciom nakazano, żeby nie mówiły o Micku Cashinie. Nikt nigdy nie wymówił słowa „samobójstwo”.

W pierwszych dniach pobytu w szpitalu, kiedy utracił zdolność orientowania się w czasie, Vicentia usiadła przy nim, ujęła jego dłoń, przebiegła palcami w górę do łokcia. Miała długie palce z krótkimi paznokciami.

Samobójczy gen Cashinów. Ilu Cashinów się zabiło? Po tym jak spłodzili potomków, stworzyli następne pokolenia cierpiących na depresję.

Michael tego nie zrobił. Był martwym punktem.

Ja też nim jestem, pomyślał Cashin. Innym ślepym zaułkiem.

Nie, nieprawda. W dniu gdy zobaczył tego chłopca wychodzącego ze szkoły, wiedział, że to jego syn, ponad wszelką wątpliwość – ta sama pociągła twarz, długi nos, czarne włosy, wgłębienie w podbródku.

Jego syn nosił w sobie ten gen. Vickie powinna się o tym dowiedzieć.

Bzdura. Nie miał przecież skłonności do depresji. Czasami bywał przygnębiony, to wszystko. Ten stan minął, jak mdłości i ból, jak upiorne, zamrożone obrazy. Czuł się doskonale przed Raiem Sarrisem. Teraz wracał do zdrowia po wypadku, po napadzie, jaki przeżył. Zbrodniczym ataku dokonanym na niego przez pieprzonego szaleńca.

Rai Sarris. Potem, w szpitalu, Cashin zaczął zdawać sobie sprawę, do jakiego stopnia ten człowiek stał się jego obsesją. Sarris nie był zwyczajnym zabójcą. Spalił dwóch mężczyzn w garażu w pobliżu lotniska. Dwaj Chorwaci, narkotykowe muły. Torturował ich, potem spalił żywcem. Dopiero po pięciu latach udało się zebrać wystarczające dowody do postawienia go w stan oskarżenia.

I wtedy Rai Sarris zniknął.

Gdzie teraz jest? Co robi? Nalewa sobie drinka w jakiejś posiadłości w Queenslandzie, położonej na terenach należących do handlarzy narkotykami i malwersantów, właścicieli burdeli i deweloperów oszustów?

Czy Rai był przygotowany na śmierć tego dnia, gdy poprowadził na nich swój samochód? Był szalony. Myśl o własnej śmierci prawdopodobnie nigdy nie przyszła mu do głowy.

Cashin pamiętał, jak siedzieli z Shane'em Diabem w czerwonej zdezelowanej sigmie używanej do obserwacji, wpatrzeni w ziarnisty obraz monitora, na którym widniała dwumetrowa brama na ulicy przed nimi.

Kiedy zaczęła się otwierać, nie poczuł żadnego niepokoju.

Przypomniał sobie moment, gdy zobaczył rury na przednim zderzaku, przód wielkiego samochodu z napędem na cztery koła.

Nie widział kombi jadącego ulicą, z tyłu siedziały dzieci przypięte pasami.

Kierowca podobnego do czołgu samochodu nie zwracał uwagi na kombi z dziećmi w środku.

Spoglądając w monitor, Cashin zobaczył, że samochód wypada za bramę i skręca w prawo.

W błysku świadomości już wiedział, co się stanie. To było wtedy, kiedy zobaczył twarz Sarrisa. Znał Raia Sarrisa. Spędził z nim siedem godzin w małym pokoju.

Ale zanim ten moment nastąpił, nissana patrola dzieliły od nich już tylko metry.

Fachowcy z medycyny sądowej ocenili, że nissan jechał z prędkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, gdy uderzył w czerwony samochód, wspiął się na niego do połowy, przejechał na nim przez niski mur, przez mały ogród, wjechał w

wykuszowe okno domu, do salonu z fortepianem, na którym stały fotografie w srebrnych ramkach; na ścianie za fortepianem wisiał sentymentalny obraz przedstawiający eukaliptus.

Samochody rozbiły również tę ścianę i kiedy nośna struktura została uszkodzona, dach się zwałił.

Powoli.

Kierowca kombi powiedział, że samochód z napędem na cztery koła wycofał się z ruin i odjechał. Znalaziono go później sześć kilometrów dalej na parkingu centrum handlowego.

Shane Diab zginął w zmiażdżonym małym samochodzie. Raia Sarrisa nigdy nie znaleziono. Rai zniknął.

Cashin wstał, nalał sobie następną dużą whisky, miał chęć na drinka. Muzyka, potrzebował muzyki.

Nastawił CD z Callas, usadowił się w fotelu. Głos primadonny uniósł się pod wysoki sufit i wrócił, budząc psy. Podniosły głowy, opuściły je z powrotem i znowu zasnęły. Znały muzykę operową, możliwe że nawet ją lubiły.

Cashin przymknął powieki, zaczął myśleć o czymś innym.

Ile było takich osób, jak Dave Rebb? Ludzi, którzy wybrali egzystencję duchów. Jednego dnia rzetelni obywatele, następnego dnia stawali się niewidzialni, krążyli po kraju, przekraczali granice stanów. Numery podatnika, karty usług medycznych, prawa jazdy, konta bankowe – nie były im potrzebne. Duchy pracowały za gotówkę. Przechowywały pieniądze w kieszeniach albo na kontach innych osób.

Czy Dave miał jakąś ziemską tożsamość? Bardziej niż ducha przypominał przybysza z kosmosu, który wysiadł ze statku kosmicznego na jakiejś farmie hodowlanej, gdzie wydawało się, że bliżej do gwiazd niż do najbliższego miasta.

Ten niedoskonały świat. „Nie wpadaj w obsesję, idź dalej”.

Rozsądna rada. Villani był jego przyjacielem. Najlepszym spośród wąskiego grona. Ilu ludzi należało do tego grona? Jeśli pominąć krewnych; ich nie zalicza się do przyjaciół. Niewielu.

Cashin nigdy nie szukał przyjaciół, nigdy nie starał się podtrzymywać, kultywować przyjaźni. Kto to jest przyjaciel? Ktoś, kto mógłby ci pomóc ruszyć się z domu? Pójść z tobą do pubu, na mecz futbolowy? Woody był kimś takim, pili razem, chodzili na wyścigi, na krykieta. Pewnego dnia, przed Raiem Sarrisem, jedli w tajskiej restauracji w Elwood. Nowy obiekt pragnień Woody’ego, Sandra, specjalistka od komputerów. Kobieta z wysokimi kośćmi policzkowymi patrzyła na Woody’ego i śmiejąc się, przesuwiała swoją stopę w samej pończosze, bez buta, po nodze Cashina.

Natychmiastowa erekcja. Wtedy po raz ostatni odczuł coś takiego.

Woody odwiedził go kilka razy w szpitalu, ale później Cashin nie spotykał się z nim, nie mogli razem chodzić tam, gdzie kiedyś. Shane Diab stanął jak cień pomiędzy nimi. Ludzie uważali, że Cashin był odpowiedzialny za śmierć Shane'a.

I mieli rację.

Shane nie żył, ponieważ Cashin zabrał go ze sobą, by sprawdzić, czy nie myli go przecucie, że Sarris wróci do domu swojego partnera w handlu narkotykami. Shane sam o to prosił. Ale to nie usprawiedliwiało Cashina. Był starszym funkcjonariuszem. Nie miał prawa wciągać naiwnego chłopaka do swoich działań, które mu dyktowało obsesyjne pragnienie, by dopaść Sarrisa.

Singo nigdy go nie obwinał. Przychodził do szpitala co tydzień, kiedy życiu Cashina przestało już zagrażać niebezpieczeństwo. W czasie pierwszej wizyty przysunął blisko twarz i rzekł:

– Posłuchaj, palancie, miałeś rację. Ten sukinsyn wrócił.

Jeszcze jedna whisky. Myśl o terażniejszości, powiedział sobie Cashin. Ludzie chcieli, żeby Donny i Luke okazali się zabójcami Bourgoyne'a. Gdyby istotnie nimi byli, to by usprawiedliwiało śmierć Luke'a i Coreya. I wyjaśniałoby samobójstwo Donny'ego – popełnił je dręczony poczuciem winy.

Niewinni chłopcy napiętnowani jako zabójcy dobrego, przyzwoitego, wielkodusznego człowieka. Podwójna niesprawiedliwość. A ktokolwiek to zrobił, był teraz gdzieś daleko jak Sarris – wolny, śmiał się i szydził. Cashin przymknął oczy i zobaczył tych chłopców: gładkie twarze, jeden oddychał z trudem, miał zgniecioną klatkę piersiową, drugi dyszał ciężko, umierali w mokrą noc; znowu widział światła odbite w kałużach deszczu i krwi.

Wypił następny kieliszek, jeszcze jeden, zasnął w fotelu i obudził się pełen niepokoju, przemarznięty. Ogień przygasł, ulewny deszcz bębnił po dachu. Zegar kuchenki mikrofalowej wskazywał trzecią pięćdziesiąt siedem. Cashin wziął dwie tabletki, popił wodą, zgasił światło i w ubraniu położył się do łóżka.

Psy ułożyły się obok niego, po jednym przy każdym boku, szczęśliwe, że nie skazano ich na zesłanie, czyli własne legowiska.

Światło wróciło do przemarzniętego świata, zachodni wiatr nawiewał ciemne chmury, co jakiś czas na przemian padał deszcz lub grad wielkości pestek granatu.

Cashin nie przejmował się pogodą, czuł się okropnie, zapragnął ponieść karę za swoje czyny. Zabrał psy nad morze, w smagającym wietrze skierował się do ujścia potoku, piasek wcale nie unosił się w powietrzu, wydmy nasiąkły od fal przyływu, plaża stała się sprężysta i twarda.

Woda w Stone Creek płynęła dziś szybko i obficie, zatoczka się rozszerzyła, piaszczyste mierzeje zniknęły. Po drugiej stronie jakiś mężczyzna w starym płaszczu przeciwdeszczowym i czapce bejsbolowej łowił ryby na wędkę, zarzucając haczyk tam, gdzie prąd potoku napotykał słoną wodę. Mały brązowy piesek siedzący przy jego nogach zobaczył pudle, podbiegł nad brzeg potoku i zaczął gwałtownie ujadać. Podskakiwał na sztywnych łapach przy każdym ochrypłym szczeknięciu.

Pudle stały cicho jeden przy drugim z przednimi łapami w wodzie, wpatrzone w rozsierdzone zwierzątko. Powoli machały ogonami, wyrażając w ten sposób naukowe zainteresowanie ciekawym zjawiskiem.

Cashin pomachał mężczyźnie. Widać było tylko jego nos i podbródek wędkarza, nie więcej, ale Cashin znał go z Port Monro, ten człowiek wykonywał różne drobne prace domowe dla ludzi starszych, niedołężnych, niezaradnych, wymieniał uszczelki w kranach i bezpieczniki, łątał rynny, przetykał zapchane przewody kanalizacyjne. Jak to jest, pomyślał Cashin, że można rozpoznać ludzi z wielkiej odległości, wyczuć czyjąś obecność w tłumie, mieć pewność, że się ich nie zastanie w domu po otwarciu drzwi?

Pod wpływem nagłego impulsu skręcił w lewo i poszedł wzdłuż strumienia, omijając kępy krzewów porastających wydmy. Psom spodobała się ta trasa, pobiegły przodem i znalazły wydeptaną ścieżkę. Teren się wznosił, strumień biegł tu już kilka metrów poniżej ścieżki przejrzysty jak szkło, widać było przemykające szybko przy dnie ławice maleńkich rybek. Szli około dziesięciu minut, ścieżka odbiegła od strumienia, teraz prowadziła przez wydmy podobne do wielkich fal oceanu. Gdy znaleźli się na szczycie najwyższej z nich, wyłoniła się przybrzeżna równina. Cashin widział stąd skracający w prawo strumień, ciężarówkę na odległej autostradzie, a za nią ciemną nić – drogę wspinającą się na wzniesienie i prowadzącą do rezydencji Wzgórz.

W dole ścieżka łagodnym łukiem biegła ku kilkuhektarowej polanie wyciętej w buszu, który teraz odrastał. Prowadziła do pozbawionego dachu budynku i resztek jakichś konstrukcji. Wśród ruin sterczał zwężający się ku górze komin, niczym ceglany palec wystający z czarnej pięści.

Psy dotarły tam znacznie wcześniej niż Cashin, przystanąły z opuszczonymi ogonami i badały wzrokiem nieznanne sobie miejsce. Obejrzały się na niego, dostały sygnał,

wystartowały i pomknęły w stronę stosu cegieł i gruzu. Króliki rozproszyły się błyskawicznie. Oszołomione psy nie wiedziały, za którym pobiec.

Cashin wszedł na teren osady i zatrzymał się w siekącym deszczu. Płaski obszar po lewej stronie był kiedyś boiskiem sportowym. Przetrwały jeszcze trzy słupki bramek tonące w wysokiej trawie, farba odpadła ze szczap, drewno wyblakło. Cashin przysłuchiwał się dźwiękom, które wydawał wiatr, przelatując przez ruiny – stukanie, skrzypienie przypominające odgłos wyciągania gwoźdźcia ze skurczonego twardego drewna, różne ciche jęki.

Zbliżył się do drewnianej konstrukcji: cztery pokoje, korytarz między nimi; przez obramowanie okna zobaczył zniszczoną, splądrowaną przestrzeń, gdzie rozpalano ogień i gdzie ludzie się wypróżniali na gołej ziemi dawniej pokrytej deskami. Pięćdziesiąt metrów dalej stał komin. Cashin okrążył mury od strony autostrady. Kiedyś przy kominie mieściły się obudowane ceglami dwa piece w wielkich wnękach, między nimi znajdował się piekarnik. Żeliwne drzwi, wyłamane z zawiasów, leżały, rdzewiejąc na ceglany palenisku.

Psy biegały gorączkowo, wszechobecne zapachy królików doprowadzały je do szaleństwa. Ale króliki już uciekły i siedziały teraz schowane bezpiecznie pod zwalami porozbijanych cegieł i pordzewiałych płatów blachy falistej. Za kuchnią, po drugiej stronie obszaru wypełnionego spękany betonem, Cashin odnalazł ceglana ławę fundamentu długiego budynku szerokości dwóch pokoi. Górna warstwa cegieł była poczerniała, potknął się o zwęglony legar podłogowy.

„To już historia, po pożarze nic tam nie zostało. Towarzystwo to też już historia”.

Słowa Cecily Addison.

Cashin gwizdnął, radosny dźwięk w opustoszałym, żalonym miejscu. Psy pojawiły się natychmiast, złączone ze sobą czymś, co przeciągały zaciekle. Kazał im sięść i puścić ten przedmiot.

To był skórzany chłopięcy pasek, zeszywniały i popękany, zdolny objąć talię o obwodzie piłki futbolowej. Cashin go podniósł. Na pordzewiałej klamrze dostrzegł lilijkę i fragment słów: „B Got”.

Bądź Gotów. Klamra harcerza.

Uniósł ramię, by wyrzucić znalezisko, ale zmienił zamiar. Przeszedł przez zarośnięte boisko, okręcił mały, twarde pasek wokół słupa bramki, zapiął go i pozwolił, by ześlizgnął się w dół, w trawę.

Gdy znów znalazł się na najwyższej wydmie, spojrzął do tyłu. Wiatr poruszał słupy brankowe, trawy falowały w podmuchach. Od strony autostrady dobiegł dźwięk klaksonu

ciężarówki, brzmiała w nim nuta samotności. Cashin przywołał psy i ruszył z powrotem.

Jechali do domu pustymi drogami, obok domów zapadłych w kotlinach, dym palonych drzew z młodniaków sączył się z kominów. Epoka taniego suchego drewna z miliona starych nagich pni już się skończyła.

Cashin myślał teraz o Charlesie Bourgoynie. Jeśli wykluczyć zdumiewający szczęśliwy traf, nigdy nikt się nie dowie, kto pobił starego mężczyznę, kto spowodował jego śmierć. Ale już zawsze będzie się obciążać tym zabójstwem chłopców, ich rodziny, całe Daunt, nawet takich ludzi jak Bern i jego dzieci. Stało się ono argumentem dla wszystkich przepełnionych nienawiścią osobników.

„Zlikwidowaliście dwóch czarnuchów z Daunt. Szkoda tylko, że nie cały autobus”.

Większość klientów Derry’ego Callahana podpisałaby się pod tym zdaniem.

Nie wpadaj w obsesję, powiedział sobie Cashin. Posłuchaj Villaniego, daj już temu spokój.

Rebb czekał na niego ukryty przed wiatrem, usłyszał nadjeżdżający samochód. Ruszył ku niemu z papierosem w ustach. Cashin wysiadł, wypuścił psy. Rebb trzymał nisko ręce, do góry dłońmi. Psy przywarły do nich, nie skakały, merdały całymimi ciałami.

– Słuchaj, wybierasz się dzisiaj do miasta? – zapytał.

– Tak – odparł Cashin, zdecydował się w jednej chwili. – Jadłeś już?

– Nie, dopiero co przyszedłem od krów.

– Możemy wyjść gdzieś razem. Zaczekaj dziesięć minut. Muszę wziąć prysznic.

Zamówili jajka na bekonie w zajeździe dla kierowców ciężarówek na krańcu Cromarty.

Anorektyczna dziewczyna z wąsikami i przyschniętym pryszczem między brwiami przyniosła im dania. Jajka leżały na tekturowej tacce. Szary świński tłuszcz dzieliły wąskie różowe pasma mięsa.

Rebb zjadł trochę jajka.

– Nie są od kur hodowanych na podwórzu – stwierdził. – Jesteś przygotowany na to, żeby wypłacić mi to, co zarobiłem?

Cashin przymknął oczy. Nie dał dotąd Rebbowi ani centa za pracę przy domu i ogrodzeniu. Jakoś w ogóle nie przyszło mu to do głowy.

– Jezu, przepraszam – powiedział. – Po prostu zapomniałem.

Rebb, nie przerywając jedzenia, wytarł usta papierową serwetką. Sięgnął do kieszeni

płaszczka i wyjął złożoną kartkę, wyrwaną z notesu.

– Mniej więcej dwadzieścia sześć godzin. Dziesięć za godzinę będzie w porządku?

– Czy to nie jest minimalna stawka?

– Bez podatku, miałem u ciebie utrzymanie.

– Dobra, powiedzmy: piętnaście.

– Jeżeli tak sobie życzysz.

– Potrzebuję numer twojej karty podatkowej.

Rebb się uśmiechnął.

– Zrób mi przysługę, posłuż się numerem Berna. Na pewno go znasz na pamięć, no nie? To twój kuzyn. Załatwisz to sam? I zapłacisz podatek.

Całkowita kompromitacja, pomyślał Cashin. Będę winny tak samo, jak każda kobieta z dwójką dzieci przyłapana na kradzieży w sklepie.

Zaparkował w pobliżu swojego banku. Mógł zostawić samochód za komisariatem, ale wewnętrzny głos podszeptął mu, że to zły pomysł. Wziął pieniądze z bankomatu i zapłacił Rebbowi.

– Będę za pół godziny – powiedział. – Tyle wystarczy?

– Aż za dużo.

Cashin pomaszerował mokrymi ulicami na komisariat. Hopgood siedział przy biurku i wpisywał coś do kartoteki. Starannie ułożone w stos teczki czekały na swoją kolej po lewej stronie blatu.

– Skomputeryzowane biuro – powiedział Cashin od drzwi.

Hopgood podniósł wzrok, miał oczy pozbawione wyrazu.

– Czym mogę ci służyć?

– Chciałbym się dowiedzieć, kto kazał świecić reflektorami w okna domu Donny'ego.

– To sobie wymyśliła ta suka Coulter. Kłamie jak pies, wszyscy oni kłamią. Normalka.

Były zwyczajne rutynowe patrole.

– Myślałem, że Daunt jest rezerwatem. Dlaczego doszło prawie do takich akcji, jak w Black Hawk Down?

Na policzkach Hopgooda pojawiły się plamy.

– Tak, no cóż, czas pokazać tym świniom, kto tu rządzi. Poza tym, po coś tu przylazł? Nie jestem twoim podwładnym i nie muszę ci składać raportów. Lepiej się martw o swój zasrany komisariat.

Cashin poczuł, że krew napływa mu do głowy wraz z gwałtowną chęcią, żeby trzasnąć Hopgooda w twarz, rozbić mu nos i wargi, zobaczyć ten sam wzrok, jakim na niego spozjrzał

w tamten wieczór Deny Callahan.

– Chciałbym rzucić okiem na rzeczy Bourgoyne’a.

– Dlaczego? To skończona sprawa.

– Nie sędzę.

Hopgood postukał się tłustym palcem po nosie.

– Zegarek. Chcesz go pomacać?

– Tylko rzucić na niego okiem.

– Jestem teraz zajęty. Załatw to z komendantem komisariatu, kiedy wróci z urlopu.

Ich oczy się spotkały.

– Tak zrobię – oznajmił Cashin. – Jest też coś, o czym jeszcze nie mówiliśmy.

– Tak?

– O falconie. Wiedziałeś, że to niesprawny rzech, tak?

– Myślałem, że umiesz prowadzić, kolego. Nie sądziłem, że jesteś pieprzonym cykorem.

– A telefony? Przecież je słyszałeś.

– Naprawdę? Na taśmie niczego nie ma. Wy obaj, czarnuchy, wymyślcie teraz jakieś historie? Jak ta pieprzona matka Donny’ego? Jesteś z nią spokrewniony? Wszyscy tam są, cholera, spokrewnieni. Wiesz dlaczego? Bo pieprzą się w jednym łóżku po ciemku, ponieważ cała forsa zamiast na opłatę prądu poszła na grog.

Cashinowi pociemniało w oczach. Teraz pragnął go zabić.

– I jeszcze jedno, pieprzony mądralo – warknął Hopgood. – Myślisz, że możesz żyć tutaj z jakimś włóczęgą i nikt nie będzie o tym wiedział? Że możesz tłuc niewinnych obywateli, walić ich tak, że się przewracają? To cię podnieca? Lubisz takie rzeczy? Tak?

Cashin odwrócił się i wyszedł. W drzwiach stał mundurowy policjant. Mężczyzna szybko odsunął się na bok.

Cashin poszedł w dół do esplanady i stanął przy murze, słony wiatr wiał mu w twarz. Grzywiaste fale szumiały w zatoce, zbliżająca się ku brzegowi łódź rybacka na przemian wspinała się na szare grzbiety i opadała w doliny pomiędzy nimi. Cashin oddychał głęboko, to był jego wypróbowany sposób, by zapanować nad nerwami, uspokoić szybko bijące serce.

Po dziesięciu minutach ruszył z powrotem; minął tylko grupę chłopców, którzy schodzili ze wzgórza, zaciekle walcząc o piłkę. W połowie drogi skręcił w prawo, poszedł tą

samą trasą, którą niedawno szli z sądu z Helen Castelman, i wspinał się po schodach do jej biura. Mocno umalowana nastoletnia recepcjonistka przyglądała się swoim paznokciom.

Zapytał o Helen. Dziewczyna zapowiedziała go przez telefon.

– Prosto korytarzem – poinformowała z szerokim uśmiechem, obnażając zębia. – Na samym końcu.

Drzwi były otwarte, biurko Helen stało po prawej stronie pokoju. Czekająca na niego, podniosła wzrok, bez uśmiechu. Cashin stanął w drzwiach.

– Dwie sprawy – zaczął. – Najpierw ważniejsza.

– Tak?

– Donny – powiedział. – Zgłosiłem sprawę nękania. Policja się wypiera. Postaram się, żeby to zostało wyjaśnione.

– Donny nie żyje – odparła. – Był niezbyt bystry... i bardzo wystraszony.

– Nie chcieliśmy tego. Zależało nam tylko, żeby stanął przed sądem.

– My? To znaczy ty i pan Hopgood? Próbowaliście znaleźć kozła ofiarnego. Nie macie żadnych dowodów.

– Zegarek.

– To, że się było z kimś, kto próbował sprzedać zegarek, nie jest żadnym dowodem; o niczym nie świadczy. Nawet to, że się miało zegarek, nic nie znaczy.

– Druga sprawa to ogrodzenie – ciągnął Cashin.

– Zabrałeś więcej niż metr mojego terenu. Możesz przeprowadzić własne pomiary, jeśli nie chcesz uznać moich.

– Nie to cię martwi. Myślałaś, że twoja działka sięga do potoku.

– To zupełnie inna kwestia. Chcę jednego, detektywie Cashin, żebyś rozebrał ten płot, który w takim pośpiechu...

– Sprzedam ci ten pas ziemi do potoku.

Jeszcze przed chwilą wcale nie zamierzał powiedzieć niczego takiego.

Helen odchyliła głowę.

– A więc o to chodzi? Jesteś znajomym tego agenta?

Cashin poczuł, że się czerwieni.

– Oferta wycofana – powiedział. – Do widzenia!

Był już w drzwiach, kiedy usłyszał:

– Joe, zaczekaj. Proszę.

Odwrócił się. Zdając sobie sprawę, że policzki mu płoną, nie chciał napotkać jej wzroku.

Helen uniosła rękę.

– Przepraszam. Za to, co przed chwilą powiedziałam. I za mój wybuch gniewu w tamten wieczór... Nie zachowałam się, jak przystało na adwokata.

Pogarda, potem kapitulacja. Cashin nie wiedział, jak zareagować.

– Przeprosiny przyjęte? – zapytała.

– Tak. W porządku.

– To dobrze. Siadaj. Zaczniemy od nowa, przecież znamy się od lat...

Cashin usiadł.

– Chcę cię zapytać o coś w sprawie Donny'ego.

– Słucham?

– Niepokoi mnie pewna sprawa, która ujawniła się dopiero na wokandzie.

– Tak?

– Pościg, blokada drogowa, cokolwiek to było, odbyło się z powodu zegarka, który ktoś próbował sprzedać w Sydney, zgadza się?

Cashin już zamierzał potwierdzić, kiedy przyszedł mu na myśl Bobby Walshe. Chodziło o politykę; trzech ukrzyżowani czarni chłopcy. Bobby nie zamierzał pozwolić, by ta sprawa ucichła. A Helen chciała wykorzystać dawnego szkolnego kolegę.

– To działka koronera – powiedział. – Co u Bobby'ego Walshe'a?

Helen Castelman przygryzła wargę, spojrzała w bok, Cashin zachwycił się jej profilem.

– Nie chodzi o politykę, Joe. Tylko o chłopców, ich rodziny. O całe Daunt. O sprawiedliwość.

Cashin milczał, nie ufał samemu sobie.

– Czy policjanci myślą o takich rzeczach, jak sprawiedliwość i prawda, Joe? Czy liczy się tylko wygrywanie?

– Gliniarze myślą bardzo podobnie jak adwokaci – odparł Cashin. – Tyle tylko, że się nie bogacą i ludzie próbują ich zabijać. Co takiego cię zaniepokoiło?

– Matka Donny'ego mówi, że siostra Coreya Pascoe'a powiedziała swojej matce, że Corey miał jakiś bardzo drogi zegarek.

– Kiedy to było?

– Rok temu.

– No cóż, kto wie, co miał Corey? – Cashin usłyszał szorstki ton we własnym głosie. – Jakie zegarki i jakie jeszcze inne rzeczy.

– Zrobisz coś w tej sprawie?

– Ona nie należy już do mnie.

Nic nie odpowiedziała; patrzyła na Cashina nieruchomym wzrokiem. Chciał odwrócić oczy, ale nie mógł.

– A więc ciebie to nie interesuje?

Zamierzał powtórzyć to, co powiedział przed chwilą, ale nagle przyszedł mu na myśl Hopgood.

– Dobra, jeśli chcesz, porozmawiam z tą dziewczyną.

– Mogłabym ją tu ściągnąć.

– Nie, tutaj nie.

To nie był dobry pomysł.

– Ona się boi policjantów. Ciekawe, dlaczego.

W jego klasie, w podstawówce był jakiś Pascoe.

– Zapytaj ich, czy znają Berna Doogue’a. Powiedz, że ten gliniarz to kuzyn Berna.

Cashin kupił w kiosku „Cromarty Herald”. Zajrzał do gazety dopiero przy światłach, czekając, aż będzie mógł przejść na drugą stronę ulicy.

„Zgoda na kurort przy ujściu. Samorząd hrabstwa aprobuje projekt o wartości 350000000 dolarów”.

Czytał, idąc. Gładki i opalony Adrian Fyfe miał podjąć budowę swojego kurortu. Uznano, że realizacja tego przedsięwzięcia nie stanowi zagrożenia dla środowiska naturalnego. Nie wspomniano słowem o uzyskaniu dostępu do tego terenu, o wykupieniu obozu należącego do majątku Bourgoyne’a.

Cashin zobaczył ich, gdy minął stary sklep z wełną – dwóch wielkich mężczyzn i kobietę przy końcu mola. Zaparkował samochód, wysiadł, włożył ręce do kieszeni i ruszył w ich stronę pod wiatr, który niósł zapach soli i ryb z lekką domieszką woni oleju napędowego.

Deski mola były stare, pełne głębokich bruzd, luki pomiędzy nimi na tyle szerokie, że można było stracić w morzu rybacki nóż i zobaczyć jeszcze jego błysk, gdy wpadał do wody. Tylko trzy inne osoby nie ulękły się pogody: mężczyzna i mały chłopiec, którzy siedzieli blisko siebie i łowili ryby na linki z haczykami, i stary facet ubrany grubo na cebule, trzymający wędkę nad barierką. Miał czapkę nasuniętą aż po brwi, czerwony nos wystawał z szarej szczeciny zarostu.

Dwaj potężni mężczyźni patrzyli na Cashina, gdy się zbliżał. Kobieta stojąca między

nimi miała spuszczone wzrok. Cashin podszedł bliżej. Kobieta okazała się wysoką siedemnastolatką, z zadartym nosem i brzydką cerą.

– Joe Cashin – powiedział na powitanie.

Nie wyciągnął ręki do uścisku.

– Chris Pascoe – przedstawił się wyższy z mężczyzn. Miał złamany nos. – To Susie.

Nie pamiętam cię ze szkoły.

– No cóż... A pamiętasz Berna Doogue'a? Chodziłem razem z nim.

– Twardy mały gnój ten Bern. Jak wszyscy Doogue'owie. Spotykam go czasami, teraz nie jest już taki mały, nie poznaje mnie. Udaje białasa.

Drugi mężczyzna patrzył gdzieś daleko z uniesionym podbródkiem. Miał dredy odgarnięte do tyłu, przyciętą brodę i złoty kolczyk w uchu.

– Podobno jest coś, o czym powinienem wiedzieć – zaczął Cashin.

– Powiedz mu, Susie – odezwał się Pascoe do dziewczyny.

Zamrugła szybko, nie patrząc na Cashina.

– Corey miał zegarek – wymamrotała. – Zanim pojechał do Sydney.

– Jaki zegarek?

– Na skórzanym pasku, z bajerami na małym cyferblacie. – Zrobiła kółeczka na przegubie. – Drogi.

– Mówił, skąd go ma?

– Nie wiedział, że ja widziałam zegarek. Po prostu szukałam swoich płyt, ciągle mi je podwędzał.

– Czemu o to nie spytałaś brata?

Spojrzała na Cashina wielkimi brązowymi oczami, unosząc brwi.

– Miałby się dowiedzieć, że szperałam w jego pokoju? Kurde, nie jestem taka odważna.

– Nie wyrażaj się – skarcił ją ojciec.

– Gdybym ci pokazał zdjęcie, rozpoznałabyś ten zegarek? – zapytał Cashin.

Wzruszyła ramionami, ledwo zauważalnie pod grubym anorakiem.

– Nie wiem.

– Dobrze mu się przyjrzałaś?

– Tak.

Cashin przypomniał sobie blady pasek na przegubie Bourgoyne'a.

– Więc dlaczego nie masz pewności, czy go rozpoznasz?

– No nie wiem. Chybabym rozpoznała.

– Zauważyłaś, jaka to była marka?

– No.

Cashin spojrzał badawczo na mężczyznę. Ten z dreadami skręcał papierosa.

– Więc jaka?

– Bretling. Jakoś tak.

– Możesz przeliterować?

– A po co? – wtrącił się Chris Pascoe. – Widziała zegarek.

– Możesz przeliterować? Zawahała się.

– B-R-E-T-L-I-N-G.

Gdyby ją przygotowali, powiedziałyby to poprawnie. Chyba że ją nauczyli źle wymawiać nazwę.

– Kiedy to było? – spytał Cashin.

– Dawno temu. Chyba z rok.

– A dlaczego dopiero teraz mówisz o tym zegarku?

– Mama mi kazała, następnego dnia po tym.

– Po czym?

– Jak zastrzelił pan Coreya i Luke’a.

Cashin przełknął to.

Dziewczyna spojrzała na faceta z dreadami. Ten otworzył usta i wypuścił dym. Cashin nie mógł dostrzec wyrazu jego oczu.

– Wcześniej nie chciała, żebym o tym mówiła – dodała.

– Czemu?

– Nie wiem.

– Musimy już iść – odezwał się Chris Pascoe. – No więc teraz już wiesz, prawda?

– Prawda – przyznał Cashin. – Nie dosłyszałem, jak się nazywa twój przyjaciel.

– Stevo – odparł Pascoe.

Stevo zaciągnął się papierosem. Odrzucił niedopałek. Wiatr poniosł peta wzdłuż mola. Jakaś mewa zanurkowała i go porwała. Twarz Steva się ożywiła.

– Widzieliście? Ptaszysko chce zapalić.

– Dzięki, że poświęciliście swój czas – powiedział Cashin. – Dostanę numer, żebym mógł do was zadzwonić?

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Stevo wzruszył ramionami.

– Dam ci numer mojej komórki – powiedział Pascoe.

Wyjął z kurtki telefon i przeczytał numer wypisany na futerale.

Cashin zapisał go w notesie.

– Zadzwoń, ja albo adwokatka – oznajmił. – Dziękuję, Susie.

– Corey nie był złym chłopcem – dodał Pascoe. – Mógł grać w Australijskiej Lidze Futbolowej. Tylko, cholera, wydawało mu się, że zrobi karierę, handlując prochami. Jesteś kumplem Hopgooda i tej całej reszty?

– Nie.

– Ale będziesz trzymał z nimi, no nie? Wszyscy jesteście w to wplątani.

– Robię tylko, co do mnie należy. Nie trzymam z nikim.

Idąc wzdłuż mola, patrząc na wędkarzy i na falujące morze, Cashin czuł na sobie wzrok tamtych dwóch mężczyzn. Przy sklepie z wełną odwrócił głowę.

Mężczyźni nie ruszyli się z miejsca. Patrzyli w jego stronę oparci o balustradę. Susie spoglądała w dół na mokre, nierówne deski.

To będzie trudne. Przez telefon głos Dove'a wydawał się jeszcze bardziej ochryply. – Nie jestem wolnym agentem.

– Martwi mnie ta sprawa – odparł Cashin.

– Tak, no cóż, masz już zmartwienia, a teraz dojdą następne.

– Na przykład?

– Mówiłem ci o zamrażarce. Zbliżają się wybory. Uważaj, bo wyślą cię, żebyś był komendantem posterunku w Bringalbert North. I twój przyjaciel Villani nie zdoła ci pomóc.

– Gdzie jest Bringalbert?

– No właśnie, cholera. Nie mam zielonego pojęcia.

– Naprawdę myśleliśmy, że to zrobili chłopcy...

– No tak, dobra. Rozmawiałeś z Villanim?

– Powiedział, że mam nie przerywać urlopu.

– To chyba polecenie z góry. Lokalni politycy nie chcą, żeby seksowny biały personel hotelu w Cromarty miał powody do niezadowolenia, a rząd federalny nie zamierza dolewać więcej paliwa Bobby'emu Walshe'owi. Wystarczy to, czym już się popisał.

Był późny ranek, w piecu płonął ogień, Cashin leżał na podłodze i próbował utrzymać zgięte nogi na chwiejnym krześle kuchennym. Krople deszczu cicho bębniły po dachu i spływały po szybach wielkiego okna. Nie zamierzał dzisiaj pracować przy odbudowie zrujnowanego domu Tommy'ego Cashina.

– Jeśli nikt się tym nie zainteresuje, sprawa będzie zamknięta – powiedział. – Dochodzenie zakończy się stwierdzeniem, że nastąpił nieszczęśliwy zbieg okoliczności, nikt za nic nie ponosi winy i sprawa przejdzie do historii. Opinia publiczna uzna, że winni są chłopcy, ich rodziny, całe Daunt. Zamordowali Charlesa Bourgoyne’a. Miejscowego świętego. Na zawsze pozostaną napiętnowani.

– Straszne – odparł Dove. – Joe, masz telewizor tam, gdzie teraz jesteś?

– Czemu pytasz?

– Widziałeś Bobby’ego Walsh’a i martwych czarnych chłopców.

– Słuchaj, mam trudności z ruszeniem tyłka, ale mój mózg nadal dobrze funkcjonuje. Jeśli nie chcesz tego zrobić, powiedz to wprost.

– Ale drażliwy. O co chodzi?

– O zegarek Bourgoyne’a. Czy nikt nie zadał sobie trudu, żeby się dowiedzieć, gdzie facet go kupił? Markowe zegarki mają numery fabryczne, tak jak silniki samochodowe.

– Sprawdzę. To chyba nie będzie groziło przeniesieniem do Bumbadgery.

– Chyba do Bringalbert North?

– Wszystko jedno. Wciąż jeszcze praktykujesz to poleganie na podłodze?

– Nie.

– Szkoda. Bardzo interesujące ćwiczenie, ożywia konwersację. Zadzwoń do ciebie.

Cashin rozłączył się, utkwiał wzrok w suficie. Widział teraz poważną twarz Dove’a, sceptyczne spojrzenie zza małych okrągłych szkieł okularów. Po chwili zapadł w płytki sen, słyszał deszcz dudniący w rynnach. Te odgłosy przypominały wezbrany potok, który wylał. Kiedy jako mały chłopiec chodził nad strumień po deszczu, słyszał dźwięk pędzącego żywiołu, widział, jak woda odrzuca na boki zwieszające się nad brzegami gałęzie, zalewa porośnięte mchem wyspy, z których łowił ryby, pieni się wokół wielkich głazów. W niektórych miejscach tworzyły się małe wodospady. Pewnego razu zobaczył, jak odrywa się wielki kawał brzegu. Gruda ziemi powoli osuwała się do strumienia, odsłaniając zaskoczony dżdżownic.

Pieniądze, które Cecily Addison wypłacała w imieniu Bourgoyne’a, dokumenty wypłat – miał te papiery.

Zdjął nogi z krzesła, przetoczył się na prawy bok, wstał z trudem i podszedł do stołu. Gruba żółta teczka leżała pod warstwą starych gazet.

Zrobił sobie w kubku herbatę, przyniósł do stołu. Pierwszy wyciąg z wypłat był ze stycznia 1993 roku. Cashin przejrzał go szybko. Większość miesięcznych zestawień ograniczała się do jednej strony napisanej z pojedynczym odstępem.

Zacząć od początku i przeglądać wstecz? Spojrzał na pierwszą stronę. Sklepy, dostawcy, podatki od nieruchomości, elektryczność, woda, telefony, składki ubezpieczeniowe. Na innych były tylko daty, numery czeków i kwoty. Do tej pory nie miał czasu dokładnie wszystkiego przestudiować.

Teraz zakreślał kółkiem pewne pozycje, próbował je podzielić na grupy. Po godzinie sięgnął po telefon. Pani McKendrick oświadczyła, że Cecily Addison jest akurat zajęta.

Ucięła sobie drzemkę, pomyślał Cashin.

– Mówi policja – powiedział. – Staramy się być uprzejmi, ale jeśli będzie trzeba, przyjdziemy i obudzimy panią Addison.

– Proszę poczekać – odparła pani McKendrick. – Zobaczę, co się da zrobić.

Dopiero po dłuższej chwili w słuchawce rozległ się głos Cecily Addison.

– Słucham.

– Joe Cashin.

– Joe. – Półprzytomny głos. – Widziałam cię w telewizji, zachowałeś się niegrzecznie. To nie pomoże ci w awansie, mój chłopcze.

– Pani Addison, przy niektórych wypłatach, jakich pani dokonywała dla Bourgoyne'a, nie ma żadnych nazw. Nie wiadomo komu płacono.

Cecily zaczęła odchrząkiwać, kasłać. Cashin odsunął słuchawkę od ucha. Po chwili Cecily powiedziała:

– To są stałe wypłaty, pensje.

– Każdego miesiąca komuś są wypłacane dwa tysiące. Co to jest?

– Nie mam pojęcia. Charles podawał numer konta i robiłam przelewy.

– Potrzebne mi są numery kont i nazwy banków.

– To poufne informacje.

Cashin westchnął tak głośno, jak tylko zdołał.

– Już kiedyś o tym mówiliśmy, pani Addison. Sprawa dotyczy morderstwa. Przyjdę bez zaproszenia z nakazem, zabierzemy wszystkie pani teczki z dokumentami.

Westchnienie, tym razem po drugiej stronie linii.

– Nie potrafię od razu podać tych informacji. Pani McKendrick zadzwoni do pana.

– Proszę, żeby dotarły do mnie w ciągu dziesięciu minut.

– Och, dobrze. Poderwaliście się teraz do działania, co? Chodzi o tego trzeciego martwego chłopca i Bobby'ego Walshe'a.

– Czekam z niecierpliwością na telefon pani McKendrick. Kim był pan McKendrick?

– Straciła go na Malajach w latach pięćdziesiątych. Był tylnym strzelcem na lincolnie.

– Człowiek, który leci do przodu, chociaż patrzy do tyłu – powiedział Cashin. – Znam to uczucie.

– On akurat spadł z hotelowego balkonu. Był pijany jak wieprz, przepraszam za wyrażenie.

– Jestem wstrząśnięty.

Zanim minęło dziesięć minut, pani McKendrick przekazała mu żądane informacje, takim tonem, jakby rozmawiała z szantażystą. Teraz Cashin musiał poprosić Dove'a, by dowiedział się czegoś więcej. Dove oddzwonił w momencie, gdy Cashin wnosił do domu drewno na opał.

– Musiałem trochę ściemniać – powiedział.

– Drobne kłamstewka... kto ich nie zna? Jakie nazwisko?

Dzień już się prawie skończył, niebo płonęło za wzgórzami na zachodzie.

– A. Pollard, ulica Collet 128A, północne Melbourne. Wszystkie kwoty podjęte w miejscowych bankomatach.

– Kim jest A. Pollard?

– Arthur Pollard. Nic więcej nie wiem.

Psy ocierały się o niego, trącały go nosami. Nadeszła pora spaceru.

– Mamy tajemniczego faceta figurującego na liście płac od kilku ładnych lat – powiedział Cashin. – Należałoby poświęcić mu trochę uwagi, nie sądzisz?

– Jasne – odparł Dove. – Wokoło pełno spraw, którym należy poświęcić uwagę. A to małe śledztwo zajmie sporo czasu.

– Dołóż wszelkich starań. Policja będzie z ciebie dumna.

Trzy powolne stuknięcia końcami palców.

– Muszę ci to powiedzieć. Nie nadaję się do wydziału zabójstw. To był błąd. Śmierć starego bogatego fiuta wcale mnie nie wzrusza. Nie obchodzi mnie, że zabójca pozostaje na wolności. Ani nawet to, czy winą obarczono niewinnych, teraz już martwych ludzi.

Cashin masował kolejno głowy psów.

– A co z zegarkiem Bourgoyne'a? – przypomniał.

– Mógłbym cię grzecznie poprosić, żebyś się odpieprzył?

Należało już wyjść z psami. Cashin włożył krótki ciemnobrazowy płaszcz pomarszczony jak skóra mieszkańca torfowiska. Któregoś dnia, rok po tym jak zamieszkał z Doogue'ami, ojciec Berna ofiarował mu go przed polowaniem.

– Należał do twojego ojca. Trzymałem dla ciebie. Trochę za duży, Mick był wyrośniętym chłopcem.

Cashin i psy w strugach deszczu schodzili zboczem wzgórza, kryjąc się przed najsilniejszym wiatrem. Skończyła się długa susza, strumień napełniał się wodą. Psy patrzyły na to ze zdumieniem, głęboko urażone zmianą. Badały podłoże wrażliwymi łapami.

Cashin schował ręce w wielkich plisowanych kieszeniach. Czy on miał ten płaszcz na sobie tamtego dnia? A może to była noc? Czy go zdjął i położył na kamiennym stopniu, zanim skoczył do Kotła?

Czy to był ten stopień, na którym siedziałem z Helen?

Cashin zmarzł, gwizdnął na psy. Natychmiast odwróciły głowy.

Deszcz służył Cromarty. W starym mieście zmienił brukowane ścieki w srebrne strumienie, przyciemnił cegły, kamienie i dachówki, nadał głęboki połysk liściom wiecznie zielonych drzew.

Cashin zaparkował samochód przed spółdzielnią; wytarł boczne okno, by spojrzeć na ulicę: zmoknięty gruby mężczyzna pchał wózek z supermarketu cztery przecznice od sklepu, dwaj chłopcy na deskorolkach, mijając szkołę, gestami wyrażali swój brak szacunku dla tej instytucji, dwie kobiety w bezkształtnych ubraniach szły obok siebie, kłóciły się, gwałtownie kręcąc głowami. Nie rozumiem Cromarty, pomyślał Cashin. Nie wiedział, kto tu pociąga za sznurki.

Singo próbował mu wyjaśnić, na czym to polega.

Władza, to jest moc zadawania bólu, synu. I zdolność powstrzymywania każdego, kto mógłby zranić ciebie. Mają to faceci z milionami i ci, którzy wszystko olewają. Goście z trzema doktoratami i tacy, którzy nie umieją przeczytać nawet menu w McDonalddie.

Bourgoyne'owie mogli mieć władzę, kiedy połowa miasta była zatrudniona w ich fabryce silników. Czy Charles zachował wpływy, kiedy fabryka już została sprzedana? Czy odczuwał potrzebę, by je mieć?

Cashin wysiadł z samochodu. Deszcz przemoczył mu włosy, spływał po twarzy. Kupił dwie torby suchej psiej karmy, podjechał do supermarketu i napełnił dwa wózki, zaopatrzył się na zapas. Nigdy więcej nie mógł już wejść do sklepu Derry'ego Callahana. Nie było tam już dla niego mleka, chleba czy zarcia dla psów. Potem kupił trochę filetów z witlinka w sklepie rybnym i pojechał do Kenmare.

Ulica była pusta, wiatr ustał na chwilę, deszcz padał teraz prostymi strugami. Cashin wszedł do rzeźnika. Za ladą stał nowy sprzedawca – młody, pękaty, ciemnowłosy mężczyzna

z pryszczatą twarzą. Powiedzieli sobie dzień dobry.

– Kilka kilogramów kielbasy dla psów – poprosił Cashin. – Gdzie Kurt?

– W Cromarty. Pojechał do dentysty.

– Pomagasz tu?

– Już na stałe. Trochę mało jest psiej kielbasy.

– Daj tyle, ile masz.

Młody człowiek odważył kielbasę, zawinał w papier i włożył do plastikowej torebki.

– I jeszcze trzy kilo rostbefu.

Chłopak przyniósł mięso, odciął, zważył.

– Może być trzy trzydzieści?

– Dobrze. Maszynka do mielenia jest czysta?

– Tak.

– Zmiel mi trzy kilo zrazówki wołowej. Nie za tłustej.

– Trzeba było mnie uprzedzić. Przyjdzie pan jutro?

– Jesteś za bardzo zajęty?

– W tej chwili, tak.

– Przekaż Kurtowi, że Joe Cashin rozgląda się za innym rzeźnikiem.

Młody człowiek zastanawiał się przez chwilę.

– Dobra, zmielę to mięso – powiedział.

Cashin wyszedł ze sklepu, usiadł w samochodzie, patrzył na deszcz. Usiłował sobie przypomnieć, skąd zna chłopaka. Ten właśnie pakował mielone, gdy Cashin wrócił do sklepu.

– Jesteś tutejszy, prawda? – zapytał. – Jak się nazywasz?

– Lee Piggot. – Lee kiepsko pakował, miał za duże dłonie. – Pan jest kuzynem Doogue'ów?

– Zgadza się? Znasz Doogue'ów?

– Kilku. Ze szkoły.

– Lee Piggot. Czy nie słyszałem przypadkiem o tobie od facetów z brygady antynarkotykowej z Cromarty?

Chłopak zarumienił się, potem mocno poczerwieniał.

– Nie.

– Musiało to być podobne imię. Rzeźnik to dobry zawód. Uczciwa praca. Ludzie lubią swojego rzeźnika. Nawet mu ufają.

Twoja policja, pomyślał Cashin, współdziała z innymi organizacjami w dziele tworzenia lepszego społeczeństwa. Posługując się metodą zastraszania.

Ostatni przystanek, Port Monro. Komisariat był pozostawiony bez nadzoru. Cashin otworzył sobie drzwi i sprawdził swoje biurko: koperta z faksem od Dove'a.

Jechał do domu, człowiek na urlopie, pięć tygodni wakacji. Deszcz ustał, chmury się rozproszyły, świat stał się czysty i jasny. Jak wiele można by uporządkować i zbudować w ciągu pięciu tygodni?

Rebb pracował w ogrodzie. Odkrył niski mur bezzaprawowy.

– Jezu – jęknął Cashin. – Krasnoludki tu pracowały? Na deszczu?

– Robota to robota. Nie można pozwolić, żeby deszcz przeszkodził.

– Mnie by przeszkodził.

– Ty jesteś gliniarzem. Nie wiesz, co to praca.

– Wy dwaj, Bern i ty, naprawdę pasowalibyście do siebie. Bratnie dusze.

Pracowali razem przez dwie godziny, odsłonili dwadzieścia metrów bruku z kamienia polnego i resztki bramy z kutego żelaza.

– Zrobiłem coś do jedzenia – oznajmił Rebb.

Wrócili do domu i Rebb przyniósł cztery kanapki starannie obwiązane czystą bawełnianą nicią i podgrzał je w opiekaczu.

– Niezłe – ocenił Cashin. – Stary australijski przepis?

– Pomidora i cebuli nie ma w przepisie.

Wrócili do roboty i pracowali przez następną godzinę, później Rebb poszedł doić krowy.

– Stary facet zabierze mnie na wyzerkę – powiedział. – Do pubu w Kenmare.

Cashin pracował jeszcze przez pół godziny, potem przeszedł się dokoła i przyjrzał temu, co zrobili już w ogrodzie i przy budowie domu. Zdał sobie sprawę, że widok dotychczasowych dokonań sprawia mu przyjemność i jest dumny ze swojego wkładu w dzieło. Uświadomił sobie także, że przepracował prawie cztery godziny, nie odczuwając wielkiego bólu.

Gdy znalazł się w mieszkaniu, schylił się, by podać psom miski. Wyprostował się. Przeszył go nagły prąd. Podeszedł powoli do kuchennego krzesła, usiadł sztywno, jakby kij połknął, przymknął oczy. Upłynęła długa chwila, zanim odważył się wstać. Następnie, poruszając się niepewnie, rozpałił ogień, otworzył piwo i siadł przy stole nad papierami od Dove'a.

Były tam trzy medyczne raporty dotyczące Bourgoyne'a. Pierwszy przedstawiał stan pacjenta po przybyciu do szpitala. Drugi pochodził od patologa z sądówki, który na żądanie policji zbadał faceta na tyle dokładnie, jak to było możliwe na oddziale intensywnej terapii

następnego dnia. Trzeci zawierał wyniki sekcji zwłok. Śmierć Bourgoyne'a spowodowana została urazem głowy – uderzenie o kamienny cokół kominka.

Eksperci stwierdzili, że otarcia na kolanach, dłoniach i stopach mogły być skutkiem tego, że czołgał się po szorstkim dywanie. Siniaki na twarzy wskazywały, że był wielokrotnie uderzany przez kogoś, kto nad nim stał i bił go obiema stronami dłoni mającej około dziewięciu centymetrów szerokości. Uderzenia w poprzek pleców prawie na pewno zostały zadane kijem bambusowym, takim jakie są sprzedawane do podpierania roślin.

Cashin otworzył następne piwo. Stał przy barku z butelką w dłoni, wyobraźnia podsuwała mu kolejne obrazy.

Stary mężczyzna obudzony w swoim łóżku, zmuszony do czołgania się długim korytarzem po szorstkim dywanie.

Pólnagi, stary człowiek na kolanach, ktoś bije go po twarzy, głowa odskakuje to w jedną, to w drugą stronę. Dostaje raz otwartą dłoń, raz pięścią.

Potem ktoś tłucze go po plecach. Dziesięć uderzeń.

W końcu stary człowiek pada w przód, uderza głową o kamienne palenisko.

Cashin otworzył puszkę zupy pomidorowej i wytrząsnął zawartość do garnka, dodał mleka. Do tego chleb z masłem. Typowe wieczorne danie w porze zimowej w domu Doogue'ów. Tamtą zupę przyrządzano jednak w domu, zawierała sporo pożywnych kawałków mięsa i jarzyn, wszyscy niemal wylizywali talerze.

Powinien ugotować trochę porządnej zupy. Czy byłoby to bardzo trudne?

Przypomniawszy sobie, jak jeździł codziennie autobusem do szkoły w Cromarty z Bernem, Joannie, Craigem i Frankiem, sześcioro dzieciaków rozkładało się na tylnej ławce, ich ławce. Bern, Barry i Pat wyglądali się przez całą drogę, on kończył odrabiać zadania domowe; Joannie i Craig, bliźnięta, szeptali między sobą i się kłócili. Wracali do domu w doskonałych nastrojach. Potem kolejno: Barry, Pat i Bern przestali chodzić do szkoły i zostało ich tylko troje.

Cashin z butelką piwa znów usiadł na krześle. Żałował, że nie ma papierosów. Jak długo przetrwa w nim chęć palenia? Może pozostać na zawsze, jeśli przy każdej okazji będzie znowu sięgał po papierosa.

Przypomniawszy sobie poranek w rezydencji Bourgoyne'a – stary mężczyzna na podłodze, krew, kwaśna woń. Czego? Nie przypominała żadnego z zapachów znanych z miejsc zbrodni – nie był to ani zapach krwi, ani moczu czy kału, alkoholu lub wymiocin.

Dlaczego ktoś pociął obraz? Co ten obraz przedstawiał? Czemu komuś przeszkadzał, nie spodobał się?

Cashin wstał, znalazł w notesie numer telefonu Carol Gehrig. Czekał nie dłużej niż trzy sekundy.

– Cześć. Alice, słucham.

Nastolatka, radosny, ciepły głos. Spodziewała się czyjiegoś telefonu, czaiła się blisko aparatu.

– Zastąłem Carol Gehrig?

Chwila ciszy pełnej rozczarowania.

– Tak. Mamo! Telefon!

Trzaski, potem głos Carol.

– Halo?

– Joe Cashin. Przepraszam, że znowu przeszkadzam.

– Wcale pan nie przeszkadza.

– Chodzi mi o obraz w domu Bourgoyne’a. Ten rozcięty.

– Tak? – Następna rozczarowana osoba.

– Nadal wisi na ścianie?

– Nie. Poleciałam Starkeyowi, żeby go zdjął.

– Gdzie teraz jest?

– W składziku.

– Czyli?

– Przy starych stajniach. Przechodzi się przez pracownię.

– Czy pytano panią o ten obraz?

– Policja? Nie. Chyba nie.

– Dlaczego ktoś przeciął płótno?

– Nie mam zielonego pojęcia. Okropny obraz. Smutny, nieprzyjemny.

Pani McKendrick, kobieta po siedemdziesiątce, miała długi nos, siwe włosy zebrane do tyłu. Na jej biurku stał komputer. Po lewej stronie, na wysokości oczu, na specjalnej podpórce leżał notes do zapisu stenograficznego. Po prawej, na biurku stały w dwóch rzędach pojemniki ze spinaczami, klipami i ołówkami, zszywacz, dziurkacz, lak do pieczęci.

– Jeśli nie ma w tej chwili nikogo, zajmę jej tylko kilka minut – powiedział Cashin.

– Firma zawsze prosi interesantów, by umawiali się na rozmowy – odparła pani McKendrick, przebierając palcami po klawiaturze komputera.

Cashin rozejrzał się po mrocznym pokoju, na ścianach wisiały ryciny przedstawiające jelenie nad zatoką, wodospady oraz włochate wysokogórskie bydlę pasące się w wąwozach. Stracił cierpliwość.

– Nie jestem interesantem, tylko policjantem – sprostował. – Może pani łaskawie pozostawi decyzję pani Addison?

Palce zastygły nad klawiaturą. Szare oczy powędrowały w stronę Cashina.

– Słucham?

Cecily Addison stanęła za panią McKendrick.

– O co chodzi? Chodź, Joe.

Cashin poszedł do gabinetu. Cecily oparła się o małą półkę z książkami; ważyła niedużo i ta podpora wyglądała na wystarczającą.

– Siadaj, proszę. Masz jakiś problem?

Podał potwierdzenie wpłat.

– Ten, o którym mówiłem przez telefon.

Cecily przebiegła wzrokiem listę. Wzruszyła ramionami.

– Płace, w większości. To akurat, jak sądzę, jest składka członkowska klubu wyścigów konnych. Opłata wzrasta z każdym rokiem. Płatności kartą kredytową, obecnie niewielkie, kiedyś były ogromne. To jest... och, tak, podatek od nieruchomości za dom w północnym Melbourne. Ulica Wood. Też rośnie z każdym rokiem. Nie wiem, dlaczego ciągle to trzyma. Towarzystwo korzystało z tego miejsca. Ja załatwiałam przeniesienie tytułu własności.

– Co to za miejsce?

– Sala. Początkowo urządzano tam koncerty. I jakieś przedstawienia. To była główna siedziba Towarzystwa.

Cecily zaczęła szukać swoich papierosów. Dziś znalazła je szybko, w torebce. Pstryknęła ronsonem, zapalił się za pierwszym razem. Zaciągnęła się głęboko, wydmuchnęła szary dym. Nastąpił atak kaszlu.

– Niech mi pani trochę opowie o Towarzystwie.

– No więc, pieniądze wyłożył Andrew Beecham. Mówi panu coś to nazwisko?

– Nie.

– Dziadek Andrew był kiedyś właścicielem połowy St. Kilda. Władcy miasta ci Beechamowie. Mieli też ogromną wiejską posiadłość po drugiej stronie Hamilton. Teraz już została podzielona na kilka części. To byli członkowie rodziny królewskiej. Angielska arystokracja. Ludzie używający lordowskich tytułów. Gracze w polo. – Cecily spojrzała na papierosa, odwróciła dłoń do góry, potem znowu w dół. – Beechamowie kształcili się w

Anglii – podjęła po chwili. – Nic innego nie było dla nich dostatecznie dobre. Ani szkoła średnia, ani uniwersytet w Melbourne. Andrew nie przepracował jednego dnia w swoim życiu. Wyobraża pan sobie? Zdobył Wojskowy Krzyż Zasługi podczas wojny. Potem ożenił się z panną McCutcheon, prawie tak bogatą jak on sam, o połowę młodszą od niego. Powiesiła się w rezydencji w Hawthorn, a Beecham tego samego dnia doznał udaru. Miał sparaliżowaną jedną stronę ciała, sztywną nogę, sztywne ramię. Ożenił się z pielęgniarką ze szpitala. Oczywiście po pewnym, przyzwoitym, by tak rzec, okresie, jaki powinien minąć od śmierci pierwszej żony.

Cashin pomyślał, że potrafi zrozumieć kogoś, kto się ożenił z pielęgniarką ze szpitala.

Cecily patrzyła za okno.

– Pielęgniarki przychodzą do ciebie jak anioły – stwierdziła w zadumie. – Pamiętam, kiedy się obudziłam po operacji... jakbym wróciła z Marsa, i pierwsze co zobaczyłam, to anielska zjawa w bieli...

Chwila milczenia.

– Pani Addison, Towarzystwo – przypomniał Cashin.

– Tak. Raphael Morrison. Słyszał pan o nim?

– Nie.

– Był pilotem bombowca, zrzucał bomby na Niemców, Drezno, Hamburg, no wie pan, smażył ich jak mrówki, głównie kobiety, dzieci i starców. Wrócił do domu i miał wizję. Ucz młodych, by nie popełnili tych samych błędów. Nowy świat, naprawa moralna. Zaczął tworzyć Towarzystwo. – Cecily ukryła ziewnięcie, zasłaniając usta koniuszkami palców. – W każdym razie Andrew Beecham dowiedział się o Towarzystwie od Jocka Camerona; byli razem na wojnie. Jock zapoznał Andrew i Morrisona ze starym Bourgoyne'em i ten zaraził się ideą odnowy świata, bo stracił na wojnie dwóch synów. Dlatego właśnie obóz stanął na ziemi Bourgoyne'a. Pod koniec lat pięćdziesiątych. Pracowałam wtedy w tej firmie.

– Trochę się pogubiłem. Kto to jest Jock Cameron?

– Podpora tej firmy przez czterdzieści lat. Został ranny podczas forsowania Renu. Przyjechał tutaj ze względu na stan zdrowia. – Cecily utkwiała wzrok w Cashinie. – Jest pan trochę podobny do Charlesa Bourgoyne'a – stwierdziła.

– A wracając do Towarzystwa...

– Uroczą rodziną, ci Jockowie – podjęła Cecily. – Poznałam ich w 1967. Lecieliśmy do Anglii na pokładzie Dunedin Star. Nigdy nie zapomnę tych stewardów. Przechodzili wąskimi przejściami i ocierali się o mojego Harry'ego. To mu się nie podobało.

Cashin odwrócił wzrok zakłopotany.

– Teraz o czymś innym... Jamie Bourgoyne utonął w Tasmanii...
– Kolejna tragedia rodzinna. – Cecily westchnęła lekko. – Najpierw jego matka zmarła młodo.

– Co się stało?

– Spadła ze schodów. Lekarz stwierdził, że była pod wpływem proszków nasennych. Albo środków uspokajających. Nie pamiętam. Tej samej nocy wybuchł pożar w obozie Towarzystwa. Podwójna tragedia.

– Więc Bourgoyne wychowywał pasierbów?

– No cóż, „wychowywał” nie jest najlepszym słowem. Erica była wtedy w szkole w Melbourne. Jamie miał własnego nauczyciela do... dwunastego roku życia, tak sędzę.

– A potem?

– Szkoła w Melbourne. Przyjeżdżali do domu na wakacje, choć nie mam pewności.

Cashin podziękował, wyszedł na ulicę. Lodowaty deszcz zaciął skośnie pod głębokie daszki werand, niemal docierał do witryn sklepowych i moczył nogi nielicznym przechodniom przemkającym przy ścianach budynków. Cashin pojechał na komisariat. Na biurku znalazł faksy od Dove’a; zaczął je czytać.

Zadzwoił telefon. Cashin usłyszał Wexlera prowadzącego z kimś uprzejmą rozmowę.

– Popilnuje pan interesu do dziesiątej? – zapytał Wexler. – Mam kradzież w supermarkecie.

– Zwróć się do związku zawodowego – odparł Cashin. – Jestem na urlopie, a gdy tylko tu przyjdę, wykorzystują mnie.

Dotarł do szóstej strony, kiedy wrócił Wexler – wyglądał na zadowolonego.

– Trochę to trwało, szefie – zaczął się usprawiedliwiać. – Kobieta nie miała pojęcia, że jej dzieciaki wyjęły z wózka towary i schowały pod anoraki. Właściciele rzucili się na nią, jakby była...

– Ma ranę? Tutaj... – zapytał Cashin.

Nie mógł sobie przypomnieć imienia i nazwiska. Dotknął palcami kącika ust.

Wexler zamrugał.

– Tak. Strupek, coś takiego.

Cashin przypomniał sobie imię.

– Jadeen...?

Oczy Wexlera się rozszerzyły.

– Jadeen Reed.

– Jadeen nie robi zakupów w tutejszych supermarketach. Teraz jeździ do Cromarty.

Wexler znowu zaczął mrugać.

– Pomyliłem się. Tak szefie?

– No cóż, Jadeen pewnie miałyby dużo problemów nawet bez oskarżenia o kradzież w sklepie.

Opuścił komisariat, kupił w kiosku gazety, nie dał się wciągnąć w rozmowę, poszedł pieszo do Dublina. Przy ladzie płaciły dwie starsze panie z krótkimi włosami. Skinęły mu głowami i się uśmiechnęły. Albo brały udział w marszu, albo widziały go w telewizji, albo jedno i drugie.

Leon podziękował im jak stałym klientkom. Kiedy drzwi się zamknęły za nimi, powiedział:

– Więc przeszedłeś w odstawkę z powodu nerwicy przez ten marsz dzieci i starszków? Nie możesz się doczekać, gdy zaczniesz prowadzić życie rencisty?

– Dużą czarną, proszę. I mocną.

Leon stanął przy ekspresie.

– Okazało się, że ty i Bobby Walshe jesteście kumplami ze szkoły.

– Z podstawówki w Kenmare. Wytrzymaaliśmy.

– A potem obaj poszliście do ogólniaka w Cromarty?

– Bobby wyjechał. Przeniósł się do Sydney.

– Więc będziesz głosował na kumpla ze szkoły, faceta z ikrą. Helen z trójkąta też jest twoją szkolną koleżanką i też ma ikrę.

– Helen z czego?

– Z trójkąta. – Leon rozkoszował się swoim dowcipem. – Próbuje znaleźć pod „T” w podręczniku dla gliniarzy. Orgietka we troje. W Queenslandzie to chyba przestępstwo. Ona popiera w Cromarty uniwersalną partię Bobby’ego.

– Skąd wiesz?

– Z lokalnej gazety. Mam ją tutaj.

Leon znalazł właściwą stronę. Było tam małe zdjęcie Helen Castelman. Nie wyglądała na nim korzystnie. Nagłówek brzmiał: „Adwokat opowiada się za nową partią”.

– Nie przyszło ci kiedyś do głowy – ciągnął Leon, opierając się na ladzie – że nasze życie jest zupełnie jak historyjki opowiadane przez dzieciaki. Maluchy z zapałem plotą o tym i o tamtym, a potem nagle uchodzi z nich para i opowieść się urywa.

– Masz dzieci?

Taka myśl nigdy nie przyszła Cashinowi do głowy.

– Dwoje – odparł Leon.

Cashin poczuł, że jest w tym jakaś niesprawiedliwość.

– Może nie powinieneś tak myśleć o swoim życiu. Może w ogóle nie powinieneś myśleć o swoim życiu. Po prostu robić kawę.

– Nie potrafię o nim nie myśleć – stwierdził Leon. – Kiedy dorastałem, chciałem być lekarzem, robić coś dobrego dla ludzi, ratować ich zdrowie. Pragnąłem, żeby moje życie miało cel i sens. Nie chciałem być podobny do swojego ojca.

– A co było z nim nie w porządku?

– Prowadził usługi księgowe. Naciągał klientów, starsze panie, emerytów. Któregoś dnia nie przyszedł do domu. Miałem wtedy dziewięć lat. Wrócił dopiero, gdy skończyłem czternaście. Nie odezwał się przez te lata nawet słowem. A ja zawsze miałem nadzieję, że przyjdzie chociaż na moje urodziny. Wreszcie się pojawił... zresztą, zapomnij o tym, zimą zwykle się rozklejam. Za mało słońca, za dużo alkoholu.

– Dlaczego dentysta nie może mieć celu w życiu?

Leon pokręcił głową.

– Słyszałeś kiedyś, by ktoś namawiał dentystę, żeby kandydował do parlamentu czy gdziekolwiek?

– W moim odczuciu, jesteś trochę za surowy wobec siebie – stwierdził Cashin.

Cashin zaglądał do lodówki, zastanawiając się, co ugotować na kolację, kiedy zadzwonił telefon.

– Zrobiłeś coś w sprawie, o której rozmawialiśmy? – zapytała Helen Castelman.

– Pogawędziłem sobie z nimi, owszem – odparł Cashin.

– No i?

– Sprawa jest warta przemyślenia.

– Tylko tyle?

– Taki mam sposób wyrażania się.

Cisza.

– Nie wiem, jak do ciebie trafić, detektywie.

– Dlaczego?

– Zastanawiam się, czy chcesz osiągnąć właściwy rezultat.

– Co to „właściwy rezultat”?

– Prawda.

Cashin spojrział na psy, wyglądały wspaniale, leżąc przed kominkiem. Wyczuły jego wzrok, uniosły głowy, popatrzyły na swojego pana, westchnęły i znów zapadły się w drzemkę.

– Byłabyś dobra w parlamencie – stwierdził. – Podniosłabyś wszystkie standardy. Urody i inteligencji.

– Ślepy pies Freddy’ego ma większe szanse dostać się do parlamentu – odparła Helen.
– Mam możliwość objęcia innych stanowisk w tym ultrakonserwatywnym mieście. Przejdźmy do następnego punktu. Co teraz robisz?

– Pracuję nad sprawą.

– Sam z całym wydziałem zabójstw?

– Nie mogę mówić w imieniu wydziału zabójstw. To nie jest wielkie...

– Co?

– Zapomniałem. Bo mi przerywasz. Jestem na urlopie. Straciłem kontakt z wydziałem.

– I na pewno wydeptałeś ścieżkę między swoją posiadłością a parkanem bezprawnie postawionym na moim terenie.

– Tam już jest ścieżka. Bardzo stara ścieżka; prowadzi do dawnej granicy.

– No cóż, przejdę się nią – powiedziała Helen. – Chcę widzieć twoje oczy, kiedy mówisz te pokrętne bzdury.

– To też tylko taki sposób wyrażania się, tak? – zapytał Cashin.

– Nie. Będę za... za jakiś czas, nie wiem, ile mi to zajmie. Po drodze sprawdzę moją granicę.

– Jak to, teraz?

– Wyruszam za minutę.

– Zaraz się ściemni.

– Nie tak zaraz. Zresztą wezmę latarkę.

– Może być problem z węzami.

– Nie boję się węży, kolego.

– Są też szczury. Wielkie wodne szczury. I lądowe.

– Och, ach, och! To straszne. Idę.

W szarym mroku gasnącego popołudnia Cashin zobaczył z daleka czerwoną kurtkę, jak błysk płomienia zapalki w ciemności. Potem psy wyczuły przybysza na wietrze i

wystartowały prosto ku Helen. Wyglądały jak czarne potwory, ale ona nie wyjmowała rąk z kieszeni. Nie bała się psów, węży i szczurów.

Gdy się spotkali, sztywno podała mu rękę. Sprawiała wrażenie, jakby dopiero co wyszła spod prysznica, policzki miała zaróżowione.

– Podejrzewam, że mógłbyś mnie oskarżyć o naruszenie prywatnej własności – powiedziała.

– To zachowam w rezerwie – odparł Cashin. – Pozwól, że będę szedł pierwszy, mnóstwo tu dziur. Nie chcę być pozwany o odszkodowanie za uszczerbek na zdrowiu.

Odwrócił się i ruszył naprzód.

– Bardzo oficjalne spotkanie – zauważyła Helen.

– Spotkanie? To raczej przypomina wywiad.

W milczeniu wspięli się na wzniesienie. Przy bramie Cashin gwizdnął na psy. Nadbiegły natychmiast, każdy z innej strony.

– Świetnie wyszkolone zwierzęta – rzuciła.

– Głodne zwierzęta. Pora kolacji. – Gdy dotarli do tylnych drzwi, powiedział: – Nie przepraszam za to miejsce. To ruiny. Mieszkam w ruinach.

Przeszli korytarzem do wielkiego pokoju.

– Jezus! – zawołała. – Co to za pokój?

– Sala balowa. Urządzam tu bale.

Cashin odesłał psy do kuchni, poprowadził Helen do części, w której mieszkał, i poczuł zażenowanie z powodu na wpół pozrywanych tapet, popękanych tynków i stosów walających się gazet.

– Tu przychodzisz po balach? – spytała Helen. – Mniej galowe pomieszczenie. Ciepłe, przytulne.

– Pokój do zamykania się w sobie – odparł. Znalazł ten termin w jakimś tekście, na pewno nie znał go przed Raiem Sarrisem.

Helen spojrzała na niego, pokiwała głową tak, jakby go oceniała, przygryzła dolną wargę.

– Odczuwam coraz większe zakłopotanie z powodu tej wizyty – powiedziała.

Cashin zabrał gazety z krzesła, rzucił je na podłogę.

– Skoro już tu jesteś, siadaj.

Helen usiadła.

Cashin nie wiedział, co teraz zrobić.

– Czas nakarmić psy. Herbata, kawa? Może drink?

– To propozycje dla psów? Mam coś wybrać? Daj im herbatę. Podwójną porcję.

– Dobrze. A co dla ciebie?

– Jaki może być drink?

Zdejmowała kurtkę, rozglądając się po pokoju, patrzyła na sprzęt audio, stojaki na płyty, półkę z książkami.

– No cóż, piwo. Czerwone wino. Rum, na przykład bundy. Kawa z bundy jest dobra na zimny dzień. Zresztą na każdy inny także.

– Może być średnia porcja bundy, co ty na to?

– Proponuję dużą. To będzie napój na gorąco.

Światło padło na jej włosy, zaśniły.

– Świetnie!

Zanim nakarmił psy, kawa była gorąca. Nalał wielkie porcje rumu do kubków, dodał kawy, wziął kubki w jedną rękę, w drugą cukier i wrócił do pokoju.

Helen przyglądała się płytom.

– Ciężka muzyka – zauważyła.

– Jak na gliniarza, chcesz powiedzieć.

– Mówię o sobie. Mój ojciec puszczał ciągle arie operowe. Nienawidziłam tego. Jestem kiepskim słuchaczem.

Podał jej kubek.

– Trochę cukru łagodzi smak – podpowiedział.

– Zdaję się na twoje doświadczenie.

Cashin posłodził jej trunek, zamieszał, podniósł swój kubek.

– Na zdrowie!

Zadrżała lekko.

– No, no – mruknęła. – Dobrze.

Usiedli.

– Czuję się nieswojo, bo pewnie sądzisz, że próbuję cię wykorzystać... – zaczęła.

Szczekanie.

– Masz coś przeciwko psom? – zapytał. – Nie będą ci przeszkadzać.

– Mogą wejść.

Cashin wziął od niej kubek, wpuścił psy. Rzuciły się na Helen. Nie była przestraszona. Skarciła je surowym tonem, odeszły pod kominek, opadły na podłogę i położyły głowy na łapach.

– To nie jest wywiad, Joe – odezwała się po chwili. – Chcę z tobą pomówić o tym, co

się dzieje. Myślę, że rząd byłby zadowolony, gdyby chłopcy zostali obciążeni zabójstwem Bourgoyne'a, jeśli to pomogłoby mu w sensie politycznym.

– Nie ma polityki, gdy chodzi o zabójstwa.

– Nie ma?

– Nikt nie mówił mi o polityce.

– Powinna być powołana specjalna grupa dochodzeniowa. Zamiast tego ty i Dove zostaliście wysłani na urlop. Dove wrócił do Melbourne. I ty mi mówisz, że nie powiedziano ci, że sprawa trafiła do teczki z napisem: „Zapomnieć o tym”?

Cashin nie chciał jej okłamywać.

– Rozumiem, że chodzi o to, by poczekać, aż sprawa przyschnie – powiedział. – Ofiara zmarła, chłopcy nie żyją, czas nie nagli. Trudno prowadzić śledztwo, kiedy spotykasz się z ludźmi pełnymi gniewu i pretensji. Kto będzie chciał z nami rozmawiać?

– Masz na myśli Daunt?

– Tak.

– Joe... – Zrobiła krótką pauzę, upiła łyk. – Zgodzisz się ze mną, że jest możliwe, iż to nie chłopcy napadli na Bourgoyne'a?

Cashin wstał i dołożył drewna do ognia, choć to wcale nie było potrzebne. Potem nastawił płytę z nagraniem Björling. Przez chwilę kręcił gałkami.

– Tak – odparł. – Możliwe.

– Dobrze, więc nie musisz się martwić o nastroje w Daunt.

– Helen, jestem czasowo przeniesiony do Port Monro. Sprawę Bourgoyne'a powierzyli mi tylko na jakiś czas. I wtedy zginęli chłopcy.

– Czy Hopgood miał tu coś do powiedzenia?

Cashin usiadł.

– Dlaczego miałby mieć?

– Bo on rządzi w Cromarty. Podobno dowódca komisariatu nie pójdzie do toalety bez zgody Hopgooda.

– No cóż, ja siedzę w Port Monro. Może ty słyszysz rzeczy, które do mnie nie docierają.

Spojrzeli na siebie ponad swoimi kubkami. Helen powoli zmrużyła oczy.

– Joe, ludzie mówią, że on jest zabójcą.

– Jacy ludzie?

– Z Daunt.

Cashin pomyślał, że mógłby uwierzyć we wszystko, co by mu powiedziano o

Hopgoodzie. Odwrócił wzrok.

– Ludzie gadają różne rzeczy o gliniarzach, taki los.

– Ty masz w rodzinie Aborygenów...

– Osoby, z którymi jestem spokrewniony, widzą we mnie tylko jednego z cholernych białych gliniarzy – powiedział. – Ale ty tego nie zrozumiesz. Pomówmy o bogatych białych dzieciach, które chcą rządzić światem.

Helen westchnęła.

– Zaczę jeszcze raz. Ludzie mówią, że tamtej nocy właściwie dokonano egzekucji na Coreyu Pascoe. Ty tam byłeś. Co o tym powiesz?

– Już rozmawiałem z koronerem.

– I próbowałeś temu zaprzeczyć.

– Ja próbowałem?

– Tak.

– Skąd wiesz?

– To bez znaczenia dla naszych obecnych celów.

– Obecnych celów? Nie mamy obecnie żadnych celów. Tak czy inaczej, to koroner zdecyduje, co kto zrobił, a czego nie zrobił.

– Jezu, chyba nie umiem się dobrze wyrazić. Możesz się rozluźnić chociaż na pieprzoną sekundę?

Poczuł, że się czerwieni.

– Myślę, że jesteś po prostu zepsuta – stwierdził. – Wygłaszasz przemówienia pełne pasji, ale jesteś po prostu bogatym, byстрым bachorem. Jeśli nie możesz zdobyć tego, czego chcesz, tupiesz swoim małym butem. Dobrze, zwróć się do mediów. Weź tę dziewczynę, żeby opowiedziała im historię z zegarkiem. Będziesz w telewizji. To pomoże waszej kampanii. Twojej i Bobby'ego.

Helen wstała, postawiła kubek na chwiejnym stole, podniosła kurtkę.

– No cóż, dzięki za spotkanie. I za wzmocnioną kawę.

– Zawsze do usług.

Cashin podniósł się z krzesła i poszedł pierwszy przez ogromny pokój po uginających się deskach podłogowych, które wydawały pod stopami jęki podobne do mysich pisków. Na dworze, wysoko pod niebem z księżycem w trzeciej kwarcie szybko płynęły rozproszone chmury.

– Odprowadzę cię – zaproponował.

– Nie, dziękuję – odparła, wsuwając ramię w rękaw kurtki. – Sama trafię.

– Dojdę tylko do mojego płotu – oświadczył Cashin. – Chcę być świadkiem wszystkich ewentualnych poślizgnięć i upadków.

Zdjął wielką lampę z kołka i ruszył przodem. Helen poszła za nim w milczeniu wzdłuż ścieżki, za bramę, poprzez trawiasty obszar na tereny zamieszkałe przez króliki. Już blisko płotu poruszył latarką, zabłysło czworo oczu.

Przystanął.

Sparalizowane lękiem dwa zające. Psy byłyby zachwycone, pomyślał.

– Psom by się to podobało – powiedziała z tyłu.

Odwrócił się. Stała tuż za nim, dzieliły ich tylko centymetry.

– Nie, nie mogę zabierać tu psów, gdy niosę lampę. Zające nie miałyby żadnej szansy.

Zrobiła mały krok do przodu, przytrzymała ręką tył jego głowy i pocałowała go w usta, cofnęła się i pocałowała raz jeszcze.

– Przepraszam – mruknęła. – To po prostu impuls.

Obeszła go, zapaliła swoją latarkę. Cashin zastygł w miejscu zdumiony, w stanie półerekcji. Rzucił na Helen snop światła. Patrzył, jak się pochylała, by przejść pomiędzy drutami płotu blisko narożnika jego nowego ogrodzenia. Zaczęła się wspinać po wzniesieniu, zatapiała się w mroku, aż stała się ruchomym wędrującym w górę światelkiem. Nie obejrzała się.

Cashin stał przez jakiś czas, dotykając palcami warg. Myślał o tamtej nocy przy Kotle, o pocałunkach sprzed lat. Zadrżał, noc była zimna. Czemu Helen to zrobiła?

Wood Street w północnym Melbourne była ślepą uliczką, krótką i wąską; po jednej stronie znajdowały się fabryki, po drugiej stało pięć wąskich domów mieszkalnych. Na końcu wznosił się ceglany budynek wzorowany na greckiej świątyni, bez okien, z czterema filarami i trójkątnym szczytem. Była to sala zgromadzeń.

Cashin prowadził samochód powoli, zaparkował ukośnie przed drzwiami nieoznakowanego rolls-royce'a. Nie wysiadł, myślał teraz o tym, że przejechał taki szmat drogi bez żadnego wyraźnego powodu, o tym, że nad decyzją w pewnych sprawach potrafił się zastanawiać przez całe dni, tygodnie i miesiące, ale w innych podejmował działanie natychmiast, bez namysłu.

Vickie szybko to zauważyła. Gdy pewnego dnia wrócił do domu dopiero co kupionym używanym audi, powiedziała:

– Wszystko obmyślasz dokładnie i szczegółowo, prawda? A potem nagle robisz coś o tak, po prostu. Zachowujesz się jak przygłup.

Miała rację. To dlatego Shane Diab nie żył, dlatego krew pociekła mu z ust, nosa, oczu, i dlatego skonał, wydając przerażające odgłosy.

Cashin wysiadł, obszedł swój samochód. Podłogę wąskiego portyku świątyni pokrywały stęchłe psie balaski, porozrzucane przesyłki reklamowe, zmienione przez wilgoć w papkę, kapsle po piwie, puszki, butelki po amerykańskiej whisky, zużyte prezerwatywy, części odzieży, kawałki styropianu, do tego jeszcze sztywny ręcznik plażowy, cała rura wydechowa.

Wszedł po dwóch stopniach w górę, przebrnął przez ten śmietnik do ogromnych podwójnych drzwi nabijanych metalowymi ćwiekami. Widniały na nich szramy po licznych atakach. Przycisk dzwonka ktoś wydłubał, ale żeliwna kołatka przetrwała. Cashin walnął nią o podstawę – raz, drugi, trzeci. Odczekał chwilę i zaczął uderzać znowu. Potem jeszcze raz. I jeszcze raz. Ukląkł i odepchnął klapkę skrzynki na listy w drzwiach. Wewnątrz było ciemno. Wyczuł na sobie czyjś wzrok, wstał i się odwrócił.

Na progu drzwi frontowych najbliższego domu stała jakaś kobieta, żółwia głowa wystawała ze skorupy różnych części garderoby, z wielkim, kwiecistym fartuchem na wierzchu.

– Co pan robi? – zapytała.

Cashin podszedł do mieszkanki zaułka.

– Policja.

– Tak? Niech pan pokaże odznakę.

Pokazał.

– Kto tego pilnuje?

– Niby czego?

– Tego budynku. – Wskazał palcem.

– Aha. Był kiedyś taki jeden facet. Nigdy nie wychodził od frontu. Nie widziałam, żeby kiedykolwiek otwierał te drzwi.

Pociągnęła nosem, wytarła go palcem i przyglądała się uważnie Cashinowi nieruchomym wzrokiem.

– To skąd pani wie, że był w środku? – dążył.

– Merv ma tam garaż, widział gościa.

– Gdzie jest ten garaż?

Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby był mało rozgarnięty.

- Na tej uliczce. Mówiłam.
- Dobrze. Jak się tam dostać?
- Zaraz za Wolfem.
- Gdzie jest Wolf?
- Na Tilbrook Street. A pan myśli, że gdzie?
- Dzięki za pomoc.

Patrzyła, jak Cashin zawraca na trzy i odjeżdża. Pomachał na pożegnanie. Nie odpowiedziała. Na Tilbrook Street znalazł wertepiastą drogę, szeroką na jeden samochód. Zaparkował przy wjeździe i poszedł wzdłuż rynsztoka, szukając wzrokiem po lewej stronie tylnego wejścia do świątyni.

To musiały być te drzwi zrobione z desek, ze zbutwiałym progiem obok pordezewiałej klapy garażu. Zamek yale, żadnej klamki. Ostrożnie nacisnął obiema dłońmi. Nie ustąpiły. Sprawdził prawy słupek drzwi – trochę się poddał.

Trzeba było użyć siły. Uderzył, zaklął, uderzył znowu. Potem spojrzał w jedną i w drugą stronę, stanął przy wejściu, oparł się plecami o jeden słupek, na drugim postawił nogę i naparł na drzwi.

Otworzyły się ze skrzypieniem i Cashin niemal wpadł do środka.

Wejście przy użyciu siły bez nakazu.

Alejka długości około pięciu metrów, ceglane ściany po obu stronach, pojemnik na śmiecie. Cashin doszedł do końca przejścia. Wybetonowane prostokątne podwórko za wysoką ścianą, w której były tylko drzwi i trzy małe okna. Po lewej stronie zobaczył puste sznury do suszenia bielizny.

Podszedł do drzwi budynku, stanął na najwyższym stopniu i zapukał trzykrotnie, za każdym razem mocniej, raniąc sobie palce.

Nacisnął gałkę. Zamknięte na klucz. Znowu zamek yale, ten wyraźnie nowszy.

Otwarcie drzwi prowadzących na podwórko dałoby się wytłumaczyć. Wdarcie się siłą do budynku to już inna sprawa. Powinien zadzwonić do Villaniego, powiedzieć, o co mu chodzi, co tu robi.

Obejrzał drzwi. Skurczyły się w ciągu stu lat swojego istnienia, już nie wtulały się szczelnie w ramy. Jeśli się zakłada nowy zamek do starych drzwi, najpierw należy naprawić usterki. Tu tego nie zrobiono. Schylił się i zajrzał. Dostrzegł zapadkę zamka.

Odejdź stąd, odezwał się głos rozsądku. Zostaw to. Zadzwon do Villaniego. Załatw nakaz.

Ale to trwałoby wieki. Villani, na wzór Singa, mógł zażądać odpowiednich

argumentów, które usprawiedliwiałyby najście.

Cashin pomyślał, że chciałby wrócić do domu, zabrać psy na spacer, poczuć powiew świeżego, czystego powietrza, potem położyć się na chwilę na podłodze, a gdy ból minie, usiąść przy ogniu, słuchać Callas i delektować się smakiem czerwonego wina, kiedy będzie czytał Conrada.

Wyjął z portfela cienki, wąski pasek plastiku. Przez chwilę trzymał go w palcach, zginał, sprawdzał – mocny, tak sprężysty, jak być powinien.

Do diabła, po co tracić czas.

Plastikowy romb wszedł łatwo, ześliznął się po zapadce zamka, odepchnął ją do tyłu. Cashin naparł na drzwi.

Otworzyły się.

Światło rozjaśniło szeroki korytarz, linoleum w białe i czarne kwadraty, poznaczone wypukłościami desek podłogi. Wszedł do środka. Powietrze było zimne i stęchłe, z góry dobiegały odgłosy skrobania. Szpaki. Żaden dach nie był ich w stanie zatrzymać. W ciągu kilku tygodni potrafiły pokryć strop odchodami.

– Jest tu ktoś?! – krzyknął Cashin.

Przeszedł korytarzem kilka kroków, krzyknął raz jeszcze. Cisza, szpaki ucichły na moment.

Cashin otworzył pierwsze drzwi z lewej strony. Łazienka i ubikacja, prysznic nad starą wanną. Szarka nad umywalką była pusta, jeśli nie liczyć wyschniętego kawałka mydła.

Następne drzwi, otwarte, prowadziły do kuchni: staroświecka kuchenka gazowa, goły stół sosnowy, pusty kosz na warzywa.

Cashin przeszedł na drugą stronę korytarza. W pokoju naprzeciwko znajdowała się sypialnia – pojedyncze łóżko z białą pościelą, nocna szafka, lampa. Na sosnowej komodzie dwa złożone ręczniki. Szuflady puste. Otworzył wąską szafę. Tylko druciane wieszaki.

Następny pokój był podobny, wąskie łóżko z pasiastym materacem z włókna kokosowego, stół. Drzwi po drugiej stronie otworzyły się z oporem. Gdy Cashin nacisnął przycisk światła, z ciemności wyłonił się gabinet: biurko, fotel i szara trzyszuftadowa szafka na dokumenty; ściana pokryta drewnianymi półkami, na których stały szare segregatory.

Podszedł do półek. Były oznakowane, do każdej przymocowano mosiężną oprawkę na odręcznie wypisane hasło: „Korespondencja Ogólna”; „Korespondencja – Oueensland”; „Korespondencja – Australia Zachodnia”; „Korespondencja – Australia Południowa”; „Korespondencja – Stan Viktoria”. Półka Viktorii była pusta. Rzędy z napisem: „Faktury”. Na półce „Faktury – Viktoria” nic nie leżało. Cashin wybrał jedną z teczek z Korespondencji –

Australia Zachodnia, przekartkował zawartość. Oryginały, kopie odbite przez kalkę i fotokopie listów przychodzących i wychodzących obozu Towarzystwa w Caves Road, Busselton.

Odstawił teczkę na właściwe miejsce, otworzył szufladę biurka.

Pliki wykorzystanych książeczek czekowych spiętych recepturkami, niektóre zbutwiały. Wziął jedną z nich, spojrzął na kilka odcinków. Wyglądało na to, że wszystkie rachunki Towarzystwa Odnowy Moralnej płacono stąd.

Zamknął szufladę, wyszedł z pokoju, otworzył drzwi na końcu korytarza. Ciemność. Poszukał po omacku, znalazł wyłącznik, trzy świetlówki migocząc, obudziły się po chwili do życia. Następny korytarz, poprzeczny, z trzema drzwiami. Cashin otworzył pierwsze, przekreślił trzy wyłączniki. Na przeciwległej ścianie zapłonęło kilka żarówek wokół luster.

Garderoba teatralna.

Już raz był w takim pomieszczeniu, w toalecie znaleziono zwłoki kobiety. Leżały tam od szesnastu godzin. Wyglądało na to, że upadła i uderzyła głową o miskę klozetową jakiś czas po ostatnim przedstawieniu pewnego amatorskiego zespołu. Po spektaklu odbyło się przyjęcie. Podejrzenia wzbudził jednak siniak na tyle głowy denatki. Sztukę napisał lekarz. Singo znalazł faceta, przesłuchiwał go długo i dokładnie, ale w końcu doktorek przyznał się jedynie do tego, że przeleciał inną aktorkę z zespołu.

Cashin sprawdził następne pokoje – także małe garderoby. Dwie żarówki pękły, kiedy włączył przyciski. Zawrócił, otworzył drzwi, ruszył na dół długim rzędem schodów. Kolejne drzwi.

Wielka, pogrążona w półmroku sala, słabe światło napływało tylko przez zakurzone okna umieszczone wysoko w ścianach. Wszedł kilka kroków w głąb pomieszczenia.

To była sala amfiteatralna z innej epoki, podłużna, z lekko pochyłą widownią, około trzydziestu rzędów krzeseł, wszystkie z podniesionymi składanymi siedzeniami. Po lewej stronie kilka stopni prowadziło na scenę.

Jeszcze raz zawołał:

– Jest tu kto? Policja!

Nad salą też buszowały szpaki, z ulicy dobiegał odgłos samochodu zwiększającego obroty silnika, ktoś sprawdzał jego pracę.

Jakiś zapach przebijał się przez woń kurzu i wilgoci bijącej spod podłogi. Cashin pociągnął nosem – kiedyś już czuł ten zapach. Napięła mu się skóra na twarzy i szyi.

Przeszedł na tył sali i pchnięciem otworzył jedno z drzwi. Znajdowało się za nimi niewielkie foyer z marmurową podłogą i drzwiami wejściowe. Wrócił, wspiął się po schodach na

scenę, rozsunał na boki ciężką kurtynę z purpurowego aksamitu. Znalazł się za kulisami, w ciemnej przestrzeni przez luki w wysokich elementach dekoracji przeblyskiwały nagie deski sceny.

Cashin wyszedł na otwartą przestrzeń.

Na scenie leżał czysty piasek – taki, jakiego się używa na budowach – w stertach i płaskich kupkach.

Piasek?

Na skraju tej otwartej przestrzeni zobaczył trzy czerwone wiadra, a na każdym z nich wymalowany napis „Pożar”. Ktoś opróżnił wiadra przeciwpożarowe na scenie, rozsypał piasek dookoła.

Wandale? Nie, oni nie poprzestaliby na rozrzucaniu piasku, zdemolowaliby wszystko, zerwali kurtynę, obsraliby i zasikali scenę, skakali na krzesła, dopóki by nie popękały, wyrwaliby je z uchwytów, paliliby tu ogień.

Nie, to nie był akt wandalizmu.

Tu wydarzyło się coś innego.

Cashin wszedł na scenę, nie udało mu się uniknąć stąpania po piasku; trzeszczało mu pod nogami zaskakująco głośno. Na środku sceny rozejrzał się. W bladym, żółtym blasku płynącym z okien zobaczył miliony drobin kurzu wiszących w powietrzu.

Chyba powinny tu być reflektory. Gdzie?

Za kulisami, przy schodach znalazł pulpit sterowniczy z włącznikami – cztery staromodne okrągłe porcelanowe włączniki, mosiężne przetyczki. Przekręcił wszystkie – scena rozbłysła światłami.

Wrócił tam. Reflektor punktowy ponad rampą oświetlał namalowany horyzont, płonęło też z dziesięć żarówek na rampie. Kiedy na nie patrzył, dwie zgasły, w następnym momencie zgasła trzecia. Spojrzał na horyzont. Spokojny, pożałdowany krajobraz, tu i ówdzie wiejskie domy, białe punkciki pasących się owiec, żółta droga wijąca się po równinie i pnąca się po zielonym, łagodnie zaokrąglonym wzgórzu. Na szczycie stały trzy krzyże, w środku duży, dwa po bokach, o połowę mniejsze.

Cashin podszedł bliżej. Na małych krzyżach wisiały ukrzyżowane postacie. Ale duży krzyż był pusty. Czekał na kogoś. Cashin spojrział na piasek na podłodze przed namalowanym horyzontem.

Po co ktoś miałby rozrzucać piasek na scenie? Żeby ugasić pożar? Być może ktoś podłożył ogień, rozlał łatwopalny płyn na deski, podpalił go, potem się przestraszył, chwycił wiadro przeciwpożarowe i zdusił płomienie.

To było najprostsze, oczywiste wyjaśnienie.

Wandale wznecają pożary.

Ale ich nie gaszą.

Poruszył piasek butem i odgarnął wierzchnią warstwę. Ziarna pod spodem były ciemne, posklejane, odpadały grudkami. Zdrapał jeszcze trochę. Odsłonił deski.

Czarna plama. Poczul przyływ mdłości, nagły chłód w szyi, w tyle głowy i w uszach.

Tu wydarzyło się coś złego.

Czas zadzwonić po policyjną ekipę, wyjść stąd i czekać w samochodzie na jej przybycie.

Przykucnął, dotknął palcem podłogi, spojrzal na opuszkę.

Krew.

Rozpoznał krew.

Jak stara? Piasek zatrzymał wilgoć.

Wstał, poczul ból w plecach, naprężył ramiona, miał przed sobą widownię, reflektory płonęły, światła rampy raziły go w oczy, nie widział wyraźnie sali.

Ale dostrzegł to.

Wszystkie miejsca miały podniesione siedzenia.

Z wyjątkiem jednego. W szóstym rzędzie od sceny, na środku.

To krzesło było opuszczone. Na całej widowni tylko to jedno krzesło.

Ktoś tam siedział. Wybrał sobie to miejsce. Najlepszy punkt na całej sali, by dobrze widzieć.

Co widzieć?

Nonsens. Siedzenie prawdopodobnie opadło, czasami tak się dzieje, zgodnie z prawem ciężenia. Jeśli ustawisz w rzędzie dziesięć przedmiotów, przynajmniej jeden się przewróci.

Cashin zszedł po stopniach ze sceny, ruszył wzdłuż sali. Gdy znalazł się przy szóstym rzędzie, przystanął, wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do wydziału zabójstw.

– Joe Cashin. Czy jest inspektor Villani?

– Dzwoni z drugiego aparatu. Nie, już nie. Łączę pana.

Villani burknął swoje nazwisko. Z każdym dniem sposobem mówienia i tonem coraz bardziej upodabniał się do Singa.

– Tu Joe. Posłuchaj, jestem w pewnej sali w północnym Melbourne, coś tu się

wydarzyło. Trzeba się temu koniecznie przyjrzeć.

Villani zakasłał.

– Joe z Port Monro? Dzwonisz z północnego Melbourne? Pojechałeś na wycieczkę do wielkiego miasta? Proszę, mów, o co chodzi.

– Podam ci adres – powiedział Cashin.

– Co to, do cholery, znaczy?

– Znalazłem tu krew, dosyć świeżą.

– I z czym to ma związek?

– Z Bourgoyne'em.

– Bourgoyne'em?

– Myślę, że tak. Tak.

– W północnym Melbourne?

– To skomplikowane. Po prostu cię o tym informuję. Zadzwoń do tych ze Stop Przemocy, jeśli chcesz.

– No dobra, sprawa wygląda na ważną i pilną. Rzucam wszystko i przyjadę osobiście. Gdzie to jest?

Cashin podał mu adres i się rozłączył. Przez chwilę patrzył na scenę, na namalowany horyzont, wyidealizowaną Kalwarię. Potem przeszedł wzdłuż rzędu krzeseł i przez salę do schodów znajdujących się po drugiej stronie. Przystanął w ciemnej przestrzeni obok sceny.

Znał ten zapach. Tu był mocniejszy. Cashin poczuł, jak chłód znów przebiegł mu po szyi i plecach. Zadrżał.

Ten zapach unosił się w salonie Bourgoyne'a tamtego ranka.

Cashin pociągnął nosem, rozejrzał się, zdał sobie sprawę, że zaciska zęby. Po lewej stronie dostrzegł opartą o ścianę żelazną obręcz z dwoma rączkami ustawionymi pod kątem prostym. Podeszedł bliżej. Zza obręczy prowadziła w ciemność lina. Była nawinięta na bęben, za którym znajdowało się koło ze stalową zapadką.

Uruchomienie go zajęło Cashinowi tylko chwilę.

Lina uniosła i opuściła dekorację, namalowany krajobraz. Koło zapadkowe kontrolowało jej działanie. Dawało gwarancję, że dekoracja nie runie na scenę.

Między liną a ścianą coś leżało. Cashin to podniósł.

Kawałek materiału, sztywny, ale wciąż wilgotny.

Znów ten zapach. Ocet. To był kuchenny ręcznik nasączony octem.

Uniósł go w stronę światła padającego ze sceny. Materiał był ciemny.

Krew.

Pytania nasuwały się same. Dlaczego koło zapadkowe było zablokowane? Czemu lina pozostawała napięta?

Cashin odciągnął żelazne koło, zapadka szczęknęła, lina zaczęła się rozluźniać.

Metaliczne zgrzyty. Fragment dekoracji opadał powoli.

Cashin spojrział między listwami na ten fragment sceny, który mógł teraz zobaczyć.

– O Chryste Panie!

Gołe stopy spuchniętych nóg, zaschnięte na nich strużki krwi, zmierzwione włosy łonowe, ciemny tors, uniesione ramiona, dziura w boku, między żebrami...

Puścił koło. Zapadka zaskoczyła, lina przestała się rozluźniać.

Chude, nagie ciało, pokryte skorupą zakrzepłej krwi, poruszyło się łagodnie.

Cashin przeszedł do foyer, otworzył frontowe drzwi, wyszedł na zimne, toksyczne miejskie powietrze, stanął na najwyższym stopniu schodów wejściowych i oddychał głęboko.

Srebrny samochód skręcił w ulicę, ruszył środkiem, prosto ku Cashinowi, zatrzymał się dwa metry od niego, przednie koła dotknęły krawężnika. Kierowca najwyraźniej w ogóle nie przejmował się tym, pod jakim kątem parkuje.

Z samochodu wysiedli Villani i Finucane. Błdzi i ubrani na czarno jak przedsiębiorcy pogrzebowi utkwili w nim wzrok.

– I co? – rzucił Villani. – Co?

– W środku – odparł Cashin.

Siedzieli w trójkę w wielkim zabałaganionym pokoju na siódmym piętrze – biurka zsunięte razem, teczki z dokumentami w każdym możliwym miejscu, koncert dźwięków telefonów: terkotanie, dzwonki, trele, krótkie głupie melodyjki.

– Jak za dawnych czasów – powiedział Birkerts. – W każdej chwili Singo może stanąć w drzwiach.

– Cholera, chciałbym, żeby tak było – przyznał Villani. Westchnął, przesunął palcami po włosach. – Jezu, muszę pójść go odwiedzić. Czuję się coraz bardziej winny w wielu sprawach. Tyle ich jest niedokończonych.

Cashin pomyślał, że Villani sprawia wrażenie nawet bardziej zmęczonego, niż kiedy widział go ostatnim razem, gdy popijali około północy wino w pokoju jego syna.

– Skoro mowa o niedokończonych sprawach... – zaczął Birkerts. – Mówiłem ci, że Fenton był notowany za ekshibicjonizm? W zapadłej dziurze w Clunes niedaleko Ballarat.

Obnażał się przed metodystkami.

– Metodystki w Clunes?

– Szkoła zorganizowała oryginalną akcję. Program pomocy potrzebującym, bogate dzieci pomagają wiejskim biedakom, dają im wskazówki, jak wykorzystać tańsze kawałki mięsa.

– Lodowate miejsce – wtrącił się Cashin. – Sprawdźcie, czy nie odmroził sobie kutasa.

– Obrzydliwa, żalсна sprawa – powiedział Villani. – Doktor Colley mówi, że ten gość na scenie miał związane ręce. Odarto go z ubrania, podciągnięto wciągarką, torturowano, miał krojone całe ciało z przodu i z tyłu, dźgano go nożem, krew jest wszędzie. Knebel w ustach, jak wędzidło, chusteczka, drugi jeszcze głębiej. Potem został wciągnięty poci sam dach. W którymś momencie skonał, prawdopodobnie się udusił. Szczegóły poznamy rano.

– A ten ktoś siedział na widowni i patrzył, jak facet się wykrwawia – powiedział Birkerts.

Weszli Finucane z Dove'em, który skinął głową Cashinowi. Wszyscy siedzący mężczyźni utkwili wzrok w Finucanie.

– Znalazłem ubranie gościa – oznajmił. – W plastikowej torbie, w pojemniku na śmiecie. W kieszeni były klucze.

– Jakiś dokument tożsamości? – zapytał Villani.

Finucane rozłożył ręce.

– Nic. Ani żadnych śladów. Nikt w sąsiedztwie niczego nie widział. Sprawdzałem raporty o zaginionych. Bez skutku. Ale niedługo coś o nim usłyszymy. – Spojrzał na zegarek. – Za pięć minut jego fotografię pokażą w wiadomościach, to powinno pomóc.

Villani odwrócił głowę w stronę Cashina.

– No więc opowiedz wszystkim.

– Budynek był główną siedzibą Towarzystwa Odnowy Moralnej – zaczął Cashin. – To organizacja charytatywna. Kiedyś prowadzili obozy dla biednych dzieci, sierot, dzieci pod opieką kuratora. Obozy w Queensland i Australii Zachodniej. Bourgoyne wspomagał ich finansowo. Na jego terenie zbudowali obóz w pobliżu Port Monro; Bourgoyne był właścicielem także tego budynku.

– Co się z nimi stało?

– W obozie w Port Monro wybuchł pożar. Trzy osoby zginęły. Rzucili to wszystko.

– Więc jaki jest związek między Bourgoyne'em i tym facetem? – zapytał Birkerts.

– Nie wiem – odparł Cashin. – Ale czułem zapach octu tamtego ranka w rezydencji Bourgoyne'a.

– Tam nie znaleziono żadnej szmaty – zauważył Villani.

– Sprawca zabrał ją ze sobą – odparł Cashin.

– Dlaczego tym razem ją zostawił?

Cashin wzruszył ramionami. Był zmęczony, czuł obręcz bólu wokół bioder, dały o sobie znać godziny czekania, aż eksperci z dochodzeniówki skończą swoją robotę.

– Ale o co chodzi z tym octem? – spytał Birkerts.

– „Dali mi żółci, bym jadł, a kiedy byłem spragniony, dali mi octu, bym pił” – odezwał się Dove.

– Co? – mruknął Villani.

– To fragment z *Modlitewnika powszechnego*. Psalm, zapomniałem który.

Milczenie. Dove zakasłał, zmieszany. Cashin wsłuchiwał się w dzwonki telefonów, elektroniczne brzęczenie, dźwięk telewizora w sąsiednim pokoju, odgłosy ruchu ulicznego dobiegające z dołu.

Villani wstał, przymknął oczy, wyciągnął nad głowę ramiona z dłońmi skierowanymi ku sufitowi.

– Joe, to Moralne Gówno... To jakieś wyznanie, tak?

– Coś w tym rodzaju. Organizację stworzył były ksiądz, Raphael. Morris czy Morrison. Po II wojnie światowej. Miał wizję, która odmieniła jego życie.

– Potrzebuję czegoś takiego – stwierdził Villani.

– Zdobądź parę nowych garniturów – powiedział Cashin. – I krawatów. Na początek.

– To tylko kosmetyczna zmiana. Tak naprawdę nie zmieniam się, pozostaję wciąż ten sam. Telewizor, Fin.

Trzeci temat w wiadomościach. Mediom nie podano wiele informacji; znaleziono martwego mężczyznę w budynku w północnym Melbourne, nic o tym, że go zakneblowano, torturowano i powieszono półnagiego nad sceną.

Na ekranie pojawiła się twarz mężczyzny, czysta, z błyskiem w oczach, wydawała się niemal twarzą żywego człowieka. Kiedyś był przystojny, miał długie proste włosy zaczesane do tyłu, worki pod oczami, głębokie bruzdy biegnące od nosa do wąskich ust.

„Mężczyzna, sześćdziesiąt kilka lat, włosy ufarbowane na ciemny brąz. Każdy, kto wie, kim on jest, lub ma jakiegokolwiek inne informacje na jego temat, proszony jest o telefon do fundacji Stop Przemocy, numer 990 897 897”.

– Porządnie go odszykowali – stwierdził Finucane.

– To tylko kosmetyczna zmiana – odparł Birkerts. – Jest nadal nieżywy.

Obejrzelili resztę wiadomości, zobaczyli wystąpienie Villaniego; nie powiedział nic na

temat kolejnego zabójstwa w ramach gangsterskich porachunków; widzieli, jak dotyka palcem kącika oka i ust.

– Trochę Ala Pacino, trochę Clinta Eastwooda – zakpił Cashin. – Rzekłbym: dynamiczny koktajl.

– Odpieprz się – warknął Villani.

– Szefie? – Chuda, zatroskana twarz, Tracy Wallace, analityk. – Jakaś kobieta, szefie, przełączyli ją z fundacji Stop Przemocy. Chodzi o tego martwego faceta.

Villani spojrzał na Cashina.

– Odbierz, kapitanie. Wygląda na to, że wiesz, co tu jest grane.

Cashin podszedł do aparatu.

– Pani Roberta Condi – uzupełniła Tracy. – Mieszka w północnym Melbourne.

Cashin nie musiał niczego zapisywać, Tracy miała słuchawki na uszach.

– Halo, pani Condi, dziękujemy za telefon. Czy może nam pani pomóc?

– To pan Pollard. Ten mężczyzna pokazany w telewizji. Znam go.

– Proszę mi o nim opowiedzieć. – Cashin przymknął oczy.

Cashin wsunął zielony klucz do zamka.

– Dom zmarłego Artura Pollarda – powiedział i otworzył drzwi.

Wnętrze szeregowca było zimne i ciemne. Trwało chwilę, zanim znalazł wyłącznik światła.

Zapłonęła lampa pod sufitem, dwie kule rozjaśniły salon, meble z lat siedemdziesiątych. Na niskim stoliku leżała gazeta. Cashin podszedł bliżej i spojrzał na datę.

– Sprzed czterech dni – rzekł.

Obok salonu znajdowała się sypialnia – podwójne łóżko dokładnie zasłane, żadnej narzuty, szafa z dwoma lustrami, komoda, buty na drucianym stojaku. Korytarz prowadził do następnego pokoju, w którym stały pojedyncze łóżko, biurko i krzesło. Była też biblioteczka pod ścianą.

Cashin spojrzał na grzbiety książek. Same tanie wydania. Kryminały, powieści katastroficzne, tomy ze złoconymi tytułami. Kupione w antykwariatach, pomyślał.

– Schludna kuchnia – stwierdził Dove, stojąc w drzwiach.

Cashin poszedł za nim korytarzem do kuchni z wyposażeniem z lat pięćdziesiątych; żarówka z zielonym abażurem, emaliowana kuchenka gazowa, lodówka firmy Electrolux z

zaokrąglonymi brzegami i przenośne radio na metalowym stoliku z laminowanym blatem. W zlewie stał odwrócony do góry dnem kubek w biało-niebieskie pasy.

– Jak u mnicha – ocenił Cashin.

Podszedł do zlewu i próbował wyjrzeć za okno, ale nie zobaczył niczego prócz odbicia smutnego pomieszczenia.

Dove nacisnął wyłączniki przy tylnych drzwiach i potężny reflektor zalał światłem betonowe podwórze. Blask dotarł do ceglanej ściany ze stalowymi drzwiami. Przy murze oddzielającym dwie posesje, na pojedynczym sznurze wisiało mokre pranie: trzy koszule i trzy pary slipów.

– Z tyłu jest przejście – rzucił Dove. – Pewnie drzwi od garażu.

Wyszli na zewnątrz, Cashin ruszył przodem. Poczul pod stopami wilgotny śliski beton. Żaden z kluczy Pollarda nie pasował do stalowych drzwi.

– Sprawdź boczne wejście – powiedział Dove.

Wziął klucze. Cashin czekał w domu, rozglądał się wokoło. W szufladach biurka znalazł plastikowe teczki z wyciągami z konta, rachunki za prąd, gaz, telefon i czynsz. Nie było tu nic prywatnego, żadnych listów, fotografii, kaset czy płyt. Nic nie mówiło o Arturze Pollardzie jako człowieku, który ma swoją historię, własne upodobania i uprzedzenia, jeśli nie liczyć czterech puszek pieczonej fasoli w sosie pomidorowym oraz do połowy wypitej butelki whisky i drugiej – zupełnie pustej, w koszu na śmiecie.

Wszedł Dove.

– Nie ma już garażu – rzekł. – Drzwi są zamurwane.

Zadzwońska komórka Dove'a. Zamienił kilka słów z rozmówcą i podał telefon Cashinowi.

– Szef – poinformował.

– Potrzebny nam wielki klucz – oznajmił Cashin. – Sezam. I to nie jutro.

– Jak to się dzieje, że ty wydajesz rozkazy, choć zostałeś na długi czas przeniesiony z wydziału zabójstw? – zapytał Villani.

– Ktoś musi dowodzić.

Czekali w samochodzie, światło ulicznych latarni zalewało przednią szybę. Cashin znalazł stację nadającą muzykę klasyczną. Pobiegł myślą do swojego ciemnego, zrujnowanego budynku pod mokrym wzgórzem, do psów. Rebb nakarmił je już do tej pory, nie musiał go o to prosić. Wraz z pudłami był teraz w szopie, psy się suszyły; cała trójka siedziała wokół brzuchatego, zardzewiałego pieca postrzygaczy owiec, nikt nie używał go co najmniej od trzydziestu lat, zanim się zjawił Rebb. Ciepło napełniało budynek, budząc stare

zapachy – lanoliny, bekonowego tłuszczu, obrzydliwego potu zmęczonych mężczyzn, obecnie już nieżyjących.

– To mógł być zbieg okoliczności – powiedział Dove.

– Może powinienes zostać u federalnych – odparł Cashin.

Zza rogu wyłoniły się światła nadjeżdżającej furgonetki. Kierowca prowadził powoli, rozglądając się uważnie. Cashin wysiadł z samochodu i uniósł rękę.

Dwaj mężczyźni w kombinezonach poszli za nimi przed dom Pollarda.

Jeden z nich wyjął z torby kanciasty kawałek metalu z główką w kształcie grzyba. Przyłożył wybijak do ościeżnicy drzwi garażu na poziomie zamka. Ślusarz zaczął uderzać oburęcznym młotem, szybko, coraz mocniej. Kiedy dłuto się wbiło, cofnął się, poruszył przegubami.

– Sezamie otwórz się. – Zamachnął się młotem jak toporem i wymierzył czyste uderzenie w grzybek. Rozległ się huk podobny do strzału.

Stalowe drzwi otworzyły się gwałtownie, odsłaniając przeraźliwie ciemne wnętrze.

Cashin odnalazł wyłączniki.

Pokój bez okien, pomalowany na biało, podłoga pokryta wykładziną dywanową. Stęchłe powietrze. Pod jedną ze ścian stał stół na kozłach z komputerem, płaskim monitorem, drukarką i skanerem. Obok szafa na dokumenty z szarego metalu i trzy typowo biurowe regały, każdy z czterema półkami. Właściciel utrzymywał porządek; osobno kasety wideo, CD i DVD, foldery, książki i czasopisma.

Przy ścianie, w której znajdowały się drzwi, stało podwójne łóżko z purpurową atlasową kołdrą i wielkimi błyszczącymi, czerwonymi poduszkami. Od strony nóg, na stole stał wielki telewizor, obok odtwarzacze wideo i DVD. Przy nich ustawiono trójnogi statyw. Na wszystkich ścianach widniały plakaty przedstawiające umięśnionych, półnagich mężczyzn: atletów, kulturystów, kick bokserów, pływaków.

Dove otworzył szafę na dokumenty.

– Kamera cyfrowa – zakomunikował. Zamknął szufladę, włączył komputer. – Chcesz to zobaczyć? – zapytał.

Cashin nie odpowiedział. Znalazł pilota, wcisnął klawisz, włączył telewizor, pojawiły się cętki, zaczął wciskać klawisze.

Obraz.

Jakieś warzywo z gładką skórką, być może bakłażan. Kamera się przesunęła. Jakiś otwór, dziurka. To nie było warzywo.

Kamera się cofnęła.

Młoda twarz, chłopiec. Otwarte usta odsłaniały górne zęby. W oczach widać było strach.

Cashin nacisnął przycisk OFF.

– Spójrz na to gówno – mruknął Dove.

Cashin patrzył przez minutę lub dwie.

– Dwanaście lat – ocenił Dove. – Najwyżej.

– Jadę do domu – powiedział Cashin.

W samochodzie streścił rezultaty wizyty Villaniemu.

– Nie jestem zaskoczony – oznajmił Villani. – Pollard był notowany. Przesłanki seksualne wobec nieletnich. Jeden wyrok w zawieszeniu, jeden odsiedział. Sześć miesięcy. Studio pornografii dziecięcej, co tam jest poza tym?

– Wyciągi z konta, rachunki telefoniczne.

– Czemu nie zostałeś w domu? Rozgrzebałeś to gówno, a ja nie mam nikogo do tej roboty.

– Coś mi przyszło do głowy.

– Tak czy inaczej, mam cały dom do twojej dyspozycji, możesz przenocować. Nikogo tam nie będzie prócz mnie, tylko czasami wpadam na trochę. Zaśniesz, prawda?

– Nie przypisuj mi swoich problemów, stary. Zostało jeszcze trochę tego wina, które dostałeś jako łapówkę?

– Może – sapnął Villani.

Dove czekał, czytając „Heralda”. Złożył gazetę i rzucił ją na tylne siedzenie.

– Fajnie być twoim kierowcą. Dowiedziałem się czegoś o zegarku Bourgoyne’a.

– Prawdopodobnie znalazł się na szynach na trasie do Broome – zakpił Cashin.

Wyraz twarzy Dove’a się nie zmienił.

– Bourgoyne kupił zegarek marki Breitling w sklepie Cozzen na Collins Street w 1984 roku. Potem, sześć miesięcy temu kupił inny tej samej marki.

Carol Gehrig opisała zegarek. Dziewczyna na molo, Susie, podała tylko nazwę firmy. Breitling, tak powiedziała. Czemu jej nie zapytałem, jak wyglądał, pomyślał Cashin. Singo

zmrużyłby oczy, pokręcił głową: „Nie zapytałeś? Chciałbyś, żeby to wryto na twoim nagrobku? Nie zapytałem”.

Czy właściciel lombardu w Sydney opisał zegarek, który chłopcy zaoferowali mu tamtego dnia? Czy policjant zanotował zeznania? Właściciele lombardów mają dobre oko, potrafią szybko wycenić towar. Taki fach.

– Czy ci ze sklepu pamiętają wygląd tych zegarków? – spytał Cashin.

– Myślę, że tak. Nie zapytałem.

– Chcesz, żeby wryto...? – Cashin urwał.

– Co powiedziałeś?

– Nic. Rozmawiałeś z panią Bourgoyne?

– Spotka się z tobą w galerii sztuki o dziesiątej trzydzieści. W kafejce na górze. Ona jest członkiem zarządu galerii. Szara eminencja w sprawach sztuki.

– Kto?

– Wyczytałem to dzisiaj w „Financial Review”.

– Jakoś to przeoczyłem. Omnibus. Prawo, sztuka, polityka... – ta kobieta zajmuje się wszystkim.

Jechali dalej w milczeniu. Na Lygon Street Cashin wziął gazetę z tylnego siedzenia. Na piątej stronie pokazano twarz Pollarda, artykuł o nim nie zawierał więcej szczegółów niż komunikat w wiadomościach telewizyjnych.

– Dzwoniono w sprawie Pollarda – odezwał się po chwili Dove. – Około trzydziestu telefonów. Rodzice, ofiary. Facet był bardzo aktywnym pedofilem. Wygląda na to, że ludzie ustawiliby się w kolejce, żeby go powiesić. Jakiś gość mówił, że zna go od bardzo dawna. Był bardzo podniecony, potem nagle umilkł.

– Wracam do domu – oznajmił Cashin. – Niech tą sprawą zajmą się eksperci.

Przejechali przez miasto, znowu milcząc, do chwili, gdy Dove zatrzymał się na drodze dojazdowej naprzeciwko galerii.

– Dąsasz się? – zapytał.

– Bezczelność – burknął Cashin.

– Co to znaczy „bezczelność” w wydziale zabójstw?

– Jeśli nadal pracuję w wydziale zabójstw, to znaczy, że jestem wyższy rangą niż ty. I że wyrzutek z kanberrańskich mętów i facet, który olewa robotę, powinien mi okazywać szacunek. To mam między innymi na myśli, mówiąc o bezczelności.

– Rozumiem. Zdobędę opis zegarków.

– Nigdy nie wytropiłeś nazwiska Pollard, gdy sprawdzałeś płatności robione przez

Addison?

Dove wciągnął nosem powietrze.

– Robiłem ci przysługę. Poza tym to było trzy dni temu. Pollard już nie żył.

Cashin patrzył na mijające ich samochody.

– Pozwalają ci spieprzyć to i owo – rzucił Dove. – Dałeś Hopgoodowi kierować akcją tamtej nocy i zabić dwóch chłopców, i wszystko jest w porządku. Koledzy cię chronią.

– Zdobądź opisy zegarków – polecił Cashin. – I sprawdź, czy Sydney dostało opis od właściciela lombardu. Chcemy to mieć dzisiaj.

– Tak, sir.

Cashin przeszedł przez ulicę do galerii. Ledwo uniknął zderzenia z samochodami i tramwajem. W holu spojrzał w górę i napotkał wzrok Eriki Bourgoyne. Stała oparta o balustradę. Gdy wszedł na piętro, siedziała już przy stoliku.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział. – Czy to miejsce, pani zdaniem, gwarantuje, że nasza rozmowa będzie poufna?

– Jeśli nie zaczniesz pan krzyżeć. – Była w ciemnoszarej sukni, piła czarną kawę. Cashinowi nie zaproponowała, by też się napił. – Co to za dochodzenie?

– Tylko pogawędka.

Wykrzywiła w dół wargi.

– Nie mam czasu na pogawędki. O co chodzi? Mój ojczym zmarł, podejrzani o napad nie żyją.

Cashin pomyślał o Singu, szarych oczach pod brwiami podobnymi do patyczaków.

– Mam obowiązki wobec zmarłego – odparł. – Pani ojczym każdego miesiąca płacił pieniądze niejakiemu Arturowi Pollardowi.

– Naprawdę?

– Zna pani Pollarda?

– Nigdy o nim nie słyszałam.

Grupa japońskich turystów próbowała opuścić galerię przez drzwi wejściowe. Strażnik starał się skierować ich w inną stronę, ale oni albo nie rozumieli, o co mu chodzi, albo myśleli, że to idiota.

– Zamordowano go kilka dni temu. W budynku stanowiącym własność pani ojczyma.

– Chryste. W jakim budynku?

– W sali w północnym Melbourne. Kiedyś był tam teatr. Wiedziała pani, że należał do ojczyma?

– Nie. Nie wiem, co jest jego własnością. Co było. Co to ma wspólnego z Charlesem?

– Są pewne podobieństwa.

– To znaczy?

Cashin zauważył mężczyznę w czarnym golfie siedzącego o trzy stoliki dalej, który przewracał stronę jakiegoś brukowca.

– Pracujemy jeszcze nad tym – odpowiedział. – Czy pani wie coś o Towarzystwie Odnowy Moralnej? O obozie w Port Monro?

– Pamiętam ten obóz, owszem. Wybuchł tam pożar. Czemu pan pyta?

– Ten budynek stanowił siedzibę główną Towarzystwa.

– Zaraz, zaraz. Chce pan powiedzieć, że ci chłopcy z Daunt nie zabili Charlesa?

Cashin odwrócił wzrok, spojrzał na wodę ściekającą po wielkiej szybie okna. Dwie rozmazane postacie na zewnątrz przesuwały palcami po tym strumieniu, formując faliste linie.

– To możliwe – odparł.

– A co z zegarkiem?

– Nie wierzę, że to rozstrzygający dowód.

– Ale przecież to, że Charles robił wypłaty temu człowiekowi, nie świadczy o związku między obu napadami – zauważyła Erica. – Kto wie, ilu ludziom płacił pieniądze?

– Ja wiem.

Usiadła wygodnie na krześle, położyła ręce na stole, złożyła je, potem rozłączyła.

– Skoro więc pan wszystko wie, jak zdołam pomóc?

– Myślę, że jest coś, o czym mogłaby mi pani powiedzieć.

Erica utkwiała w nim spokojne spojrzenie niebieskoszarych oczu. Dotknęła cienkiego srebrnego naszyjnika, przesunęła po nim palcem.

– Nie mam nic więcej do dodania i muszę już iść na umówione spotkanie.

Cashin sam nie wiedział, dlaczego wstrzymywał się do tej pory z wypowiedzeniem tych słów.

– Pollard był pedofilem. Pieprzył chłopców. Dzieci.

Pokręciła głową, jakby ze zdumieniem. Krew napłynęła do jej policzków.

– No cóż... jestem pewna, że to informacja użyteczna dla pana, ale...

– Dla pani nie jest użyteczna?

– A czemu miałyby być? Rozgrzebujecie tę sprawę, ponieważ znajdziecie się w kłopotliwej sytuacji, jeśli chłopcy z Daunt okażą się niewinni.

– My to zniesiemy. – Cashin spojrzał w bok. Kątem oka dostrzegł, że mężczyzna w czarnym golfie naprężył mięśnie prawej ręki. – Czego się pani boi, pani Bourgoyne?

Przez moment wydawało mu się, że usłyszy odpowiedź.

– Co pan ma na myśli?

– Ochroniarza.

– Gdybym bała się czegokolwiek, co leży w zakresie pańskiego zainteresowania, detektywie, powiedziałabym panu o tym. Muszę już iść na spotkanie.

– Dzięki, że poświęciła mi pani swój czas.

Cashin przyglądał się, jak odchodziła. Miała niezłe nogi. Przy schodach ruchomych obejrzała się, napotkała jego wzrok i przez chwilę utrzymała spojrzenie. Potem ochroniarz przesłonił Cashinowi jej widok.

Pierwszy zegarek Bourgoyne kupił w Cozzen's – powiedział Dove. – To jest ten model. – Pokazał zdjęcie w broszurze. – Rachunek z 14 września 1986.

– Bardzo ładny, możesz sobie zmierzyć czas, kiedy będziesz zjeżdżał na sankach ze szwajcarskiego lodowca. – Zegarek miał wyszukane wzornictwo; czarny cyferblat z trzema białymi tarczkami, trzy ukośne, wpuszczane pokrętła, pasek z krokodylej skóry.

– Nazywa się maritimer i nadal jest produkowany. – Dove mówił z akcentem z wyższych sfer, z lekkim obrzydzeniem. – A to drugi, który stary sobie kupił, kolejny maritimer, 14 marca 2000.

Prosty, biały cyferblat, trzy małe tarczki i pasek, także z krokodylej skóry.

Cashin pomyślał o poranku na Wzgórzu. Carol Gehrig twierdziła, że to elegancki zegarek. Pasek z krokodylej skóry.

– Co mówił właściciel lombardu?

– Cytuję: „To był breitling. Maritimer. Dla kolekcjonerów. Bardzo drogi. Ten z trzema małymi tarczkami, czarnym cyferblatem, z paskiem z krokodylej skóry”.

Cashin, obolały, wstał, podszedł do okna i spojrzał na tereny szkolne, na ogrody publiczne, rozplywające się w mglistej mżawce. Odszukał bezpośredni numer do Helen Castelman.

– Helen Castelman.

– Joe Cashin.

Cisza.

– Próbowałam się do ciebie dodzwonić – odezwała się po chwili. – Twój numer domowy nie odpowiada, komórka też nie.

– Używam innej. Jestem w mieście.

– Nie wiem, co powiedzieć. Byłeś taki nieuprzejmy. Arogancki. Pogardliwy.
– Znalazłaś człowieka? Słuchaj, potrzebuję opisu zegarka, który widziała Susie. Podaj mi nazwę, ale mi zależy na opisie. Postarasz się to wydobyć?

- Śledztwo jest nadal w toku?
- Bez przerwy. Możesz to zrobić jak najszybciej?
- Zobaczę. Daj mi swój numer.

Cashin usiadł, popatrzył na partnera. Dove nie chciał na niego spojrzeć.

– Hopgood mówi, że nie zachowały się informacje, które otrzymał tamtego wieczoru – powiedział Cashin.

Teraz Dove spojrzał.

- Sukinsyny – wycedził. – Skasowali te pieprzone zapisy.
- To mogła być nasza wina. Problemy techniczne.

Dove pokręcił głową, światło spod sufitu rozbłysło w jego okrągłych okularach.

– No, to będziesz mógł na mnie zwalić winę podczas dochodzenia – powiedział. – Nacisnąłem na niewłaściwe guziki. Po prostu schrzaniłem sprawę. Jak to się zdarza czarnuchom.

Cashin wstał, siedzieć było gorzej niż stać, znowu podszedł do okna.

- „Wy, czarnuchy dwa, teraz historyjki zmyślacie?”. Cytat z Hopgooda.
- Co? – zdziwił się Dove.
- Tak powiedział Hopgood. „Wy, czarnuchy dwa, teraz historyjki zmyślacie”.
- To my?
- Tak, wydaje mi się, że chodziło mu o nas.

Dove roześmiał się z prawdziwą przyjemnością.

– Cóż, witamy w Czarnuchowie. Słuchaj, brachu, pójdziemy na lunch za rogiem. Sfutrujesz kanapkę?

- Jadam za rogiem – odparł Cashin. – Już od sześciu lat i dalej mam zamiar to robić.
- W centrum sztuki jest Brunetti – powiedział Dove.
- Ty pieprzony żółtodziobie, nie odróżniasz Brunetti od Donetti.

W windzie dołączył do nich Finucane, podwiózł ich na St. Kilda Road.

– Fin, kiedy na ciebie patrzę – zaczął Cashin – daję ci, cholera, dziewięć punktów w skali przepracowania i niedospania.

Finucane uśmiechnął się skromnie, jak człowiek, którego wysiłki zostały docenione.

- Dziękuję, szefie.
- Chciałbyś się przenieść do Port Monro? – zapytał Cashin. – Tylko bójki w pubach i

pieprzenie owiec, świr zwinął sąsiadowi urządzenie hydroponiczne oficjalnie używane do uprawy pomidorów. Dobre miejsce, żeby wychowywać dzieci.

– Zbyt podniecające – stwierdził Finucane. – Kazałem sześciu facetom sprawdzić Pollarda.

W Brunetti stanęli w kolejce za ubranymi na czarno urzędnikami, turystami z plecakami i czterema kobietami ze wsi oszołomionymi wyborem dań. Cashin kupił calzone, Dove wziął roladę z kaczką, oliwkami, puree ze słodkich ziemniaków i pięcioma rodzajami sałatek. Pili kawę, kiedy zadzwoniła komórka Cashina. Wyszedł na zewnątrz.

– Słyszę ruch uliczny – powiedziała Helen. – Ogarnia mnie nostalgia. Gdzie jesteś?

– Niedaleko centrum sztuki.

– Cóż za kultura: opera, galerie...

– Mów o Susie. – Cashin przyglądał się mężczyźnie, który jechał chodnikiem na rowerku z jednym kółkiem. Na ramionach siedziały mu małe białe pieski. Miały znudzone miny pasażerów długodystansowych autobusów.

– Powiedziała, że zegarek miał czarny cyferblat i dwie albo trzy białe tarczki.

Cashin zamknął oczy. Pomyślał, że powinien podziękować za pomoc i grzecznie się pożegnać. Tego wymagałby od niego minister policji, komendant główny, zastępca komendanta do spraw kryminalnych i bardzo prawdopodobne, że także Villani.

Powinien jej wyjaśnić, że w wieczór napadu Bourgoyne nie nosił zegarka, który chłopcy próbowali sprzedać w Sydney.

– Jesteś tam? – zapytała Helen.

– Dziękuję za pomoc – wymamrotał.

– O to chodziło?

– Tak.

– To do widzenia.

Dopili kawę i wrócili na piechotę. Cashin musiał dwadzieścia minut czekać na spotkanie z Villanim.

– Bourgoyne nie nosił zegarka, który chłopcy chcieli sprzedać w Sydney. – Przeszedł do rzeczy bez żadnych wstępów.

– Skąd wiesz?

Cashin opowiedział całą historię.

– Ale i ten mogli świsnąć w domu. Mogli gwizdnąć oba.

– Nie. Siostra Coreya Pascoe'a widziała ten fantastyczny zegarek rok temu. Corey go miał, zanim pojechał do Sydney.

– Hm, może kłamała.

– Wierzę tej dziewczynie.

– Tak?

– Znała markę. Opisała zegarek.

– Jasna cholera – zaklął Villani. – To nie wygląda dobrze.

– Nie. Co znaleźliśmy o Pollardzie?

– Kobieta z sąsiedztwa, niedaleko sali, zidentyfikowała faceta. Widziała go w pobliżu kilka razy. Raz z dzieckiem. Około dwudziestu ofiar do przesłuchania. Robota z komputerem potrwa wieczność. Tysiące zdjęć. Nie przeceniam naszych szans. Dobrze, że Pollard już nie żyje. Tak, jak te sukinsyny od narkotyków, którym próbujemy oddać sprawiedliwość.

– Tak czy siak, nie moja sprawa – odparł Cashin. – Jadę do domu. Jestem na przymusowym urlopie. Nie ma mnie.

– I to właśnie kiedy znowu zacząłeś się adaptować. Chcesz skończyć z tym głównianym oddelegowaniem? Co cię, kurde, ugryzło?

– Mam dosyć zabójstw – wyjaśnił Cashin. – Nie chcę już więcej oglądać trupów. Z jednym wyjątkiem. Pragnę zobaczyć martwego Raia Sarrisa. I Hopgooda. Dla Hopgooda też zrobię wyjątek.

– Nieprofesjonalne podejście. Niepoważne. Jesteś pewien?

– Tak.

Villani poszedł z nim do wind.

– Muszę przyznać – rozejrzał się po korytarzu – że mnie to przygniata. Nie podoba mi się to, co robię. Warto się zastanowić nad zmianą podejścia.

Cashin nie wiedział, co odpowiedzieć. Otworzyły się drzwi windy. Dotknął rękawa Villaniego.

– Nie przejmuj się. Nie daj się zwariować.

Komórka zabręczała na długo, zanim wyjechał z miasta. Cashin zatrzymał wóz.

– Szefie, tu Fin. Zadzwoił ten facet...

– Tak. Footscray.

– Powinieneś z nim pogadać, szefie.

– Nic z tego, Finn. Jadę do domu.

Ruch uliczny wzrastał się: mnóstwo wozów sportowych, furgonetek, ciężarówek.

– No tak, ale szef prosił...

– Mów.

– No, ten to jest ostro wkurzony. Całkiem mu odbiło.

– Jak to?

– Zna Pollarda. I go nienawidzi. Właściwie nienawidzi wszystkiego i wszystkich, pluje na cały świat, trzeba zasłaniać się tarczą, jak w prewencji.

– Ile ma lat?

– Nie jest taki stary. Trudno powiedzieć, ogolona głowa, paskudne zęby, może czterdziecia. Na pewno ogromne problemy z narkotykami.

– Masz zeznanie?

– Szefie, tu nie o zeznaniu mowa, tylko o waleniu w drzwi.

– O czym?

– Próbowałem do niego przemówić, był spokojny i nagle jak nie skoczy... Przebiegł przez pokój, walnął w drzwi, dwa razy. Za drugim ręką mu utkwiała w drzwiach, wszędzie krew.

– Jak się nazywa? – zapytał Cashin.

– David Vincent.

Cashin wypuścił powietrze z płuc.

– Podaj adres. Jestem niedaleko.

Finucane czekał na niego, zaparkował na ulicy z domami ze spróchniałych desek, wrakami samochodów i małymi podwórkami zamulonymi śmieciową pocztą. Cashin stanął przy drzwiach samochodu z rękami w kieszeni.

– Ucieszy się, że znowu cię zobaczy?

Finucane podrapał się po głowie.

– Nie. Powiedział, żebym się odwalił. Ale to nie na mnie się wścieka. Ma pretensje do całego świata.

– Sam mieszka?

– Teraz nie ma tam nikogo poza nim.

– Idziemy.

Stukali dłuższą chwilę, zanim drzwi się otworzyły. Cashin zobaczył podbiegnięte żyłkami oko.

– Panie Vincent – odezwał się Finucane. – Wyższy funkcjonariusz policji chciałby pogadać o tym, co pana trapi.

Drzwi uchyliły się szerzej, ukazując dwoje oczu i blady nos, złamany kilka razy. I

krzywo złożony. Oczy miały kolor proszku do prania.

– Nic mnie, cholera jasna, nie trapi – warknął Vincent. – Co to za gówniana gadka?

– Możemy wejść? – zapytał Cashin.

– Odpieprzcie się. Powiedziałem, co miałem do powiedzenia.

– Jak rozumiem, zna pan Artura Pollarda.

– Już mówiłem. Tym idiotom ze Stop Przemocy. Podąłem im nazwisko.

Cashin uśmiechnął się do niego.

– Jesteśmy panu za to bardzo wdzięczni. Dziękuję. Chcielibyśmy dowiedzieć się tylko jeszcze kilku rzeczy.

– Nie. Jestem zajęty. Czeka na mnie kupa roboty.

– Rozumiem – powiedział Cashin. – Hm, naprawdę docenilibyśmy pańską pomoc. Zamordowano człowieka, niewinnego człowieka...

Vincent gwałtownie otworzył drzwi, aż rąbnęły o ścianę korytarza, wstrząsając całym budynkiem.

– Niewinnego? Pogięło cię? Tego sukinsyna sam powinienem zabić...

Cashin odwrócił wzrok. Nie chodziło mu o Pollarda, miał na myśli Bourgoyne'a.

Z domu obok wyszła jakaś kobieta. Trudny do określenia wiek, różowy turban, owinięta w coś, co wyglądało na starą, wytłaczaną welwetową zasłonę, wypłowiła i popruta.

– Ile razy mam powtarzać, żebyście się odwalili?! – wrzasnęła. – Łażą tu z tą swoją cholerną jankeską religią...

– Policja! – zawołał Finucane.

Cofnęła się błyskawicznie. Cashin spojrzał na Vincenta. Wyraz wściekłości zniknął z twarzy faceta, jakby wybuch gniewu wysączył z niego trochę trucizny. Był wielkim mężczyzną, ale garbił się i bardzo utył. Na szyi robiły mu się wałeczki.

– Ta kobita jest szalona – powiedział łagodnym głosem. – Zupełnie jej odbiło. Wejdźcie.

Poszli za nim ciemnym korytarzykiem do małego pokoju z zapadniętą kanapą, dwoma plastikowymi krzesłami i stolikiem z metalowymi nóżkami, na którym stało pięć puszek po piwie. Na dwóch ułożonych jedna na drugiej skrzynkach po mleku stał telewizor. Vincent usiadł na kanapie i zapalił papierosa. Zapalniczkę trzymał oburącz mocno trzęsącymi się dłońmi. Na palcach prawej ręki miał przyschniętą krew.

Cashin i Finucane usiedli na plastikowych krzesłach

– Więc wie pan o Arturze Pollardzie? – zapytał Cashin.

Vincent podniósł puszkę, potrząsnął nią, sprawdził kolejną, wreszcie znalazł jakąś z

piwem.

– Ile razy mam wam to mówić? Znam tego psa, tego pieprzonego...

Cashin podniósł rękę.

– Zaraz. Skąd pan go zna?

Vincent napił się, spojrzał na podłogę, zaciągnął się papierosem. Lewe ramię mu drżało.

– Z wakacji.

– Jakich wakacji?

– Koszmarnych. – Podniósł głowę, utkwił wzrok w Cashinie. – Próbowałem im to powiedzieć. To nie byłem tylko ja. Och nie. Biedny mały gówniarz niemal ich nakrył.

– Co pan próbował im powiedzieć?

– Nie wierzycie mi, tak?

– O jakich wakacjach pan mówi?

– Patrzyli na mnie tym ohydny wzrokiem... popieprzone dupki...

– Spokojnie – odezwał się Cashin.

– Odwalcie się. Nic wam nie powiem, jesteście tacy sami, dranie zabili dzieciaka, a wy, wy... odpieprzcie się.

– Dasz fajkę? – zapytał Cashin.

– Co?

Cashin zrobił gest, że pali.

– Dasz fajkę?

Vincent spoglądał to na Cashina, to na Finucane'a. Włożył rękę do kieszeni brudnej bawełnianej koszuli i wyciągnął paczkę leisure lights, otworzył ją brudnym paznokciem kciuka, potrząsnął i podał papierosa. Cashin wziął. Vincent podał paczkę Finucane'owi.

– Nie, dzięki. Próbuję się odzwyczaić.

– Tak. Ja też. – Vincent podał Cashinowi plastikową zapalniczkę.

Cashin zapalił.

– Dzięki, koleś – rzucił. – Więc nie chcieli słuchać?

– Nie chcieli słuchać – powtórzył Vincent. – Dostałem wycisk od tego drania Kerna. Walił mnie cały czas. Byłem cienki jak patyk. Połamał mi zebra, trzy. Kazał mi powiedzieć w szkole, że spadłem z roweru.

Długa cisza. Vincent opróżnił puszkę z piwem i odstawił ją na stół. Jego ogolona, pokryta bliznami głowa opadła nisko, a papieros niemal parzył mu palce. Cashin i Finucane spojrzeli sobie w oczy.

– Nie miałem roweru – wyznał Vincent smutnym, chłopięcym głosem. – Nigdy. A bardzo chciałem mieć.

Cashin się zaciągnął. Papieros smakował okropnie. Cieszyło go, że nie pali. Że nie pali dużo. Vincent nie podnosił wzroku, rzucił niedopałek na podłogę, próbował go przydeptać stopą, chybił. Rozniósł się zapach płonących nylonowych włókien, ostry i dziwnie słodki.

– Chciałbym wiedzieć, co się wydarzyło, kiedy byłeś dzieciakiem – powiedział Cashin. – Będę słuchał. Ty opowiadasz, ja słucham.

Znów długa cisza. Vincent podniósł głowę i zdumiony popatrzył na nich, jakby właśnie pojawili się w pokoju.

– Muszę iść – mruknął. – Mam mnóstwo spraw.

Wstał chwiejnie i wyszedł z pokoju, uderzając się o framugę drzwi. Słyszeli, jak mruczy, idąc korytarzem. Trzasnęły drzwi.

– To chyba to – stwierdził Finucane. Przydeptał niedopałek Vincenta. Wyszli na dwór, na deszcz.

– Wakacje... – zaczął Cashin. – Fin, on mówi o obozach Towarzystwa. Musimy poznać jego całe życie. I to migiem.

– To nie zostajemy, szefie?

– Nie. I teczki z holu. Ktoś musi wyciągnąć wszystko, co odnosi się do Port Monro. Zadzwoni, jak coś będziesz miał. Dryndnij, okej?

– Dobra. Szefie, ty pierwszy się dowiesz.

– I weź się, cholera, trochę prześpij, Fin. Martwię się o ciebie.

– W porządku. Przecież nie wstaną z martwych.

– Uczysz się. Powoli, ale się uczysz.

Już dawno było ciemno, kiedy zgasił silnik i zobaczył światło latarki zbliżające się z boku domu. Psy biegały obok siebie, z podniesionymi głowami; uszy im powiewały. Dobiegły do wozu, zanim zdążył wysiąść. Musiał zмагаć się z ich ciężarem, żeby otworzyć drzwi. Ostry ból przeszył mu prawe biodro, kiedy wystawił nogi.

– Myślałem, że cię straciliśmy – powiedział Rebb, masa ukryta poza strefą światła.

Cashin odwzajemniał pieszczoty psów; spuścił głowę pozwalając im lizać sobie rękę, włosy, uszy.

– Utknąłem w mieście – wyjaśnił. – Wiedziałem, że zajmiesz się bestiami, jak trzeba.

– Nie zostało już nic jedzenia dla psów – relacjonował Rebb. – Zabrałem jedną z twoich śrutówek i poszedłem na spacer.

– Dobrze myślisz.

– Drugi królik jest w piekarniku. Wziąłem oliwki z lodówki. I puszkę pomidorów.

– Lubisz oliwki? – spytał Cashin.

– Zbierałem je w Australii Południowej. Pracowałem tam, gdzie je puszkują. Żarłem oliwki, aż mi nosem wychodziły. Włóczędzy jedzą wszystko. Zwierzyń zabitą przez samochody, kawior.

– Muszę się napić – powiedział Cashin. – Zostawiłeś coś do picia?

– Jutro odchodzę.

Cashin poczuł, jak zmęczenie i ból ogarniają całe ciało.

– Możemy o tym porozmawiać?

– Wpadnę, jak będę tędy znowu przechodził.

– Tak czy inaczej, wejdź i napij się. Strzemiennego.

– Już piłem. Ścięło mnie. Teraz się pożegnam.

Wyciągnął rękę. Cashin nie chciał jej uścisnąć, ale uścisnął.

– Jestem ci winien pieniądze – rzekł. – Ureguluję to jutro. Obiecuję.

– Zostaw na schodkach. Jak nie, wezmę następnym razem. Ufam ci, jesteś policjantem.

Jak mógłbym nie zaufać?

Odwrócił się i poszedł. Cashin odczuł stratę, na którą nie był przygotowany.

– Hej, stary! – zawołał. – Prześpij się z tym, co?

Bez odpowiedzi.

– Ze względu na psy.

– Dobre kundle – powiedział Rebb. – Będę za nimi tęsknił.

Ciemny dzień, wóz wspina się śliską od deszczu drogą w stronę niknącego we mgle wierzchołka wzgórza. U bramy, przy podjeździe topole ociekają wodą.

Cashin skręcił w lewo, w drogę, która oplatała z daleka dom i kończyła się przy piętrowym budynku z czerwonej cegły. Zaparkował na bruku przed drewnianymi drzwiami do garażu, wyłączył silnik, opuścił okno. Do środka wtargnęło wilgotne zimno. Siedział w milczeniu. Silnik warczał cicho.

Cashin pomyślał o rodzicach Shane'a Diaba, którzy przyszli go odwiedzić w szpitalu, kiedy niebezpieczeństwo już minęło. Nie usiedli, byli niezdarni, nie mówili dobrą angielszczyzną. Nie wiedział, co powiedzieć. Przez niego zginął ich syn. Po jakimś czasie uratowała go Vincentia, pożegnali się. Matka Shane'a dotknęła jego policzka, a potem szybko

pocałowała w czoło. Na szafce obok łóżka zostawili białe pudełko.

Vincentia je otworzyła, uniosła i nachyliła w stronę Cashina. W środku było kwadratowe ciasto z polewą z białego lukru i czerwonym krzyżem. Chwilę mu zajęło, zanim zobaczył, że ramiona krzyża są utworzone z imion: Joe+Shane.

Dał ciasto Vincentii. Potem powiedziała, że pielęgniarki ze zmiany podzieliły się nim – owocowe, bardzo dobre.

Cashin wysiadł. Okrążając budynek, doszedł do dwuskrzydłowych drzwi od frontu. Mgiełka zamieniła się w deszcz.

Na kółku, które dała mu Erica Bourgoyne, było z tuzin kluczy. Siódmy pasował. Cashin otworzył drzwi, poszedł korytarzem. W pracowni garncarskiej z zamkniętymi okiennicami było ciemno. Znalazł włącznik światła, wysoko zamigotały jarzeniówki, oświetliły pokój.

Światło ukazało zamiecioną ceglana podłogę, narzędzia ogrodnicze wiszące na desce z kółkami jak eksponaty. Kosiarka z siedzeniem, mały traktor i przyczepka stały w rzędzie, wyczyszczone jak na wystawę. Zadbany pokój mówił o organizacji i dyscyplinie.

Po prawej stał obraz oparty licem do ściany; nacięcie w kształcie V ktoś skleił taśmą. Był większy, niż go zapamiętał.

Podszedł, chwycił za ramę, niezdarnie podniósł, odwrócił i znowu oparł o ścianę. Nie widział dobrze obrazu, dopóki nie cofnął się o kilka kroków.

Malowidło przedstawiało zalany światłem księżycy krajobraz, biała ścieżka wiodła przez piaskowe wydmy pokryte nadbrzeżnymi krzakami do zabudowań w oddali, w oknach widać było światła. Większa część płótna pokazywała ogromne niebo z gnanyymi wiatrem chmurami, które oświetlał księżyc dochodzący do pełni.

Cashin znał to miejsce. Stał tam, na szczycie ostatniej, wielkiej wydmy. Patrzył w stronę leżących teraz w ruinie zabudowań i drogi wijącej się od autostrady, pod górę do szosy Kenmare i podjazdu do Wzgórz.

Podszedł bliżej. Na ścieżce widać było coś, co wyglądało na postacie. Krótka kolumna, trzy osoby w rzędzie, szły do zabudowań. Dzieci, to były dzieci. Dwie wyższe postacie.

Obraz nie był podpisany. Odwrócił go. W dolnym lewym rogu widniała mała naklejka. Czerwonym atramentem napisano: „Obóz Towarzystwa, Port Monro, 1977”.

Obóz Towarzystwa – powiedział Cashin. – Przy ujściu.

Zapadła długa cisza. Cecily Addison stała przy półce nad kominkiem, patrząc na niego.

– Pani wydaje się właściwą osobą, której można zadać to pytanie – dodał Cashin.

Cecily przechyliła głowę, zatrzepotała rzęsami.

– Mogę wiedzieć, o co chodzi?

– O Charlesa Bourgoyne’a.

– Myślałam, że sprawa już zamknięta.

– Nie.

Ostatnie zaciągnięcie się papierosem, uniesione brwi.

– No cóż, co chciałbyś wiedzieć, mój drogi?

– Co to był za obóz?

– Dla chłopców. Sierot i takich tam. Przybrane dzieci. Towarzystwo organizowało im wakacje, dawało trochę radości. Mnóstwo ludzi z Cromarty pomagało, włączając w to mojego Harry’ego. To była dobra sprawa.

– Obóz spłonął.

– W 1983. Tragedia. Ale mogło być gorzej. Tamtej nocy było tylko trzech chłopców. I brat, tak się nazywali. Nie zdołał ich uratować. Przeszkodził mu dym, tak orzekł coroner.

– Gdzie była reszta dzieci?

– Na jakiejś imprezie kulturalnej. – Wrzuciła papierosa do wazonu na półce nad kominkiem. – Często zabierali ich do Cromarty. Koncerty, przedstawienia... To było coś. Nie siedzieli przed telewizorem, oglądając amerykańskie śmiecie.

– Co wywołało pożar?

– Podobno uszkodzony bojler w budynku sypialni, w piętrówce. Dom z drewna. Chłopcy spali na górze.

Cashin pomyślał o poczerniałych ceglanych fundamentach, zwęglonych legarach podłogowych. Stał tam, gdzie zginęli chłopcy.

– Czy Bourgoyne, poza tym, że był właścicielem ziemi, miał coś wspólnego z obozem?

Cecily mocno zmarszczyła czoło, aż pokazały się głębokie bruzdy.

– Hm, nie wiem. Oczywiście, był zaangażowany. Poszedł w ślady ojca. Mnóstwo ludzi się udzielało społecznie. Odwalali dobrą robotę i nie po to, żeby ich nazwiska znalazły się w gazecie. Cnota była jedyną nagrodą. Wie pan, o czym mówię, detektywie?

– Moją nagrodą jest pensja, proszę pani.

Spojrzała na niego, mrużąc oczy.

– Pan stoi wyżej niż ci nudziarze, którzy nie potrafią znaleźć sobie innej pracy, prawda?

– Więc jaki był koniec obozu? – zapytał Cashin.

– Obozu i Towarzystwa. O wszystkim napisano w gazetach. Myślę, że po prostu zaprzestali działalności. To był ostatni z ich obozów. Charles dał pracę dawnemu kierownikowi. Percy’emu Crake’owi. Niesympatyczny typ.

Rozległo się stukanie do przymkniętych drzwi.

– Tak! – zawołała Cecily.

Pani McKendrick.

– Pani spotkanie opóźni się o dwadzieścia minut – oznajmiła. – Podobno mają kłopoty z samochodem.

– Dziękuję, moja droga.

Pani McKendrick odwróciła się jak nastoletnia baletnica, sięgając za siebie, żeby zamknąć drzwi. To był znak.

– Kochała się w Jocku Cameronie – podjęła Cecily. – Przez tyle lat... Doprawdy, smutne. On tego nie zauważał. Często się zastanawiałam, czy aby nie dostał szrapnelem.

– Powiedziano mi, że w ratuszu w Melbourne nie ma raportów Towarzystwa z Port Monro. – Tę informację dostał od Fina. – A ze wszystkich innych obozów tam są. Czy mogą być gdzie indziej?

– Nie wiem. Dlaczego mieliby trzymać je gdzie indziej?

Z wazonika na półce wydobywał się dym jak z fumaroli. Cashin wstał, wziął go do okna, podniósł ramę, potrząsnął pojemniczkiem i wyrzucił kopcącą zawartość na wiatr od morza.

– Pójdę już. Dziękuję pani za poświęcony mi czas.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Na dworze było zimno, nikt się nie włóczył. Cashin poczuł chęć na spacer. Poszedł ulicą, mijając puste butiki, gabinet aromaterapeuty, wykaz nieruchomości w oknie agencji pośrednictwa. Przeszedł przez Crozier Street. Przez szybę pubu zobaczył trzech mężczyzn oglądających wyścigi chartów w telewizji; najstarszy kaszłał, jakby miał zaraz wypluć płuca. Za pubem stały domy, głównie do wynajęcia na wakacje, z zaciągniętymi storami.

Cashin szedł, a śpiew z kamiennego kościoła przybierał na sile. Skręcił za róg przy chwiejnych, nierównych wersach psalmu.

„Gdybym przybrał skrzydła jutrzeńki,
zamieszkał na krańcu morza:
tam również Twa ręka będzie mnie wiodła
i podtrzyma mnie Twoja prawica”.

Zapadła cisza, a potem długie i cienkie „amen” stało w powietrzu, wisiało w gałęziach sosen.

Cashin poczuł nagły miazdzący ból straty i kruchości życia, odwrócił się i poszedł tą samą drogą, pod wiatr.

W zawierusze szedł po moście linowym wysoko nad wodą. Most chwiał się, trzeszczał i jęczał, nie miał wszystkich desek. Cashin spojrzał w dół, to był Kocioł, nadchodziła wielka fala. Walczył, żeby nie upaść, przywarł do lin-poręczy, nie mógł się utrzymać, liny wyslizgiwały mu się z rąk, spadał do Kotła.

Cashin leżał zlany potem. Nie spał. Czuł ulgę. Wiedział, co to za dźwięki: antena telewizyjna znów się urwała i wiatr targał nią na wszystkie strony, szarpał taśmy. Te odgłosy wywołały sen o Kotle. Jak powstają sny?

Odwrócił zegar: szósta czterdzieści sześć. Siedmiogodzinny sen, najdłuższy, nieprzerwany sen, jaki pamiętał. Ból przy wstawaniu; wpuścić psy i nakarmić, wypić sok, wziąć prysznic.

Dzień był szary, prawie bezwietrzny. Kiedy psy wróciły z poszukiwań Rebba, wybrał się okrężną drogą pod górę. Europejskie drzewa stały teraz nagie pośród wilgotnych liści. Zeszli ze wzgórza, przebyli wielką polanę, bez zajęcy dzisiaj. Cashin stapał z kamienia na kamień, żeby przebyć wzburzony strumień. Potem, nie widząc psów, skręcił na zachód, w stronę posiadłości Helen. W myślach widział obraz – równinę zalaną światłem księżycy, małą procesję chłopców zmierzających w stronę zabudowań ze światłami w oknach. Obóz Towarzystwa. Cashin pomyślał o Pollardzie – ukrzyżowanym, umierającym. Ktoś siedział i oglądał to jak sztukę, koncert albo radosne przedstawienie, które się oklaskuje.

Kiedy Pollard stracił przytomność? Czy obserwator z przyjemnością wsłuchiwał się w odgłosy śmiertelnej męki? Czy ofiara błagała o łaskę? Czy tego chciał okrutny widz?

Płatności Bourgoyne’a dla Pollarda. Bourgoyne patronem Towarzystwa.

Archiwa z obozów w Australii Zachodniej, Queenslandu i Australii Południowej. Co się stało z zapiskami z Port Monro?

Pasek, który psy znalazły tamtego dnia.

„Bądź Gotów”.

Nie większy niż psia obroża, ręce dorosłego mogłyby objąć tak wąską talię.

W domu Castelman trwały prace. Nowa blacha falista na dachu, różowe, doskonałej jakości deski, wielkie okna, wystająca platforma, która będzie tarasem. Miejsce wypoczynku, patrzenia na strumień, na wzgórze. Na posiadłość.

Dlaczego zgodził się sprzedać działkę ze strumieniem? Bo Helen się na niego gniewała i była tą bogatą, wyrafinowaną dziewczyną, która go pocałowała – wstydliwego, tykowatego chłopca z włosami przystrzyżonymi przez ciotkę?

Oferta wycofana na zawsze.

To był solidny płot. Dobra robota. Ile Rebb zdoła przejść dziennie? On nie prosi o podwieszenie, ludzie będą musieli jego prosić. Każde narzędzie, z którego korzystał Rebb, leżało w rządku, w szopie do strzyżenia owiec, wyczyszczone i naoliwione. Jego materac stał oparty o ścianę, koce na sprężynach łożka, złożone w kwadrat, na nich poduszka, a na wierzchu wyprana powłoczka na poduszkę.

Cashin przeżuwał owsiankę ugotowaną w mikrofalach, kiedy zadzwonił telefon.

– Przyjechał we wtorek? – zapytał Dave.

– Którego tygodnia?

– Powinienem raczej powiedzieć: którego roku. Dokładnie przyjrzałem się Davidowi Vincentowi.

– Tak?

– Kilogramy dragów.

– Podsumowanie. Przecież je zrobiłeś.

– Oczywiście. Urodzony w Melbourne, w 1969, wzięty do sierocińca w 1973, mieszkał w jakimś Colville House od 1973 do 1976 roku. Potem rodzina zastępcza numer jeden do 1978 roku, numer dwa do 1979, ucieka, odnaleziony, numer trzy do 1980 roku, ucieka. Jesteś tam?

– Mów dalej.

– Następny zapis to aresztowanie w Perth, w 1983 roku za kradzież torebki. Wiek, osiemnaście. Potem lista drobnych wykroczeń, zamknięty jako młodociany w osiemdziesiątym czwartym na sześć miesięcy, znowu w osiemdziesiątym szóstym na dziewięć miesięcy. Tyle w kwestiach formalnych.

– A reszta?

– To smutna historia. Instytuty. W raporcie jest mowa o depresji klinicznej

spotęgowanej wielorakim uzależnieniem. Cztery lata w Lakeside, Ballart. Miło brzmi. Nad jeziorem. Tu piszą, że hera, amfetamina, metadon, trawka, bimber; pacjent wdaje się w bójki i odnosi obrażenia wielu części ciała.

Cashin nie zauważył, jak plama światła przesunęła się po starych deskach pokoju.

– Dzięki – mruknął. – Słuchaj, potrzebny mi numer, spod którego Dave Vincent dzwonił do Stop Przemocy. Tracy go ma.

– Rozmowa z Vincentem to musiał być problem...

– Czasem problemem jest, jak ludzie na ciebie patrzą.

Spostrzeżenie wzięte od Singa. Dawno temu, pewien mężczyzna z Geelong nie chciał mówić. Pięści miał zaciśnięte, kark jak płot ze ścięgien. Singo napisał swój wewnętrzny na kartce i podał facetowi. Gliniarze wyszli i czekali w gabinecie. Nie minęła minuta, jak zadzwonił telefon i Singo rozmawiał z gościem prawie godzinę.

– Hm, miło mi, że potrafisz tak obiektywnie na siebie spojrzeć – stwierdził Dove. – Mogę wiedzieć, co chcesz od Vincenta?

– Myślę, że był w obozie w Port Monro.

– Tak? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Po prostu intuicja.

– Ach, tak. Ciągłe się to słyszy. Tajemnice firmowe. Poczekaj.

Dave wrócił z numerem w niecałe dwie minuty.

– No to znów ruszamy do pracy – powiedział Cashin. – Idź z wydziałem antynarkotykowym tam, gdzie zostanie wezwany, i aresztuj pierwszego kutasa, jakiego napotkasz.

– To takie staromodne, takie nie w stylu nowoczesnej sztuki policyjnej.

Numer nie odpowiadał. Za wcześnie na Vincenta, pomyślał Cashin. Jego dzień zaczyna się pewnie w okolicach lunchu.

Bezrobotna – oznajmiła Carol Gehrig. Przesunęła się na krzesło, pociągając za dres w kroczu. – Szesnastotygodniowa odprawa, ile to jest za dwadzieścia sześć lat w robocie?

Tani, drewniany dom stał na wygwizdowie, na niskim wzgórzu z widokiem na Kenmare. Za nim znajdowała się wielka szopa, otwarta od frontu; zmieściłaby ciężarówkę, ale w środku była tylko stara, żółta mazda.

– Kto panią zwolnił? – zapytał Cashin.

– Prawniczka. Addison. Nieruchomość niedługo idzie na sprzedaż. Muszę się zebrać, kiedy przyjdzie czas. – Zaciągnęła się petem, zdusiła go między kilkoma już leżącymi w muszli uchowca na stole. Wyciągnęła do Cashina paczkę. Pokręcił głową. – Kawy? – zapytała. – Herbaty? Przyłapał mnie pan bez makijażu. Nie zwykłam tutaj bywać tak wcześnie.

Musiał poczekać kilka minut; nie zapukał ponownie, kiedy usłyszał w środku ruch.

– Nie, dziękuję. Mówi pani coś nazwisko Pollard? Artur Pollard.

– Pollard? Nie.

W zapadniętym fotelu z pianki bolały go plecy. Cashin usiadł prosto, próbował wyciągnąć kręgosłup. Wyjął podretuszowane zdjęcie.

– Zna pani tego człowieka?

Popatrzyła na nie, trzymając w wyciągniętej ręce.

– Kogoś mi przypomina... nie wiem. Miejscowy?

– Nie. Niech mi pani powie o Percym Crake'u.

– Hm, zjawił się po pożarze w obozie. Mały wąsik. Przybyła jego siostra, suka. Twarz jak siekiera. I też wąsy. Większe niż u Crake'a. Nazywa się Lowell. Bóg jeden raczy wiedzieć, jak zdobyła pana Lowella. Zwykła chodzić za mną ze ścierką i sprawdzać, czy nie ma kurzu.

– Co robił Crake?

– Rządził się. Kazał nam stawać przed swoim biurem po wypłatę i czekać, że niby jest zajęty. Potem otwierał drzwi i mówił: No, dobrze, ustawcie się w porządku alfabetycznym. – Głos, który naśladowała, nie był donośny ani rozkazujący; brzmiał cienko i chrypliwie. – Pięć osób. W porządku alfabetycznym, rozumie pan? Gówniany Angol. Pieprzony harcerzyk.

„Bądź Gotów”.

Cashin zobaczył sztywny i popękany pasek, okrągłą, zardzewiałą sprzączkę.

– To było w 1980 – powiedział.

– Zaczęłam na pełnym etacie w 1978. Była tu pani B. z dziećmi. Miła, młodsza od niego ze dwadzieścia lat. Prawdziwa tragedia, kiedy spadła ze schodów.

– Jak to przyjęły dzieci?

– Chłopiec nie odezwał się słowem. Erica chodziła za panem B., jak za gwiazdą popu. Była w nim zakochana. Dziewczyny tak potrafią. – Wciągnięcie dymu, wydech, strząśnięcie popiołu do muszli uchowca. – Robili przyjęcia. W ogrodzie, koktajle, obiadki, wszystkie „duże pieniądze” z Cromarty, ludzie z Melbourne. Niektórzy zostawali na jesienne wyścigi. Miałam pomoc. Z Melbourne przyjeżdżali kucharz i kelner. – Carol wessała policzki. – Tak

czy inaczej, dawne czasy. Historia. O co chodzi?

Cashin wzruszył ramionami.

– Tak, z ciekawości.

– Myśli pan, że starego napadły czarne dzieciaki?

– A pani co sądzi?

– Wcale bym się nie zdziwiła. Daunt to cholerna plama na tym mieście.

– Musi pani dużo wiedzieć o Bourgoyne'ach.

– Nie za wiele. Sprzątanie po ludziach, to cała moja praca. Pranie, prasowanie.

Dwadzieścia godzin tygodniowo przez ostatnich dziesięć lat. Tyle tego. – Znów się zaciągnęła. – Głowa w dół, tyłek w górę i do roboty – powiedziała. – Chyba że jest się Bruce'em Starkeyem.

– Był szczególnie traktowany?

– Hm, wtedy Crake zawsze sprawdzał. Przyłapał cię na szlugu i obcinał wypłatę o ćwierć za godzinę. Uwierzy pan? Cholerny Starkey, nigdy nie musiał się ustawiać po wypłatę, kutas.

– Jak znosili się Bourgoyne i Crake?

– Całkiem dobrze. Crake śmiał się tylko wtedy, kiedy pan B. był w biurze. Pomagał staremu przy garnkach, przy piecu. Wypalali całymi weekendami.

– Widziała to pani?

– Nie. Słyszałam od pani Lowell. Wypalało się przez noc. Starkey przedtem ciął piłą mechaniczną i rąbał przez cały tydzień.

– Jak często to się zdarzało?

– Jezu, to dawno było. Myślę, że dwa razy do roku. Tak.

– W pracowni jest dziewięć garnków. Tylko tyle zostawił?

– Rozbijał je. Starkey zbierał skorupy. Pół furgonetki za każdym razem.

Cashin popatrzył na jałowy, zielony krajobraz. Pomyślał, jak byłoby dobrze, gdyby tamtego ranka nie dostał telefonu.

– Na pewno nie chce pan kawy? Będę...

– Nie, dziękuję – odparł Cashin. – Erica mówi, że prawie nic nie wie o sprawach swojego ojczyma. Co pani o tym sądzi?

Carol zmarszczyła brwi, postarzała się o dziesięć lat.

– Hm, możliwe. Na palcach jednej ręki bym policzyła, ile razy widziałam ją tutaj, miała ze czternaście. Nie kochała ojczyma.

Poszła z nim do samochodu, obejmując się z zimna. Spodobała się psom, a ona nie

bała się kudłatych bestii, drapała je pod brodami.

- Bliźniaki, cholercie – powiedziała. – Jaka to rasa?
 - Pudle.
 - No. Pudle to małe pieszczochy. A te tutaj, ostre dranie.
 - Zanedbane. Wymagają strzyżenia i szczotkowania.
 - Trochę jak ja. – Targała psy za duże uszy, nie patrząc na niego.
 - Pan żonaty?
 - Już nie.
 - Dzieci?
- Zawahał się.

– Nie.

– Dzieciaki są dobre, tylko z tą cholerną pracą jest problem. Mój były wyniósł się do Darwin, nie mam mu za złe. Rybak. Nie dawałam sobie z nim rady, nie widywałam go, on tu tylko sypiał.

- Dziękuję za pomoc – rzekł Cashin.
 - Proszę bardzo. Wpadnij pan. Napijemy się piwa.
 - Byłoby miło. Starkey też dostał kopa?
 - Nie wiem. Trzeba tu będzie sporo zrobić, jak posiadłość trafi na sprzedaż.
- Cashin siedział już w samochodzie, kiedy przyszło mu na myśl pytanie.
- Wie pani coś o obozie Towarzystwa? Carol pokręciła głową.
 - Niewiele. Starkey tam pracował przed pożarem.

Redakcja „Heralda” w Cromarty mieściła się w obrzydliwym budynku z lat pięćdziesiątych zbudowanym z żółtej cegły na skraju dzielnicy handlowej.

Cashin wszedł przez szklane drzwi do pomieszczenia z długim kontuarem obsadzonym przez dwie młode kobiety. Szklana ściana odcinała je od dużego biura z kilkoma biurkami, pięcioma kobietami i mężczyzną. Wszyscy siedzieli z pochylonymi głowami. Musiał poczekać, aż trzy osoby zapłacą rachunki, a jedna zamówi specjalne ogłoszenie.

- Chciałbym, jeśli można, zobaczyć stare egzemplarze gazety – powiedział.
- Tamte drzwi – wskazała kobieta. – Z ostatnich sześciu miesięcy.
- Z 1983 roku.
- Jezu. Chyba nic z tego. – Nie była zainteresowana, patrzyła na osobę stojącą za nim.

– A jest tu archiwum?

– Archiwum? – Zdumiony mars. – Lepiej zapytać w redakcji. Tam.

Kolejna recepcja, starsza kobieta za biurkiem. Zadał to samo pytanie. Tym razem dodał: policja. Wymamrotała coś do słuchawki. Po kilku sekundach otworzyły się drzwi i wszedł pięćdziesięcioletni mężczyzna, łysy, rumiany, z dużym brzuchem. Cashin przedstawił się, pokazał odznakę.

– Alec Clarke – powiedział mężczyzna. – Zastępca naczelnego. Proszę wejść.

Pokój był duży, kilka osób przy biurkach wpatrywało się w komputery, trzech mężczyzn robiło to samo przy zagraconym stole pośrodku. Jak w komisariacie. Clarke zaprowadził Cashina do gabinetu w pierwszym z rzędu czterech kubików. Usiedli.

– Czym mogę służyć?

Cashin wyjaśnił.

– Tak dawno? Szuka pan czegoś konkretnego?

– Informacji o pożarze. W obozie Towarzystwa, niedaleko Port.

– Zgadza się, tak. Pierwszorzędny news. Bardzo smutne. Skąd zainteresowanie?

– Po prostu ciekawość.

Clarke roześmiał się, podniósł rękę.

– Aluzja zrozumiana. Sprawdzę i wrócę za minutę.

Wyszedł, skręcił na prawo. Cashin popatrzył na pracowników. Młode kobiety, trzech zaniedbanych, podstarzałych mężczyzn, bladych, liniejących, łuszczących się. Rudy, chyba kierownik, metodycznie wkopywał się w nozdrza i od czasu do czasu uważnie przyglądał się znaleźnikom. Weszła boleśnie chuda kobieta, zbliżyła się do poszukiwacza i odezwała się z szacunkiem. Zrobił minę i lekceważąco machnął ręką. Anorektyczka kiwnęła głową, odeszła i usiadła pod ścianą. Zgarbiła się, opadł jej podbródek.

– Przepraszam, że tak długo mnie nie było. – Clarke zasiadł za biurkiem.

– Zawsze to miło przyjrzeć się dobrze naoliwionej maszynerii – powiedział Cashin.

Skąpy uśmiech.

– I w tym problem. Zmodernizowaliśmy się w osiemdziesiątym czwartym, wszystko zapisujemy na mikrofiszki. Pan jest pewnie za młody, żeby pamiętać mikrofiszki.

– Znam mikrofiszki.

– Tak. Hm, w osiemdziesiątym szóstym mieliśmy pożar. Ktoś wrzucił papierosa do kosza na śmieci i straciliśmy fiszki za jakieś dziesięć lat, od 1979.

– A co z samymi gazetami?

– Niestety, zostały zniszczone w osiemdziesiątym czwartym. Żadnej dbałości o

spuściznę. Nie powinniśmy...

– Będą w bibliotece stanowej?

– Warto spróbować. Z pewnością.

Cashin wyszedł do samochodu w zimno poranka, podniósł wzrok na niebo głębokie i blade jak pamięć. Psy zaczęły się nawzajem gryźć w ogony na jego widok.

W bibliotece stanowej nie przechowywano „Heralda” z Cromarty. Cashin odłożył słuchawkę i pomyślał o Coreyu Pascoe i zegarka Bourgoyne’a. Czy to ma teraz znaczenie?

Zamknął oczy, odchylił głowę. Chłopcy nie żyli z powodu zegarka starego. Cały ten koszmarny interes kręcił się wokół pieprzonego zegarka.

Jak Corey wszedł w posiadanie zegarka Bourgoyne’a? Chris Pascoe powiedział wtedy na molo coś, co nie zostało uznane za istotne. „Corey nie był złym dzieciakiem. Mógł grać w AFL. Tyle że odbiło mu i zobaczył swoją karierę w trawce. Jesteś od Hopgooda i reszty?” Jakoś tak.

Czy powiedział, że Corey palił trawkę? To nie byłaby rzecz godna zainteresowania w Daunt, ba!, nawet w całym w kraju. W latach sześćdziesiątych trawka była jak piwo. Ludzie wtedy nie mówili, że piwo nie pozwala im uprawiać sportu.

Nie, Pascoe nie miał na myśli palenia. Raczej uprawę i dilerstwo.

Patrzył, jak psy patrolują podwórko, żaląc się, jeden przed drugim, na brak doznań. Nie podobało im się tutaj, wołałyby być gdzieś z Rebbem. Jaką pamięć mają psy? Czy tęsknią za Rebbem?

Piggotowie robili w narkotykach. Billy Piggot rozprawdzał je wśród uczniów. Debbie Doogue była klientką.

Obok stała Kendall.

– Wiesz co? Chciałabym widzieć cię na tym stołku etatowo i to, cholera, jak najszybciej. Kaprysy chłopaków już mi wychodzą bokiem.

– Wkrótce wracam – powiedział Cashin. – Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś za mną tęsknił.

– Dopominanie się o komplementy jest zabronione – odparła. – Ja tylko doceniam, że nie gadasz o gównianym reality show w telewizji i o tym, ile razy trzeba powoli wycisnąć, żeby sobie wyrobić szeroką klatę.

– Pewien dzieciak nadawał, że jego dziewczyna, fryzjerka, zabrała jego furgonetkę do

Queenslandu. Mówił, że Piggotowie się bogacą. Wiedziałaś coś o Pigsach?

– Za moich czasów nie.

– Dlaczego?

– To sprawa dla Cromarty.

– Tak, ale ktoś tym w Cromarty musi to powiedzieć.

– Nie sądzę, pewnie sami wiedzą.

– To się zaczęło, zanim nastalem? Kiedy szefem był Sadler?

– Mieliśmy skargi. – Kendall odwróciła wzrok. – Sadler powiedział, że porozmawia z Cromarty. Tak czy inaczej, jest robota.

– Chwilunia, Ken. W dniu marszu pytałem cię o Billy’ego Piggota, a ty wspomniałaś coś o Rayu. O co chodzi?

– Zwinął pięćset dolarów rozpustnikowi w Wavecrest. Facet powiedział, że podwiózł Raya spod Cromarty i zaprosił do pokoju na piwo. Potem pieniądze zniknęły. Tylko dwóch spragnionych facetów, rozumiesz, jeden pod pięćdziesiątkę, drugi wygląda, jakby nie miał czternastu lat.

– Znał nazwisko Raya?

– Tak. Sadler zadzwonił do Cromarty. Przyjechali Hopgood i Steggles. Zaparkowali na tyłach. Ray Piggot był w wozie. Musieli zwinąć go po drodze. Zostawili chłopaka, pogadali z rozpustnikiem w pokoju przesłuchań. I po sprawie. Więcej o tym nie słyszałam.

– Piggot nie został oskarżony?

– Nie. W Melbourne też się wywinął. Ukradł stereo i laptopa gościowi, którego spotkał w parku. Wychodzi na to, że dziecko ulicy.

– Co ci to wszystko mówi?

Kendall uśmiechnęła się, jak to ona, smutno i ze zrozumieniem.

– Jestem szczęśliwa, że mam pracę – powiedziała i wyszła.

Cashin przypomniał sobie, co usłyszał rano, w sądzie. Greg Law opowiedział mu o Hopgoodzie. Gaby Trevena rozbija ludziom głowy, hoduje trawę, ale nie jest najbardziej niebezpieczną osobą w tym mieście. Czy Law przekazywał groźbę od Hopgooda? Czy chciał powiedzieć, że nie jest człowiekiem Hopgooda?

„Jesteś od Hopgooda i reszty?”

Hopgood i Lloyd. I prawdopodobnie Steggles.

Steggles wymiotował tamtego wieczoru. W siekącym deszczu, leżąc na brzuchu, z pistoletem wycelowanym w niebo. Wymioty wystrzeliły mu z ust. Hamburger, którego jadł na odprawie, tłuste, żółte chipsy w czerwonym sosie wyszły z jego ciała, kiedy zastrzelił

chłopca.

Steggles nie mógł tego strawić.

Cashin zadzwonił do Helen Castelman.

– Chcę jeszcze raz porozmawiać z Pascoe – powiedział.

– Powinieneś wyszlifować swoje maniery zawodowe, detektywie.

– Porozmawiam z nim w twoim biurze. Możesz przy tym być.

– Oficjalne przesłuchanie?

– Nie. Tylko pogawędka.

– Hm, ja nie reprezentuję Pascoe, więc nic mi do tego. I nie mam też życzenia pomagać policji.

– Próbuję oczyścić chłopców. Oczyścić twojego klienta.

– Mojego zmarłego klienta.

Zamilkła. Cashin czekał.

– Skontaktuję się z tobą – odezwała się w końcu. – Gdzie jesteś?

Cashin opuścił komisariat. Przeszedł przecnicę pod wiatr, na głównej ulicy tylko kilka osób przemykało się między samochodami a sklepami. Lokal Leona był pusty.

– Policja – zakomunikował głośno Cashin. – Interes otwarty?

– Otwarty na cholerne propozycje – powiedział Leon, wychodząc z kuchni. – Na wszelkie oferty. Dziś menu ograniczone. Zupa, tylko tyle daję, minestrone jak się patrzy, na kości od szynki.

– Na wynos?

– Siedem pięćdziesiąt na miejscu. Cztery pięćdziesiąt, na wynos. Trzy pięćdziesiąt, bo z policji.

– Kość możesz sobie zatrzymać.

– Trzy pięćdziesiąt. Dorzucę kromkę chleba. Doskonałego. Z masłem.

– Dwa kawalki.

– Zastraszanie. Jestem zastraszany. Jaka muzykę lubisz?

Cashin jadł zupę przy stoliku, kiedy zadzwonił telefon.

– On nie chce tu przyjść – oświadczyła Helen. – Nie interesują go pogawędki.

– To tak?

– Mówi, że jak chcesz pogadać, to możesz wieczorem przyjść do niego, do lokalu.

Podkreśla, że niczego nie jest winien policji. Parafrazuję i cenzuruję, żeby nie urazić twojej wrażliwej osobowości.

Taka inteligentna. Cashin pomyślał, że mógłby czytać książki przez kolejnych dziesięć

lat i też by nie pomogło.

– Więc tak zrobię – odparł. – Dziękuję, do widzenia.

– Ja mam z tobą przyjechać. Pascoe nie chce, żeby przed jego lokalem stanął radiowóz. A ponieważ walczysz z wielką niesprawiedliwością, uczynię to chętnie.

Popatrzył na psy na podwórku i pomyślał o jej ustach, o pocałunkach. Odległych o dwadzieścia lat.

Cashin i Helen siedzieli przy kuchennym stole w czymś, co było kiedyś garażem przy domu. Teraz zmieniło się to w mały pub z barem, dużym stołem do bilardu i kilkoma krzesłami. Na ścianie wisiał telewizor.

Chris Pascoe wyniósł zza baru sześciopak piwa i postawił na stole. Usiadł, wziął jedną puszkę i otworzył.

– Poczęstujcie się – zachęcił. – Więc o co chodzi?

– O zegarek, który miał Corey – wyjaśnił Cashin.

– Susie ci powiedziała

– Bardzo chciałbym się dowiedzieć, skąd go miał.

– Zamierzasz oskarżyć Coreya o kradzież? Hm, on już dostał karę śmierci. Wypadło ci z głowy?

– Nie. Chcę się dowiedzieć, kto zatłukł Bourgoyne'a. To nie byli chłopcy. Jestem tego całkowicie pewien.

– Od kiedy to?

– Odkąd postanowiłem uwierzyć Susie.

Pascoe napił się, otarł usta, wyjął papierosa.

– No tak, Susie nie wie, Corey go miał. Matka też nie wie.

– A jego kumple?

– Nie żyją.

Helen odkaszlęła.

– Chris, mówiłam ci przez telefon, jestem tutaj ze względu na Donny'ego. Chcę, żeby oczyszczono jego imię... i pozostałych chłopców. I Daunt. Daunt nie powinno nosić tej plamy.

Pascoe zaśmiał się nierównym, rozkaszlanym śmiechem palacza.

– Nie martw się o Daunt. Znoszenie hańby to dla nas nic nowego. Przy okazji, co tu

pomoże informacja, skąd miał zegarek? To cholera musieli podwędzić już dawno temu.

– Jeśli się okaże, że podwędził go Corey, to po prostu zostawimy sprawę – obiecał Cashin.

– Słyszałem, że Hopgood cię nie lubi – powiedział Pascoe.

– Gdzie to słyszałeś?

Chłopak wzruszył ramionami, zapalił, uśmiechnął się lekko.

– Ściany mają uszy, koleś. Pewnie sypiasz teraz pod łóżkiem, co?

Boczne drzwi otworzyły się gwałtownie, rąbnęły o ścianę. Drugi mężczyzna z moło, z wymizerowaną twarzą i z dredami. W lokalu wyglądał na większego.

– Co to, do cholery, za przyjęcie?! – ryknął.

Pascoe podniósł dłoń.

– Rozmawiamy, Stevo.

– Piwko z glinami? Niezła jazda. Wiele się tu, koleś, zmieniło. Wieczorne pogaduchy z gliniarzami z sąsiedztwa.

– Porządkujemy sprawy zegarka Coreya – wyjaśnił Pascoe. – To wszystko.

– No, tak – odparł Stevo. – Już są uporządkowane. Co to za panusia?

– Adwokatka. Donny’ego.

Stevo podszedł, stanął obok Pascoe i wyrwał z sześciopaku puszkę. Przekrwionymi oczami popatrzył na Cashina, na Helen, znowu na Cashina.

– Nie pijecie? – zapytał. – Nie smakuje z czarnuchami?

Cholera, bójka w pubie, pomyślał Cashin, żadna odpowiedź tego nie rozładuje. Popatrzył na Pascoe.

– Słuchaj, jeśli twój koleś tutaj rządzi, to ja wychodzę.

– No to wypad – warknął Stevo.

Pascoe nie odwrócił się.

– Uspokój się, stary. – To zabrzmiało jak rozkaz.

– Uspokój się? Ty mi, kurde, nie będziesz mówił, czy mam się uspokoić, co ty, cholera...

Pascoe odsunął krzesło, błyskawicznie wstał, popchnął Steva w tył wypiętą klatką, przycisnął go do baru. Stykali się podbródkami, Pascoe wymamrotał coś do Steva, czego Cashin nie dosłyszał.

Stevo podniósł ręce. Pascoe odstąpił o krok. Stevo wszedł za bar, oparł się o kontuar, odwrócił wzrok. Pascoe znowu usiadł na krześle, napił się trochę piwa.

– Powiem tak... – zaczął, jakby nic się nie stało. – Corey mógł kupić ten zegarek.

– Za co? – zapytał Cashin.

– Jezu, skąd mam wiedzieć?

– To kto był po drugiej stronie?

– Duże pytanie, koleś.

– To wystarczy. Chcesz coś jeszcze dodać? Inni też mnie nie lubią? A co ze Stegglesem? Uszy ścienne słyszały coś o Steggiem?

– Trup, który jeszcze chodzi. Pieprzony kutas.

– Sam to zrobię – wybełkotał Stevo. – Załatwię go wieczorem. Zdmuchnę popaprańca.

– Zamknij się, Stevo – warknął Pascoe. – Po prostu, do diabła, zamknij się.

Cashin wziął puszkę, otworzył. Spojrzał na Helen. Wyglądała jak ktoś, kto patrzy na krwawy sport; wargi miała rozchylone, kolorki na policzkach.

– Słuchaj – zaczął znów Cashin. – Jeśli chcesz mi coś jeszcze powiedzieć, zrób to szybko. Myślę teraz o jedzeniu. Jadam o tej godzinie, wieczorem.

– Corey zrobił coś głupiego, na własną rękę – odezwał się po chwili Pascoe. – Nic nie mogłem na to poradzić. Zrobił, co chciał.

– Mówisz o trawce? – spytał Cashin.

Pascoe machnął wielką ręką.

– Ludzie wyhodują trochę zielska, zgarną parę baksów. W okolicy nie ma pracy.

– Więc?

– Hm, wiesz, biznes można robić na różne sposoby. I nie mówię, jasny gwint, o workach z forszą, tylko o drobnych na piwo, rozumiesz? No dobrze, słyszę, że Corey robi prywatne interesy, razem z Lukiem... to kolejny pieprzony dzieciak, który nie chciał słuchać.

Pascoe podał papierosy. Cashin wziął jednego, zapalniczkę, zapalił, dmuchnął dymem pod dach. Instynkt mu podpowiedział, żeby przeskoczyć dalej.

– Piggotowie – rzucił. – Chodzi o Piggotów.

Pascoe popatrzył na Helen, na Cashina.

– Nie wszyscy tam śpicie, w Port, co? Tak, Piggotowie. Mają ambicje, dranie. Takie ciule, ale wiedzą, że idą w dobrą stronę, będą rozgrywać.

– Pieprzone Piggoty – wtrącił się Stevo. Trzymał teraz w ręku butelkę Jim Beam. – Zdmuchnąć zasańców. Gówniane białasy.

– Stevo – upomniał go Pascoe. – Zamknij się. Obejrzyj telewizję. Znajdź sobie kreskówki.

– Chris, popraw mnie, jeśli się mylę – powiedziała Helen. – Mówisz, że Corey kupił zegarek od Piggotów?

– No, możliwe.

– A skąd Piggotowie go mieli? – ciągnęła Helen.

Pascoe patrzył na Cashina.

– Wyobrażasz sobie? – rzucił. – Pigsy wpadły na pomysł, że to pójdzie łatwiej niż kłusowanie na uchowce. Nawet nie muszą sami hodować ani rozprawdzać. Czysty zysk, zero ryzyka.

– Bardzo ambitne – skomentował Cashin.

– Słowo honoru. I usłyszałem, że znaleźli kogoś, kto będzie dla nich kucharzył.

Podobno szybkościowy kucharz.

– Coś takiego!

– To powinno być zabronione, no nie?

– Tak.

Pascoe nachylił się, zbliżył twarz do twarzy Cashina tak blisko, jak tylko się dało.

– Nie spodziewasz się, że ten popieprzony Hopgood i miejscowe chłopaki coś zrobią, prawda? Byłoby nierozsądne, bo Hoppy dostał udział w koniu. Słyszałem, że całą nogę.

– Coś trzeba będzie z tym zrobić – stwierdził Cashin.

– Racja, stary. – Wyprostował się. – I słuchaj mnie.

Cashin kiwnął głową.

– Słucham, słucham.

Helen zakaszłała.

– Skąd Piggotowie mieli zegarek? – powtórzyła pytanie.

Cashin pomyślał, że zna odpowiedź. Dostarczył mu ją jakiś proces w mózgu, bez końca przesiewający, sortujący, przekładający rzeczy usłyszane i przeczytane, zobaczone i odczute, fragmenty z pozoru nieużyteczne, zaledwie rupiecie, śmieci, aż nadchodzi chwila, kiedy dwa elementy się spotykają, odnajdują i pasują do siebie jak uścisk dłoni.

– Ray Piggot – powiedział.

– Bystry, kurde, jesteś. – Pascoe zagwizdał. – Tak, ta męska dziwka. To właśnie słyszałem.

Skarga wniesiona na Raya Piggota. Hopgood i Steggles na komisariacie. Ray w samochodzie na zewnątrz. Ray, który wyglądał zaledwie na nastolatka.

– Ray Piggot ukradł zegarek Bourgoyne’owi? – zapytała niepewnie Helen.

– No, pewnie nie dostał go w prezencie.

– Nie rozumiem, o co tu chodzi – przyznała Helen. – Kto to Ray Piggot? Czyja...

– Nie mówimy o Rayu i pedziu – wyjaśnił Cashin.

Pascoe się roześmiał.

– Hopgood podrzucał go staremu Charliemu Bourgoyne’owi. Ten sukinsyn Ray wiedział, w czym rzecz, ale nie był pierwszym dzieciakiem, jakiego sprowadzili dla Charliego i jego kumpli. To jeden z zawodów Hoppiego. Tak zawsze było.

Podjechali w milczeniu na stację benzynową.

– Dziękuję – powiedział, szykując się do wyjścia.

– Poczekaj.

Przy pompach nie stały żadne samochody. Szyby małej kabiny kasjera były zaparowane oddechami.

– Chcę, żebyś mi wyjaśnił kilka rzeczy – odezwała się Helen. – Co tu, do diabła, się dzieje?

Cashin się zastanawiał, co odpowiedzieć. Dalej już Helen nie odegra żadnej roli w tym głównianym spektaklu.

– Pascoe uprawia – zaczął. – A także dostarcza i ma coraz cienie. Pigottowie znaleźli innych ludzi od hodowli, robienia tabletek, dostawy. Hopgood i inni kolesie rozkręcają działalność.

– Dlaczego Pascoe ci o tym powiedział?

– Chcę, żebym zajął się Piggotami. W zamian za to, że zdradzi, skąd chłopcy mieli zegarek.

– Jest jakiś wcześniejszy zegarek?

– Zgadza się. Inny model.

– Więc to było porąbane od początku?

– Było.

– A ty uwierzyłeś w tę historyjkę o Rayu Piggocie?

Cashin popatrzył na Helen. Jakiś samochód skręcił na stację i reflektory oświetliły jej twarz, a on znów poczuł w pełni smutną głupotę nastoletniego pożądania wobec kogoś, kto jest poza jego zasięgiem.

– Ray to męska dajka – powiedział. – Okrada klientów, jak mu się trafi.

– Dajka?

– Autostopowicz. Panienska dla wszystkich.

– Joe, jeszcze rok temu byłem radcą prawnym.

– To nie ma znaczenia. Dla ciebie tu nie ma nic do roboty. Został tylko bałagan, który my musimy posprzątać. Sami go narobiliśmy.

– Joe.

– Co?

– Beze mnie nie dowiedziałbyś się wielu rzeczy. Hopgood dostarczył Raya Piggota Bourgoynie’owi. I innych chłopców. Nikt nigdy tego nie mówił o Bourgoynie.

– W twoich kręgach.

– O co ci chodzi?

– Może wy, ludziska z Bayview Drive, nie rozmawiacie o takich sprawach. Zbyt wulgarne.

Helen stuknęła kostkami obu dłoni o kierownicę.

– Nie dam sobie wciskać kitu – mocno zaakcentowała każde słowo.

– Muszę iść – powiedział Cashin. – Skontaktuję się z tobą.

Na zewnątrz było zimno i wilgotno, morska mgła. Nachylił się, żeby podziękować.

– Często cię boli? – zapytała Helen.

– Nie.

– Hm, nabrałeś mnie. Przy okazji, będę w domu, jesteśmy sąsiadami, wpadnij na drinka. Wrzucę do mikrofali trochę pasztecików. Zdaje się, że ludzie z twoich kręgów je uwielbiają.

Już chciał, powiedzieć: nie, dziękuję, daruję sobie, ale spojrzał jej w oczy.

– Pojadę za tobą. – Tak jakoś mu się wyrwało.

– Nie, jedź pierwszy, lepiej znasz drogę.

Droga prowadząca do domu Corriganów biegła między starymi wiązami, wiele było spróchniałych. Świeżo ją podsypano, ziemia wydawała się biała w świetle reflektorów. Cashin zaparkował na lewo od bramy do gospodarstwa i wyłączył silnik. Helen zaparkowała za nim. Wysiadł, skrzepowany. Chmury rozeszły się i w szczelinie pokazał się księżyc, w pełni zalewając świat bladą szarością. Maszerowali w milczeniu długą ścieżką, weszli na nowe, drewniane stopnie do drzwi frontowych.

– Trochę się tu boję – wyznała. – Ciemności. Ciszy. Może to błąd.

– Spraw sobie psa – doradził Cashin. – I spluwę.

Weszli do korytarza. Włączyła z pstryknięciem światło, ukazał się wielki pusty pokój, dwa albo trzy pokoje starego domu złączone w jeden, nowa podłoga. Dwa krzesła, niski stół.

– Nie miałam czasu umeblować – usprawiedliwiła się Helen. – Ani rozpakować książek.

Poszedł za nią do kuchni.

– Piec, lodówka, mikrofalna – powiedziała. – Podstawowe wyposażenie pensjonatu. Żadnego charakteru.

– Przyjęcia z pasztecikami są więc jak znalazł – stwierdził Cashin. – Bardzo mało w nich charakteru.

Helen włożyła kciuki za kieszenie płaszcza. Uniosła podbródek. Cashin zobaczył ścięgna na jej szyi. Niemal mógł wyczuć puls.

– Głodny?

– Twoje oczy... – zaczął Cashin. – Po kim je odziedziczyłaś?

– Moja babcia miała oczy w dwóch kolorach. – Odwróciła się bokiem do niego. – Byłeś ośrodkiem zainteresowania w szkole. Lubię ten termin: ośrodek zainteresowania.

– To kłamstwo. Nigdy mnie nie zauważałaś.

– Wyglądałaś tak wrogo. Złowrogo. Teraz też patrzysz gniewnie. W tym spoglądaniu spode łba jest coś seksownego.

– A jak ty patrzysz spode łba?

– Nie kwestionuj swojego daru. – Ujęła głowę Cashina w dłonie, pocałowała go, odsunęła się. – Niezbyt czuły – stwierdziła. – Czy gliny są serdeczne na pierwszej randce?

Cashin włożył dłonie pod płaszcz, objął Helen, wdychał jej zapach, czuł wystające żebra. Była chudsza, niż myślał. Zadrżał.

– Gliny z zasady nie mają randek po raz drugi.

Długa chwila.

Helen pocałowała go w dłoń, potem w usta, i poprowadziła do łóżka.

W nocy obudził się, wyczuł, że ona nie śpi.

– Nadal jeździsz konno? – zapytał.

– Nie, spadłam i straciłam zapal.

– Myślałem, że potem znów się wsiada.

Dotknęła go delikatnie.

– To sugestia?

Dom było widać z daleka. Drzwi frontowe znajdowały się na końcu podjazdu wysadzanego miniaturowymi sosnami. Cashin prowadził, słabe światło zachodzącego słońca denerwująco migotało między drzewami.

Na jego pukanie odpowiedziała chuda, pomarszczona kobieta w ciemnym dresie. Cashin przedstawił się, pokazał legitymację. Wyjaśnił, po co przyszedł.

– Z tyłu – powiedziała. – W szopie.

Ruszył po betonowej płycie. Miejsce wyglądało jak półotwarte więzienie – płot dokoła zabudowań, świeżo odmalowany budynek, zapach arbuzów wydzielany przez świeżo skoszoną trawę. Żadnych drzew, kwiatów, chwastów.

Szopa była tak duża, że wystarczyłaby dla kilku awionetek. Z boku, od północnej strony miała rozsuwane drzwi. Kiedy Cashin był o dziesięć metrów, pokazał się jakiś mężczyzna.

– Pan Starkey? – zapytał Cashin.

– Tak?

Nosił czysty, niebieski kombinezon na kraciastej koszuli. Wielki facet, gruby, ale twardy, z głową w kształcie i kolorze oskrobanego ziemniaka.

– Detektyw starszy sierżant Cashin. Możemy porozmawiać?

– Jasne. – Odwrócił się i wszedł do środka.

Cashin poszedł za nim. Pomyślał, że kuchnia pani Starkey też jest taka czysta i schludna. Narzędzia elektryczne na stojakach. Dwie długie ławy pokryte galwanizowanym żelazem błyszcząły w fluorescencyjnym świetle. Za nimi wieszaki na narzędzia – klucze, szcypce, przecinaki, piły do metalu, stalowe liniały, imadła, kombinerki – ułożone według rozmiarów w równych rzędkach. Duża i mała tokarka do metalu, podstawa do świdra, dwie ostrzałki, piła elektryczna, ława z dziurami i szczelinami na pilniki, przebijaki i inne rzeczy.

Pośrodku, pod podnośnikiem łańcuchowym, na kwadratowych stalowych stołach stały cztery stare silniki.

Wysoki, chudy młodzieniec, ubrany jak Starkey, coś piłował przy imadle. Zerknął na Cashina i znów w dół, na przyrząd. Opadł mu lok.

– Tay, idź porozmawiać z mamą – powiedział Starkey.

Z tylnej kieszeni Taya wystawała zaoliwiona szmata. Wyjął ją, staranie wytarł ławę, podszedł do stołu, wyczyścił pilnik i włożył go na miejsce.

Odszedł, nie spoglądając po raz drugi na Cashina. Jedno ramię trzymał niżej; poruszył się jak krab.

– Pracujecie nad tymi silnikami? – spytał Cashin.

– Tak – odparł Starkey. Oczy miał jak szparki. – Silniki Bourgoyne & Cromie. Czym mogę służyć?

– Naprawia je pan?

– Odnawiam. Lepszych nie wyprodukowano. Co?

Cashin się rozejrzył. Nie było na czym usiąść.

– Potrafiłby pan zidentyfikować zegarek, który nosił pan Bourgoyne – przeszedł do rzeczy.

– Tak, chyba tak.

Cashin wyjął kolorowy egzemplarz broszury tak złożony, żeby widać było tylko zegarek ze zwyczajnym, białym cyferblatem i trzema tarczkami.

– To ten – powiedział Starkey.

– Nosił go tamtego dnia?

– Nosił go codziennie.

– Dziękuję. Jeszcze tylko kilka pytań.

– W czym rzecz? Bandziory z Daunt go zatłukły. – Nieruchoma twarz, oczy jak z marmuru.

– Nie jesteśmy tego pewni.

– Tak? Ten gnojek Coulter zanurkował w Kotle, żeby sobie popływać? Winien jak nic. Starkey podszedł do drzwi, splunął, otarł usta, wrócił, stanął, pytająco przekrzywił głowę.

– Tamtej nocy byliście w domu? – zapytał Cashin. – Pan i Tay?

Starkey groźnie zmrużył oczy.

– Już odpowiedziałem na to pytanie. Masz pan, kurde, jakiś problem?

– Przyjdźcie na komisariat – wycodził Cashin. – Obaj. Weźcie z sobą szczoteczki do zębów. Tak na wszelki wypadek.

Starkey poruszył szczęką, do góry i do dołu, do przodu i do tyłu.

– Znasz pan glinę o nazwisku Hopgood? – zapytał. – Ja go znam.

Cashin wyjął komórkę, wyciągnął rękę.

– Śmiało, niech pan do niego zadzwoni.

– W swoim czasie.

– To może ja zadzwonię w pańskim imieniu?

Starkey włożył rękę do kieszeni.

– Byliśmy w domu, zapytaj ją pan. Wieczorem nie wychodziliśmy za dużo. Trochę się pograło w nogę.

– Nadal pan pracuje we Wzgórzach?

– Tak, dopóki ich nie sprzedadzą.

– Dobrze płatna praca.

- Naprawdę?
- Prawie cztery razy tyle, ile wasz ogrodnik zarobi w okolicy. Może pięć razy.
- Jest nas dwóch.
- No to podwójnie.
- Dwa razy tyle pracy, co gdzie indziej.
- I jeszcze obwoził go pan.

Starkey położył sobie wielką dłoń na karku.

- Nie obwoziłem. Zabrałem go do banku, do miasta. Nie lubił jeździć.
- Zna pan Artura Pollarda?
- Nie.

– Widział pan tego człowieka? – Pokazał policyjne zdjęcie twarzy Pollarda, przyglądał się oczom Starkeya.

- Nie.

Cashin rozważał, jak działać dalej, wybrał łagodną metodę.

– Proszę pana, naszym zdaniem to nie chłopcy z Daunt zaatakowali Bourgoyne'a. Więc gdyby pan mógł mi powiedzieć, czy coś pan widział albo słyszał, albo miał jakieś przeczucie...

- Waszym zdaniem to nie oni?
- Nie.
- Dlaczego?
- Pewne sprawy nie pasują do siebie.
- Zatrzymaliście Coultera, nie?
- Sądziliśmy, że był w to zamieszany. Działaliśmy prewencyjnie.
- Jak to?
- Co pan pomyślał, kiedy o tym usłyszał?

W mętnych oczach Starkeya błysnęła jakaś iskra.

- No, wstrząśnięty byłem, oczywiście.
- To wszystko?
- A co jeszcze? Ciągłe na kogoś napadają, nie?
- Lubił go pan?
- W porządku facet. Tak. A co, niemożliwe, żebyśmy się kumplowali? Ja i on?
- Kto mógłby chcieć go skrzywdzić?
- Oprócz tej złodziejskiej szumowiny?
- Tak.

– Nie mam pojęcia.

– Czy Bourgoyne miał ostatnio gości? Nie licząc pasierbicy.

– Nie. Przynajmniej ja nie widziałem.

– A co z włamaniami we Wzgórzach, zanim doszło do tragedii?

– Raz tylko zwinęli kilka koni. Przecięli drut, wyprowadzili trzy konie z dolnego padoku. Pewnie macie w aktach, co?

– Jeśli zostało zgłoszone.

– A dlaczego nie miałyby być zgłoszone?

– Crake. Jak pan z nim wytrzymywał?

Starkey wzruszył ramionami.

– Okej. Miał swoje sposoby, żeby wszystko było, jak trzeba. Robiłem, co chciałem.

– Pomagał Bourgoyne'owi przy piecu garncarskim, prawda?

– Tak dobrze nie pamiętam.

– Pan pracował w obozie Towarzystwa.

Starkey znów podrapał się po głowie, popatrzył niepewnie na Cashina, odwrócił wzrok.

– Dawno temu – przyznał.

– Więc zna pan Crake'a z obozu?

– Tak. Był szefem.

– A co pan robił?

– Zajmowałem się konserwacją. Czasami pokazywałem dzieciakom tajniki zawodu.

– Był pan tam, kiedy wybuchł pożar?

Wielkie ręce stały się ekspresyjne.

– Nie. W pubie, w Port.

– Niech pan opowie, jak woził Bourgoyne'a do miasta. Dokąd jeździliście?

– Do mieszkania na Relly Street. Stamtąd brał taksówki.

– Gdzie się pan zatrzymywał?

– Hotel Gedding w St. Kilda.

Cashin podszedł do silników.

– To prądnica? – zapytał.

– Wyprodukowana w pięćdziesiątym szóstym. Lepsza niż wszystko, co teraz można kupić.

– Ile ma pan tutaj ziemi?

– Dwanaście hektarów.

– Uprawia ją pan?

– Nie. Postawiłem dom pośrodku działki. Nie chciałem słyszeć sąsiadów. A jeden drań skarży się na maszyny.

– Hm... Niech pan mu powie, że go podłączy, jak będzie awaria zasilania. Przydałaby mi się prądnicą. Pan je sprzedaje?

– Nie. To nie biznes – powiedział Starkey. – Tylko odnawiam te, które wykańczali mój dziadek i tata. Wybili swoje inicjały pod numerem.

– Jak pan je znajduje?

– Ogłoszenia. Queensland, WA, Terytorium Północne. Domom aukcyjnym zlecam wyszukiwanie na wyprzedających. Jeden znalazłem na Fidżi, cholernie przerdzewiały. Sprowadzenie go trochę kosztowało.

– I znalazł pan cztery?

– Trzynaście. Trzymam je w innej szopie.

– Kiedy pan przestanie?

– Przestanie?

– Zbierać silniki.

– Nigdy.

Nie było sensu pytać dlaczego. Zazwyczaj takie pytanie bywa bezużyteczne. Odpowiedź jest albo oczywista, albo zbyt skomplikowana, żeby zrozumieć. Cashin szukał numeru silnika.

– Woził pan kiedyś Bourgoyne'a do domu w północnym Melbourne?

– W północnym... nie. Tylko na Relly Street.

W warowni była rysa, pęknięcie szerokości włosa. Nie patrzył na Starkeya.

– Sala w północnym Melbourne, pan go tam zawoził.

– Sala? Tylko na Relly Street.

– Siedziba Towarzystwa. Pan ją zna, niech mi pan nie opowiada bzdur, Starkey.

– Nie, nie znam.

Cashin podszedł do drugiego silnika. To były proste maszyny, pewnie mógłby nauczyć się ich naprawy. To łatwiejsze niż zrobić przyzwoitą zupe.

– Pański ojciec pewnie ostro się wkurzył, że sprzedają fabrykę.

Milczenie. Starkey zakaszlał wytrącony z równowagi.

– Nie powiedział ani słowa. Mama o tym wspominała.

– Co potem zrobił?

– Nic. Umarł przed wypłatą. Poważna sprawa z mózgiem.

– To smutne. – Cashin nie patrzył na niego. – Panie Starkey, powiem panu, co to jest poważna sprawa z mózgiem. Opowiadanie mi bzdur. Co pan wie o sali?

– Ja tam nie znam żadnej sali.

– Będę musiał porozmawiać z Tayem – stwierdził Cashin. – Sam na sam.

– Dlaczego?

– Może coś widział, słyszał.

Starkey gapił się na Cashina.

– Koleś, on niczego nie wie. Zawsze jest ze mną.

Cashin wzruszył ramionami.

– Zobaczymy.

– Słuchaj pan – odezwał się Starkey zmienionym głosem. – Chłopak nie jest najbystrzejszy. Matka upuściła go na pokrywę, kiedy był malutki. Wstrząs elektryczny. Do niczego w szkole.

– Zawołaj pan syna tutaj.

Starkey drapał się po głowie powoli, mocno.

– Koleś, wyświadcz mi przysługę – wycedził. – Zostaw go w spokoju. Miewa koszmary. Krzyczy.

Chwila upojenia władzą. Cashin widział strach Starkeya.

– To naprawdę przykre. Dawaj go tu.

– Proszę...

– Dawaj go, ale już.

– Zadzwoń do Hopgooda.

– Słuchaj, Starkey, Hopgood cię nie obroni. To sprawa miasta. A teraz, skoro stawiasz opór, zabieram Taya. Nie na komisariat. Do Melbourne. Spakuj mu szczoteczkę do zębów, piżamkę i trochę herbatników. Jakie lubi?

Zobaczył nienawiść w oczach Starkeya, czysty, lśniący strach, panikę.

– Nie, stary. Proszę, błagam...

– Północne Melbourne. Dom na Collett Street. Podwoziłeś tam Bourgoyne'a?

– Nie, ja nie, a ty musisz...

– Marnujesz mój czas. Czeka mnie długa droga. Mów prawdę albo przyprowadź Taya.

Już.

Starkey rozejrzał się po szopie, jakby szukał odpowiedzi na ścianie.

– Okej. Zawiozłem go tam.

– Kiedy ostatnio?

- Pięć, sześć lat temu, nie pamiętam.
- Ile razy?
- Kilka.
- Za każdym razem, kiedy jechałeś do Melbourne?
- Chyba tak.
- Jak często tam jeździłeś?

Starkey przełknął.

- Cztery, pięć razy do roku.
- A sala?
- Nic nie wiem o sali.

Cashin wychwycił cienką nutkę w głosie tego potężnego mężczyzny.

Wyjął policyjne zdjęcie Pollarda.

- Pytam ponownie: znasz tego człowieka?
- Tak.
- Jak się nazywa?
- Artur Pollard. Czasem przyjeżdżał do obozu.
- Skąd jeszcze go znasz?
- Z Collett Street. Widziałem go tam.

Cashin podszedł do warsztatu i przejechał palcem po kawałku metalu, który piłował Tay.

– Pollard to zbok – powiedział. – Wiedziałeś? Lubi chłopców. Małych chłopców. Pieprzy ich. I cała reszta. A dużo tej reszty, mówię ci. No, panie Starkey, wiedziałeś o tym? – Cisza. Cashin nie patrzył na Starkeya. – Nie podrzucałeś swojego chłopca na Collett Street? Nie podstawiałeś go Pollardowi?

- Zabiję cię – wychrypiał Starkey. – Powiedz to jeszcze raz, to cię zarąbię.

Cashin się odwrócił.

- Opowiedz mi o Bourgoynie.

Starkey trzymał rękę na piersi. Twarz miał pomarańczową, próbował opanować oddech.

- Nigdy niczego nie widziałem. Bóg mi świadkiem, niczego.
- A co z salą?
- Tylko ten raz. Zabrałem mnóstwo śmiecia, teczek i różnych rzeczy. Kazał mi to spalić.
- Bourgoyne?

– Tak.

– I gdzie to spaliłeś?

– Tam nie było gdzie. Przywiozłem to tutaj.

– Tato. – W drzwiach stał Tay, podbródek przy piersi, spoglądał przez grzywkę jasnych włosów, które spadały mu na nos. – Mama pyta, czy pudding do herbatki będzie okej?

– W porządku, synu.

Tay poszedł. Cashin ruszył do drzwi. W progu się odwrócił.

– Nie wyjeżdżaj – powiedział. – Chcemy się jeszcze wielu rzeczy dowiedzieć. I nikomu nie mów o naszej pogawędce. Pobiegniesz do tego pieprzonego Hopgooda albo do kogoś innego, a ja tu wrócę po ciebie i Taya. Obaj zgnijecie w pierdlu w Melbourne. Ale z osobna. On będzie z facetami, którzy lubią się zabawić. Ty też.

– Nie spaliłem tego – wyszeptał Starkey.

Cashin siedział przy stole i przeglądał zawartość pudeł Starkeya. Dopiero po półgodzinie dotarł do fotografii wyciętej z „Heralda” z Cromarty. Data była u góry strony: 12 sierpnia 1977.

Tytuł brzmiał: „Czyste powietrze dodaje wigoru chłopcom z miasta”.

Pod spodem informacja:

„Trener Rob Starkey z północnego Cromarty w sobotni poranek zachęca niespełna piętnastoletnich chłopców z obozu Towarzystwa do gry przeciwko St. Stephen’s. Chłopcy z miasta, którzy dzięki Towarzystwu spędzili wspaniałe wakacje w obozie w Port Monro, przegrali 167:43. Ale wynik się nie liczy. Najważniejsze to nabiegać się i nałykać świeżego powietrza”.

Czarno-biała fotografia przedstawiała chłopców w zabłoconych białych szortach i ciemnych sportowych koszulkach stojących naprzeciwko wielkiego mężczyzny. Trzymał w wyciągniętych rękach piłkę i coś mówił. Chłopcy, z włosami krótko podstrzyżonymi z tyłu i po bokach jedli ćwiartki pomarańczy – kwaśnych pomarańczy; najbliżej stojący chłopiec miał skrzywioną twarz i zamknięte oczy.

W tle byli widzowie, niemal sami mężczyźni, owinięci kocami z powodu zimna. Po prawej stali dwaj faceci w płaszczach, a przed nimi mały chłopiec. Mężczyźni palili papierosy.

Cashin wstał od stołu, podniósł wycinek i popatrzył na niego pod światło padające z okna. Rozpoznał postać w środku, w płaszczu z wielbłądziej wełny – Charles Bourgoyne. Miał długie palce. Osobą po jego prawej mógł być Percy Crake – nosił mały wąsik.

Cashin przyjrzał się innym widzom: mężczyźni w średnim wieku, kobieta z ostrym nosem w chustce na głowie, roześmiana kobieta w nieokreślonym wieku. Twarz za Bourgoyne'em była odwrócona. Młody człowiek, szesane do tyłu krótkie włosy.

Czy ten chłopiec był z Bourgoyne'em i Crakiem? Marszczył brwi, chyba patrzył w obiektyw. Coś w małej twarzy nie dawało spokoju Cashinowi. Zamknął oczy i zobaczył Erice Bourgoyne siedzącą przy stole naprzeciwko niego, w galerii.

James Bourgoyne. Dziecko ze smutną twarzą... to mógł być Jamie, który się utopił, brat Eriki, pasierb Bourgoyne'a.

Cashin wrócił do papierów, żeby poszukać kolejnych fotografii. Znalazł teczkę z kilkunastoma odbitkami. Wszystkie przedstawiały to samo. Chłopcy dziewięcio – i dziesięcioletni ustawieni w trzy rzędy. Najwyżsi w ostatnim, ci w pierwszym klęczeli na jednym kolanie. Mieli na sobie podkoszulki, ciemne szorty i tenisówki, z których wystawały krótkie skarpetki. Na wszystkich był mężczyzna z wąsami, ubrany tak samo jak podopieczni, stał z prawej strony, osobno. Ręce miał założone na piersi, napięte bicepsy. Włochate nogi, grube uda i muskularne łydki. Po lewej stało dwóch mężczyzn w dresach. Jeden z nich, przysadzisty, ciemnowłosy, w okularach występował na wszystkich fotografiach. Drugi – wysoki, chudy, długonosy – był na pięciu, sześciu.

Odwrócił zdjęcie. „Obóz Towarzystwa, 1979”.

Nazwiska były zapisane ołówkiem luźnym charakterem pisma: tylny rząd, środkowy, pierwszy. „Po lewej: pan Percy Crake. Po prawej: pan Robin Bonney, pan Duncan Vallins”.

Vallins to był ten wysoki, Bonney – ciemnowłosy, solidnie zbudowany.

Cashin szukał jednego nazwiska i znalazł je z datą 1977.

David Vincent stał w środkowym rzędzie, chudy, blade chłopiec z długą szyją, z widocznym jabłkiem Adama i wystającymi łopatkami. Głowę miał lekko odwróconą, lękliwie, jakby się bał, że fotograf skrzywdzi go fizycznie.

Cashin przeczytał inne nazwiska, poobserwował twarze i się zamyślił. Sięgnął po telefon, wystukał numer. Słuchał, oczy miał zamknięte. David Vincent był na haju albo gdzieś go wywiało. Cashin zadzwonił do Melbourne, musiał poczekać na Tracy.

– Dwa nazwiska – rzucił bez wstępów. – Robin Bonney, Duncan Vallins. Z góry dziękuję.

– Jesteście klonami Singa – powiedziała. – Ty i szef. Ktoś już wam to mówił?

– Nazywają mnie „młody Clint Eastwood”. Ty też tak sądzisz?

– Jak tu przyjedziesz następnym razem, to w ogóle się do mnie odezwiesz? Czyżbyś nie przyjmował do wiadomości mojego istnienia?

Pies zszedł z kanapy, leniwie postawił przednie łapy na podłodze i przeciągnął się, trzymając zadek wyżej głowy. Drugi pies zrobił to samo, wyglądał na obrażonego.

– Byłem wtedy zajęty – tłumaczył się Cashin. – Przepraszam. Nadal jesteś żoną tego faceta, który się przeprowadza?

– Nie. Rozwiedliśmy się.

– Słusznie. W końcu przeprowadził się na dobre. Hm, następnym razem, jak tam zajrzę, możemy wymienić więcej osobistych informacji. Grupy krwi, takie sprawy.

– Już się nie mogę doczekać. Mam tutaj Robina Graya Bonneya. Wiek: pięćdziesiąt siedem. Trafione?

– Chyba tak.

– Były pracownik opieki społecznej. Ma wpis, że molestował dzieci. Wyrok w zawieszeniu za dwa zarzuty. Potem odsiedział cztery lata z sześciu.

– Coraz bardziej i bardziej tak.

– Hm, nie żyje. Wielokrotne rany od noża, wykastrowany, okaleczony i uduszony. W Sidney. Marrickville. Dwa dni temu. Żadnego zatrzymania.

Cashin próbował ściągnąć łopatki, czuł, jak wszystkie mięśnie stawiają mu opór.

– Mam drugiego – powiedziała Tracy. – Vallins, Duncan Grant, wiek: pięćdziesiąt trzy, pastor anglikański, adres z Brisbane, Fortitude Valley, ale to z 1994 roku. Stosunki seksualne z dziećmi, oskarżenie, wyrok w zawieszeniu, 1987. Odsiedział rok 1994-1995. Jak sądzę, teraz już nie świadczy usług duszpasterskich.

– Dlaczego „jak sądzę”? Trace, trzy sprawy. Wszystkie szczegóły o Bonneyu. Dwa o Vallinsie. Proś Brisbane, żeby sprawdzili ten adres, i podkreśl, że nie chcemy faceta wystraszyć. Trzy, powiedz Dove’owi, że potrzebujemy raportu koronera na temat pożaru w obozie Towarzystwa, w Port Monro, w 1983.

Stał przy oknie. Nierówne po brzegach wstążki rózu spływały z nieba, blakły na czarnym pagórku.

Taka sama noc, jak wtedy, kiedy wybuchł pożar. Podwójna tragedia.

Żona Bourgoyne’a spadła ze schodów w wieczór pożaru. Zrzuciono winę na środki uspokajające.

– Przyjadę do miasta – zdecydował. – Przekaż to szefowi, dobrze?

– Przekażę to wszystkim beznadziejnie zakochanym w tym budynku. Dove jest tutaj,

chcesz z nim porozmawiać?

– Nie, ale daj go mimo wszystko.

Pstryknięcie.

– Dzień dobry – odezwał się Dove. – Informacje ze Stop Przemocy na temat Bourgoyne’a. Zajrzałeś tam?

– Niby jak, cholera, miałem tam zajrzeć?

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek to zrobił. Wieczorem zadzwoniła pewna kobieta. Pani Moira Landlaw. Jej słowa: proponuję, żebyście zajęli się Jamiem Bourgoyne’em.

– Tyle?

– Tyle.

– Hm, Jamie nie żyje. Utonął w Tasmanii.

– Tam nie trzeba utonąć, żeby być uznanym za nieboszczyka. Warto trochę poniuchać. Tak to się mówi? Poniuchać? Powęszyć? Dowiedz się wszystkiego o zmarłym Jamie. Tracy powie ci, co jeszcze. Jutro się zobaczymy.

Cashin wiedział, że powinien natychmiast jechać i spotkać się z Villianim. Wiedział, że tego nie zrobi. Jakie to teraz miałyby znaczenie?

Widziałam go bardzo dobrze – powiedziała stara kobieta wyraźnym głosem. – Stałam na światłach, na Toorak Road. Jakoś tak popatrzyłam, a na fotelu pasażera w samochodzie obok siedział Jamie.

– Dobrze go pani znała, pani Laindlaw? – zapytał Cashin.

– Oczywiście. To mój siostrzeniec. Mieszkał z nami przez jakiś czas.

– Rozumiem. Kiedy pani go widziała?

– Z sześć tygodni temu. W piątek. W piątki jeżdżę na zakupy i chodzę na lunch z przyjaciółmi.

Było trochę po czwartej, ale Cashinowi wydawało się, że jest znacznie później. Z dworu wpadało przyćmione światło; rząd kropel deszczu dojrzewał, żeby spaść z cienkiej gałęzi.

– A wie pani, że Jamie podobno utonął w Tasmanii w 1993? – zapytał.

– Tak. Hm, najwyraźniej nie utonął, skoro widziałam go na Toorak Road.

Cashin popatrzył na Dove’a, dał mu znak, że nie ma co kwestionować identyfikacji.

– A dlaczego pani sądzi, że powinniśmy przeprowadzić śledztwo? Czy to Jamie napadł na swojego ojczyma? – zapytał Dove.

– Żyje i jest do tego zdolny. Nienawidzi Charlesa Bourgoyne’a.

– Czemuż to?

– Nie mam pojęcia. Zapytajcie Ericę. – Odwróciła głowę, światło rozbłysło w jej krótkich włosach.

– Kiedy po raz ostatni widziała pani Jamiego? – ciągnął Dove. – Oczywiście przed spotkaniem na Toorak Road.

– Przyszedł na pogrzeb mojego męża. Pojawił się w kościele. Bóg wie, skąd się dowiedział. Nie rozmawiał z nikim, tylko z Ericą. Ani słowa nie zamienił z ojczymem.

– Darzył sympatią pani męża? – zapytał Cashin.

Zaczęła skubać wełniany sweter.

– Nie. A mój mąż na pewno nie był nim zachwycony.

– Dlaczego?

– Po prostu nie lubił chłopaka.

Cashin czekał, ale nie było ciągu dalszego.

– Proszę pani, dlaczego go nie lubił?

Opuściła wzrok. Szary jak gołębica kot wszedł do pokoju i otarł się o jej prawą nogę. Patrzył na Cashina oczami koloru popiołu.

– Mój mąż nigdy nie zapomniał śmierci siostrzeńca. Mark utonął w basenie, kiedy miał dziesięć lat. Był przy tym Jamie. Tylko on.

– Podejrzewano, że Jamie miał z tym coś wspólnego?

– Nikt niczego nie mówił.

– Ale pani mąż go podejrzewał?

Mrugnęła do Cashina.

– Rozumie pan, Jamie był trzy lata starszy od Marka.

Cashin poczuł na kostce jedwabne kocie otarcie.

– Czy to ważne?

– Zakładano, że powinien opiekować się Markiem. Bardzo kochaliśmy Marka. Był z nami od szóstego roku życia. Traktowaliśmy go jak syna.

– Rozumiem. A jednak Jamie przyszedł na pogrzeb pani męża.

– Tak. Ni stąd, ni zowąd, ubrany jak hiphopowiec.

– Kiedy to było?

– W 1996. Dwunastego maja. Zjawił się następnego dnia.

– Po co?

– Prosił o zdjęcia Marka. I wiedział, gdzie one są, gdzie trzymamy rzeczy Marka. Powiedział, że uważał go za brata. Niewiarygodne, szczerze.

– I więcej pani nie widziała Jamiego?

– Nie. Dopiero na Toorak Road. Filizankę herbaty?

– Nie, dziękuję – powiedział Dove. – Jak długo Jamie mieszkał z państwem?

Zdjęła okulary, ostrożnie dotknęła kącika oka, znów je założyła.

– Nie za długo. Krócej niż dwa lata. Przybył po internacie w college’u. Prosił nas o to jego ojczym.

– I to było tutaj?

– Tutaj?

– Mieszkaliście wtedy w tym domu? – sprecyzował Cashin.

Pani Laindlaw popatrzyła na niego jak na matkę.

– Zawsze tu mieszkaliśmy. Dorastałam tutaj, moi dziadkowie zbudowali ten dom.

– A kiedy Jamie ukończył szkołę...?

– Nie ukończył. Rzucił naukę.

– Rzucił szkołę?

– Tak. I stąd też się wyniósł. Miał jedenaście lat i jeden dzień, kiedy się wyniósł.

– Dokąd?

– Nie wiem. Erica mówiła, że przez jakiś czas mieszkał w Queenslandzie.

W korytarzu zadzwonił telefon.

– Przepraszam.

Cashin i Dove wstali razem z gospodynią. Poszła powoli do drzwi, a Cashin ruszył do dwuskrzydłowych drzwi i spojrzał na ogród, na wielkie, nagie drzewa – dąb, wiąz i jeszcze jedno, którego nie potrafił rozpoznać. Niezgrabione liście leżały w namokłych przyzmach. Mur był pochylony, kamienie luźno się trzymały. Wkrótce się zawali, odsłoni robaki.

– Ciągle dostaję telefony z prośbą o wsparcie – wyjaśniła pani Laindlaw. – Doprawdy nie wiem, co tym ludziom powiedzieć. Są tacy mili.

Usiadła w fotelu. Kot wskoczył jej na kolana.

– Dlaczego Jamie opuścił internat? – zapytał Cashin.

– Nie znam szczegółów. Myślę, że może się pan dowiedzieć w szkole.

– A dlaczego stąd odszedł?

– I o to może pan zapytać w szkole. Skłamałabym, gdybym nie przyznała, że opuścił ten dom ku naszej wielkiej uldze. – Pogłaskała kota, popatrzyła na niego. – Jamie był dziwnym chłopcem. Bardzo przywiązany do swojej matki. Chyba nigdy nie pogodził się z jej śmiercią. Ale było w nim jeszcze coś...

– Tak?

– Milczał, uważnie obserwował, jakby się bał, że ktoś go skrzywdzi. I czasami robił

straszne rzeczy. Kiedyś przyjechał na weekend ze szkoły, wziął łuk i strzelił do kota sąsiadów. Trafił w oko. Powiedział, że to przypadek. Potem na ulicy ktoś podpalił psa. Wiedzieliśmy, że to Jamie. I utopił w basenie papużki Marka. W klatce. – Przeniosła wzrok z Cashina na Dove’a. – Czytał książki medyczne męża. Siedział na podłodze w gabinecie i godzinami przeglądał teksty z anatomii.

– Do jakiej szkoły uczęszczał?

– St. Paul’s. Wszyscy Bourgoyne’owie tam chodzili. Dali im mnóstwo pieniędzy.

– Mówiła pani, że nienawidził Charlesa Bourgoyne’a.

– Tak. Nie zdawałam sobie sprawy do jakiego stopnia, dopóki nie zaproponowałam mu, żeby spędził wakacje z Charlesem. Bywał już tam. Rąbnął głową o drzwi frontowe. Specjalnie. I siedział tutaj, na podłodze, krzycząc: nie, nie, nie! Bez końca. Trzeba było założyć szesnaście szwów.

– Dziękujemy za pomoc.

– Nie wyglądacie tak, jak się spodziewałam. – Patrzyła na Dove’a.

– Różni bywamy – odparł Cashin.

Uśmiechnęła się do Dove’a, jakby go znała i lubiła.

Poszli korytarzem do drzwi.

– Jeszcze jedno... – drażył Cashin. – Czy jest pani całkowicie pewna co do tego, kogo pani widziała na Toorak Road? Czy możliwe, że to nie był Jamie?

– Nie mam żadnych wątpliwości. Jestem całkowicie przy zdrowych zmysłach i nosiłam okulary.

– Powiedziała pani Erice, że go pani widziała?

– Tak, zadzwoniłam do niej, gdy tylko dotarłam do domu.

– Co ona na to?

– Właściwie nic.

Padął na nich drobny, ale nieustanny deszczyk, kiedy szli wytartą zwirowaną ścieżką i chodnikiem do samochodu. Rynsztokami płynęła woda, niosła liście, gałązki i żołądzie. W jakimś ciemnym tunelu spotkają się z plugawą ludzką szumowiną miasta i razem spłyną do ciemnoszarej zatoki.

Cashinowi wpadło to do głowy, kiedy doszli do samochodu.

– Wracam za chwilę – rzucił.

Pani Laindlaw otworzyła drzwi, jakby za nimi stała. Zapytał o dane siostrzeńca męża.

– Mark Kingston Denby. A co?

– Tylko do protokołu.

– Szkoła – powiedział w samochodzie. – Wydalony kolega.

Wicedyrektor, pięćdziesięciolatek, w szarym garniturze, opalony i sprężysty jak narciarz.

– Szkoła nie ujawnia informacji o uczniach i nauczycielach, byłych i obecnych. Takie mamy zasady. – Uśmiechnął się, zęby miał śnieżnobiałe.

– Panie Waterson – zaczął uprzejmie Cashin. – Zepsujemy panu wieczór. Za godzinę wrócimy z nakazem i ciężarówką, żeby zabrać wszystkie teczki. I kto wie, może pojawią się także media. W dzisiejszych czasach nie da się wszystkiego utrzymać w tajemnicy. I St. Paul's trafi do programów informacyjnych. Jestem pewien, że rodzicom to się spodoba.

Waterson podrapał się po policzku, paznokcie miał różowe, kwadratowe. Nosił miedzianą bransoletkę.

– Muszę to skonsultować – odparł. – Panowie wybaczą na chwilę.

Dove podszedł do okna gabinetu.

– Zmierzch nad murawą. Jak w Anglii.

Cashin patrzył na książki wicedyrektora. Niemal wszystkie dotyczyły zarządzania w biznesie.

– Spieprzyliśmy sprawę – mruknął. – I to dokładnie. Cieszę się, że Singo tego nie widzi.

– Dobrze, że my – powiedział Dove. – Wyobraź sobie, co by było, gdybyś spieprzył to sam. Co się zdarza.

Otworzyły się drzwi.

– Proszę za mną, panowie. – Waterson stanął w progu. – Złapałem naszego radcę prawnego w drodze do domu. Pracuje tu dwa dni w tygodniu.

Poszli korytarzem do wielkiego, wykładanego boazerią pokoju. Ciemnowłosa kobieta w prążkowanej garsonce siedziała u szczytu stołu na co najmniej dwadzieścia osób.

– Louise Carter – przedstawił ją Waterman. – Detektyw Cashin i detektyw Dove. Siadajcie proszę, panowie.

Carter popatrzyła na nich, po kolei.

– Ta szkoła pilnie strzeże prywatnych spraw swojej społeczności – oznajmiła. Miała około pięćdziesiątki, pociągłą twarz, napiętą skórę wokół oczu, z lekka wystraszony wygląd.

– Wnioski o informację załatwiamy odmownie, chyba że wychodzą od rodziny społeczności albo dotyczą członka rodziny społeczności, jeśli taka osoba jest uprawniona do składania tego rodzaju wniosków. A nawet wtedy zachowujemy sobie prawo do własnej oceny.

– Pani ma to spisane na ręce – zażartował Dove. – Widziałem, jak pani zerkała.

Dowcip jej nie rozbawił.

– Rodzina społeczności, o której mówię, wpadła w głębokie gówno – wypalił Cashin bez ogródek. – Po prostu: tak albo nie, śpieszy nam się.

Carter otworzyła usta.

– Nie zastraszy pan St. Paul’s, detektywie. Być może nie zdaje pan sobie sprawy ze statusu, jaki szkoła ma w tym mieście.

– Wali mnie to. Rozpełniemy się po tej całej budzie. W ciągu godziny. Niech mi pani wierzy.

Nawet nie mrugnęła.

– Co pan chce wiedzieć?

– Dlaczego Jamie Bourgoyne został wywalony z internatu, nazwisko jego kolegi, którego wydalono, i dlaczego.

Ruch głowy na znak odmowy.

– To niemożliwe. Proszę zrozumieć, rodzina Bourgoyne’ów od dawna jest blisko związana ze szkołą. Obawiam się, że...

– Nie odpinajcie pasów bezpieczeństwa – rzucił Cashin. – Wkrótce wrócimy. Może pani poprawić makijaż, przyjedzie telewizja.

Cashin i Dove wstali.

– Czekać. – Waterson wstał gwałtownie. – Myślę, że będziemy mogli przychylić się do tej prośby.

Wyszedł z pokoju, kobieta za nim, stukając obcasami. Na zewnątrz odbyła się krótka rozmowa. Carter wróciła i stanęła przy oknie. Potem usiadła. Milczeli, dopóki nie odkaszlnęła i powiedziała:

– Czy widziałam was dwóch w telewizji?

Cashin utkwiał wzrok w wielkim obrazie na przeciwległej ścianie, pionowe pasy, szare i brązowe. Przypominało mu to kamizelkę, którą nosił Bern, zrobioną na drutach przez jakąś krewną. Człowiek niewyzuty z szacunku do siebie wyrzuciłby taki ciuch na śmieci.

Kiedyś pewnie chciałby, żeby ta kobieta dobrze o nim myślała.

– Możliwe – odparł Dove. – Jestem tajniakiem. Czasem noszę brodę. Wszedł Waterson. Położył na stole dwie żółte teczki i usiadł.

– Odpowiem sam na wszystkie wasze pytania – oznajmił rzeczowym tonem. – Proszę przerywać według uznania.

– Davidzie, czy możemy... – zaczęła kobieta.

– James Bourgoyne i Justin Fischer byli w tej samej klasie i razem mieszkali w

internacie – powiedział Waterson. Popatrzył na kobietę, na Cashina. – Muszę zaznaczyć, że uważałem Jamesa za mocno zaburzonego młodego człowieka. A Justin Fischer to najbardziej niebezpieczny chłopiec, jakiego poznałem w trzydziestosześcioletniej karierze nauczycielskiej.

Prawniczka pochyliła się do przodu.

– Davidzie, nie ma absolutnie żadnego powodu do takiej szczerości. Czy mogę...

– Co się stało? – zapytał Cashin.

– Byli, między innymi, podejrzani o dwukrotne podłożenie ognia. W jednym pożarze spalił się składzik sportowy, drugi pożar wybuchł w internacie.

– Davidzie, proszę.

– Sprawy dla policji – zauważył Cashin.

– Oczywiście, wezwano policję – kontynuował Waterson. – Ale nie podzieliliśmy się z nimi naszymi podejrzeniami, a oni niczego nie znaleźli. Poprosiliśmy natomiast ojczyma Jamesa, żeby zabrał chłopca z internatu. Próbowaliśmy rozdzielić tę parę.

Prawniczka uniosła dłoń.

– Davidzie, nie musisz...

– Patrząc wstecz – ciągnął Waterson – powinniśmy powiedzieć wszystko policji i wydalić obu uczniów. W tej kolejności.

– Davidzie – wtrąciła się znów prawniczka. – Zanim wypowiesz jeszcze jedno słowo, nalegam, żebyś skonsultował się z dyrektorem.

Waterson nie spojrzał na nią, wzrok utkwiony miał w Cashinie.

– Louise, dyrektor ma wyczucie moralne godne Pol Pota. Nie wracajmy teraz do naszych paskudnych ustaleń.

Cashin zobaczył w oczach ogorzałego mężczyzny ulgę, którą widywał u ludzi przyznających się do popełnienia morderstwa.

– Niech pan mówi dalej – zachęcił. Miał teraz wrażenie, jakby w głowie otworzyła mu się jakaś klapka.

– Kiedy młody Bourgoyne opuścił internat, w okolicy zdarzyły się podpalenia żywopłotów. Trzy albo cztery, nie pamiętam. Potem w Prahran, jakiś chłopiec, siedem, osiem lat, został uprowadzony przez dwóch nastolatków w ustronne miejsce i poddany torturom. Krótkim, więc na szczęście nie doznał poważnych urazów, ale to był sadyzm. Przyszedł do nas jeden z uczniów z internatu i powiedział, że widział Bourgoyne'a i Fischera w pobliżu tego miejsca.

– Zawiadomiliście policję?

– Ku naszej wiecznej hańbie, nie.

– Nikt nie kazał uczniowi iść na policję?

– Davidzie! – Ostrzegawczy ton prawniczki. – Muszę ci teraz doradzić...

– Odwiedliśmy go od tego – wyznał Waterson. – Na polecenie dyrektora, ja go odwiedłem. Wtedy wydaliśmy Bourgoyne'a i Fischera. To była jedyna dobra i właściwa rzecz, jaką zrobiliśmy w stosunku do tej pary degeneratów.

– Poproszę o kopie teczek – powiedział Cashin.

– To są kopie. – Waterson popchnął teczki po stole.

– Dziękuję. – Cashin wstał i podał rękę Watersonowi. Nie spojrzał na prawniczkę. – Nie widzę najmniejszego powodu, żebyśmy mieli wspominać o szkole.

Schodząc po schodach, Cashin otworzył teczkę.

– Daj mi Tracy – zwrócił się do Dove'a. – Tracy, tu Joe. Sprawa priorytetowa, czerwony alarm. Wszystko o Justinie Davidzie Fischerze. Pisze się F, I, S, C, H, E, R. ostatnio zameldowany u ciotki, pani K.L. Fischer, Hendon Street 19, Albert Park. Zapytaj Birka, czy ktoś mógłby się tym zająć.

– Zbieramy materiały na temat Jamiego Bourgoyne'a i mamy śledztwo w sprawie pożaru w Towarzystwie. Fin tym się zajmuje.

– Poproś, żeby do mnie zadzwonił, dobrze?

– Brisbane sprawdziło adres Duncana Granta Vallinsa. Wymeldował się dwa lata temu. Nic więcej nie wiedzą.

– Jasna cholera.

– Sąsiad mówi, że jakiś facet pytał o Vallinsa w ubiegłym tygodniu. Długie włosy, broda. Drugi siedział w samochodzie.

Zmierzch, szli z lekkim chrzęstem po wyżwirowanym podjeździe. Chłopcy w zielonych blezerach i szarych flanelowych spodniach nadchodzili ścieżką z prawej strony. Błady uczeń na przodzie jadł chipsy z pudełka. Chłopiec za nim założył mu nelsona i pociągnął go do tyłu. Inny przeszedł obok, niedbale sięgnął po pudełko z chipsami, ruszył dalej i włożył jednego do ust.

– Klasa dziesięcioletnich rabusiów – mruknął Dove. – Byli na zajęciach praktycznych.

Co z nim? – zapytał Cashin. Stali na światłach, na Toorak Road. Przechodziły trzy blondynki, wilgotne, zaczesane włosy, bez makijażu, rumieńce po wieczornej gimnastyce.

– Słowo daję, zsyłają takie, żeby nas wodzić na pokuszenie – powiedział Dove.

– Nie występuje na liście wyborców – zażartował Finucane. – Niezarejestrowany w Medicare, w zasiłkach, nic. Prawo jazdy wydane w Darwin, w 1989. Masz to na wydruku. Potem ciągle się przeprowadza. Mała sprawa o narkotyki w Cairns, areszt za molestowanie dwunastolatka w Coffs Harbour. Wyroki w zawieszeniu za molestowanie w Sydney, w 1986. W parku, ofiara lat szesnaście. Posiadanie heroiny w Sydney, 1987. Dwa lata za włamanie, Melbourne, 1990.

Światła zmieniły się na zielone. Nie patrząc w lewo ani w prawo, stara kobieta, mała i zgarbiona, ze spuszczoną głową, w przezroczystym płaszczu przeciwdeszczowym, wepchnęła na skrzyżowanie torbę na kółkach przypominającą wózek dziecienny.

– Jak Kolumb – prychnął Dove – Nie ma pojęcia, dokąd zmierza.

Samochód za nimi zatrzymał, dwa długie sygnały.

Dove poczekał, aż kobieta przejdzie bezpiecznie, potem powoli ruszył, prowokacyjnie nie przyspieszył.

– Mów dalej – poprosił Cashin.

– Tyle tego. Jamie wyłania się w dziewięćdziesiątym drugim, rok później tonie w Tasmanii.

– Tracy zajęła się tym Fischerem. Sprawdź, co ustaliła, i zadzwoń do mnie, okej? – zwrócił się Cashin do Fina. – Ma też Duncana Granta Vallinsa. To pedofil, były anglikański katabas, adres nieznany, zobacz, czy jest w naszym systemie, czy Kościół coś o nim wie. Doradź chórzystom, żeby współpracowali, inaczej my zrobimy im niezłe przedstawienie.

– Szefie...

– I jeszcze jedno. Sprawdź: Mark Kingston Denby. Zadzwoń do Dove'a, jak coś znajdziesz.

– Szefie...

Cashin zamknął oczy i pomyślał o nagiej Helen Castelman. Taka gładka. Nagość i seks zmieniły wszystko. Żadna kanapka z bekonem, cebulą i pomidorem nie będzie już tak samo smakowała.

– Dokąd? – zapytał Dove.

– Queen Street. Wiesz gdzie to?

– Nauczyłem się mapy na pamięć. Pierwsza rzecz, jaką zrobiłem.

– Więc zawsze możesz znaleźć sobie pracę jako taksówkarz. Pewnie wcześniej niż później.

Na Queen Street Dove powiedział:

– Zakładając, że...

– Tutaj. – Cashin wskazał miejsce. – Zaparkuj tutaj. Chcę porozmawiać z Ericą Bourgoyne.

– Trochę późno.

– Ona jest prawnikiem. Tacy zawsze są w pracy.

Cashin otworzył drzwi, kiedy zadzwoniła komórka Dove'a. Począł, Dove odebrał, podniósł palec.

– Już daję. – Dove przekazał Cashinowi telefon.

– Szefie, dotarłem do tego gościa od Kościoła. Natychmiast wydał mi Duncana Granta Vallinsa – zakomunikował Finucane. – Vallins mieszka teraz w Essendon, St. Aidan's. Dom dla chłopców. Jest zamknięty, ale facet mówi, że ludzie Kościoła w potrzebie czasem tam się zatrzymują.

– W jakiej potrzebie? – zapytał Cashin. – Adres?

Nadeszła już noc, deszcz zamazywał światła, skapywał z drzew przy ulicy, na chodniku trwała parada białych twarzy nad ciemnymi ubraniami.

– A więc Mark Kingston Denby go znalazł. Wyszedł z więzienia dziewięć tygodni temu. Sześć lat za włamanie z bronią w rękę. Jest i współoskarżony.

– Tak?

– Justin Fischer. Dostał tyle samo.

Cashin pomyślał, żeby zadzwonić do Villaniego, zmienił zamiar, powiedział Dove'owi, dokąd mają pójść.

Reflektory na filarach i dwuskrzydłowa brama: kute żelazo, ozdoby, dwa metry wysokości, kiedyś malowana, teraz w jesiennych kolorach, łuszcząca się. Za nią podjazd, światła rzucają cień bramy na mroczną, dziką roślinność.

– Jeśli ten kutas jest w domu, zabieramy go do aresztu – powiedział Cashin. Bolał go cały tors, a pasemka bólu sięgały w dół, do bioder.

Dove zgasił silnik, wyłączył światła. W tym miejscu na ulicy panowała ciemność, najbliższa lampa stała pięćdziesiąt metrów dalej, po przeciwnej stronie. Wysiedli, wieczór był zimny, deszcz ustał na chwilę.

– Co robimy? – zapytał Dove.

– Pukamy do drzwi – odparł Cashin. – A co mamy zrobić?

Naparł na bramę, przełożył ręce przez szczelinę i znalazł dźwignię. Uniósł ją z trudem, zgrzytnął metal. Prawe skrzydło opierało się pchnięciu, ale potem otworzyło się bez trudu.

– Zostaw otwarte – powiedział.

Szli podjazdem ramię w ramię, próbując uniknąć kontaktu z mokrymi krzakami.

– Jesteś uzbrojony? – zapytał Dove.

– Wyluzuj – mruknął Cashin. – To tylko stary ksiądz, a nie nocne przyjęcie Aniołów Piekła. – Wiedział, że powinien zabrać broń. Wyszedł z nawyku, stracił instynkt.

Ukazał im się budynek, piętrowy, ceglany z łukowatymi oknami, stopniami wiodącymi do szerokiego ganku i drzwi z oknami witrażowymi po obu stronach. Promień światła padał z okna po lewej, zasłona nie była do końca zaciągnięta.

– Ktoś jest w domu – szepnął Cashin. – Ktoś w potrzebie.

Weszli na schody, Cashin pociągnął za solidne kółko z brązu, zastukał kilka razy, odczekał, znów załomotał.

Witraż po lewej ćmił światłem – czerwonym, białym, zielonym i fioletowym, jakaś scena biblijna, grupa mężczyzn, jeden z aureolą.

– Kto tam? – Stanowczy męski głos.

– Policja! – zawołał Cashin.

– Włóżcie legitymacje do otworu na listy.

Cashin machnął na Dove'a, ten wyjął swoją legitymację i wsunął do otworu. Ktoś ją wziął. Usłyszeli, jak przesuwają się dwie zasuwki. Drzwi się otworzyły.

– O co chodzi? – Wysoki, nieogolony mężczyzna w czarnym ubraniu, z kilkoma podbródkami, okrągłych okularach, z przerzedzonymi siwymi włosami, przetłuszczonymi, kręconymi na końcach, zaczesanymi do tyłu.

– Duncan Grant Vallins?

– Tak.

– Detektyw starszy sierżant Cashin, wydział zabójstw. Detektyw Dove.

– Czego chcecie?

– Możemy wejść?

Vallins zawahał się, odstąpił o krok. Hol z marmurową podłogą i schodami pośrodku. Na prawo i lewo odchodziły korytarze. Sześć metrów nad nimi wisiał kilkuwarstwowy kryształowy kandelabr.

– Tędy. – Vallins wskazał drogę.

Poszli za gruszkowatym mężczyzną do pokoju po lewej stronie. Duży salon oświetlały jedna, słaba żarówka i lampa stojąca obok kominka. Meble były stare, sfatygowane, krzesła

od pary, zapadająca się, obita perkalem kanapa. Zapach wilgoci, mysich odchodów i zastarzałego dymu z papierosów.

Vallins usiadł na krześle obok lampy, założył nogę na nogę, poprawił pozycję. Miał tłuste biodra. Obok białego kubka, w popielniczce z brązu palił się papieros z filtrem. Gospodarz wziął peta i zaciągnął się głęboko. Długie, cienkie palce miały kolor lasek cynamonu.

– Czego chcecie? – zapytał.

– Zna pan Artura Pollarda? – Cashin patrzył na pokój, wysoki sufit, butelki na stoliku, po whisky, siedem lub osiem, puste, nie licząc dwóch.

– Słabo. Lata minęły.

– A Robina Graya Bonneya?

Vallins possał papierosa, wypluł dym, machnął ręką.

– Też dawno temu. Czasy młodości. A co?

– Prawdopodobnie zna pan też Charlesa – ciągnął Cashin. – Słabo. Sprzed lat. I, oczywiście, pana Crake'a.

Vallins nic nie powiedział, wyjął z paczki papierosa, przypalił od poprzedniego, miał kłopot z trafieniem, ręce mu się trzęsły. Zmiażdżył filtr w popielniczce.

– Co to za bzdury? – odezwał się wyniosłym tonem. – Dlaczego zajmujecie mi czas?

– Wolałby pan trafić do aresztu policyjnego? – spytał prowokacyjnie Cashin. – Najpierw by pan trochę sobie posiedział, a potem opowiedział o obozie Towarzystwa, o tych dniach chwały. Na zdjęciach naprawdę nieźle pan wyglądał. Dużo pan wtedy ćwiczył, prawda? Z chłopcami?

– Nie mam wam nic do powiedzenia – burknął Vallins. – Nic a nic. Idźcie już sobie.

– Tutaj to trochę pustelnik z pana, co? Sam na odludziu, w domu dla anglikanów w potrzebie?

– Nie wasza sprawa. Do widzenia.

Cashin popatrzył na Dove'a. Dove nie wyglądał na uszczęśliwionego, drapał się po głowie. Czy łyse głowy też swędzą? Dlaczego tak jest?

– Świetnie – odezwał się Cashin po krótkiej chwili. – Zatem wychodzimy. Zostawiamy pana, żeby pan pomyślał o tym, jak torturowano Artura i Robina. Robin wyglądał paskudnie. Coś po nim ostro przejechało. Ostrzałka do noża. Czuje to pan? Podobno najpierw podgrzali narzędzie nad palnikiem gazowym. Rozżarzyło się do białości. Biedak wyszedł z siebie.

Twarz Vallinsa się skurczyła.

– Co?

– Torturowani i zabici – dodał Cashin. – Bourgoyne, Bonney, Pollard. Sami trafimy. Dobrej nocy.

Cashin poszedł. Był przy drzwiach, kiedy Vallins zawołał:

– Detektywie, proszę zaczekać! Przepraszam. Nie wiedziałem...

– Po prostu wpadłem, żeby przekazać informacje o wskaźniku umieralności wśród ludzi takich jak pan – powiedział Cashin. – Propozycja przedstawiona i odrzucona. Zapisano. Życzę szczęścia i miłych snów.

Byli w holu, Cashin z przodu, za nim Dove. Vallins krok za nimi.

– Sądzę, że może pan mieć racje, detektywie – powiedział wysokim głosem. – Czy powinienem...

– Wiem, co powinienesz, Duncanie – rozległ się głos z góry, z galerii. – Odbyć pokutę za swoje podle życie i umrzeć pojednany z Panem.

Cashin nie mógł dostrzec tego człowieka. Światło z salonu było zbyt słabe.

– Kto mówi? – zapytał.

Wiedział.

Ktoś się roześmiał, nie ten, który wcześniej zwracał się do Vallinsa.

– Gliny – powiedział. – Czuję gliny, śmierdzące, parszywe psy.

Cashin spojrzał na Dove'a. Ten patrzył w kierunku galerii, prawą ręką odsuwał połę płaszcza. Kabura, palce Dove'a na rękojeści pistoletu.

Huk, jaskrawe czerwone rozbłyski z lufy.

Dove gwałtownie odwrócił się do Cashina. Błysk jego okularów, otwarte usta, ręka sięgająca do klatki. Dove upadł na bok.

– Jeden leży!

Cashin zauważył skrzynkę z bezpiecznikami obok witrażowego okna. Podbiegł do niej dwa kroki, rzucił się, chwycił lewą ręką, stracił równowagę, upadł. Kątem oka zobaczył rozbłysk, poczuł ukłucie noża w plecach, poniżej łopatek.

– Drugi leży!

Egipskie ciemności. Klęczał, całe plecy miał w ogniu.

Cholera, dostałem, pomyślał.

– Proszę! – krzyknął Vallins. – Dam wam pieniądze!

Dove oddychał ciężko, chrapliwie. Cashin przesunął ręce po jego ciele. Szukał kabury.
Pusta.

Jeżu, wyciągnął pistolet i go upuścił. Gdzie?

– Idziemy do was, chłopcy!

Piskliwy głos.

Cashin gorączkowo obmacywał zimną jak lód marmurową podłogę.

– Proszę! – wrzeszczał Vallins. – Prooooooszę!

– Najpierw pokuta, Duncanie – odpowiedział głębszy, łagodniejszy głos.

Cashin pełzł szybko, na prawo od schodów były drzwi, musiał do nich dotrzeć, zanim dostaną się do głównego włącznika. Nigdy nie należy chodzić bez broni; nigdy cholerna pukawka nie jest potrzebna, dopóki nie zacznie być potrzebna tak bardzo, że aż zęby bołą.

Podczołgał się do ściany, wstał, poszedł na lewo, macając na ślepo. Potknął się o stół, jakiś przedmiot spadł na podłogę, stłukł się.

Trach, rozbłysk z lufy. Z połowy schodów.

Cashin znalazł głęboką niszę, drzwi, nacisnął klamkę, wszedł do jakiegoś pomieszczenia.

Zapach. Słabe, mdlące perfumy.

Nie zamykać drzwi, usłyszają trzask.

Czuł się lekko. Wpadł na coś twardego, sięgającego bioder. Skręcił na prawo, wymacywał drogę; ściana ciągnęła się dalej, skończyła się, słupek, rzeźbiony. Cashin wyciągnął rękę.

Ławka kościelna. To kościół. Kaplica. Stąd zapach.

Z prawą ręką na ścianie zrobił krok, natknął się na coś, przewrócił. Upadło na podłogę, z hałasem. Zatrzymał się.

– Tam – odezwał się pierwszy głos. – On tam jest. Nie ma spluwy.

– Zdejmij tego glinę – rozkazał cienki głos. – Zdmuchnij mu głowę.

– Nie, zajmij się tym drugim gliną, Justin. Niech ten się wykrwawi. To baranek Boży. Będę się za niego modlić.

Cashin usłyszał kwilenie, straszny dźwięk, mieszankę strachu i bólu.

Próbował przyzwyczaić się do ciemności, starał się szybko mrugać, ale nie mógł, miał za ciężkie powieki. Utrata krwi? Włożył prawą rękę pod płaszcz, namacał plecy.

Wilgotno. Gorąco.

Poczuł, że musi usiąść. Wystawił rękę, znalazł tył ławy, oparł się o nią, już nie musiał, przeszło. Umrze tutaj, w tym lodowatym pomieszczeniu, słodko-wymiotnym zapachu.

Nie. Jest wyjście. Znaleźć drzwi. Iść wzdłuż ściany.

Oczy odmawiały współpracy. Znalazł się pod wodą, woda była czarna, nie woda, coś gęstszego. Krew. Próbuje poruszać się w krwi. Woda i krew. Diab i Dove, zabił ich obu. Nie czuł palców u stóp. Nie czuł nóg. Nie był w stanie oddychać. Zdjął rękę z lawy i poczuł, że pada, zobaczył jakiś słupek, próbował go złapać.

Słupek nie był przymocowany, Cashin upadł razem z nim. Coś uderzyło go w głowę. Straszliwy ból, potem nic.

Był w szpitalu, z zimnym wilgotnym ręcznikiem na twarzy; ktoś głośno mówił. Nie do niego. Radio, telewizja...

Nie otwierał oczu. Nie, to nie szpital. Leżał na czymś twardym. Podłoga. Lodowata, marmurowa. Wszystko wróciło.

– Pamiętasz, co ze mną robiłeś, Duncanie? – spytał głos. – Jak krzyczałem z bólu? Jak prosiłem o litość? Pamiętasz to, Duncanie?

Cisza.

Żyję, pomyślał Cashin. Leżę na podłodze i żyję.

– Byłem taki szczęśliwy, kiedy się dowiedziałem, że zostałeś księdzem, Duncanie – mówił ktoś dalej.

Jamie Bourgoyne. Tyle że teraz był swoim martwym kuzynem, Markiem Kingstonem Denbym.

– Obaj poświęciliśmy się Panu, Duncanie – rzekł Jamie. – To zmienia wszystko, prawda? Byłem grzesznikiem. Robiłem złe rzeczy. Sprawilem, że boże stworzenia strasznie cierpiały. Ty to zrozumiesz, prawda? Oczywiście, że tak. Ty też nie przyszedłeś do Pana z czystym sercem.

Jęk bólu.

– Małe dzieci... Myślisz o tym, co powiedział nasz Zbawca? Odpowiedz, Duncanie.

Słowa, bełkot.

– Nasz Pan powiedział: pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie. Jakież wspaniałe słowa, co, Duncan? Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie; nie przeszkadzajcie im; do nich bowiem należy królestwo Boże.

Krzyk wypełnił kaplicę, głowę Cashina, jakby wchodził przez ucho od marmurowej podłogi.

– Moge? – wtrącił się wysoki głos. – Daj mi szansę, Jamie.

– Zaraz, zaraz. Muszę przygotować Duncana. Cierpienie... jakie to ważne słowo. Powiedz, Duncanie: „Ścierpcie, by małe dzieci przychodziły do mnie”. No, dalej, Duncanie.

Cashin zobaczył płomień. Blask przesuwał się, filował, rzucał cień na ścianę. Nie pofatygowali się, żeby włączyć światło, zapalili świece. Dove był martwy, myśleli, że drugi gliniarz też albo że zaraz umrze. Wykrwawi się.

Wykrwawi się.

Vallins coś krakał, chciał sformułować zdanie.

– Dziecko – powiedział Jamie. – Mały chłopiec. Czy kiedykolwiek było ci żal? Jakieś wyrzuty sumienia? Nie sądzę. Ty i Robin, i Crake. Tak mi było przykro, kiedy się dowiedziałem, że Crake umarł. Pan chciał, żebym zadbał i o Crake’a, ale akurat siedziałem w więzieniu.

– Pozwól i mnie – prosił Justin. – No, Jamie.

Cashin spróbował się podnieść, brakowało mu siły, nie mógł się ruszać. Będzie tu leżał, zabiją Vallinsa, potem pójdą. Może wstrzymać oddech? Jamiemu nie zależało na nim, nie czuł do niego nienawiści.

– „I w owe dni ludzie szukać będą śmierci – cytował dalej Jamie. – Ale jej nie znajdą, i będą chcieli umrzeć, ale śmierć od nich ucieknie”. Musiałem pójść do więzienia i mieszkać ze złymi ludźmi, zanim zrozumiałem te słowa. Czy ty je teraz pojmujesz, Duncanie?

– Proszę, proszę, proszę... – Jęki, okropne, straszne.

– Często chciałem umrzeć, a nie mogłem. Teraz wiem, że Pan chciał, abym żył ze swoim cierpieniem, bo miał dla mnie zadanie.

– Daj mi też, Jamie, daj mi też – domagał się ciągle Justin.

– Byłem umarły, a oto jestem żyjący na wieki wieków, amen. I mam klucze śmierci i Otchłani. Znasz te słowa? Święty Jan Ewangelista. Klucze śmierci i Otchłani. Pan mi je dał. Czy to twoje piekło, Duncanie? Czy tak?

Ja tu leżę, myślał Cashin. Zabiłem Dove’a, oni torturują człowieka na śmierć. Jeśli będę żył, co powiem Singowi? Mniejsza o Singa. Villianiemu. Finowi. Birkertsowi. Jestem policjantem, na litość boską.

– Pan chce, żebyś rozumiał znaczenie bólu i strachu. – Jamie nie przerywał przemowy. – Żeby Charles też to rozumiał ze względu na to, co mi zrobił. I twój przyjaciel, Robin. Nigdy nie zapomniałem waszych twarzy. Mówi się, że dzieci nie zapamiętują ludzi. Niektóre zapamiętują, widzą je w nocnych koszmarach.

Wrzask, naga, szkarłatna włócznia bólu.

– Odwagi, Duncanie. Robinowi jej brakowało. Miał szczęście, że nam się spieszyło. I Artur Pollard. Nie wiedziałem nic na temat Artura, ale w więzieniu Pan sprawił, że spotkałem człowieka, bardzo smutną osobę, i on wyjawiał mi prawdę o Arturze.

– Proszę, Jezu, ach, ach...

– „Na współczującego czekałem, ale go nie było, i na pocieszających, lecz ich nie znalazłem”. – Jamie z namaszczeniem wygłaszał fragment z Księgi Psalmów. – Dali mi jako pokarm truciznę, a gdy byłem spragniony, poili mnie octem. Duncan jest spragniony, Justinie, daj mu się napić.

Bulgocący odgłos, kaszel, dławienie się.

– No, tak lepiej, prawda?

Milczenie.

– Załatwione, Duncanie, już nie możesz hałasować, co? Wyglądasz jak świnia. Modlisz się w myślach? Do bestii? Proszę, Justinie, Pan chce, żebyś posłał Duncana na spotkanie z jego królem, bestią.

Cashin podniósł się na kolana, uniósł ciężącą mu głowę.

Migoczące, żółte światło. Coś leżało na kamiennym ołtarzu, różowa kupa mięsa związana liną, jak do smażenia. Ciało obficie krwawiło, krew płynęła strumieniami.

Dwóch mężczyzn stało przy ołtarzu. Niższy uniósł wysoko nóż, światło świecy odbiło się od ostrza. Drugi, wyższy... głowę Vallinsa... za włosy i uszy... jakby ją całował...

Nie.

Cashin odruchowo pokręcił głową. Spróbował wstać. Na podłodze coś leżało, kijek, nie... tak, kijek z krzyżem na końcu, krzyż z brązu ze spiczastymi ramionami, nie... z grotami.

Nie. Nie z grotami.

Karo, tak, karo.

Położył na tym rękę, próbował chwycić, nie zdołał, miał ograniczone czucie.

W końcu chwycił i wstał. Zdziwił się, utrzymywał pion, w prawej ręce miał kijek z krzyżem.

Patrzy na oprawców.

Oni go nie widzieli, nie słyszeli.

– Idź w wieczne płomienie, Duncanie! – zawołał Jamie. – Wyślij go, Justinie.

– Nie – wychrypiął Cashin.

Rzucił kijkiem z krzyżem z brązu. Justin odwrócił się, w prawej ręce miał długi nóż.

Szczyk w kształcie karo wszedł chłopakowi w gardło, w zagłębienie między obojczykami. Utkwił tam, opadł. Justin uniósł ręce do szyi, złapał świętą włócznię, zrobi

krok, lewa noga go zawiodła, upadł, stopy rozjechały mu się na zimnej, twardej podłodze.

– Aresztowany – wybełkotał Cashin.

Jamie trzymał głowę Vallinsa, patrzył w dół, na Justina.

– Justie! – zawył. – Justie.

Zostawił związanego jak świnia Vallinsa, opadł na kolana.

Cashin widział tylko czubek jego głowy.

– Justie, nie – szeptał Jamie. – Justie, nie, Justie, nie, nie. Justie, nie, mój kochany, Justie, nie, nieeee...

Cashin zaczął wracać tą samą drogą, którą przyszedł. Wydawało mu się, że dojście do drzwi kaplicy trwało bardzo długo. Przez hol dotarł do skrzynki rozdzielczej, znalazł główny przełącznik.

W salonie zapaliło się światło.

Pistolet leżał u stóp Dove'a. Cashin schylił się, żeby podnieść broń, przewrócił się, wstał, znów sięgnął, chwycił broń. Nie spojrzał na Dove'a, wrócił do kaplicy, do drzwi, znalazł włącznik światła, poszedł środkowym przejściem, zatrzymał się kilka metrów od ołtarza.

Jamie kucnął nad Justinem. Krew była wszędzie. Spojrzał na Cashina, wstał z nożem w ręce.

– Aresztowany – powtórzył Cashin.

Jamie pokręcił głową.

– Nie. Teraz muszę cię zabić.

Cashin wycelował w klatkę Jamiego, pociągnął za spust.

Jamie przechylił głowę jak ptak. Uśmiechnął się.

Chybiłem, pomyślał Cashin. Jak to możliwe? Nie widział dobrze Jamiego, pistolet zdawał się potwornie ciężki.

– Pan nie chce, żebym umarł – oznajmił Jamie. – On chce, żebyś ty umarł, bo zabrałeś mi Justina.

Zrobił krok w stronę Cashina, wystawił nóż. Cashin zobaczył na ostrzu światło, krew. Nogi uginały się pod nim, nie był w stanie już ustać, padał...

Nóż, oczy Jamiego nad nim, tak blisko...

– Teraz musisz modlić się do twojego Pana, który jest w niebie – powiedział Jamie.

– Naszego Pana – odparł Cashin.

Na pewno nie potrzebujesz pomocy? – zapytał Michael.

– Nie – odparł Cashin. Mała torba prawie nic nie ważyła: szczoteczka do zębów, maszynka do golenia, piżama, rzeczy, które brat przyniósł do szpitala. Stali, czekając na windę, niezgrabnie, ramię w ramię.

– Mam nową pracę – pochwalił się Michael. – W Melbourne. Mała firma.

– To dobrze – powiedział Cashin. Śnił mu się Dove. Szedł z nim ulicą, a potem twarz Dove'a zmieniła się w twarz Shane'a Diaba.

– Zaczynam za dwa tygodnie. Pomyślałem, że pomógłbym ci w remoncie. Nigdy nie budowałem, ale trochę poćwiczyłem sobie mięśnie na siłowni.

– Żadnego doświadczenia. Tylko brutalna siła.

Nadjechała winda, pusta. W środku stanęli twarzami do drzwi.

– Joe, chcę cię o coś zapytać – odezwał się Michael ze wzrokiem utkwionym w panel wskaźnika pięter. – Chodzi mi to po głowie...

– Co?

– Poszedłeś tam bez broni. Nie chodziło o samozagładę, prawda?

– To była kolosalna głupota i arogancja – odparł Cashin. – Moja specjalność.

– Jest jeszcze coś – dodał Michael. – Rozmawiałem z Vickie. Mama mi kazała.

– O czym rozmawiałeś?

– Możesz się zobaczyć z chłopcem. Vickie powiedziała swojemu partnerowi, że to twoje dziecko.

Cashinowi zabrakło tchu.

– A synowi powiedziała?

– Tak.

Winda stanęła, drzwi się otworzyły, Villani czekał.

Podał rękę Michaelowi. Przeszli po rampie, wzdłuż budynku. Między jedną a drugą ulewą, w chmurach wybite były wielkie, postrzępione dziury, lufciki do wieczności.

– Spotkamy się za kilka dni – rzucił na odchodne Michael.

– Kup rękawice – polecił Cashin. – Robocze.

Finucane zaparkował obok samochodu Villaniego. Wyszedł im na spotkanie.

– Siema, szefie. Jak zdrówko?

– Dobrze.

– Wsiądźcie na chwilę – poprosił Villani. – Ty też, Fin.

Cashin usiadł na fotelu pasażera. Zapach gliniarskiego samochodu.

– Wyglądasz jak śmierć na chorągwi – zauważył Villani. – Chcesz mi powiedzieć, że nie mają maszyn do opalania?

– Też byłem zdziwiony.

– Tak czy siak, błąd czy nie, ty i Dove jesteście niezłą parką. Zaczarowaną – żartował Villani. – Nie czarującą. Wychodzi w przyszłym tygodniu. Krzepliwość homara, stwierdził lekarz.

– Homara? – odezwał się Finucane z tylnego siedzenia.

– Tak się wyraził. Słuchaj, Joe, mam ci coś do powiedzenia. Po pierwsze, Fin wyciągnął sensowne zeznania z tego świra, Dave’a Vincenta. Zauważ, przez telefon. Fin ma ze sobą notatnik. Mów, Fin.

Finucane odkaszlnął.

– Był w obozie w wieczór pożaru – zaczął relacjonować. – Nazywał się wtedy Dave Curnow. To nazwisko jego rodziny zastępczej. Mówi, że miał iść na koncert, ale planował ucieczkę i się ukrył. Nagle przyjechało dwóch mężczyzn i z bagażnika wyjęli zwłoki. Małe zwłoki.

Cashin patrzył na drogę, nie widząc ruchu.

– Zabrali je do przybudówki, gdzie spali chłopcy. Potem wyszli, a on zobaczył w budynku płomienie. Uciekł, przespał się na plaży, a następnego dnia złapał okazję i wyjechał. Wylądował w Australii Zachodniej. Dwunastoletni gnojek.

– Co wykazały sekcje chłopców? – zapytał Cashin.

– Wykonał je miejscowy lekarz – prychnął Finucane. – Chyba tak się to wtedy robiło. Zabił ich dym.

– Wszystkich trzech?

– Zgadza się.

– Żadnej wzmianki o czymś innym?

– Nic, szefie.

Cashin pożałował, że zjadł śniadanie, poczuł mdłości.

– Pamiętasz nazwisko lekarza?

– Mam je tutaj. Castelman. Doktor Rodney Castelman. Podpisał też świadectwo zgonu żony Bourgoyne’a. Bardzo pracowity internista.

Ojciec Helen. Cecily Addison powiedziała: „Mnóstwo ludzi się udzielało społecznie. Odwalali dobrą robotę i nie dlatego, żeby ich nazwiska znalazły się w gazecie. Cnota była jedyną nagrodą”.

– Tu jest coś dziwnego – zauważył Villani. – Dave Vincent pamięta samochód z

tamtego wieczoru.

– Facet zna się na samochodach – rzekł Finucane. – Mówi, że to był mere kombi. Pierwszy model. Z 1979.

– Dało to coś? – zapytał Cashin.

– Prześledziłem sprawę...

– Niech zgadnę. Bourgoyne.

– Samochód spółki. Charles Bourgoyne i ktoś o nazwisku J.A. Cameron byli dyrektorami.

– Jock Cameron, miejscowy adwokat. Kto był opiekunem tamtego wieczoru?

– Vallins – powiedział Villani.

– Masz papierosa? – zapytał Cashin.

Villani wyjął paczkę i podał zapalniczkę. Czekali w milczeniu, aż Joe zapali.

Nikotyna zadziałała na Cashina jak uderzenie „z byka”, przez chwilę nie mógł mówić. Odezwał się dopiero po kilku głębokich wdechach.

– Jezus, jak im to uszło na sucho? Prowadzili burdel zamiast obozu, zamordowali co najmniej trzech chłopców i cicho sza. Kto tak spieprzył dochodzenie?

Villani opuścił szyby z przodu. Zapach spalin, świeżego asfaltu.

– Mam ci jeszcze coś do powiedzenia. Singo umarł dwa dni temu. Kolejny udar. Nieźle.

– Cholera – mruknął Cashin. – No, cholera. – Poczul, że zbierają mu się łzy, odwrócił twarz od Villaniego, zamrugął gwałtownie.

– Singo zajmował się pożarem w Towarzystwie – ciągnął Villani. – Był wtedy numerem drugim.

Cashin zobaczył Singa w tym jego znoszonym, podartym płaszczu przeciwdeszczowym; zobaczył wypalone ruiny w tamtym miejscu, słupki bramy w trawie, krótki pasek. Singo nigdy nie wspominał o Cromarty. Późnym wieczorem, po drinku mówił o pracy w Stawell i Mildura, i Geelong, i Sale, i Shepparton, o podróżującym zabójcy prostytutek w Bendingo, o człowieku, który zabił jego wuja i ciotkę, o farmie tytoniowej w pobliżu Bright.

Ale nigdy o Cromarty.

– Mam złe przeczucie. – Villani poruszył się z zażenowaniem. – Sprawdziliśmy rachunki Singa w banku. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że nadejdzie taki dzień, że dożyję... mniejsza o to. Tylko płace i dywidendy z udziałów Fostersa.

– Nie pijal ich piwa – zaoponował Cashin. – Nie znosił ich piwa.

Villani popatrzył na niego z wyrazem beznadziejności w oczach, otworzył okno i wyrzucił niedopalek. O mały włos nie trafił w mewę. Zmusił ją do skoku. Cashin pomyślał o spotkaniach na molo, o mewie chwytającej w powietrzu wyrzucony niedopalek.

– Trzy lata temu – zaczął Villani po chwili – Singo odziedziczył milion baksów po bracie Dereku. Derek wzbogacił całą rodzinę. Około czternastu milionów w nieruchomościach.

– Tak? – zdziwił się Cashin.

– Wszystko co mam, osiągnąłem dzięki Singowi. Mówił: „Myślisz, synu, że odwaliłeś dobrą robotę? Hm, idź na następne podwórko”.

Grube krople deszczu na przedniej szybie. Cashin pomyślał, że chciałby być teraz w domu, w tej pochrzanionej ruderze, na tym cholernym starym fotelu. Pragnął, żeby psy wkładały nosy pod poduszkę na siedzeniu, żeby ogień płonął na kominku, grała muzyka. Chciał Bjorlinga. Najpierw byłby Bjorling. Potem Callas.

– W 1983 ktoś wpłacił dwieście tysięcy dolarów na trzy rachunki bankowe Dereka – ciągnął Villani. – Trzy dni po pożarze w Cromarty. Potem, po śledztwie, Derek dostał kolejne dwieście tysięcy. Kupił ziemię na Golden Coast. Nie w ciemną bity gość.

Cashin popatrzył na Villaniego. Villani wytrzymał jego spojrzenie, mocno marszcząc brwi; kiwał głową, zaciągnął się papierosem, próbował wydmuchać za okno, na wiatr. Dym wrócił.

– Singo wziął pieniądze od Bourgoyne’a?

– Płatność z rachunku bankowego spółki. Trzeba było się przekopać przez trzy inne spółki, żeby zobaczyć, że przelew zrobiła firma Bourgoyne’a.

Cashin pomyślał, że na tym świecie nie ma pewnego gruntu. Tylko różnych grubości skorupy na bagnie. Siedzieli w milczeniu, patrząc na trzy pielęgniarzki wychodzące z pracy, płaskie jak kije do krykieta. Ta pośrodku machała rękami, jakby dyrygowała orkiestrą.

– Dla mnie to jest jak podwójna śmierć – zakończył Villani.

– Coś jeszcze? – zapytał Cashin. – Jakies drobiazgi, o których powinienem wiedzieć? Nie? No to idę do domu, dziękuję, że wpadliście.

– Fin prowadzi – powiedział Villani. – Birkerts tam jest, już skończył, to go przywiezie. A jak się nie podoba, bierz taksówkę albo się przespaceruj, do cholery.

Cashin chciał się spierać, ale nie miał siły.

– Jest coś jeszcze – dodał Villani. – Dzwonił prawnik Singa. Jesteśmy w testamencie, ty, ja i Birk.

– Ostatnie niezbrukane miejsce w policji, wydział zabójstw – zadrwił Cashin. – Armia

Zbawienia może sobie wziąć mój udział. – Kiedy już jechali, Cashin powiedział: – Fin, muszę dostać się na Queen Street. To nie potrwa długo.

Erica Bourgoyne, przystojna i surowa w czerni, stała za biurkiem ze szklanym blatem.

– Naprawdę, dzisiaj nie mam czasu – oświadczyła. – Proszę się streszczać.

– Oczywiście.

Niespiesznie rozejrzał się po wielkim, wykładanym boazerią gabinecie, popatrzył na półki z książkami za szybą, na świeże fiołki w wazoniku z rzuńniętego szkła na parapecie, na nagie gałęzie platanów za oknem.

– Bardzo ładny gabinet – pochwalił.

– O co chodzi? – Głowa przechylona na bok, mina nauczycielki przygłupiego ucznia.

– Mam dla pani kilka... spraw.

Popatrzyła na zegarek.

– Mogę poświęcić panu pięć minut. Co do sekundy.

– Pani brat był wykorzystywany seksualnie przez Charlesa, a pani o tym wiedziała.

Erica usiadła i zamrugła, jakby coś wpadło jej do oka.

– Jamie i Justin Fischer torturowali i zabili Artura Pollarda. Zamordowali też w Sydney Robina Graya Boneya. I pani raczej o tym wie.

Erica podniosła rękę.

– Detektywie, to absolutne...

– Dlaczego pani nikomu nie powiedziała, że ktoś widział ostatnio Jamiego?

Niejednoznaczny gest.

– Moira mocno się zestarzała, nie można na niej polegać...

– Pani Laindlaw, moim zdaniem, całkowicie panuje nad zmysłami. Nie miała wątpliwości, że widziała Jamiego. A pani jej uwierzyła, prawda? To wtedy wynajęła pani ochronę. To było, zanim zatłukli Charlesa.

– Detektywie Cashin, miarka się przebrała. Nie widzę sensu, żeby kontynuować tę rozmowę.

– Woli pani przesłuchanie? – spytał Cashin. – Proszę sobie wziąć dzień wolnego i wpaść na St. Kilda Road. Tak pewnie będzie lepiej. To pani przebrała miarkę. Czeka panią zarzut o współudział.

Milczenie. Wytrzymała jego wzrok, ale on zobaczył, że zmiękła.

– Rozmawiała pani z Jamiem, prawda?

– Nie.

Zamknęła oczy. Zobaczył ornament żyłek na powiekach. Powiedział to, o czym od dawna myślał:

– Tylko wy dwoje po wypadku matki. Sami wieczorem, w wielkim domu z Charlesem. Co się stało tamtego wieczoru?

– Proszę, nie. – Spuściła nisko głowę, kosmyk włosów spadł jej z czoła. – Proszę.

– Co pani zrobili w tym domu, Erico?

Milczenie.

– Została pani żoneczką Charliego? Czy to było przed śmiercią, czy po śmierci matki? Chodziła pani za nim wszędzie. Ubóstwiała go. Wiedziała pani, że tamci ludzie pieprzyli Jamiego? I Charles też?

Zaczęła się trząść.

– Nie, nie, nie... – To nie było zaprzeczenie, tylko prośba, żeby przestał.

– Nadal pani uważa, że śmierć matki była przypadkowa, co Erico? W ten sam wieczór, kiedy wybuchł pożar w obozie Towarzystwa? Zginęli wtedy trzech chłopcy. Charles zabił jednego z nich własnymi rękami na Wzgórzu. Czy pani matka coś widziała? Słyszała?

– Błagam, nie mogę...

Cashin patrzył na jej spuszczoną głowę, bladą skórę pod włosami, ręce zaciśnięte na gardle.

Erica szeptała coś do siebie, powtarzała raz za razem, jak mantrę.

Cashin znał się na mantrach. Wypowiedział milion mantr przeciwko bólowi, myślom, pamięci, nocy, której ciemność nie chce ustąpić.

Wyprostowała się, próbowała odzyskać panowanie nad sobą.

Cashin czekał.

– Jakie to ma teraz znaczenie? – zapytała pozbawionym życia głosem. – Dlaczego pan mnie dręczy? Sprawia to panu przyjemność?

– Ochrona – podsunął Cashin. – Po co to było?

– Klient mi groził.

– Nie wierzę. Myślę, że pani zawsze wiedziała, że Jamie żyje. Ochraniała go, ale także się go bała. Prawda?

Brak odpowiedzi.

– Patrzyła pani, jak torturują Pollarda. W sali było jedno rozstawione krzesło. Pani na nim siedziała, Erico.

Płakała po cichu, łzy złościły jej makijaż.

– Czy Charles oddał panią Pollardowi? Pollard lubił też małe dziewczynki. Znaleźliśmy zdjęcia w jego komputerze. Chciała pani, żeby Jamie zabił Charlesa i Pollarda, prawda?

Erica zaczęła coraz głośniejsz szlochać, z opuszczoną głową. Cała się trzęsła.

– Została pani do samego końca. Klaskała, kiedy go podnosili? Czy to panią oczyściło?

Kobieta płacze, całe jej ciało płacze, cała jej istota płacze.

Cashin wstał.

– Jest pani chora, Erico Bourgoyne – powiedział. – Choroba zrodziła chorobę. Dziękuję za poświęcenie mi czasu.

Silny deszcz padał na Queen Street. Fin zaparkował na dwóch miejscach, utrudniając ruch. Czytał gazetę.

– Jak poszło, szefie? – zapytał.

– Zwyczajnie – odparł Cashin. – Zawieź mnie do domu, synu.

Psy były nie do poznania.

– Co ty im zrobiłaś?! – wrzasnął Cashin.

– Zostały ostrzyżone i wyczesane po raz pierwszy w ich życiu – odparła matka. – Są zachwycone.

– Są w szoku. Potrzebują terapii.

– Sądzę, że powinny tu zostać. Wyglądają na szczęśliwe. Nie sądzą, żeby chciały wracać do tej ruiny.

Cashin poszedł do wozu i otworzył tylne drzwi. Psy patrzyły, ani drgnęły.

– Widzisz, Joseph – zatriumfowała matka. – Widzisz?

Cashin gwizdnął i machnął kciukiem w stronę drzwi. Psy pognały do wozu, wskoczyły na siedzenie, usiadły dumnie wyprostowane, patrząc wprost przed siebie.

Cashin zamknął drzwi.

– Przyjadę z nimi w gości – obiecał.

– Często przyjeżdżaj – nalegała matka. – Bonzo je uwielbia. To jego najlepsi przyjaciele.

Cashinowi wydało się, że widzi łzę.

– Podrzucę je, kiedy będę jechał do miasta – powiedział. – Pod warunkiem że nie będzie emisji dioksyn w okolicy. – Podeszedł i pocałował matkę.

– Joseph, to ty powinieneś pomyśleć o terapii. – Trzymała jego głowę. – Twoje życie stało się horrorem.

– Po prostu ciąg pechowych zdarzeń. – Wsiadł.

Podeszła do okna.

– Lubią kurczaki. Masz kurczaki?

– Steki też uwielbiają. Dostają zabite zwierzęta, które znajdują przy drodze. Cześć, Syb.

Droga do domu przy resztce rózu na zachodzie, gdy noc zajmowała ziemię rów po rowie, dolina po dolinie. Na skrzyżowaniu włączył reflektory. Pięć minut później oświetliły ciemny dom. Jakiś mężczyzna stał oparty o ścianę. Palił papierosa i trzymał latarkę.

Rebb podeszedł do wozu, otworzył tylne drzwi, żeby wypuścić psy.

– Słodki Jezu – sapnął. – Przehandlowałeś swoje bestie?

Skoczyły na niego z dziką radością.

– Nie moja wina – usprawiedliwił się Cashin. – Matka to zrobiła. Myślałem, że odszedłeś.

– Ruszyłem przed siebie, nic ciekawego nie znalazłem, więc wróciłem – wyjaśnił Rebb. – Pomyślałem: stary facet nie chodzi za dobrze. Mógłbym mu pomóc trochę popracować przy katedrze.

Przeszli dookoła, przy świetle latarki obejrzeni, co Rebb zrobił.

– Trochę?! – zawołał Cashin. – Ty to nazywasz „trochę”?

– Zajrzał Bern, pomógł mi. Ostro przeklina, ale dobrze pracuje.

– Ciekawe. To dla mnie nowość. Wiesz co? On ma świetną pamięć.

– Tak? – Rebb oświetlił nową ścianę, podeszedł i przejechał palcem po łączeniu cegieł.

– Pamięta cię z czasów, kiedy byliście dziećmi. Grał z tobą w nogę. Należałeś wtedy do drużyny Towarzystwa.

– Hm, to dla mnie nowość – mruknął Rebb. – Nigdy nie słyszałem o obozie Towarzystwa. – Skierował latarkę na psy.

– Znalazłem twoje zdjęcie – powiedział Cashin. – Jesz kawałek pomarańczy. Miałeś około dwunastu lat.

– Nigdy nie miałem dwunastu lat – odciął się Rebb. – Przyrządzę królika. Wezmę twoją śrutówkę.

– Coś ci się wtedy stało?

Rebb się uśmiechnął.

– Po prostu byłem tam przez jeden dzień. Jedzenie mi nie smakowało.

– Mam stek – zagadnął Cashin. – Może być?

– Wystarczy. Sąsiadka tu zajrzała. Zostawiła coś dla ciebie. Opakowane jak prezent.

– Świetnie. Już dawno nikt nie dawał mi prezentu.

– Życie to prezent – rzekł Rebb. – Każda minuta, każdej godziny, każdego dnia.

Późnym popołudniem Cashin wyprowadził psy. Do pierwszych zajęcy dorwały się blisko domu; szaraki zrobiły się odważne pod nieobecność kudłatych bestii. Potem, na łące, pudle zerwały sejmik królików. Zabiegały się, zadyszały, a nawet nie tknęły kłem futerka.

Przy strumieniu weszły do wody, stały w dziurach, przepychały się, szczerkały. Cashin też się zamoczył, po kolana, miał wodę w butach. Nie zwracał na to uwagi, szedł pod górę, myśląc o tym, jak powinien się zachować. W końcu nie musiał podejmować decyzji, bo zobaczył Helen, jak schodzi w dół zbocza.

Spotkali się przy narożnym słupku, dziele Rebba, powiedzieli cześć. Wyglądała szczupłej, lepiej niż zapamiętał.

– Są zmęczone – zauważyła. – Coś ty z nimi robił?

Zabrakło mu śliny, przelknął z trudem, żeby móc mówić.

– Niewysportowane, za grube, za wolne. Zepsute. To się zmieni.

– Jak się czujesz, Joe?

– Świetnie. Kości nienaruszone plus to, że jestem dzielny i nigdy nie narzekam.

Helen pokręciła głową.

– Chciałam cię odwiedzić, ale pomyślałam... hm, sama nie wiem. Przypuszczałam, że wokół ciebie będą rodzina i przyjaciele z policji.

Psy pobiegły, rozmowa je nudziła, chciały coś robić.

– Śluszne rozumowanie – przyznał Cashin. – Właśnie tak było w dzień i w noc. Pracowali na zmiany, rodzina, przyjaciele z policji, rodzina.

– Ty draniu. Widziałas Bobby'ego Walshe'a w telewizji?

– Nie.

– Powiedział, że ty i Dove zasługujecie na medale.

– Za głupotę? Nie sądzę, żeby takie mieli.

Helen znów pokręciła głową.

– A informacja o uzdrowisku?

– Nic nie wiem.

– Erica Bourgoyne postanowiła nie sprzedawać obozu Towarzystwa Fyfe’owi. Oddaje stanowi, żeby teren stał się częścią rezerwatu nadbrzeżnego. Więc nie ma dostępu do ujścia i cały projekt uzdrowiska legł w gruzach.

Cashin pomyślał o Ericie w gabinecie, o śladach łez na kremowej, jedwabnej koszuli, o łkaniu.

– To dobrze – powiedział. – Będziesz miała więcej czasu, żeby wygrać wybory.

– Liczę na to, że przynajmniej jeden gliniarz odda na mnie głos.

– To zależy od liczby poszlak, które się złożą w całość. Ale nam, glinom, nie wolno mówić o polityce.

– A pić wolno?

– Mam odświeżoną wątrobę. Jest na zwolnieniu od tygodni.

Spojrzeni na siebie, oderwał wzrok, zobaczył zmierzch w zagłębieniu, którym płynął strumień; wierzchołki drzew chwiały się na szczycie wzgórza.

– Zawsze chciałem o to zapytać. Kiedy umarł twój tata?

– W 1988. Nie wyrobił na zakręcie nadbrzeżnej drogi. Rok po tym, jak ukończyliśmy szkołę. A co?

– Nic. Podpisał świadectwo śmierci żony Bourgoyne’a.

– Sądzę, że podpisał setki.

– Tak.

– No. Wpadniesz na drinka? Mogę cię podkarmić.

– Pasztecikami?

– Ostatnio nie dowieźli.

– Najpierw podkarm bestie – powiedział. – Zaraz wracam.

– Wróć niezwłocznie.

– Niezwłocznie. Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś używał tego słowa.

– Popracuj nad sobą. Słowa same przyjdą – doradziła.

Poszedł pod górę, nogi miał jak kłody, zagwizdał na psy, odwrócił się. Stała w miejscu, patrzyła na niego.

– Chodź do mnie! – krzyknęła.

Obudził się przy jej boku. Nad okienną roletą widać było linie dziennego światła koloru dymu z papierosa. Czuł ciepło Helen przy sobie. Poruszyła się i poczuł jej oddech na skórze między łopatkami. Przesunęła ustami po jego kręgosłupie, potem odcisnęła ślad

mocnym pocałunkiem. Świat się otworzył, dzień się zaczął. Cashin czuł, że znowu żyje, że mu przebaczone.

Joe?

– Tak?

– Tu Carol Gehrig. Za wcześnie dla ciebie? Słuchaj, to głupstwo, ale ostatniego wieczoru wypiałam sporo wina i przyszło mi to do głowy.

– Co?

– Dwa razy znalazłam opakowania od czekoladek w pojemniku na śmieci.

– Tak?

– Hm, on ich nie jadał – wyjaśniła Carol. – Nawet herbaty nie słodził.

– Widziałaś papierki od czekoladek w koszu w kuchni?

– Nie w kuchni. W dużym pojemniku na zewnątrz. Batoniki marsa i takie tam gówienka.

– Hm, ktoś nocował w domu?

– Nie. Nie wtedy.

– Dwa razy?

– Hm, pamiętam dwa razy. Marnuję twój czas głupstwami?

Pojawił się Rebb, wracał do domu z krowami Dena, z psami po obu flankach. Rozglądały się jak straż przyboczna, czujnie wypatrując zabójców czających się w trawie.

– Wcale nie – powiedział. – Pamiętasz, kiedy to było?

– W jednym przypadku. Poprzedniego dnia urządziłam urodziny Kristie... zaraz... poniedziałek, 23 lipca, 1988. Na pewno. Tak.

– Interesujące – stwierdził Cashin. – Przypomnij sobie ten drugi raz. Nawet miesiąc wystarczy, rok. Nawet czy zima, czy lato.

– Pomyślę.

Pożegnali się, on został tam, gdzie stał, z obrazem dziewięciu garnków Bourgoyne'a przed oczami, tych, które perfekcjonista uznał za godne zachowania. Na podstawie jednego z nich widniała data „11/6/88”.

Czy to był dzień, kiedy wykonano garnek? Czy można odwrócić świeżo wytoczone naczynie tych rozmiarów i wydrapać na dnie datę? Czy stało się to później?

Podszedł do telefonu, przyglądał mu się przez chwilę, myśląc o tym, jak chodził po

piętrze starego ceglanego domu. Wzgórza. Rozglądał się i rejestrował w pamięci zasuwę na drzwiach sypialni.

Jeśli szło się w górę zbocza wieczorem, kiedy piec był rozpalony, to najpierw się go słyszało, a dopiero później widziało – musiał to być ogłuszający hałas, wibracja, dudnienie. A kiedy okrzyki się stos drewna, widziało się dziury z ogniem, buchające białym żarem, oświetlające polanę. Czuło się na twarzy siłę wiatru od morza, wiejącego prosto w paszczę pieca.

Wykręcił numer kierunkowy. Dzwonił i dzwonił, potem odebrała Tracy, bardziej z reprimendą niż z powitaniem.

– Tu Joe – powiedział. – Wyświadczyć mi przysługę, Trace. Dane dzieci, które zginęły w czerwcu, lipcu 1988. Chłopcy.

– To się nigdy nie skończy – wymamrotała.

– Nie na tym świecie.

Słoneczny poranek na okrągłym, wietrznym wzgórzu; strzępiaste chmury gnane w głąb łądy, wiatr w wysokiej trawie, drażni ją, szarpie.

Szczeknięcie u drzwi, kolejne, bardziej nagłać. Psy wyczuły zmianę. Wpuścił je, podbiegły do niego ochoczo. Cieszył się, że je ma i że jest tutaj.